



PIERWSZE NIEPOKOJE

Było południe.

W parowie, w pobliżu Spoon River, tliły się małe ogniska. Wygodnie rozciągnięci na wzorzystych derkach i na miękkiej murawie odpoczywali Indianie. Obok pasły się mustangi. Słońce przygrzewało. Ziemia oddychała! zapachem wiosennych roślin. Ciszę mącił monotony plusk rzeki, brzęk owadów i chrząst skubiących trawę koni.

W środku biwaku, w otoczeniu paru osób, siedział mężczyzna w sile wieku. Podgolone wokoło włosy, obwiązane na szczycie głowy barwnym sznurkiem, przetykanym różowym puchem, bogate naszyjniki i wzory misternego haftu na ubraniu informowały, że należy do znakomitszych wodzów.

• Jeśli zwiadowcy do jutra nie wytropią bizonów¹, wyruszmy na łowy poza Me-si-kse-pe — powiedział do towarzyszy.

- Duchy nie mogły okłamać szamana — z naciskiem odrzekł jeden z młodszych naczelników.
- Neapope zapomina, że czasami człowiek niewłaściwie odgaduje znaki duchów.
- Człowiek, ale, nie szaman.
- Szaman też jest człowiekiem, może się pomylić...
- Co na to Weiupeshek? — spytał zaintrygowany Neapope.

Twarz szamana, pokryta pasami czarnej i żółtej ochry, pozostała nieodgadniona, tylko oczy zapłonęły mu gniewem, a ręce nerwowo chwyciły wiszący na szyi talizman. Opanował się jednak szybko. Nie dając poznać po sobie niezadowolenia, odrzekł:

— Sam Puloweh⁵ przyszedł w kłębach wonnego dymu, gdy sypałem suszone ziele na węgle w kaganku, i w trzepocie skrzydeł kuropatwy oświadczył, że nasi wojownicy znajdują bizona. Czyżby Czarny Jastrząb, wielki sachem⁷ Sauków i Foxów, zwątpił w Waupesheka?

— Nasz brat, znakomity prorok, jest ulubieńcem duchów. Czarny Jastrząb mu ufa — odparł z przyjaznym uśmiechem wódz.

Z szacunkiem wszyscy pochylili głowy w stronę szamana. Zapadło milczenie. Przerwał je sędziwy Kwaskwamia:

— Kiedyś na stepach i w puszczech żyło tyle zwierzyny, że tropy plątały się jak nici pajęczce. A teraz...

• Teraz biali ludzie przetrzebili zwierzęta i ptactwo, wycinają drzewa w lasach i coraz bardziej prą w pogranicze — podjął Czarny Jastrząb. — Meshkwakihugowie⁸ i Osakiwagowie⁹ muszą uchodzić na zachód...

• Miczi-malsa¹⁰ podpisali traktat z Czarnym Jastrzębiem o wieczystym pokoju i nietykalności ziemi naszych ojców — odezwał się muskulamy Wysoki Dąb.

• Ugh. To prawda — odparł sachem. — Przez trzy zimy nikt z białych nie odważył się wchodzić na łowieckie tereny Sauków i Foxów. W ostatnim jednak czasie pojawiają się w rejonach naszych rzek.

• Nad Illinois River zbudowali osadę.

• A nad Lisią Rzeką fort... — uzupełnili inni.

• Took-suh¹, wódz Szawanezów, doniósł — włączył się Waupeshek — że Miczi-malsa chcą usunąć wszystkie plemiona poza Me-si-kse-pe. Twierdzą, że czerwonoskórzy stracili te ziemie po przegranej wojnie w 1815 roku.

• W podpisanym przez Czarnego Jastrzębia traktacie nie było o tym mowy. Saukowie w tamtej

wojnie nie ponieśli porażki. Miczi-malsa, jak zawsze, kłamię — stwierdził sachem.

— Pewnie zapomnieli o kłęsce na Psiej Prerii!¹ — przypomniał

Kwaskwamia.

- Mogą ponownie stracić skalpy! — buńczucznie zawołał Neapope.
- Wtedy Sauków i Foxów łączyła jedność — zauważył szaman — a teraz Keokuk sprzyja Długim

Nożom. Jesteśmy znacznie słabsi.

- Mój brat, Waupeshek, ma rację. Wtedy byliśmy sprzymierzeni z wielkim Tecumsehem⁴ i białymi Kanadyjczykami — powiedział Czarny Jastrząb. — Teraz jesteśmy sami...

Na skraju parowu ukazał się jeździec. Gnał wyciągniętym galopem. Zjechał po nierównym zboczu, wyminął ogniska i tuż przed sachemem osadził mustanga, aż spod kopyt trysnęły grudy. Zwinnie zeskoczył i

zameldował:

— Bizony na Łagodnych Wzgórzach.

Waupeshek trafnie odczytał znaki duchów! — zawołał triumfalnie szaman.

Duże stado, synu? — Oczy Czarnego Jastrzębia patrzyły z ojcowską miłością na osiemnastoletniego młodzieńca.

Gamesett naliczył trzy razy po dziesięć sztuk.

Niewielkie to stado, ale zaspokoi nasze potrzeby. Prowadź, synu!

Zawrzało w obozie. Starannie wygaszono ogień i przysypano węglem ziemią. Mustangi pocwalały równiną. Nie zatrzymywano się na noc. Ugwieżdżone niebo pozwalało na szybką jazdę. O świcie prowadzący wojowników Gamesett dał ręką znak. Ostrożnie pieli się na zielone wzniesienie. Słońce perliło krople rosy na soczystych trawach. Płochliwe kujoty, podwinawszy ogony, umykały przed jeźdźcami.

Na szczycie wybrzuszenia zatrzymali konie. W szmaragdowej dali pasło się stado brunatnych olbrzymów. Zwierzęta były spokojne. Jedyne potężny byk, przewodnik stada, co chwila podnosił łeb wężąc wokół.

Waupeshek cicho zaintonował rytualną pieśń. Podchwycili ją łowcy. Brzmiała jak szmer strumyka, jak szelest liści w boru, gdy leciutki wiatr dotyka koron drzew.

Oczy nasze widzą bizony, puszyste futra, twarde rogi.
Cięciwo łuku, bądź sprężysta! Grocie strzały, celnie bij! W
wągwach płaczą głodne dzieci, na próżno squaw⁵ szukają
futer, mocarny bracie, nasz bizonie, bez gniewu przyjmij
śmierci cios. Cięciwo łuku, bądź sprężysta! Grocie strzały,
celnie bij!

Ucichła modlitwa. Samotny sęp kołował w błękitnej przestrzeni. Parskały mustangi.

— Otoczymy stado od wschodu, południa i zachodu — powiedział w ciszy Czarny Jastrząb. — Na mój wystrzał rozpoczniemy polowanie. Bizony wtedy ruszą na północ. Wzniesienie utrudni im ucieczkę, a nam ułatwi pościg.

Hugh! — zamknął sprawę Wysoki Dąb.

Rozdzielili się na trzy grupy i zatoczywszy dalekie półkole, z wolna zbliżali się z trzech stron do stada. Zwierzęta jeszcze nie zwierzyły niebezpieczeństwa.

Potężny byk podniósł łeb i wciągał powietrze w szeroko rozwarte chrapy, potem porykując ruszył przed siebie, a za nim stado.

Czarny Jastrząb z okrzykiem ścisnął nogami boki mustanga, pognał galopem, podnosząc do ramienia strzelbę. Zahuczał strzał. Bizon ukląkł na przednie kolana, przez chwilę chwiał się jakby szarpany wichrem i wreszcie runął.

Wojownicy mknęli za stadem. Wybierali co lepsze sztuki i szyli w nie z łuków. Prerażone zwierzęta ruszyły na północ. Ciężko łomotały racice o prerię. Co pewien czas jakiś olbrzym walił się z rżeniem.

Gamesett zauważył, jak trzy bizony oderwały się od stada. Popędził za nimi. Dwie dorodne samice biegly za wielkim buhajem. Sauk wybrał jedną z nich i napiął cięciwę łuku do granic możliwości. Celował krótko. Upierzony pocisk trafił w lewy bok zwierza. Indianin błyskawicznie wysłał drugą strzałę. Tym razem wbiła się aż po łotkę, a bizon dalej biegł, choć widać było, że słabnie. Jeszcze jeden pocisk i samica

padła.

Gamesett, podniecony sukcesem, dopędził następną samicę i podniósł łuk. Gdy wypuszczał strzałę, mustang potknął się o nierówność terenu. To wystarczyło, żeby pocisk przemknął tuż nad grzbietem bizona i trafił w zad buhaja. Zraniony byk zachrapał wściekle i skierował się ku człowiekowi. Nabiegłe krwią i rozjuszone ślepią spoglądały groźnie spod brunatnych kudłów. Pochylony łeb mierzył ostrymi rogami w Gamesetta, który zatrzymawszy rumaka, uważnie celował w oko nadbiegającego zwierza. Brzęk cięciwy. Strzała rozorała bykowi skórę na głowie i spadła w trawy prerii. Sauk szybko wypuścił następny pocisk, który trafił w potężny kark, doprowadzając zwierzę do jeszcze większej wściekłości.

Gamesett spał mustanga usiłując umknąć bizonowi, ale nie zdążył. Rogi trzasnęły w brzuch konia. Sauk padł na murawę parę kroków od kwiczącego rozpaczliwie rumaka. Zgubił gdzieś kołczan. Trzymany w ręku łuk był bezużyteczny. Olbrzymi buhaj wypatrzył podnoszącego się człowieka. O ucieczce nie było mowy. Gamesett stał lekko pochylony do przodu, uważnie patrząc na ruchy byka. Ten, nastawiwszy do ciosu rogi, zaatakował. Indianin odbił się od ziemi jak puma, przeleciał nad groźnym łbem i wylądował na bizonim grzbiecie. Błyskawicznie odwrócił się twarzą do przodu, przywarł do wełnistej sierści zwierza i sięgnął do pasa po nóż. Nim buhaj zdał sobie sprawę z sytuacji, długie ostrze poczęło kłuć jego lewy bok. Przerażony bizon rzucił się do ucieczki. Gamesett, trzymając się jedną ręką za kudły, drugą zadawał ciosy. Gnali tak przez chwilę, aż wreszcie byk począł się ślaniać, z paszczy bluznęła mu krew. Indianin zeskoczył z jego cielska. Bizon zatrzymał się, nisko opuszczając łeb. Gasnące oczy z jakimś dziwnym żalem spjrzały na zwycięzcę. Zwalwszy się na ziemię, drgał całym ciałem, po czym znieruchomiał.

Gamesett obtarł dłonią spocone czoło. Nie słyszał tętentu nadbiegającego konia. Jak urzeczony patrzył na powalonego olbrzyma.

Jesteś godnym synem Czarnego Jastrzębia — usłyszał nagle znajomy głos. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył rozjaśnione dumą oblicze ojca.

Widziałem walkę, synu, była piękna — pochwalił sachem i odjechał.

Gamesett, uradowany uznaniem, podniósł twarz ku słońcu, ukląkł i począł mówić do martwego bizona: — Przyszedłeś tutaj z dalekiej krainy i oto leżysz u moich stóp spokojny i cichy. Twoje mięso nakarmi głodnych, twe futro uchroni przed chłodem, kości zmienią się w narzędzia, czaszka ozdobi wigwam... Nic się nie znamuje. Niech twój duch będzie Gamesettowi przyjazny, bo Saukowie kochają bizona, które stworzył w swej dobroci Manitou dla Ludzi Żółtej i Czerwonej Ziemi.

Dzięki ci, bracie, wielki i potężny bizonie, że pozwoliłeś, aby moje ciosy pozbawiły cię życia. Dzięki ci, że stawiając czoła, wypróbowałeś mą odwagę.

Oddaję ci cześć, więc wysłuchaj mnie, bracie, i powiedz innym bizonom, by przychodziły na łowiecki szlak Gamesetta...

Podobną mowę wygłosił nad upolowaną samicę i dopiero teraz rozejrzał się wokoło. Na stepie leżało siedemnaście zabitych bizonów. Wojownicy, wzajemnie sobie pomagając, zaczęli z nich ściągać skóry.

Gamesettowi pośpieszył z pomocą Wysoki Dąb, a później Neapope. Zdejmowanie skór ze zwierząt nastęrczało sporo kłopotu. Nie wolno było uszkodzić futra, a wielkość i waga bizona poważnie utrudniały pracę.

Po południu na miejsce łowów nadciągnęły kobiety z dziećmi. Rozbito obóz. Długie paski mięsa wieszały Indianki na rozciągniętych na tyczkach sznurach, aby wyschły w słońcu; starannie oczyszczano ścięgna i jelita, które wprawne ręce zamienią później w nici i doskonale powrozy; kości, jako materiał na ozdoby i narzędzia, wiązano w wiązki, przygotowując do zabrania... Inne kobiety piekły nad ogniskami szynki i ozory na wieczorną ucztę.

Mężczyźni po ściągnięciu bizonich skór, odpoczywając, opowiadali sobie wrażenia ze szczęśliwie zakończonego polowania. Najtłoczniej było przy ognisku Czarnego Jastrzębia. Tu Gamesett snuł opowieść i — jak aktor na scenie — mimiką twarzy, gestami i ruchami ilustrował atak byka, upadek śmiertelnie zranionego konia, skok na grzbiet i zmaganie się z olbrzymim bizonem...

Słuchaliby dalej tej myśliwskiej historii, gdyby nie zjawienie się wojownika, który na szczycie pobliskiego wzniesienia obserwował okolicę.

- Od wschodu zdążają biali ludzie — zameldował sachemowi. Oblicze Czarnego Jastrzębia nagle sposepniało.
- Ilu? — spytał.
- Dużo. Ciągną wozy.

— Mój brat z częścią wojowników czuwać będzie nad obozem —
zwrócił się Jastrząb do Kwaskwamii — a my ruszamy na spotkanie
bladych twarzy — wskazał na Neapope i młodszych rangą wodzów.

Słońce skryło się na zachodzie poza pasmo horyzontu i tylko obłoki barwiły się jeszcze złotem i purpurą, gdy wojownicy zatrzymali mustangi. Na pustej prerii karawana białych pionierów rozbijała nocny biwak. Musieli zauważyć czerwonoskórych, bo w obozowisku wszczął się nerwowy ruch, a po chwili naprzeciw Indianom wyjechało kilku jeźdźców.

Czarny Jastrząb w asyście wodzów wysunął się przed szereg wojowników. Zbliżyli się do siebie z bronią gotową do strzału, badawczo i nieufnie mierząc się wzrokiem.

Jeden z białych, ubrany w traperski strój, w bobrowej czapce, spod której wymykały się przyprószone siwizną długie włosy, zaczął:

— Radują się nasze serca widząc Czarnego Jastrzębia i znakomitych wodzów. Witajcie, czerwoni bracia — mówił z przesadną uprzejmością dialektem Sauków. Pochylił się nad karkiem konia, przewiesił sztucer przez ramię i ciągnął dalej: — W imieniu backwoodsmenów zapewniam naczelników o naszych pokojowych zamiarach, a w dowód przyjaźni, wieziemy dla was cenne podarki...

Kiedy nikt z Indian nie odpowiadał, z wymuszonym uśmiechem zawołał:

• Czyżby Czarny Jastrząb nie poznał starego przyjaciela? Jestem Izaak Gallanda. W roku 1816 pośredniczyłem w podpisywaniu układu między Unią a wami.

• Nie jesteście przyjaciółmi — odparł Czarny Jastrząb.

• Wypaliliśmy przecież święty kalumet".

• Wobec tego co na ziemi Sauków i Foxów robią backwoodsmeni? — W pytaniu sachema zabrzmiała groźba.

• Podróżujemy — obłudnie odrzekł Izaak.

• Skąd blade twarze jadą?

• Z Saint Louis. — Gallanda uśmiechał się cynicznie, oparty o łęk siodła.

— Dokąd?

Do osiedli białych nad Illinois River.

To też łowieckie tereny naszych plemion.

Traktatem z 1816 roku Czarny Jastrząb odstąpił te ziemie Unii...

Kłamstwo! — Wzburzenie odmalowało się na twarzy wodza.

Czerwony brat pewnie zapomniał, bo od tamtych wydarzeń minęły już cztery lata. — Izaak zachowywał się swobodnie, nie zważając na gniewne oblicze sachema. — Mam z sobą odpis traktatu, mogę pokazać.

• Czarny Jastrząb ma dobrą pamięć, nie będzie oglądał mówiącego papieru. — Wzrok naczelnika dyskretnie przesunął się po białych intruzach. Czuli się dość pewnie, choć liczebnie byli słabsi od czerwonoskórych.

• Niech i tak będzie — zgodził się z uśmiechem Izaak. — Zapraszamy do obozu po prezenty...

• Po skalpy! — krzyknął nagle Neapope gniewnie, chwytając za rękojeść tomahawka.

Wśród Indian nastąpiło poruszenie. Osadnicy skierowali lufy strzelb w piersi indiańskich naczelników. Spod wypłóviałych rond kapeluszy, gotowe na wszystko, patrzyły nieustraszone i zacięte oblicza backwoodsmenów. Gallanda, powoli ściągając z ramienia sztucer, mówił:

• Nie radzę. Jest nas dość dużo, aby odeprzeć każdy atak. A za tamtym lasem — wskazał ręką poza siebie — zatrzymał się szwadron kawalerii, gościnnie przyjęty w napotkanym obozie Keokuka. Byle strzał ściągnie ich tutaj. — Umilkł, a po przerwie, pełnej napięcia, dodał: — Zapalczywość i brak rozważli widzę na twarzy młodego wodza Sauków, więc puszczam w niepamięć pogróżkę.

• Wojownicy Sauków i Foxów są na łowach, a nie na ścieżce wojennej. Walki nie będzie — głośno powiedział Jastrząb i podniósł dłoń do góry uspokajając podwładnych.

Biali opuścili strzelby, a Izaak z pojednawczym gestem ręki powiedział:

• Ponownie zapraszamy do obozu po podarunki.

• Nie chcemy podarków. Zawróćcie do Saint Louis. Tak będzie lepiej — sucho odparł wódz.

• Keokukowi nie przeszkadza nasza podróż. Przyjął w darze piękny sztucer, jedwab i błyszczące koraliki dla squaw. Dlaczego Czarny Jastrząb odmawia? — głos Gallandy brzmiał kuszącą uprzejmością.

Czarny Jastrząb nie jest Keokukiem — stwierdził dumnie sachem. — Opuśćcie tereny Sauków i Foxów.

- Nie możemy zawrócić. Backwoodsmeni kupili parcele nad Illinois River...
 - Kupili parcele? — zaskoczenie odmalowało się na twarzy Czarnego Jastrzębia. — Któż im je sprzedał, Keokuk?
 - Spaulding, komisarz ziemski Unii w Saint Louis.
 - Nikt nie ma prawa sprzedawać ziemi Sauków i Foxów! — zawołał stanowczo wódz. — Idźcie stąd precz, inaczej krwawy topór wojny zacznie szaleć na pograniczu. Hugh! — Gwałtownie zawrócił mustanga, a za nim wodzowie i wojownicy.
- Pionierzy patrzyli z zakłopotaniem na oddalających się z dumą czerwonoskórych.
- Nieustępliwi, hardzi i butni — powiedział siwy jak gołąb osadnik.
 - Bo jeszcze są silni — odrzekł w zamyśleniu Gallanda. — Czarny Jastrząb wygrał niejedną bitwę.
 - Aż strach jechać nad Illinois River — odezwał się chudy mężczyzna, o chorowitej twarzy. — W Saint Louis zapewniano nas, że sprzedana ziemia jest niczyja, a tymczasem...
 - Komisarz Spaulding miał rację, bo po klęsce Wielkiej Brytanii Indianie wspierający Anglików stracili Illinois i większą część Wisconsinu — wyjaśnił Izaak.
 - Czarny Jastrząb zaprzeczył temu — zauważył chudy.
 - Wodzowie sami nie wiedzieli, co podpisują. Przecież nie umieją czytać. — Gallanda roześmiał się szyderczo. — Zresztą, wśród Sauków i Foxów rozłam. Keokuk od dawna idzie na wszelkie ustępstwa i współpracuje z Unią, a Czarnego Jastrzębia, jak zajdzie potrzeba, uspokoją nasze wojska. Wracamy, panowie...

Saukowie jechali w ponurym nastroju. Na obliczach naczelników malowały się troska i niepokój. Coraz częściej na plemienne terytoria ciągnęły szeregi krytych płótnem wozów. W żyznej dolinie rzeki Illinois wznoszono nowe chaty, pod siekierami kładły się drzewa puszczy; pługi i sochy spulchniały glebę, aby mogły Wyrastać łany zbóż... Dlaczego tak się dzieje?...

Czarny Jastrząb pamiętał doskonale, że w traktacie podpisanym przed czterema laty Unia gwarantowała nietykalność ziemi Sauków i Foxów, choć wówczas świątły Sekwoja¹⁸ podejrzewał białych o podstęp.

Zmierzch zgęstniał nad prerią, gdy ujrzeli obozowe ognie, a zapach pieczeni spotęgował u wojowników uczucie głodu. Po rozstawieniu gęstych, daleko wysuniętych w step straży, zasiedli do wieczerzy, w ciszy spożywając świetnie przez kobiety przyrządzone bizonie mięso.

Neapope obtarł błyszczące od tłuszczu wargi i zwrócił się do Czarnego Jastrzębia:

- Wielki sachem wybaczy porywcość Neapope'owi.
 - O czym mówi mój brat? — spytał wyrwany z zadumy Jastrząb.
 - O rzuconej bladym twarzom groźbie pójścia po skalpy.
 - Neapope jest moim zastępcą i nieustraszoną wojowniczką — odparł wódz. — Niedaleki jest czas, że znowu będziemy musieli wkroczyć na wojenną ścieżkę, wtedy odwaga będzie w cenie, ale nie porywcość.
 - Ugh. — Neapope pokornie pochylił głowę.
 - Nieprzyjacielowi nie wolno odkrywać swych zamiarów — pouczał Jastrząb. — Białych zwyciężyć można tylko chytrą i podstępem.
 - To prawda — włączył się Waupeshek. — Blade twarze są jak węże: mówią podwójnym językiem i nigdy nie wiadomo, kiedy zaatakują.
- Keokuk jednak ich rozumie — odezwał się Kwaskwamia.

Czarny Jastrząb skrzyżował ręce na piersi i patrząc w pokrytą siecią zmarszczek twarz przyjaciela, odparł:

- Keokuk dawno już porzucił swych braci i z Miczi-malsa zbrojnie występował przeciwko naszemu plemieniu. Nie bez przyczyny nazywa się Śledzącym Lisem, bo mieszkając wśród Sauków i Foxów, chytrze sprzedaje wiadomości Długim Nożom. Mój brat wie, kim jest Keokuk?
 - ...?
 - Zdrajcą — dokończył niemal szeptem sachem.
 - Dlaczego Rada Starszych nie skaże go na wygnanie?! — zawołał oburzony Nasheakusk.
 - Mój brat wie, że w Radzie Starszych jest rozłam. Niektórzy sprzyjają Keokukowi — wyjaśnił szaman. — Skoro nie ma jedności, jakże karać?
 - Wygnany z osiedli Sauków i Foxów, odszedłby z, częścią ludzi do białych, a to byłaby poważna

strata. Może Śledzący Lis zirozumie wreszcie swój błąd. — Czarny Jastrząb oparł dłonie na kolanach.

- Keokuk to wielki wojownik — zauważył Wysoki Dąb.
- W wielkiej wojnie Tecumseha o tereny łowieckie Indian walczyliśmy z Miczi-malsa pod

Tippecanoe. Tam Śledzący Lis wykazał się bohaterstwem — mówił sachem. — Potem przeszedł na stronę, białych.

Miczi-malsa obsypują go podarkami. Jest z nas najbogatszy — odezwał się milczący dotąd Puszysty Ptak. ||

• Biali, dając prezenty, zawsze w zamian czegoś żądają — zauważył Waupeshek. — A czegoż mogą chcieć od Śledzącego Lisa?...

- Ziemi Sauków i Foxów! — zawołał Neapope.
- Ugh. Mój brat wypowiedział prawdę. — Oblicze Czarnego Jastrzębia było smutne.

Chybotął niski płomień ogniska. Trzasło dopalające się polano. Nocne owady, zwabione światłem, z sykiem wpadały w ogień. Wysokie sklepienie iskrzyło się rojem gwiazd. Zza strzępów nikłych obłoków, jak zakrzywione ostrze noża, wyglądał księżyc.

— Neapope i Wysoki Dąb sprawdzą czujność straży — głos Czarnego Jastrzębia przerwał ciszę. — Czas na spoczynek. Jutro pośpieszymy w stronę Saukenuk.

Świtem ruszyli na' północ. Przodem myszkowali zwiadowcy. Na końcu podróżywały kobiety, czuwając nad pakunkami umieszczonymi na travois. Gdy tropiciele znaleźli zwierzynę, rozbijano obozowisko. Wojownicy szli na łowy. Suszono mięso. I znowu w drogę. Po trzech tygodniach takiej łowieckiej wędrówki dotarli do brodów nad Rock River. Przeszli na prawy brzeg rzeki i podążając z jej biegiem, ujrzeni Saukenuk — stolicę zjednoczonych plemion: Sauków i Foxów.

Kopulaste wigwamy, starannie wplecione z szerokich płatów kory lub skór bizonich, ciągnęły się szeregami, tworząc uliczki prowadzące na obszerny plac w środku osady. Tu, na czołowym miejscu, wznosiły się najokazalsze budowle, pomalowane symbolicznymi rysunkami, należące do naczelnego wodza i do szamana. Te naprzeciw, nieco mniejsze, choć też efektownie przyozdobione, były własnością starszyny.

W centrum Placu Rady stał wysoki totemowy słup z prymitywną rzeźbą na szczycie, wyobrażającą ducha budzącego pioruny.

Ledwie znaleźli się wśród wigwamów, a już kobiety i dzieci okrzykami radości witały łowców. Gromady psów, kręcąc ogonami i skomlać, łąsiły się u nóg wojowników.

Czarny Jastrząb i jego synowie oddali wierzchowce chłopcom, którzy odprowadzili je na pastwisko poza osadą, a sami zbliżyli się do chaty. U progu czekała rozpromieniona Asshaweą²³ — żona sachema.

- Witaj, Śpiewający Ptaku — pozdrowił ją Jastrząb i szybko spytał: — Jak miewa się Namequa?
- Witaj, matko — powiedzieli prawie jednocześnie Nasheakusk i Gamesett.

Witajcie. Serce moje już spokojne, bo widzę was w zdrowiu — odparła ogarniając ich długim i miłującym spojrzeniem, potem dorzuciła w stronę męża: — Namequa tęskniła za ojcem.

Czarny Jastrząb uśmiechnął się z ledwie dostrzegalną tkliwością.

Przywozimy sporo mięsa, nie będzie głodu — powiedział wchodząc z synami do wigwamu.

Z kąta chaty, spośród niedźwiedzich skór, wyskoczyła malutka, pięcioletnia dziewczynka, dopadła Jastrzębia i chwyciła nogawkę jego spodni. Z szeroko uśmiechniętej twarzyczki patrzyły nań duże, ciemne oczy. Czarny Jastrząb pochylił się, wziął ją na ręce, przytulił czule do piersi.

— Nameąua była grzeczna? — spytał.

Przytaknęła głową obejmując szyję ojca.

— To dobrze, dostaniesz dzisiaj najsmaczniejszą część bizoniego ozora — pocałował córeczkę i podał ją żonie.

W Saukenuk płynęły spokojne dni. Kobiety z córkami pracowały na zasianych kukurydzą polach, ciągnących się po obu stronach Rock River, szyły ubrania, mokasyny, kładły kolorowy haft na pasach wampumów²⁴ i czuwając, aby w kociołkach nad paleniskiem stale było jedzenie, wykonywały setki innych czynności.

Chłopcy pod nadzorem dorosłych, zorganizowani w klany „wilków”, „antylop” i „węży”, uczyli się mowy znaków²⁵, podchodów w zaroślach nad Missisipi, strzelania z łuku i ochoczo spełniali zleczone im obowiązki: opiekę nad pastwiskiem mustangów, trzymanie wart wokół osady, przenoszenie wiadomości do sąsiednich osiedli Sauków i Foxów lub zaprzyjaźnionych plemion...

Któregoś dnia, gdy Czarny Jastrząb zajęty był czyszczeniem sztucera, zjawił się goniec z wiadomością, że do Saukenuk, w towarzystwie Keokuka, z przyjacielską wizytą jadą biali żołnierze.

Wódz odłożył strzelbę.

- Szybki Wiatr nie wie, czego chcą Miczi-malsa? — spytał.
- Nie.
- Kto dowodzi białymi?
- Nazywają go Tom Turyn. Ilu prowadzi wojowników?
- Około stu.

— Niech Szybki Wiatr powie białemu dowódcy, że Czarny Jastrząb przyjaźnie powita go w stolicy Sauków.

Sachem zarządził wzmogłą czujność i zbrojną gotowość wszystkich mężczyzn. Sam przywdział odświętny strój, wezwał do swego wigwamu najbardziej zaufanych członków Rady Starszych i odbył z nimi tajną naradę.

Ujadanie psów, łomot końskich kopyt i ludzkie głosy oznajmiły przybycie gości. Nikt jednak z wodzów nie wyszedł ich witać.

Większość kawalerii zatrzymała się na otwartej przestrzeni, a do osady wjechał kapitan Turyn, wachmistrz Harry Kolmen, dwudziestu żołnierzy, Izaak Gallanda i Keokuk z wojownikami. Na placu zeskoczyli z siodeł.

- Jakoś niechętnie nas tu widzą — z niezadowoleniem stwierdził kapitan.
- Czarny Jastrząb nie znosi białych — złośliwie dorzucił wachmistrz.
- Co na to Śledzący Lis? — spytał z przekąsem Gallanda.
- Tu wodzem jest Czarny Jastrząb — odparł chłodno Fox. — Biali bracia nie mogą mieć pretensji do Keokuka.

W tym momencie podszedł do przybyłych wojownik i uprzejmie powiedział:

- Wielki sachem, Czarny Jastrząb, zaprasza do swego wigwamu.
- O, nareszcie! — zawołał Turyn. — Dlaczegoż sam, jak każe obyczaj, nie wyszedł powitać gości?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, kapitan, wachmistrz, tłumacz i Keokuk ruszyli za wojownikiem. Przed chatą Indianin podniósł zasłonę w drzwiach i milczącym gestem zaprosił do wejścia.

Przez chwilę stali w progu wigwamu niewiele widząc. Kiedy oczy dostosowały się do panującego tu półmroku, ujrzeli w głębi obszernej chaty siedzących Indian. Długo panowało milczenie, nim usłyszeły pewny siebie głos:

—i Czarny Jastrząb wita białych braci i walecznego Keokuka.

- Witajcie, wodzowie Sauków i Foxów — odpowiedział pozdrowieniem kapitan.
- Serce Śledzącego Lisa raduje się na widok mych braci — Keokuk pochylił głowę i położył prawą dłoń na sercu.

• Usiądźcie — gościnnie zaprosił Czarny Jastrząb. — Jeśli jesteście głodni, sięgnijcie do kociołków po mięso bizonie, a potem posłuchamy, z czym przychodzicie.

Usiedli na puszystych skórkach naprzeciwko starszyny. Keokuk chciał sięść po indiańskiej stronie, ale tam nie znalazł dla siebie miejsca, więc z konieczności spoczął na jedynej wilczej skórze, leżącej nieco z boku białych.

Nie gniewajcie się za uchybienie zasadom gościnności, ale za jedzenie dziękujemy — zaczął kapitan, a Gallanda tłumaczył. — Nazywam się Tom Turyn, to jest wachmistrz Harry Kolmen. Naszego tłumacza i przewodnika Izaaka znacie. — Przerwał, popatrzył po wodzach i dokończył:

Czarnego Jastrzębia już poznałem, a kim są pozostali?

Naczelnicy milczeli.

Czyżby dotknęła was odmowa poczęstunku? — zawołał uderzając dłońmi o kolana. — Nie ma powodu. Nas też nikt nie powitał w osadzie, a nie czujemy się obrażeni.

• Miczi-malsa przybyli tu z Keokukiem — odparł z powagą sachem. — On jest jednym z wodzów Sauków i Foxów, to wystarczy. — Jastrząb zwrócił się teraz do Siedzącego Lisa: — Mój brat powie bładym twarzom, kim jesteśmy.

• Ugh — zgodził się Keokuk i wskazując ręką na poszczególne osoby, przedstawiał: — To jest Waupeshek, znakomity szaman; ten to Kwaskwa-mia, słynący z mądrości, po prawej stronie Czarnego Jastrzębia siedzi nieustraszony Neapope, a dalej synowie wodza Nasheakusk i Gamesett oraz rozważny Wysoki Dąb.

Z chaty wyszła kobieta z dzieckiem. Keokuk dorzucił:

— O, właśnie opuszczają wigwam squaw i córka Czarnego Jastrzębia.

Turyn skinął głową w formie podziękowania i zrozumienia. Ponieważ nikt z Sauków nie zabierał głosu, kapitan zaczął:

• Przybyliśmy tu do was z rozkazu pułkownika przestrzec Sauków i Foxów nieprzychylnych Unii, że jeśli będziecie niepokoić osadników, to...

• To co? — pytanie w ustach sachema zabrzmiało jak syk węża.

• To wybuchnie wojna — dokończył kapitan.

Wojownicy Czarnego Jastrzębia nie przekraczają granicy plemiennych terytoriów — powiedział wódz z chłodnym spokojem. — Jakże więc mogą niepokoić backwoodsmanów?

- Neapope groził napadem na karawanę, którą prowadziłem nad Minois River — przypomniał Gallanda.

W pobliżu źródeł Rock River wasi wojownicy spalili dom pioniera, zmuszając go do schronienia się w Chicago²⁶ — zawołał Turyn ze złym blaskiem w oczach.

• Cóż jeszcze? — spytał sachem.

• To mało? — Kapitan był oburzony.

Czarny Jastrząb skrzyżował ręce na piersiach i z odrobiną żalu począł mówić:

• Białym ludziom nic się nie stało, natomiast krzywda dzieje się Saukom i Foxom. Coraz więcej backwoodsmanów osiedla się w dolinie Illinois River. Z Krainy Skunksów, gdzie powstał fort i faktoria białych twarzy, jadą pionierzy na ziemie Sauków, Foxów, Winnepagów i Czipewejów. To biali najeżdżają łowieckie tereny czerwonych plemion, dopuszczają się gwałtów, grabieży i morderstw — umilkł na chwilę, położył dłonie na kolanach i cicho dokończył: — Lud Czarnego Jastrzębia pragnie żyć z białymi braćmi w pokoju. Hugh.

• To dobrze — podchwycił Turyn. — Chodzi nam o pokojowe współzycie. Nie przeszkadzajcie w osiedlaniu się pionierów i będzie zgoda.

• Mamy oddać backwoodsmanom ziemię? — zawołał z oburzeniem Neapope.

Turyn, z grymasem niezadowolenia, odpowiedział:

• Przecież obszar Illinois i Wisconsin jest własnością Unii. Straciliście te tereny po przegranej wojnie.

• Saukowie nie przegrali wojny — sprostował Waupeshek.

• Byliście sprzymierzeńcami Anglików, więc wraz z nimi ponieśliście klęskę — oschle odrzekł kapitan.

• Nie oddam kraju, gdzie leżą prochy ojców — odparł stanowczo sachem. — Niech biały brat powie swym naczelnikom, że Saukowie chcą pokoju, ale jeśli blade twarze będą bezprawnie naruszać granice naszych ziem, wykopie my topór wojny.

• Nie należy tego czynić — odezwał się pojednawczo Keokuk. — Miczi-malsa są potężni, nie zwyciężymy ich, szkoda krwi.

Czarny Jastrząb gwałtownie pochylił się w stronę Focha i rzucił z szyderstwem:

— Keokuk jest jak wilk krążący między obozowiskiem białych i czerwonych...

Śledzący Lis zrozumiał złośliwą aluzję, spochmurniał, dłoni położył na rękojeści noża, chciał coś odpowiedzieć, ale wachmistrz z cynicznym śmiechem zawołał:

• Takie wilki są syte. A jeśli mają jeszcze odrobinę lisiej chytrkości, stają się przewodnikami stada.

• Pięknie to powiedzieliście, Kolmen — parsknął ubawiony Turyn.

Przewodnik wilczego stada nie oszczędza swych współbraci, gdy nie starczą mu odpadki obozowisk — zahuczał głośno szaman. — Blade twarze o takim myślu przewodniku, prawda?

Zrobiło się cicho. Atmosfera dziwnego napięcia zawisła w wigwamie. Keokuk zaciął swe wąskie wargi, źrenice gorzały mu ognikami urażonej dumy.

Węc czym kończymy naszą rozmowę? — w głosie kapitana brzmiało zniecierpliwienie.

— Niech biali bracia uszanują pokojowy traktat i nie zasiedlają ziemi Sauków i Foxów — wolno odrzekł sachem — a będzie między nami przyjaźń.

- To niemożliwe, wodzu - odparł zimno Turyn. — Pionierzy będą się osiedlać. Nie przeszkadzajcie im.
 - Na razie możecie na tych ziemiach mieszkać — wtrącił swoje zdanie Gallanda.
 - Jak to mamy rozumieć? — zachnął się sachem.
 - Później przejdziecie poza Missisipi, która będzie stanowić wieczną granicę między białą i czerwoną rasą — dokończył kapitan i zwrócił się do Foga: — Keokuk przygotowuje kalumet, wypalimy i w drogę.
 - Nie będziemy palić kalumetu! — zawołał oschle Jastrząb.
 - Więc wojna? — krzyknął Turyn wstając.
 - Rada Starszych wypaliła wcześniej z Miczi-malsa fajkę pokoju, przyjaźni i braterstwa — odparł dyplomatycznie sachem. — Jeśli biali nie skrzywdzą nikogo z Sauków i Foków, nie będzie wojny. Czarny Jastrząb zawsze dotrzymuje słowa.
 - Odjeżdżamy! — rozkazał kapitan.
- Jako ostatni podniósł się Keokuk, kopnął wilczą skórę, na której siedział, i tłumiąc rozpierający go gniew, wycedził przez zęby:
- Siedzący Lis nie zapomni zniewagi. Hugh.

ZHAŃBIONY

Wysokopienny las podchodził na sam brzeg Green Lake¹. Dęby, klony, kory i buki stały w zadumie. Czasami ptak zatrzepotał skrzydłami i ruda Worka przemknęła wśród listowia. Melodyjne pogwizdywania i ćwiry niosły poszum potężnych drzew.

Na konarze pochylonym nad srebrnym lustrem zmarszczonego drobnymi łuskami fal jeziora siedziała dziewczyna i chłopak z plemienia Winnepagów.

• Zrobiłam ci śliczne mokasyny² — huśtając swobodnie nogami dotknęła palcem ramienia chłopca. — Wiesz czym są ozdobione?

- Czym?
- Dokoła podeszew wszyłam długie szpilki jeżozwierza, aby zacierały ślady twych stóp na wojennej ścieżce. Z przodu muszelkami wyhaftowałam znak naszego szczepu i jeszcze coś, a boki u góry obszyłam delikatnym futerkiem kretów.
- Muszą być ładne. Przyniosłaś?
- Nie — odrzekła rzucając mu filuterne spojrzenie czarnych źrenic.
- Żółty Liść jest smutny — powiedział opuszczając głowę.
- A gdybym przyniosła?
- Promyk Księżycy otrzymałaby od Żółtego Liścia także coś pięknego.
- A co?

Uśmiechnął się do dziewczyny obejmując jej wiotką kibić.

- A dostanę mokasyny? — spytał.
- Ugh.
- Niech Promyk Księżycy wyjmie sobie prezent z kieszeni, tej na sercu. — Wskazała ręką.

Wahała się przez chwilę, potem ostrożnie włożyła palce, wyczuła dotykiem przedmiot i z rozjaśnioną twarzą wyciągnęła sznur małych, wielobarwnych paciorków.

- Cudowne! — Słońce migotało w koralach. — Skąd je masz?
- Żółty Liść kupił je w osadzie białych.
- Gdzie?
- W Chicago.
- Uff! Musiały drogo kosztować.
- Trochę.
- Ile? — Chciała zaspokoić kobiecą ciekawość.
- Dziesięć skórek bobrowych.

Chwyciła jego szyję i niespodziewanie przylgnęła policzkiem do jego policzka.

- Poślubisz Żółtego Liścia? — spytał nieśmiało.
- Ugh — oderwała na moment spojrzenie od koralu.

- Mogę pójść do twego ojca z prośbą o twą rękę?
- Idź!

Założyła sznur na szyję.

— Ładnie? — spytała.

Ślicznie — pochwalił. — A gdzie mokasyny?

Zapatrzona w połyskujące na piersi paciorki wyciągnęła ze skrytki w spódnicy miękkie obuwie i podała chłopcu.

To mokasyny ze znakiem twego imienia — zawołał zachwycony. — Nie widziałem ładniejszych.

Siedzieli patrząc na upominki. On snuł już plany wizyty u ojca Promyka Księżycy; ona wybiegała marzeniem do dnia, gdy najbliżsi ustawią jej i Żółtemu Liściowi małżeński wigwam w rodzinnej wiosce.

Wiesz, poprosimy na nasz ślub Czarnego Jastrzębia — zawołała uradowana.

- Wielkiego sachema Sauków i Foxów?
- Tak.
- Zechce przyjechać? — powątpiewanie zabrzmiało w głosie Żółtego Liścia.
- Jest przecież spokrewniony z mym ojcem, Białym Obłokiem³ — odparła.
- Ugh, zapomniałem — wytłumaczył się, potem dodał: — Byłby to wielki zaszczyt.

Znowu rozważali coś w myślach.

— Wracamy! — zawołała dziewczyna.

— Czemu tak szybko chcesz się ze mną rozstać?

- Odeszliśmy daleko od wioski — szepnęła. — Rodzice będą się niepokoić.
- Zostań jeszcze... — nie dokończył nakazując gestem ciszę.

Z kniei dobiegały szelesty stapań i dźwięki ludzkiej mowy. Któż mógł tak głośno zachowywać się w puszczy? Łatwo było odgadnąć: biali. Chłopak uważnie zlustrował wzrokiem zarośla. Zdawały się puste.

— Uciekajmy — szepnął.

Ostrożnie, aby nie wywoływać niepotrzebnego szelestu, schodzili z pnia. Żółty Liść zeskoczył na murawę i podał rękę dziewczynie. Ruszyli w stronę gęstego poszycia. Tam wśród zarośli łatwo można było się ukryć. Tuż przed krzakami ukazało się nagle kilku białych żołnierzy.

Żółty Liść odruchowo sięgnął do kołczanu po łuk.

Spokojnie, czerwona skóro! — odezwał się dialektem Winnepagów czarnobrody człowiek. — Od broni z daleka.

Żółty Liść zrozumiał, że ucieczka i walka są beznadziejne. Trzech żołnierzy mierzyło w nich z karabinów, a czwarty w ubiorze trapera, ten z bujnym zarostem okalającym twarz, postąpił naprzód i spytał:

— Co tu robicie? Dokąd idziecie?

Czerwonoskórzy milczeli. Promyk Księżycy drżała z lęku. Żółty Liść ukradkiem patrzył wokoło, zastanawiając się nad sytuacją.

- Czego nie odpowiadacie?
- Wracamy do wioski Winnepagów — odrzekł chłopak siląc się na spokój.
- Nas szpiegujecie? — pytanie zabrzmiało groźbą.
- Squaw nie chodzą na wojenne ścieżki, a Żółty Liść leż nie ma na twarzy wojennych barw.
- Z wami nigdy nic nie wiadomo! huknął traper i zaczął coś tłumaczyć po angielsku żołnierzom.
- Yes — odpowiedział porucznik. — Dziewczyna niczego.
- To co zrobimy? — traper pytająco spoglądał na oficera.
- Wiadomo co — odparł porucznik wychodząc przed żołnierzy. — Hej, Bill, zabierz broń Indianinowi.

Indianinowi.

Żołnierz podszedł do Żółtego Liścia, a traper rozkazał:

- Oddaj broń, czerwona skóro!
- Jest pokój między nami — próbował wyjaśnić Żółty Liść. — Pozwólcie nam odejść.
- Szpiegujesz, a mówisz o pokoju?! — krzyknął oficer.
- Jeśli skrzywdzicie Promyk Księżycy, Biały Obłok wam tego nie daruje — zagroził miody wojownik.
- Phi, kimże jest ten Biały Obłok? — W pytaniu porucznika zabrzmiała kpina.
- To szaman Winnepagów.
- Ach, szaman! Niech więc sprawi cud, aby ta dziewczyna uszła z naszych rąk — zadrwił traper wybuchając hałaśliwym śmiechem.

- Przytrzymajcie i zwińcie dziewczynę, aby nie uciekła — polecił porucznik.

Żółty Liść, choć nie wszystko zrozumiał z mowy białych, zorientował się, do czego zmierzają. Zasłonił dziewczynę i sięgnął po tomahawk. Żołnierz chwycił go za podniesione ramię. Poczęli się mocować. Wtedy traper zawołał:

— Puść, Bill, ja czerwonego załatwię!

Żołnierz odskoczył od Indianina. Huknął strzał. Żółty Liść zatoczył się i padł. Promyk Księżycy krzyknęła rozpaczliwie. Strach sparaliżował jej mięśnie. Nim zdołała otrząsnąć się z pierwszego przerażenia, była związana.

W drogę! — rozkazał porucznik. — Nic tu po nas. Za blisko wioska czerwonych diabłów.

Brzęciem na zachód — traper wskazał kierunek marszu. — Ja ukryję zwłoki.

Żołnierze poprowadzili Promyk Księżycy, a czarnobrody, pochylivszy się nad Żółtym Liściem, chwycił jego czuprynę. Mignęło ostrze noża. Skalp pozostał w ręku białego.

Wojownik pochylivł się nad tropem. Badał zgniecione runo leśne. Liczył odciski końskich kopyt i ludzkich stóp.

- Miczi-malsa, dużo Miczi-malsa — powiedział do dwóch towarzyszy.
- Dawno przechodzili tędy? — spytał jeden z czekających na wynik obserwacji śladów.
- Pół dnia temu — odparł.
- Tropimy? — spytał trzeci.
- Ugh, musimy zobaczyć, po co i dokąd śpieszą.
- Ostry Pazur ma rację — przyznali.
- Mój brat, Długa Włócznia, zawróci do wioski trzeba zawiadomić Czerwonego Ptaka" o wojsku

bladych twarzy, a ja z Małym Wilkiem podążę tropem.

Rozeszli się.

Ślady prowadziły przez puszcę. Były łatwo czytelne, dlatego dwaj wojownicy bez trudu podążali nimi aż do zapadnięcia ciemności. W wykrocie po zwałonym przez burzę drzewie spędzili noc i ledwie zaświtało, poszli dalej. Trop wiódł na północny zachód. Około południa usłyszeli daleki grzmot wystrzału.

— Strzelba — odezwał się Mały Wilk.

Ugh — przytaknął Ostry Pazur nasłuchując. Strzały się nie powtórzyły. Ze zdwojoną czujnością posuwali się naprzód. - Niedaleko Zielone Jezioro — zauważył Wilk. — Mogli zatrzymać się na dłuższy biwak. Ostry Pazur, po zastanowieniu się, postanowił:

Mój brat zrobi krąg i zbliży się do jeziora od prawej strony, ja pójdę tropem. Tak będzie bezpieczniej. Mały Wilk bez słowa skreślił w zarośla.

Ślady, wijąc się wokół płataniny krzaków, weszły w iglasty bór, wolny od poszycia. Pazur przywarł do sosny. Przed nim teren schodził do jeziora. Pomiedzy pniami drzew gdzieniegdzie rosły kępy krzaków i traw. Panowała cisza.

Nad jeziorem, zaintrygowany, ukląkł. Nie mylił się. W miękkiej od wilgoci glebie odcisnięty był ślad mokasy.

„Indiański przewodnik Długich Noży, tropiciel, czy może ktoś przypadkowo natknął się na białych? — zastanawiał się w myślach. — Trzeba to sprawdzić.

Począł krążyć wśród drzew. Nagle dojrzał człowieka. † Podbiegł. W kałuży krwi leżał młody wojownik.

— Uff! Żółty Liść! — szepnął z przerażeniem i rozpaczą.

Chwycił w przegubie rękę szukając pulsu, ale nie potrafił niczego wyczuć. Przywarł uchem do lewej piersi i wtedy usłyszał słabutki rytm gasnącego serca. Nie było czasu do stracenia. Nożem rozciął bluzę. Prawy bark pokrywała skorupa skrzepłej krwi. Ściągnął z siebie opończę i ciął ją na długie pasy. Ledwie się z tym uporał, usłyszał ciche stąpanie Małego Wilka, który podszedłszy, pochylivł się nad ciężko rannym.

- Postrzał i skalp — powiedział ze zgrozą.
- Wody! — rzucił mu polecenie Ostry Pazur.

Mały Wilk opróżnił ze strzał kołczan i pobiegł nad jezioro. Delikatnie obmyli ranę i obłożywszy ją liśćmi, obwiązali paskami pociętej opończy. Następnie zajęli się głową. Po zmyciu skrzepów krwi, ujrzeli nagą kość u szczytu czaszki. Bandażując okaleczenie, Mały Wilk szepnął:

- Żółty Liść wolałby umrzeć, niż żyć bez skalpu.
- Jeżeli zdejmie skalp swemu wrogowi, zmyje hańbę — zauważył Pazur.
- Ugh, ale do tego czasu nie będzie mógł przebywać wśród Winnepagów.
- Nie wiadomo jeszcze, czy wyzdrowieje — odparł Ostry Pazur, usiłując wlać nieco wody pomiędzy zaciśnięte wargi Żółtego Liścia.

Wycięli dwa drążki i przy pomocy prętów wyplekli nosze. Nie mogli dalej tropić białych. Ciężko rannego musieli jak najszybciej zanieść do wioski, pod opiekę znachora.

Szli znanymi sobie przejściami, dlatego w ciągu doby dotarli do osiedla Winnepagów. Złożyli Żółtego Liścia w chacie szamana i opowiedzieli mu o wydarzeniu. Biały Obłok wysłał ich do naczelnego wodza, a sam zajął się rannym.

Czerwony Ptak, wódz wszystkich Winnepagów, po wysłuchaniu relacji kazał Małemu Wilkowi, aby z gromadą tropicieli ruszył za białymi obierzami. Sam jeszcze wypytywał Ostrego Pazura o różne szczegóły, gdy przyszedł Biały Obłok. Był przygnębiony.

Od dwóch dni nie ma Promyka Księżycy — powiedział opuszczając. W torbie Żółtego Liścia znalazłem mokasyny ze znakiem córki — dodał zakłopotany.

— Interesowała się Żółtym Liściem — zauważył Czerwony Ptak — więc uszyła mu mokasyny. Ugh, ale gdzie się podziewa? Nigdy nie oddalała się bez wiedzy matki.

Może była z Żółtym Liściem nad Zielonym Jeziorem? — słowa Ostrego Pazura zabrzmiały jak zapowiedź nieszczęścia.

Czy mój brat nieczego nie zauważył? — z oczu szamana wyzierała troska o los córki.

- Nie — pokręcił głową Pazur.
- A co z Żółtym Liściem? Odzyskał przytomność? Może on mógłby coś wyjaśnić — powiedział wódz.
- Żółty Liść bardzo się wykrwawił — odrzekł Biały Obłok. — Leży nieprzytomny. Nie wiadomo, czy będzie żył.

Gluchy turkot grzmotu przewalił się w oddali. Mężczyźni umilkli. Szaman wyrzął z chaty i obserwował niebo.

— Idzie burza — powiedział stojąc w drzwiach. — Jeśli spadnie deszcz, zniszczy tropy Miczi-malsa.

Na ułamek sekundy załśniło światło błyskawicy i pomruk piorunu znów zadudnił po nieboskłonie. Wiatr od zachodu pędził tabuny ołowianych chmur i gwałcił korony drzew okalających wioskę. Pierwsze krople deszczu zastukały w skórzaną kopułę wigwamu.

Żółty Liść zobaczył nad sobą sklepienie chaty, ścianę pokrytą przedziwnymi rysunkami i zwoje naszyjników zwisających z grubej żerdzi podtrzymującej strop. Gdy głębiej wciągnął do płuc powietrze, przeszył go niesamowity ból, a przed oczami zamigotały sine pląty. Ujrzał jeszcze P chyloną nad sobą czyjąś

niewyraźną twarz i stracił przytomność, cucił go chłód na rozpalonym czole. Rozchylił popękane wargi i wtedy żem poznał krawędź kubka. Z trudem przełykając orzeźwiający płyn Podniósł ociężałe powieki. Obok, z naczyniem w ręku, siedziała dziewczyna.

- Ktoś ty?... — szepnął obrzmiałymi od gorączki, ustami.
- Wypij jeszcze trochę — poprosiła z radosnym uśmiechem.

Czuł, jak przełykiem wlewa się przyjemny strumień i łagodzi ból promieniujący gdzieś od prawego barku.

- Gdzie jestem? — spytał z wysiłkiem.
- U szamana — usłyszał jakby z oddali. — Zawołam go, to wszystko ci wyjaśni.

Zerwała się i jak sarna wybiegła z chaty.

Chciał usiąść, ale siły odmówiły posłuszeństwa. W głowie huczał mu wodospad Niagary i rytmicznie uderzał dokuczliwy młoteczek rozsadzający czaszkę.

Nadszedł Biały Obłok i usiadł obok chorego.

- Możesz mówić? — spytał.
- Ugh — wyszło z popękanych warg.

• Długo, synu, leżałeś nieprzytomny — zaczął powoli szaman. — Twój Duch Opiekuńczy sprawił, że ocknąłeś się. Będziesz żył. — Zmienił kompres na czole chorego i ciągnął dalej: — Znalazł cię Ostry Pazur i Mały Wilk nad Zielonym Jeziorem. To oni cię tu przynieśli...

Chory chciał coś powiedzieć, ale szaman położył mu palec na ustach.

• Nic nie mów, słuchaj, synu. O wszystkim się dowiesz — zrobił pauzę i łagodnie spytał: — Poznajesz mnie?

• Biały Obłok — rozległ się niewyraźny szept.

• Ugh. Radość to wielka, że wróciła ci przytomność — oblicze szamana rozjaśniło się. — Zostałeś ciężko zraniony przez blade twarze. Masz strzaskany kulą obojczyk i... — głos mówiącego załamał się — i okaleczoną głowę. Ale teraz już szybko wrócisz do siebie — uśmiechnął się serdecznie i spytał: — Nad jeziorem byłeś z Promykiem Księżycyca?

• Ugh — źrenice rannego z niepokojem patrzyły na szamana.

• Co stało się z córką Białego Obłoka?

W oczach rannego zamigotał lęk, opuścił powieki, rozpacz ścisnęła mu gardło, a na piersi zważyło się coś, niby ciężki głaz.

• Przypomnij sobie, synu — słowa szamana nasyczone były cichą łagodnością.

• Żółty Liść...

• Psss... — dłoń Białego Obłoka spoczęła na wargach chorego. — Nie wymawiaj, synu, swego imienia.

Szeroko otwarte oczy szukały na twarzy szamana przyczyny tego zakazu. Nie mogąc niczego odgadnąć, szepnęły:

— Dlaczego?

później ci, synu, wyjaśnię. Teraz przypomnij sobie, co przytrafiło się Promykowi Księżycyca?

Miczi-malsa...

Zabili ją? — głos szamana drżał.

Nie wiem.

— Nie było jej nad jeziorem. Może uprowadzili dziewczynę siłą?

Ugh — zatrzepotał powiekami.

Rozpacz ścisnęła serce Białego Obłoka. Mocując się z własnym bólem, spytał:

• Znasz imiona białych twarzy?

• Nie.

• A potrafisz ich opisać?

• Ugh.

• Teraz Biały Obłok rozumie, dlaczego Gicze Manitou⁵ nie pozwolił ci umrzeć — powiedział. — Musisz wyzdrowieć, aby pomścić Promyk Księżycyca, a może wyrwać ją z niewoli białych i krwią zmyć własną hańbę. Zabrali ci skalp, dlatego nie możesz używać swego imienia. Rozumiesz?

Kąciki warg młodego wojownika zadrgały rozpaczą, na rzęsach zaślniły łzy.

— Pohamuj, synu, słabość — ze smutkiem mówił szaman. — Serce Białego Obłoka jest pełne cierpienia, a jednak oblicze spokojne. Przywołaj Ducha Opiekuńczego, niech pomoże ci szybko wyzdrowieć. Będę też o to prosił Nabash-cisa.

Żółty Liść zacisnął szczęki. Wbił wzrok w sufit wigwamu.

— Powiedz mi teraz, jak wyglądały blade twarze? — głos Białego Obłoka wyrwał go z odrętwienia.

- Łowca miał zarośniętą czarnym włosiem twarz, a Miczi-malsa — małe wąsy — z wysiłkiem odpowiedział chory.

Wypij to, synu — szaman przytknął kubek do warg leżącego. — Potem przewinę twe rany. Mdły zapach i cierpki smak płynu odurzyły Żółtego Liścia.

- Nic więcej nie mów i o niczym nie myśl — mówił cicho szaman, poprawiając posłanie rannego, który właśnie zapadał w krzepiący sen.

ty Liść wracał powoli do zdrowia. Zaczął siadać, później, opierając o mocne ramię czuwającej przy nim dziewczyny, próbował wstawać.

Biały Obłok uznał, że chory nie wymaga obecnie ustawicznej opieki lekarskiej, więc przeniesiono go do wigwamu jego samotnej matki. Ojciec zginął podczas szturm na fort Meigs, gdy Żółty Liść miał zaledwie osiem lat.

Matka otoczyła syna serdeczną troską. Często przyrządzała mu succotash, za którym od dziecka przepadał. Obok posłania zawsze stał dzban klonowego soku, a w koszyczku, pięknie wyplecionym z lodyg dzikiego ryżu, leżały placki wypieczone wysmienicie z kukurydzianej mąki.

Od czasu do czasu zaglądał doń szaman, kontrolował zasklepiające się rany, przemywał je, bandażował i zostawiał suszone zioła, które matka zaparzała według szamańskich wskazówek.

Płynęły dni, tygodnie, miesiące... Nie licząc obowiązkowych wizyt Białego Obłoka i dziewcząt, które przychodziły opiekować się chorym, nikt nie zaglądał do chaty. Należną część upolowanej przez myśliwych zwierzyny, składano przed wejściem do wigwamu. Żółty Liść nie czuł do nikogo urazy. Zgodnie z wierzeniami i tradycją, został zhańbiony pozwalając zdjąć sobie skalp. Wiedział, że wszyscy dobrze mu życzą, że pewnie szukają sprawców nieszczęścia, ale nie mogą z nim obcować, bo naraziliby się nadprzyrodzonym mocom.

Rzeczywiście tak było. Rozesłani wojownicy usiłowali wpaść na ślad porwanej dziewczyny. Poszukiwania na razie nie przynosiły żadnych rezultatów.

Żółty Liść pograżył się w smutku. Wyobrażenia podsuwała mu niesamowite obrazy. Niby w oparach mgieł majaczyła przerażona twarzyczka dziewczyny, wzywającej pomocy. Wokoło poruszali się brodaci ludzie o złych, pełnych nienawiści oczach.

Nie potrafił zahamować łez. Płynęły słonymi strugami po policzkach. Jakże mogło być inaczej? Nie potrafił zapobiec nieszczęściu, stracił ukochaną i skalp. Żyje z piętnem hańby, ledwie tolerowany przez współplemieńców.

Zaczął wychodzić przed wigwam i grzał się w południowym słońcu zasłuchany w radosny gwar bawiących się dzieci. Któregoś dnia zastał go tak leżącego przed chatą Biały Obłok.

— Witaj, synu — powiedział. — Widzę, że niedługo wyruszysz na samotny szlak.

Żółty Liść milczał.

— Smutek cię zżera, mnie też, jestem przecież ojcem Promyka Księżycy — mówił szaman. — Chodź, obejrzą rany — wskazał na drzwi.

Obadał głowę, bark i ciało młodzieńca, potem coś w myślach rozważał - Twe mięśnie, synu, zwiotczały. Duch choroby wyssał z ciebie siły - tłumaczył Liściowi. — Jesteś słaby jak dziecko. Musisz teraz dziennie ćwiczyć: bierz tomahawk do ręki, rąb drzewo, ciskaj nim, napinaj cięciwę łuku, podnoś ciężary; przeskakuj przez najszerze miejsca strumienia... Rozumiesz mnie?

— Tak, ojcze.

Gdy mięśnie twe stwardnieją, a ciało nabierze sprężystości, powiem ci, że przyszedł czas.

— Kiedy to będzie?

Cierpliwości, synu. Wojownicy stale dostarczają twjej matce świeże mięso. Musisz dużo jeść, w jedzeniu tkwi siła.

Skinął głową na znak zrozumienia i cicho szepnął:

- Ojcze...
- Słucham.
- Są jakieś wiadomości?
- Pytasz o Promyk Księżycy? Nie, nie ma. Tropiciele niczego nie odkryli. Ciągłe szukają.

Żółty Liść wymykał się ze wsi i ćwiczył w głębi lasu. Rzeczywiście, choroba pozbawiła go sił. Rzuty tomahawka były słabe i niecelne. Najdrobniejszy wysiłek zlewał go potem. Nie zniechęcał się, lecz uparcie pracował. Ściął wysoką sosnę i porąbał na krótkie polana, zniósł to wszystko do wigwamu, ułożył w kącie z myślą o opale dla matki na zimę; biegał, skakał i mocował się z niewidzialnym wrogiem, którego pozorowały mu pnie drzew. Zauważył w końcu, że mięśnie ma twardsze, a rękę pewniejszą, gdy ciska tomahawkiem.

W tajemnicy przed matką wyciągnął worek z odzieżą, wybrał kilka futrzanych czapek i przymierzył je. Najlepiej przylegało mu do głowy okrycie uszyte z wilczej skóry. Uśmiechnął się z goryczą. - Będę jak samotny wilk na prerii — szepnął do siebie. Wygotował ubranie i podróżną torbę, kołczan pełen strzał, wyspał do żeni garść metalowych ostrzy, które pozwolą, gdy zajdzie potrzeba, nowe strzały do łuku. W woreczek ze zwierzęcego pęcherza nasypał mick, wybrał najpiękniejszy kalumet, z którym nigdy się nie roztawał, punks do krzesania ognia i szereg przedmiotów niezbędnych w puszczy i na stepie. Długo stojąc przed wiszącym na ścianie sztuczerem, zastanawiał się, czy może wziąć tę broń. Pozostała po ojcu. Ale czy jemu, człowiekowi bez imienia, wolno było sięgnąć po strzelbę wielkiego bohatera?... Czy nie

obrazi w ten sposób ducha zmarłego?...

Z żalem odszedł od ściany nie dotknąwszy broni. Wyciągnął się na posłaniu. Wtedy matka, która uważnie patrzyła na syna, warząc przedwieczorny posiłek, powiedziała:

- Szykujesz się w drogę. Bądź ostrożny.
- Dobrze — odparł.
- Kiedy chcesz opuścić wioskę?
- O świcie.
- Mówiłeś szamanowi? — Nie odpowiedział, więc dorzuciła: — Sama mu powiem. — Krzątała się

chwilę przy garnku, potem tajemniczo szepnęła: — Wiesz, ojciec był w wigwamie minionej nocy.

Żółty Liść uniósł głowę patrząc pytająco na matkę.

- Przyszedł we śnie, położył dłoń na twoim czole i pozwolił ci wziąć strzelbę.
- Dał mi sztucer?! Słyszałaś, że pozwolił mi wziąć sztucer? — Żółty⁷ Liść usiadł na posłaniu.
- Rozmawiał ze mną mową znaków. Przepowiedział ci zwycięstwo — uśmiechnęła się do syna i rzekła z mocą: — Jestem spokojna, wrócisz okryty chwałą.
- Hugh — zakończył rozpromieniony.

Jeszcze szarówka przedświt u okrywała wioskę, gdy Żółty Liść przerzucił przez ramię podróżną sakwę i zdjął z kołka ojcowski sztucer. Długo spoglądała na śpiącą matkę, potem gestem pożegnania pochylił głowę i z sercem pełnym smutku bezszelestnie opuścił wigwam.

Chłód poranka owiał mu twarz. Ogarnął spojrzeniem chaty. Czy wróci tu kiedy?... Czy zobaczy najbliższych?... Ból ścisnął piersi i dławiał krtań. Z trudem otrząsnął się z bolesnej niemocy i powłókł się na pastwiska Winnepagów. Gromada psów, ujadając, zagroziła mu drogę, więc uspokoił je grzechotką. Skomląc biegle obok niego. Na rozległym pastwisku wyszukał sobie wierzchowca, czule poklepał go po chrapach i założywszy zamiast siodła derkę, wskoczył na grzbiet. Pomachał na pożegnanie chłopcom pilnującym stada i pocwałował na zachód.

Przez trzy dni włóczył się wokół Green Lake. Badał ziemię, zarośla i pnie, choć rozsądek mówił mu, że dawno deszcze i czas zatarty wszelkie ślady, uparcie szukał czegoś i przywoływał chwile spędzone tu z vkim Księżycy. Wszedł na konar pochylony nad wodami jeziora, ostatni raz siedział z ukochaną. Wzywał swego Ducha Opiekunczego zastanawiał się nad drogami i sposobami poszukiwań uprowadzonej dziewczyny. Sam nie umiałby powiedzieć, jak długo pogrążony był w zadumie.

Dość że u schyłku dnia, gdy fale jeziora ciemniały, a blask słońca w wierzchołkach drzew, przypomniał sobie Buda Helfina z Chicago. U niego kupił korale dla Promyka Księżycy, on zawsze przyjaźnie gwarzył z czerwonoskórymi, on zawsze miał najlepsze wiadomości, do niego wreszcie przychodzili ludzie z całego pogranicza, musiał więc znać Czarną Zarośniętą Twarz i oficera z małymi wąsami.

Żółty Liść dosiadł mustanga i ruszył na południowy wschód. Bezchmurna noc, pełna gwiazd, sprzyjała podróży, więc nie rozbijał nocnego biwaku. Śpieszy! się, bo przecież lecząc rany, stracił bezpowrotnie tyle dni.

Któregoś popołudnia dotarł do faktorii Buda Helfina, uwiązał mustanga do koniowiązu i wszedł do mrocznej izby. Bud obsługiwał interesantów, których tu nigdy nie brakło. Żółty Liść oparł się o ścianę w pobliżu kontuaru i cierpliwie czekał na dogodny moment do rozmowy z właścicielem sklepu. Obserwował ludzi. Nie budzili zaufania, kleli okropnie podając sobie z rąk do rąk pękata butelkę alkoholu.

Helfin zauważył młodego wojownika, rzucił mu przyjazny uśmiech i przywołał ręką.

• Przyjdź innym razem — powiedział przyciszonym głosem. — Widzisz sam, bez przerwy piją, mogą cię skrzywdzić. Chciałeś coś sprzedać czy kupić?

• Szukam Czarnej Zarośniętej Twarzy.

Tak nazywacie wszystkich, którzy mają czarny zarost. To twój przyjaciel czy wróg?

- Niech biały brat pomoże mi go odszukać.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — Bud badawczo przyjrzał się wojownikowi. — Wyrządził ci coś złego?

Ugh, uprowadził wraz z Miczi-malsa moją squaw.

— Helfin zastanawiał się przez moment. — Kim jesteś? — spytał.

~ Winnepag? Bowiem, mówisz dialektem Winnepagów i nosisz strój tego szczepu. Pytam o twoje imię.

- Nie mam imienia.
- Fiuu... — zagwizdał zdziwiony Bud. — Dlatego szukasz człowieka z czarną brodą?
- Ugh.
- Rozumiem. Jak nazywa się porwana dziewczyna?

— Promyk Księżyca. To córka Białego Obłoka.

Helfin zastanawiał się chwilę.

— Nie słyszałem o tym wydarzeniu — odrzekł patrząc w oczy Indianina.

Żółty Liść skrzyżował ręce na piersi i przygnębiony spytał:

- Białe brat naprawdę nie wie, gdzie mógłbym znaleźć Zarośniętą Twarz?
- Nie wiem. Wielu ludzi nosi czarne brody. To może być tramp Guy Winters, traper Tim Adams, Bill Rogan...

— Helfin bezradnie wzruszył ramionami. — Ostatnio Winters został przewodnikiem wojska i podobno kręci się gdzieś koło Saint Louis, ale kto go wie, co robi i gdzie wędruje... O, już mnie wołają — rzekł wskazując głową na gromadę hałaśliwych gości. — Życzę ci powodzenia, czerwony bracie.

Żółty Liść, opuściwszy faktorię, skierował się w stronę fortu Fox. Postanowił spenetrować wszystkie osiedla białych, łudząc się nadzieją, że tam natrafi na ślad uprowadzonej dziewczyny i czarnobrodęgo wroga.

Któregoś dnia, przedzierając się przez zarośla w pobliżu Illinois River, usłyszał rżenie konia. Gwałtownie zatrzymał mustanga. Słuchał. Minęło kilkanaście sekund i znów rozległ się kwik zwierzęcia. Żółty Liść rozpoznał w tym głosie rozpacz i ból, lęk i cierpienie. Tak mógł rzeć tylko ranny albo zagrożony przez drapieżniki mustang. Skąd tu się wziął? Czy zapędziło go tu wilcze stado? A może koń i człowiek są w niebezpieczeństwie?

Uwiązawszy wierzchowca do drzewa, ze strzelbą gotową do strzału, przemykał Żółty Liść wśród leśnego poszycia. Uważnie stawiał stopy, aby nie trzasnęła pod jego ciężarem sucha gałązka; jak wąż prześlizgiwał się między prętami krzaków; co pewien czas zatrzymywał się nasłuchując Rżenie ponownie zmaciło ciszę. Szedł coraz czujniej. Na skraju wielkiego jaru legł pod kępą paproci i spojrzął w dół. Na dość stromym zboczu, zaplątany tylną nogą w wijące się nad ziemią korzenie dębu, wisiał kon bezskutecznie usiłując wyrwać się z okrutnej pułapki. Na dnie rozpadliny leżał człowiek, a parę jardów dalej pękaty wór i sztucer.

Żółty Liść przyjrzał się dookoła zaroślom, a nie zauważywszy niczego, zsunął się po zboczu. Chwycił tylną nogę rumaka i z trudem wyrwał ją od korzeni. Wierzchowca z kwikiem stoczył się na dno parowu. Indianin tymczasem pośpieszył z pomocą człowiekowi. Przewróciwszy go na wznak, ujrzał na ubraniu krew. Nożem rozpruł bluzę i spostrzegł pod pachą rozdarłe mięśnie. Takiej rany nie mógł spowodować upadek. Musiała pochodzić od pchnięcia sztyletem lub włócznią. Ostrze ześlizgnęło po żebrach pozostawiając powierzchowne rozdarcie skóry. Jeździec stracił przytomność na skutek upadku lub upływu krwi. Kimkolwiek był, nie mógł go Żółty Liść opuścić w potrzebie. Obłożywszy znanymi sobie ziołami ranę, obwiązał ją tykiem i ułożył nieprzytomnego w cieniu niewielkiej sosny. Teraz dopiero pośpieszył do swego mustanga, który w przytroczonym worku niósł potrzebne przedmioty.

Wierzchowca spokojnie skubał trawę, oganiając się ogonem od dokuczliwych owadów. Na widok swego pana zastrzygł uszami i dotknął go pyskiem. Żółty Liść pieszczotliwie poklepał kark zwierzęcia. Po paru minutach był w parowie. Wydobył skórzany woreczek z sokiem klonowym, skropił twarz nieprzytomnego i wlał mu kilka kropel do ust.

Uważnie zbadał nogę leżącego konia. Była w dwóch miejscach złamana. Nie umiał zwierzęciu pomóc. Ze smutkiem jedynie zajrzał w cierpiące oczy rumaka.

Nazbierał chrustu i rozniecił ogień. O dalszej podróży nie było mowy. Żałował, że w pobliżu nie ma jeziora lub rzeki. Woda orzeźwiłaby rannego. Z indiańską cierpliwością żuł pemikan z kukurydzą i siedząc ze skrzyżowanymi nogami, poddał się zadumie.

Niebo nad czubami drzew czerwieniła luna zachodzącego słońca. Do jaru spływał zmierzch. Żółty Liść sięgnął do woreczka po zociste ziarna kukurydzy i włożywszy je do ust, zobaczył pełne czujności i niepokoju spojrzenie białego. Odzyskał więc przytomność.

— Białego brata opuścił Nepawin¹⁰, to dobrze — powiedział z przyjaznym uśmiechem.

Ranny nie rozumiał Indianina. Po długim milczeniu, mieszaniną algonkirskich dialektów, spytał:

— Co mówiłeś? Kim jesteś?

- Jestem wojownikiem Winnepagów. Znalazłem cię rannego.

Biały rozejrzał się po jarze, dostrzegł obok siebie pękaty wór, a dalej wierzchowca.

- Nic mu się nie stało? — spytał.
 - Złamał nogę.
 - Żyje?
- Ugh.

Ranny zamknął powieki. Porządkował i wiązał wydarzenia. Chciał podnieść prawą rękę. Syknął z bólu, pot uperlił mu czoło. Przyjrzawszy się płatom brzozonej kory okrywającym zraniony bok, zwrócił się do czerwonoskórego:

- Tyś opatrzył mi ranę?
- Ugh.
- Dzięki. Napadli na mnie zniecka, dranie.
- Kto?
- Tramp. Musimy stąd uciec, mogą iść moim tropem.
- Dokąd biały brat śpieszy?
- Przed siebie... Może być każda indiańska wieś i każde osiedle białych. Teraz, samotnie, nie dam rady. Pomóż mi dostać się do ludzi, bo tu szczerzę od rany. Czy mnie rozumiesz?

Żółty Liść z trudem chwycił sens zdań.

- Odprowadzę mego brata do fortu Fox, to najbliższa osada.
- Weil, odwdzięczę się, zostanę twym przyjacielem do końca mych dni. Ale jakie nosisz imię?
- Winnepago, niech to białemu bratu wystarczy.
- Jak chcesz. Ja nazywam się Andy Moker. Zajmuję się kramarstwem.

Indianin skinieniem głowy przyjął tę informację. Podając Mokerowi woreczek, rzekł:

- Mam tylko pemikan i kukurydzę, niech mój brat się pożywi. Potem wypijemy resztkę klonowego soku.
- Nie przelknę suchego pokarmu, ale chętnie wypiję sok.
- Ugh — Żółty Liść podał Andy'emu woreczek z płynem i patrzył, jak opróżnia jego zawartość.
- Wypiłem wszystko, nie gniewasz się?
- Nie.
- Czy jest tu w pobliżu rzeka? Wojownik zaprzeczył głową.
- Co z nogą mego konia? Da się złożyć?
- Dla mustanga nie ma ratunku.

Moker spoglądał na korony drzew ubarwione ostatnimi blaskami zachodu i na jaskrawo upierzonego ptaka pogwizdującego na gałęzi pochylonej nad parowem.

— Jeśli nie ma możliwości uratowania wierzchowca — powiedział - Andy zabij go i wykrój szynkę na pieczeń. Chyba musimy tu nocować. Żółty Liść bez słowa wyciągnął zza pasa nóż. Gdy pochylił się nad nieszczęśliwym zwierzęciem, aby zadać mu cios, Moker odwrócił głowę.

Kramarz, osłabiony raną i upadkiem, spał jak suseł. Młody wojownik wał całą noc i wypiekał nad ogniskiem kawały końskiego mięsa. Była jeszcze szarówka, gdy zbudził Mokera.

— Czas na posiłek i w drogę — powiedział.

Andy, pokrzepiony snem, czuł się lepiej, choć prawy bok pulsował dokuczliwym bólem i drętwiała mu ręka. Bez apetytu przelknął parę kęsów pieczeni i opierając się na strzelbie, z trudem próbował rozruszać obolałe

ciało. Żółty Liść przytroczył worek kramarza do grzbietu mustanga i rzekł:

- Pomogę bratu wsiąść.
- A ty, Winnepago?
- Będę szedł.

Wędrowali dnem parowu, później łagodnym zboczem weszli w las wolny całkowicie od zarośli. Bez trudu poruszali się po miękkich mchach, butwiejących liściach i kobiercach traw zdobionych kwiatami. Żółty Liść na pewnych odcinkach na wszelki wypadek zacierał ślady. Tego wymagała indiańska przezorność, której w puszczy nigdy nie było za wiele.

W piątym dniu wspólnej podróży zatrzymała ich rzeka. Postanowili tu dłużej odpocząć. Rozbijając biwak, Moker spytał:

- Znasz, Winnepago, tę rzekę?

- Ugh, to Fox River.
- Niedaleko więc do fortu.

- Jesteśmy w pobliżu ujścia rzeki do Illinois River. Trzeba przepłynąć się na drugi brzeg. Fort stoi w górnym jej biegu. ~ Ile czasu zajmie nam droga?

— Dwa dni.

Andy Moker wykapał się; przy pomocy Indianina przemył ranę i założył świeży opatrunek. Czuł, że ma gorączkę. Rana zaogniła się, ropiała, pod Pachą nabrzmiał gruczoł jak pięść. Wszystko to wyglądało niepokojąco.

Winnepago w garnku zawieszonym nad płomieniem ogniska zagotował i przyprawił ją aromatycznym zielem. Pili obaj z niezwykłą rozkoszą. Od dawna nie mieli w ustach żadnego płynu.

Moker wyciągnął się na murawie, pod głowę podłożył lewą rękę i zapatrzonego w białe obłoki płynące po błękitnie, słuchał plusku płynącej rzeki.

— Musisz lubić tę wilczą czapkę, że jej nigdy nie zdejmujesz — zagadną nagle.

Żółty Liść nie odpowiedział. Wbił kołek w murawę i uwiązał doń mustanga.

• Mam w worku piękne bobrowe czapki — podjął Andy. — Rozwiąż worek i wybierz sobie jedną z nich.

• Winnepago nie ma czym zapłacić — odparł z nutą zakłopotania.

• Ależ ja chcę ci zrobić prezent. Zawdzięczam ci życie. Gdyby nie ty, rozsarpałyby mnie w jarze drapieżne zwierzęta.

Żółty Liść podrzucił chrustu na ogień i kijem zaczął podgarniać węgle.

• Widzę, że moja propozycja nie przypadła ci do gustu — ciągnął Andy. — Mam inne przedmioty, ale nadające się dla kobiet. Może więc chcesz wybrać coś dla swojej squaw?

• Nie.

• Gdybym nie stracił jednego z worków, miałbym dla ciebie wspaniałe rzeczy. Cóż, obłowili się zbóje...

Żółty Liść z zaciekawieniem spojrzął na Mokera.

• Zabrali ci towar? — spytał.

• Tak. Chcieli mnie obrabować do cna. Zorientowałem się w ich zamiarach i podczas biwakowania przytroczyłem worek do konia. Gdy¹ wiązałem następny, zauważył to jeden z nich, doskoczył i pchnął mnie nożem. Uchyliłem się, ostrze przejechało po mięśniach żeber, ale ja wtedy tego nie czułem. Kopnąłem drania i wskoczywszy na siodło ruszyłem w las.

• Kim byli ci ludzie? — zainteresował się Żółty Liść.

• Podali się za myśliwych, ale to trampi najgorszego autoramentu. -Moker skrzywił się z niesmakiem. — Zwłaszcza jeden z nich zachowywał się jak rabuś morderca. To on mnie zranił. Nie zapomnę tej brodatej mordy.

• Miał zarośniętą twarz?

• Tak, i czarne, jakby półprzytomne oczy.

• I zarost na twarzy też czarny?

• Zgadłeś, Winnepago.

— Jak się nazywał? Mów! — niecierpliwość zabrzmiała w pytaniu.

Moker dostrzegł podniecenie czerwonoskórego, chwilę go obserwował, po czym odpowiedział:

U gdy rozkładałem o zmierzchu biwak. Twierdzili, że w każdy nazywa się, jak chce. Ot, zasiedli wokół ognia i dokuczali w przeróżny sposób, chcąc wywołać awanturę. Żółty Liść opuścił głowę, zacisnął szczęki, patrzył w smużki dymu nad ogniskiem.

_ Interesuje cię ten czarnobrody?

Może on, a może ktoś podobny — odparł sucho Liść. - Twój przyjaciel czy wróg? Indianin długo, bez słowa patrzył na leżącego kramarza.

Jeśli to ten, którego szukam, to wróg — cisnął z nienawiścią.

— Cóż ci uczynił?

Żółty Liść przez chwilę mocował się ze sobą, po czym opuściwszy głowę, rzucił: patrz! — Ściągnął czapkę odsłaniając oskałpowaną czaszkę.

- O, drań! — z oburzeniem krzyknął zaskoczony Andy.

Zapadła cisza. Nad powierzchnią rzeki zamigotał srebrny kształt ryby i plusnęła w wodę. Z szelestem skrzydeł przemknął jakiś ptak. W nadbrzeżnych szuwarach grał świerszcz.

- Wybacz, Winneepago, że nagabywałem cię o czapkę — usprawiedliwił się kramarz. — Nie wiedziałem... Jak nazywał się ten czarnobrody złoczyńca?
- Nie wiem — Indianin wzruszył ramionami.
 - Opisz mi zajście — poprosił Andy. — Może będę mógł ci pomóc.

Żółty Liść podwinął nogi pod siebie i zaczął opowieść o wydarzeniach nad Green Lakę. Moker słuchał uważnie, czasami przerywał relację i pytał, bowiem nie rozumiał wielu określeń i zwrotów. Kiedy młody wojownik skończył. Andy powiedział:

- Może mój prześladowca jest tym, którego szukasz. Kto to wie?...

Warto jednak sprawdzić. Z rozmowy trampów domyśliłem się, że podróżowali do Saint Louis.

- Odprowadzę mego brata do Fox i natychmiast tam pojadę.

Może w forcie dowiemy się czegoś o czarnobrodym. Mnie łatwiej będzie zdobyć wiadomości. ~ Ugh. wiesz, Winneepago, mam w worku piękne peruki — Andy

zmienił ton rozmowy. — Dakotowie chętnie kupują je dla dzieci. Zastąpi ci wilcze okrycie. Żółty Liść milczał.

- Widziałeś perukę?
- Nie.

— Pokażę ci — Moker podniósł się z wysiłkiem i rozwiązawszy worek wydobyl kilka o różnym kolorze włosów. — Przymierz! — zaproponował.

Wojownik długo oglądał niezwykle okrycie głowy. Wahał się, co^ rozważał w myślach, wreszcie nałożył jedną, o ciemnych włosach związanych w czub, na wzór Sauków. Pobiegnął na brzeg i pochyliwszy się nad lustrem wody patrzył w swoje odbicie. Z poszarzałą twarzą, z ponurym blaskiem oczu zdjął perukę i powiedział:

- Nie godzi się wojownikowi oszukiwać Manitou.
- Jak chcesz. Proponuję ci wziąć tę perukę na wszelki wypadek — doradzał Andy. — Nie musisz stale jej nosić. A może akurat przyda ci się kiedyś.

Żółty Liść z ociąganiem włożył perukę do swej sakwy. Był przygnębiony. Wspomnienia zaostrzyły ból. Patrzył ponad ogniskiem w rzekę, a niczego nie widział; przetrwał swoje cierpienie i okrutną krzywdę Promyka Księżycy...

Dotarli wreszcie do fortu Fox. Złożyli swój ekwipunek w izbie, której kramarzowi użyczał znajomy kupiec. Rod Wooley. Mimo ogromnego znużenia i gorączki, Andy postanowił zameldować się u komendanta, znaleźć lekarza i równocześnie zasięgnąć języka. Stracił przecież wór z cennym towarem. Ponadto był zobowiązany czerwonoskóremu.

— Czekaj tu na mnie, Winneepago — powiedział wychodząc — może zdobędę interesujące cię wiadomości.

Fort Fox był niewielki. Magazyn towarów Wooleya, koszary, stajnie i mieszkania oficerskich rodzin stanowiły całość zabudowań. Wszystko to, wraz z obszernym placem, otaczała trzymetrowej wysokości palisada, z czterema narożnymi wieżyczkami dla strażników.

Moker minął jakiś budynek mieszkalny i znalazł się przed komendą garnizonu. Powiedział żołnierzowi, o co mu chodzi. Po chwili stał w nisko sklepionej komnacie. Za ciężkim niezgrabnym stołem siedział major dowódca fortu i kilku oficerów. Z ciekawością przyjrzeni się kramarzowi. Major, nie ruszywszy się z miejsca, powiedział:

- Jestem Whistler, dowodzę tą placówką, słucham was, sir.
- Witajcie, panowie. Nazywam się Andy Moker. Nim powiem z czym przychodzę, pozwólcie mi usiąść, jestem ranny.

1 tak?..- Proszę — major wskazał ławę stojącą pod ścianą. — Co . ~ta,0i sir? Może potrzebny lekarz?

ale najpierw meldunek: zostałem napadnięty i obrabowany. _ przez czerwonych? _ Nie, przez białych, sir.

_ Kto to uczynił?

Sam chciałbym wiedzieć. Posłuchajcie, jak było — Moker opowiedział przygodę aż do upadku z konia, o czerwonoskórym nie wspomniął słowem.

Takich łobuzów dużo się tu włóczy — odezwał się oficer w stopniu kapitana. A czarne brody nosi wielu porządných ludzi. Nie znając

nazwiska, trudno będzie znaleźć sprawcę.

Nazwiska! — zachnął się Andy. — Cóż one znaczą na pograniczu.

Każdy złoczyńca zmienia je jak rękawice w zimie.

Racja, sir — przyznał Whistler. — Trzeba rozejrzeć się wokoło.

Poruczniku Darkin, zajmijcie się sprawą.

- Well.
- Rana groźna? — spytał kapitan.
- Od dwóch tygodni bez leczenia, ropieje i strasznie dokucza.

- Macie szczęście, sir, bo do chorego dziecka ściągnęliśmy tu medyka z Saint Louis — powiedział major i zwrócił się do Darkina: — Poruczniku, zaprowadźcie gościa do lekarza. Po drodze porozmawiacie o zajściu w puszczy.

Whistler przyglądał dłońią jasne, dawno nie strzyżone włosy; wyciągnął swobodnie pod stołem nogi i zwrócił się do kramarza:

— Jeszcze coś, sir?

Moker w niebieskich oczach majora dojrzał znudzenie i obojętność.

- Na razie nic — odparł i kłaniając się niezdarnie, wyszedł za Darkinem.
- Gdzie zamieszkaliście? — spytał porucznik, gdy znaleźli się już na dworze.

— U Roda Wooleya.

Medyk jest w moim domu — objaśnił Darkin. — Zachorowała mi dwuletnia córeczka, więc czuwa nad dzieckiem. Najlepiej będzie, jak czekacie na niego w swojej kwaterze. Zaraz go tam skieruję.

— Weil.

Czy poznalibyście trampa, który pchnął was nożem, sir? — spytał Porucznik.

- Oczywiście.
- Ilu miał towarzyszy?
- Pięciu.
- Rozmawiając ze sobą, musieli używać imion.
- Niestety, zwracali się do siebie przez wy — odparł Andy.
- Znam paru czarnobrodych zwiadowców, ale oni nie byłoby zdolni do takich czynów — mówił Darkin. — Jeden z nich nie lubi czerwonoskórych ale w gruncie rzeczy to dobry człowiek.

- Jak się nazywa?
- Guy Winters.
- Nic nie mówi mi to nazwisko. Warto jednak z nim porozmawiać.
- Whistler wysłał go do fortu w Saint Louis.
- Służy w armii jako goniec?
- Yes.

Moker popatrzył na oficera i nagle spytał:

— Słyszeliście o uprowadzeniu młodej dziewczyny z plemienia Winnepagów, córki Białego Obłoka?

Darkin badawczym spojrzeniem obrzucił kramarza i odparł wymijająco:

- Na pograniczu zdarzają się takie porwania.
- O tym porwaniu coś wiecie?
- Nie, sir — porucznik zatrzymał się przed sklepem Wooleya. — Nie wychodźcie z domu, zaraz zjawi się u was medyk — powiedział i sprężystym krokiem pomazzerował wzdłuż zabudowań.

Andy ciężko usiadł na krześle. Żółty Liść patrzył nań wyczekująco. Moker obtarł spocone czoło i usiłował językiem zwilżyć spalone gorączką wargi.

- Whistler obojętnie przyjął wiadomość o moim nieszczęściu — zaczął. — W zasadzie niczego się nie dowiedziałem. Tyle tylko, że jeden ze zwiadowców i gońców armii, o czarnej brodzie, nazywa się Guy Winters.

- Jest tutaj?
- Wysiali go do Saint Louis. — Moker zdejmował z siebie bluzę. -Pomóż mi, ręką nie mogę ruszyć... — Stęknął, boleśnie skrzywiając twarz, i dodał: — Zaraz przyjdzie lekarz.

Obnażony do pasa legł na drewnianym łożu, zaścielonym wełnianym kocem. Co chwila wycierał z czoła obfity pot.

— Źle ze mną, Winnepago — powiedział. — Gdyby przyszło mi podróżować jeszcze parę dni, byłby

koniec.

Żółty Liść, oparty o framugę szeroko otwartego okna, milczał.

Jeśli temperatura nie zwali mnie z nóg — mówił dalej Andy — czegoś o twojej dziewczynie.

Musieli przecież coś słyszeć o tym dowiem się

wydarzeniu.

Indianin nie podjął rozmowy. Stał pogrążony we własnych myślach. WinnePago pożegna białego brata — odezwał się cicho. — Do zapadnięcia nocy daleko, a szlak długi.

Nie odpoczniesz? — wymówka zabrzmiała w głosie Mokera. — Zdążysz opuścić Fox. Zostań chociaż do jutra. Żółty Liść pokręcił głową. — Nie mógłbym tutaj usnąć.

- Dlaczego? Zobacz, jakie wygodne łożo.
- Duszo tu i... ciasno.

Ciasno? — zdziwił się Andy. — Przecież to duża izba.

Indianin przerzucił sakwę przez ramię i ujął stojącą w kącie strzelbę.

- Naprawdę odjeżdżasz?
- Ugh.
- Dokąd, można wiedzieć?
- Do Saint Louis.
- Rozumiem — rzekł z rezygnacją Moker. — Zobaczmy się jeszcze?
- Wie to tylko Manitou.

! Masz rację — Andy patrzył w młode, smutne oblicze wojownika. Polubił go. Mimo różnicy ras ten Indianin opiekował się nim jak syn ojcem.

- Gdybym odkrył ślad Promyka Księżyca, czarnobrodego łotra lub towarzyszących mu żołnierzy, gdzie wtedy mogę cię znaleźć? Komu przekazać wiadomości?
- Mój brat naprawdę chce szukać białych złoczyńców?
- Tak, pokochałem cię jak syna. Muszę ci pomóc.
- Nie wypaliliśmy kalumetu.

To nie. Zrobimy to innym razem — przerwał Moker. — Jesteś szlachetnym człowiekiem, więc obdarzyłem cię trwałą przyjaźnią. ~ Dziękuję. — Oczy Żółtego Liścia zapłonęły ciepłym blaskiem. — Gdyby mój brat zdobył jakieś wiadomości, najlepiej przekazać je Białemu albo któremukolwiek wojownikowi mego plemienia. A gdybym cię potrzebował? ~ Będę zawsze w pobliżu osiedli białych twarzy. Hugh!

y z wysiłkiem podniósł się z łóżka i szukając czegoś wśród swoich rzeczy, rzekł:

— Zaczekaj, czerwony bracie. Chcę ci ofiarować coś na drogę. Weź to ode mnie — położył na stół róg z prochem, skórzany woreczek pełen kul, i traperski nóż o szerokim ostrzu.

Żółty Liść zawahał się.

• Nie chcesz? To tylko skromny dar. Nie zrobisz mi przykrości — mówił Moker. — Jesteś na wojennej ścieżce, choć nie malujesz bojowymi barwami swego oblicza. Przyda ci się broń.

- Ugh. — Liść zgamał prezenty do swej sakwy.
- Szczęścia na szlaku. Do zobaczenia — Andy wyciągnął dłoń.
- Bywaj — szepnął WinnePago ściskając rękę kramarza.

Moker długo patrzył na nie domknięte drzwi, za którymi zniknął czerwonoskóry.

Tymczasem Żółty Liść uwolnił od koniowiązu mustanga, cierpliwie stojącego na podwórzu.

Przytroczył doń swój ekwipunek i wskoczywszy na grzbiet rumaka, skierował się ku bramie fortu.

Po tygodniowym kluczeniu bezdrożami zatrzymał się w pobliżu nowo założonej osady pionierów nad Illinois River. Ukradkiem, jak samotny wilk, krążył wokół każdego domu, zaglądał przez okna do wnętrza mieszkań, śledził ludzi. Pewnego razu zauważył czarnobrodego mężczyznę. Serce zabiło mu żywiej. Przemknął wśród krzewów i legł za wysokimi chwastami w pobliżu zabudowań gospodarczych. Człowiek, odwrócony doń plecami, rąbał drwa. Dość długo to trwało. Wreszcie, pochyliwszy się, nałożył sobie na rękę stertę polan i poszedł ku otwartym drzwiom chaty. Wtedy Żółty Liść ujrzął jego twarz i doznał zawodu. To nie był ten, którego szukał.

Wieczorem w puszczy odpoczywał przy żarzących się węglach ogniska. Rozmyślał. Do Saint Louis było jeszcze daleko. Zastanawiał się, jaki wybrać szlak. Przypomnił sobie, że znajduje się w pobliżu tajemniczej i świętej Krainy Wysokich Kopców, do której często wędrowali szamani i wojownicy, aby prosić Manitou o szczególną łaskę. Jakże mógłby ominąć te ziemie, od niepamiętnych czasów czczone przez wszystkie plemiona Wschodu, Północy i Południa?...

Rankiem Żółty Liść zasypał ziemią dogasające ognisko. Zrezygnował ze śniadania. Kłusując wspaniałym lasem żuł pemikan z kukurydzą. Boi rozbrzmiewał poranną muzyką ptaków. Przez gałęzie drzew przedzierały się złociste pasma jutrzeńki perląc krople rosy. Pełną piersią chłoną! orzeźwiającej, przesycone wilgocią powietrze.

Wjechał wreszcie w Krainę Wysokich Kopców. Przejeżdżał obok wielkiej równiny, pokrytej soczystym kobiercem traw. Nieco na prawo pękaty u podnóża, strzelisty u szczytu kopiec, wyglądający jak dom backwoodsmana. Tu i ówdzie, rozrzucone w nieładzie, l

7i!*lonY stój?
(JvncZe drzewa i kępy krzewów. Panowała niezwykła tajemnicza

f a Z powagą krążył Żółty Liść wśród tych budowli. Jako mały był tu z ojcem. Pamiętał największe wzniesienie, do którego ciągnęły indiańskie pielgrzymki.

" 5L j ono Dość stroma ściana zagroziła mu drogę. U podnóża krzewiły się bujne krzaki, obsypane aromatycznym kwieciem. Objechał czworokątną podstawę i znalazł się przy łagodnym zboczu. Zeskoczył z mustanga, ujął go za uzdę i począł piąć się ku szczytowi Cahokii¹⁵, zwanej też Głową Szamana. Skąd mógł wiedzieć, że przed wiekami były tu zrobione w ziemi schody?

Na płaskim jak stół szczytce puścił swobodnie wierzchowca i ogarnął wzrokiem okolice. Stał wysoko ponad wzniesieniami i koronami drzew. Jak okiem sięgnąć, na przestrzeni wielu mil piętrzyły się wokół mniejsze i większe stożkowate kopce, prostokątne piramidy i długie wały, przypominające obronne mury jakichś gigantycznych warowni. Wszystko to, pokryte o tej porze roku świeżą zielenią, ozdobione z rzadka rosnącymi drzewami, przepelnione było niecodziennym majestatem.

Kto spiętrzył tyle ziemi i ukształtował ją w te przedziwne budowle?... Po co to uczynił?... Czemu i komu miały one służyć?...

Dla Żółtego Liścia sprawa była prosta: wzniosły je duchy z woli Gicze Manitou. Tak mówili szamani i starcy. Była to Święta Kraina Wysokich Budowli.

Winnepago złożył na murawie ekwipunek, w zasięgu ręki umieściwszy kołczan z łukiem i strzelbę, i legł wygodnie zapatrzony w bezkresny błękit nieba. Poddał się kontemplacji.

Przez trzy doby pozostawał w bezruchu i bez pożywienia. Nie słyszał głosów przyrody, nie czuł chłódów nocy i gorąca słonecznych promieni. ^{unc} wargi poruszały się w cichym błaganu... I oto nagle ujrzał ukochaną ziewczynę, otoczoną bielą powłóczyстых obłoków. Unosiła się niby nad ^a 'a połyskującej

wody, ginęła w tunelach dziwacznych budowli, promienna twarz i rękę kierowała na północ... nął ^s i?> usiadł. W głowie huczały mu szamańskie bębny. Język na

ozno szukał wilgoci, popękane usta z trudem chłoneły powietrze. Sięgnął ^Jacą obok torbę. Wyszukawszy skórzany woreczek, odwiązał go i wlał

Podniebienie haust wody. Była ciepła, przesiąknięta zapachem skóry, a jednak wydała się rozkosznie smaczna. Zarzucił derkę na grzbiet pastwę się konia, przytroczył ekwipunek i zszedł z piramidy.

Jadąc spoglądał z pietyzmem na mijane budowle. Gdy ostatni kopiec pozostał poza nim, przynaglił mustanga. Wyciągniętym galopem gna! tera do Saint Louis.

Miasto wywarło na młodym wojowniku oszałamiające wrażenie. Dotychczas znał małe forteczne osady: Chicago, Milwaukee i Fox. Saint Louis natomiast było, jak na owe czasy, wielką metropolią. W porcie na Missisipi przeładowywano towary, które statkami płynęły do Nowego Orleanu. Stąd wyruszały na północ i południe karawany osadników. Tu ściągali farmerzy i kupcy, aby załatwić osobiste sprawy w urzędach i bankach; sprzedać lub kupić wyroby i płody ziemi. Tu wreszcie stacjonował jeden z silniejszych garnizonów armii.

Żółty Liść, mimo indiańskiego stroju i uzbrojenia, nie wzbudzał zainteresowania. Dla mieszkańców tego kresowego miasta widok Indianina nie był czymś niezwykłym. Wielu czerwonoskórych pełniło w wojsku służbę tropicieli i zwiadowców; inni przywozili tu piękne futra dzikich zwierząt; czasami towarzyszyli traperom i traperom. Winnepago włóczył się więc ulicami, wypatrując czarnobrodego złoczyńcy. Noce spędzał poza miastem i rankiem znów zaczynał samotną wędrówkę.

Pewnego dnia, na zbiegu ulic, wpadł na Keokuka, jadącego w otoczeniu sześciu wojowników. Odruchowo zatrzymał się. Wodza Foxów widział Żółty Liść przed dwoma laty w rodzinnej wiosce, poznał go bez trudu. Gdy zaskoczenie spotkaniem minęło i chciał wyminąć jeźdźców, Śledzący Lis spytał:

— Dokąd mój brat śpieszy?

Żółty Liść milczał.

— Jestem naczelnikiem Foxów i przyjacielem Czerwonego Ptaka, wodza Winnepagów. Dlaczego mój brat nie odpowiada? — rzucił z przyjaznym uśmiechem.

Wtedy Żółty Liść podniósł prawą dłoń i mową znaków wyjaśnił¹¹

- Noszę hańbę, nie mam imienia, odejdźcie. Wódz ze zrozumieniem skinął głową, pytając:

- Szukasz u Miczi-malsa pomocy czy wroga?

- Wroga.

— Tu teraz niebezpiecznie. Opuść lepiej miasto — poradził życzliwie

Keokuk.

r śc stał targany sprzecznymi uczuciami. Potem pocwałował za kami Foxów, zastanawiając się nad słowami Śledzącego Lisa. wo_1o | wyiechali z miasta. Rozwidła się tu szlak zbity kopytami koni, | bvdła i kołami wozów. Keokuk z pięcioma ludźmi podążył na 'Ha ieden z wojowników — na północ. Żółtemu Liściowi wydało się, tnv Fox na ułamek sekundy zwrócił ku niemu twarz i ręką uczynił h k Nie był jednak tego pewny. Ujechawszy kawałek drogi, skrył się w 'lach bujnie krzewiących się nad Missisipi. Stąd miał doskonały widok trakt co pozwalało mu obserwować wszystkich, którzy opuszczali miasto lub do niego śpieszyli.

Przywiązał konia do wbitego w ziemię palika i usiadłszy wśród krzewów, rozchylił nieco gałęzie, aby nie przesłaniały szlaku. Ułamał młodziutki pręt trzciny, zerwał wierzchnią warstwę zieleni, i ssał jej słodkawo-cierpki sok. Przyzwyczał się do samotności, pozwalała mu snuć marzenia i zastanawiać się nad własnym życiem.

Nagle usłyszał poza plecami szmer. Błyskawicznie odwrócił się chwytając tomahawk. Przed nim stał Fox z przyjaznym gestem ręki.

— Niech mój brat usiadzie — powiedział. — Łagodny Łoś pragnie porozmawiać.

Zdziwienie, pomieszane z zabobonnym lękiem, odmalowało się na obliczu Liścia. Nie rozumiał, dlaczego ten wojownik narusza odwieczne prawo i zbliża się do zhańbionego człowieka.

- Spójrz na mnie, bracie — powiedział Fox, jakby odgadując obawy Winnepaga. — Mam jaśniejszą skórę, nie takie ciemne oczy jak twoje... Płynie we mnie krew białych, wiele nauczyłem się u nich i dlatego mogę rozmawiać z tobą. Usiadźmy.

- Czego chce Łagodny Łoś? — Żółty Liść usiadł kładąc ręce na kolanach.

- Saukowie zerwali układ i nie pozwalają osiedlać się białym nad

Illinois River, dlatego pułkownik Taylor z wojskiem popłynął Ojcem Wód, y zniszczyć Saukenuk. Pojedź, Winnepago, z tą wieścią do Czarnego Jastrzębia.

Dlaczego Łagodny Łoś sam tego nie uczyni?

- Keokuk wysłał mnie do Irokezów.

~ Zdradzasz Śledzącego Lisa?

^Nle, pragnę dobra dla obu wodzów.

keokuk sprzyja Długim Nożom — rzekł Żółty Liść, uważnie patrząc^{na} Metysa.

- Czarny Jastrząb uważa Miczi-malsa za wrogów.

- Ma rację — twardo rzucił Winnepago.

- Musisz ostrzec wodza Sauków — z naciskiem mówił Łagodny Łoś. — Rozbicie naszych plemion na dwa zwalczające się obozy przynosi same nieszczęścia, a Saukom i Foxom potrzebny jest pokój i jedność

Żółty Liść zastanawiał się nad słowami Łagodnego Łosia, wreszcie podnosząc się, powiedział:

— Winnepago zawiezie wiadomość Czarnemu Jastrzębiowi. Hugh!

Czarny Jastrząb siedział w wigwamie w otoczeniu synów, jego żona Śpiewający Ptak, zabawiając malutką Namequc, szyla mokasyny. Orzeł Prerii — pierworodny syn wodza, po dłuższej nieobecności wrócił właśnie z Kanady i zdawał relację.

- Gubernator Yorku zapewniał Sauków o przyjaźni i obiecał za futra dostarczyć broń. Był uprzejmy — opowiadał Orzeł. — Szczególną sympatię okazywał Czerwonemu Sercu.

- Prosiłście o wojskową pomoc? — spytał sachem.

- Ugh — odparł Orzeł Prerii. — Gubernator twierdził, że między Agolaszima a Miczi-malsa panuje pokój, więc nie może go naruszać, ale będzie popierał naszą walkę.

- To puste słowa — gorycz zabrzmiała w głosie Czarnego Jastrzębia.

- Możemy liczyć tylko na siebie — stwierdził z naciskiem Nasheakusk.

- Trudno zrozumieć białych — dorzucił Gamesett. — Obiecują i równocześnie zaprzeczają obietnicom.

- Wypowiedziałeś prawdę — sachem położył dłoń na ramieniu syna. — Jeśli nie poprą nas sąsiednie plemiona, będziemy walczyć samotnie.

- Może Miczi-malsa nie zaczną wojny — powiedział z nadzieją Orzeł Prerii.

- To nieuniknione — sachem nie miał wątpliwości. — W Saint Louis, upoiwszy wodą ognistą wodzów różnych szczepów, wymusili im sprzedaż ziemi.

- Kto reprezentował Sauków i Foxów? — spytał Orzeł.

- Kwaskwamia i Keokuk.

- Śledzący Lis to zdrajca, ale Kwaskwamia nie mógł tego uczynić

 - I zamroczony wodą ognistą, synu, nie wiedział, co robi. Uznałeś, ojcze, tę podstępną transakcję?

 - Dlatego Miczi-malsa, wcześniej czy później, podejmą walkę. rwoe Serce zapewniał, że na wypadek wojny stanie po naszej ~nk __ powiedział Orzeł Prerii. ⁿ¹y hi t0 niezawodny przyjaciel — przyznał sachem. — Co u niego

via piękny drewniany wigwam, tabun mustangów i pola, z których h' a ziarna. Jego squaw, Zorza Ranna, urodziła mu syna. n 7t\ Prerii przerwał, bo zasłona u wejścia uchyliła się i wszedł wysoki iężczyzna. Czarny Jastrząb skierował nań pytające spojrzenie.

Puszysty Ptak przynosi list — zameldował podając płat brzozonej kofy-Czarny Jastrząb uważnie przyjrzał się nakreślonemu czerwona ochrą rysunkowi: na kilku łodziach siedzieli żołnierze, strzelając do wigwamów stojących nad rzeką.

- Któż mojemu bratu dał to pismo? — spytał.

- Wojownik Winnepagów.

- Dlaczego nie przyszedł tu sam?

 - Mową znaków wyjaśnił mi, że jest zhańbiony. Z daleka wbił w ziemię kij, do którego przywiązał list.

 - Odszedł?

 - Czeka nad Me-si-kse-pe — odparł Puszysty Ptak.

 - To dobrze — rzekł sachem i zwrócił się do synów: — Podajcie mi farbę i skórę.

Gamesett zerwał się, aby spełnić polecenie ojca, a wódz wskazując miejsce, poprosił przybyłego, by usiadł.

- Ważna wiadomość, ojcze? — spytał Nasheakusk.

- Ugh, pewnie Miczi-malsa napadli na wieś...

- Sauków?

 - Być może — odparł wpatrzony w rysunek.

 - A jeśli to podstęp? — podsunął myśl Orzeł Prerii.

Czarny Jastrząb wzruszył ramionami.

baczmy — odrzekł biorąc wygarbowany do białosci kawałek y- Zanurzył patyk w farbie i nakreślił kilka symboli. — Zanieś to temu Jownikowi — zwrócił się do Puszystego Ptaka — i powiedz, że wódz w oczekuje go w swym wigwamie. rzecież on jest zhańbiony! — zawołał z zabobnym lękiem Gamesett.

Nie obawiaj się, synu — odparł łagodnie sachem. — Szaman zażę gniew duchów. — Zrobił krótką pauzę i podając synom rysunek brzozonej korze, dodał: — Zobaczcie!

Analizowali w milczeniu treść listu, potem Orzeł Prerii wręczył go oje. . powiedział:

- Miczi-malsa napadli lub mają zamiar napaść na wioskę.
- Trafnie rozumujesz, Orle.
- Uff! — włączył się podniecony Nasheakusk. — Chodzi pewnie n Saukenuk.

Ciszę, jaka zapadła po tym złowrogim przypuszczeniu, przerwał Czarny Jastrząb:

• Zachowajcie w tajemnicy otrzymaną wiadomość. Są u nas ludzie Keokuka, którym nie wolno ufać. — Zastanawiał się przez sekundę i polecił Gamesettowi:

• Idź i przywołaj szamana. A wy obaj — zwrócił się do Orła Prerii i Nasheakuska — zorganizujcie zwiad w dół i w górę Me-si-kse-pe. Czujność nie zawadzi.

Synowie wyszli, za nimi, z córką na ręku, wymknęła się Asshaweąua. Czarny Jastrząb opuścił głowę i pogrążył się w zadumie.

Noc otuliła Saukenuk.

W wigwamie wodza na palenisku żarzyły się węgle. Stary Waupeshek drzemał, a Czarny Jastrząb, dla odpędzenia senności, podrzucał i sprytnie chwycił okrągłe kamyczki, idealnie wygładzone przez bystry nurt rzeki.

Było już po północy, gdy bezszelestnie wsunął się do chaty człowiek i skrzyżowawszy na piersi ramiona, pozostał przy wejściu. Słaby blask bijący od żaru ogniska oświetlał smukłą postać przybysza, sfatygowany strój i głowę, nakrytą wilczym futrem.

Wódz Sauków i Foxów położył kamyki, chrząknął. Waupeshek uniósł ociężałe powieki; w zupełnej ciszy wy dobył spod opończy szczyptę pokruszonych liści i rzucił je na ogień. Zatańczyły płomienie rozsiewając odurzającą woń. Z warg szamana spłynęły tajemnicze zaklęcia i prośby. Wyciągnął przed siebie dłonie i głosem pełnym patosu powiedział:

— Oto duchy stały się posłuszne woli Waupesheka, zakryły swe uszy. Możesz mówić, synu.

Przybysz nie poruszył się.

— Tyś napisał list?

„_h__ szepnął Żółty Liść.

f * ,TMł łodziami Miczi-malsa? — ostrożnie spytał szaman.

Co z tym' iu*j

't Louis wypłynąć miały wielkie canoe , by zniszczyć Saukenuk i st^wnego sachema.

_ Kjedy?

- iż pewnie w drodze. Ośmioma canoe dowodzi pułkownik

°ilu ma białych wojowników? — badał szaman. Żółty Liść rozłożył bezradnie ręce.

- Skąd masz wiadomości? Opowiedz dokładnie — polecił Waupeshek.

Winnepago zwięźle przedstawił spotkanie i rozmowę z Keokukiem i Łagodnym Łosiem. Gdy skończył, szaman spytał: _ W Saint Louis szukałeś swego wroga?

- Ugh.
- Znalazłeś?
- Nie.

- Znam twoje dzieje, synu — głos szamana brzmiał serdecznie. — Zmyjesz hańbę i wrócisz do Winnepagów okryty chwałą. Przepowiada ci to szaman Sauków i Foxów. Pamiętaj.

Żółty Liść z pokorą opuścił głowę.

Waupeshek z torby leżącej obok wyciągnął wielobarwny, misternie haftowany przedmiot i zbliżywszy się do wojownika, powiedział:

I en wampum otwiera ci drogę do mego wigwamu o każdej porze dnia i nocy, a wszyscy szamani po obu stronach Me-si-kse-pe będą ci przychylni. Idź, synu, na szlak. Może twój wróg będzie płynął wraz z Miczi-malsa, może twe oczy dojrzą coś ważnego... Przyjdź wtedy i powiedz! — Żółty Liść z ciężką

ujął wampum. — A gdybyś zastał wigwam pusty, usiądź i czekaj.

V- innepago bez słowa, jedynie z błyskiem wdzięczności w oczach, opuścił chatę.

to mój brat o tym sądzi? — spytał Waupeshek siadając obok Czarnego Jastrzębia.

Na ośmiu wojennych canoe zmieścić się może ponad dwa tysiące zaczął sachem. — Dobrze uzbrojeni, przy pomocy armat^{mo}ga zniszczyć Saukenuk.

Dod * aszcza ze cz?ś Foxów będących pod wpływem Keokuka nie r kuje się rozkazom i w krytycznym momencie opuścił osadę — ^azył szaman.

- Ugh — przyznał Jastrząb i po przerwie dorzucił: — Może jed Miczi-malsa pragną tylko pertraktować w sprawie osadników, m wiadomości nie są ścisłe. Przecież nie wykopaliśmy topora wojny.

- Błędym twarzom ufać nie wolno.

Czarny Jastrząb ruchem głowy przyznał słuszość szamanowi i ^a .. dalej:

- Poza wyspy na Missisipi, u ujścia Rock River, nie możen przepuścić canoe białych żołnierzy. Tam musi dojść do rozmowy albo d bitwy.

- Lepiej wywabić Miczi-malsa z łodzi — podsunął myśl Waupeshek -wciągnąć w zasadzkę i zniszczyć.

- Nie, bracie — pokręcił głową z dezaprobatą wódcz. — Biali mogliby przejrzeć zamiary Sauków i nie dać się zamknąć w pułapce. A jeśli nawet to wtedy gdy będziemy zmagać się z nimi, canoe podpłyną pod Saukenuk i zaczną ostrzeliwać z armat wigwamy.

- Co więc Czarny Jastrząb zamierza?

- Wyspy są naszym sprzymierzeńcem, szamanie. — Sachem spoglądał gdzieś w przestrzeń. — Na nich umieścimy część wojowników i weźmiemy Miczi-malsa w dwa ognie. A przeciw canoe użyjemy armat. Spójrz, bracie! — Dłonią oczyścił klepisko wigwamu i końcem noża rysował plan strategicznej operacji. Waupeshek w skupieniu obserwował szkic i słuchał wyjaśnień. — Nasze działania do ostatniej chwili muszą pozostać w tajemnicy, inaczej ludzie Keokuka mogą zdradzić.

- Nabash-cisa oświeca Czarnego Jastrzębia, dlatego promieniuje mądrością — rzekł z uznaniem szaman.

Wódcz zbył pochwałę milczeniem.

- Trzeba wysłać zwiadowców — przypomniał Waupeshek.

- Synowie Czarnego Jastrzębia już tropią nieprzyjaciela — odparł naczelnik. — Rankiem gońcy zaniosą wieść o Długich Nożach do okolicznych plemion.

Obaj nagle zaczęli nasłuchiwać. Cisza przedświtu niosła tętent galopującego mustanga.

— Pewnie tropiciel śpieszy z wieściami — powiedział sachem; z kąta chaty wzał kilka szczap i położył na czerwone węgle ogniska. Pouerzmiałó wokoło. Potem chybotliwy blask płomieni rozświetlił wnętrze.

Łomot końskich kopyt zadudnił przed wigwamem i gwałtownie scien • W drzwiach stanął wojownik. Ogarnął spojrzeniem siedzących i kładą prawą dłoń na sercu, powiedział:

• jk Dakotów, Rączy Wilk, wita sławnych mężów Sauków i

poxow. — racie, w Saukenuk i usiądź — odrzekł Czarny Jastrząb. — W f^{ku} znajdziesz bizonie mięso, a w konwi napój.

⁵ . kj" Dakota spoczął naprzeciw gospodarzy. — Droga była

Rączy Wilk pożywi się chętnie. — Nożem odkroił plaster szynki i w milczeniu. Potłuszczone palce

starannie wytarł o niedźwiedzie futro, na m^{kt}ym siedział, kubkiem zaczerpnął z glinianej konwi i jednym

zkiem wypił kompot uwarzony z jagód i klonowego soku.

Pieczeń była doskonała, a napój wyśmienity — pochwalił i złożywszy ręce na kolanach, znieruchomiał jak posąg.

Ważne wiadomości przynosi Rączy Wilk, skoro nie czekając ranka wszedł do chaty Czarnego Jastrzębia — zagał sachem.

To prawda, Waneta³, wódcz Dakotów, polecił Rączemu Wilkowi jak najszybciej dotrzeć do Czarnego Jastrzębia.

— Mów, bracie, słuchamy — wtrącił szaman.

- Długie Noże w Wielkich Borach, w pobliżu ujścia Run River do

Missisipi, wznoszą twierdzę — mówił posłaniec. — Dakotowie uderzyli na nich. Waneta zawiadamia o tym sławnego sachema Sauków i Foxów.

— Jak zakończyła się bitwa? — spytał Jastrząb.

- Wojownicy Dakotów otoczyli białych. Bój toczył się jeszcze, gdy Rączy Wilk wyruszył w drogę.
- Kto dowodził Długimi Nozami? — rzucił Waupeshek.
- Pułkownik Josiah Snelling³.
- Rączy Wilk powie mojemu sojusznikowi Wanecie — sachem położył rękę na sercu — że Czarny Jastrząb nie zawiedzie Dakotów. W górę Ojca Wód płynie osiem wojennych canoe pod dowództwem Taylora. Śpieszą oni prawdopodobnie z odsieczą Snellingowi. Saukowie zagrodzą im drogę i zmuszą do odwrotu.

- Ta wiadomość uraduje serce Wanety — powiedział Dakota wsta-

- Czy Rączy Wilk otrzyma jeszcze jakieś polecenia?

Niech mój brat zapewni Radę Starszych swego plemienia, że >wie i Foxowie nie ustaną we wspólnej walce z Miczi-malsa. Hugh! — zwiedził stanowczo Czarny Jastrząb. Przedemną daleki szlak. Bywajcie. ^BVwaj, Rączy wilku — rzucił pożegnanie sachem. ^D, ^{lecll} Mikamwes⁶ omija twoją ścieżkę — dodał szaman.

wyszedł. Stukot kopyt oznajmił jego odjazd. Przez uchyloną

51

kotarę sączyło się do wigwamu światło budzącego się dnia. Waune K przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy.

- Kiedy uderzyć w kotły? — spytał.
- Zaraz — odrzekł Czarny Jastrząb. — Musimy odbyć posiedź| rady. Ale niech mój brat nie głosi mowę bębnow wojny z białymi. Tr? v wywieść w pole ludzi Śledzącego Lisa.
- Hugh — zakończył szaman.

Zadudniły werble. Głuchy, złowrogi ich rytm płynął nad Saukenulc budził śpiące dzieci, szarpał niepokojem serca kobiet... Do wigwamu narad w odświętnych strojach szli wodzowie i najznakomitsi wojownicy.

- Płyną — powiedział Gamesett do leżących wśród zarośli towarzyszy.

Daleko, na środku rzeki, ukazały się najpierw pióropusze ciemnego dymu, a potem malutkie, jak zabawki, kadłuby statków. Było ich osiem. Rosły w oczach. Do uszu wojowników docierać począł narastający stukot pracujących maszyn. Płynęły ciężko pod prąd, zostawiając poza sobą warkocz spienionej wody. Na pokładach uwijali się ludzie. Czarne lufy dział skierowano na ląd. Jakiś oficer przez szklą lunety obserwował brzeg i przereję.

Gamesett liczył armaty. Każda łódź miała ich dwie, a więc łącznie — szesnaście. Taką siłą ognia można było zniszczyć nie tylko stolicę Sauków i Foxów, ale rozbić niejedną armię.

- Zobaczcie — rzekł Gamesett — mają szesnaście wielkich strzelb.
- Ale mało żołnierzy — zauważył zwiadowca.
- Nie widać ich, bo kryją się pod pokładem — wyjaśnił Gamesett i spytał: — Kto pojedzie z informacją do Saukenuk?
- Bizoni Róg — zgłosił się ochotnik.
- Przyjrzyj się, bracie, canoe Miczi-malsa, abyś dokładnie przekazał wszystko mojemu ojcu.
- Ugh — Bizoni Róg jeszcze przez parę sekund obserwował statki po czym bezszelestnie zanurzył się w krzaki porastające brzeg ^{M^{SS1}} sipi.

Wojenna flota Unii znikła za zakrętem, jedynie terkot maszyn i d ulatujący z kominów zdradzał jej położenie.

— Rozdzielimy się na dwie grupy — zaproponował Gamesett towa j szom. — Ja z czterema wojownikami wyprzedzę canoe i będę szedł prz^o

ⁿⁿ¹¹ a ^uiecie w ślad za łodziami. Jeśli zajdzie potrzeba, wyślemy do ^{^toiy}r- , febie gońców...

Jastrząb, w otoczeniu dowódców, stał na wzniesieniu i obserwo-

HH7iaiv zajmujące bojowe stanowiska nad Missisipi. W wysokich h ustawiono armatę, którą Saukowie zdobyli w bitwach toczonych w puszcach nad Wabash River w roku 1812. Działo to, (owicie przechowywane w Saukenuk, miało teraz, według planów hema spełnić doniosłą rolę w zbliżającym się starciu z wojskiem Taylora W dwóch miejscach, gdzie oczerety schodziły aż w wodę, złożono -etki leciutkich canoe; wzdłuż brzegu, na przestrzeni pół mili, ukryły się Uastepy luczników i niezawodnych strzelców z broni palnej. Neapope przepawił czołmami na wyspę czterystu zbrojnych i zapadł w bujnej zieleni, wysiadającej jak wielka kopuła na środku olbrzymiej rzeki. Zrobiło się cicho. Jedynie wiatr szeleścił w chaszczach i woda z pluskiem uderzała o brzegi łagodnej zatoki.

Sędziwy Kwaskwamia zbliżył się do naczelnika i zameldował:

- Wszystkie stanowiska obsadzone, wodzu.
- Sachem nieznacznym gestem głowy potwierdził przyjęcie meldunku.
- Mój brat dalej pragnie być parlamentariuszem? — spytał. - Ugh.
 - To niebezpieczne. Taylorowi nie wolno ufać.
- Kwaskwamia musi naprawić błąd, który popełnił w Saint Louis pod wpływem wody ognistej.

Wzrok Czarnego Jastrzębia spoczął na poradlonej twarzy starego wodza.

Dobrze, ale niech mój brat będzie czujny. Miczi-malsa mogą nie iszanować białej flagi i zielonej gałęzi pokoju — powiedział.

I Uważają mnie za przyjaciela — odrzekł Kwaskwamia — a do Przyjaciół przecież się nie strzela.

tfoze... — z powątpiewaniem szepnął Czarny Jastrząb. , ^{Wró}cih się słysząc tętent mustangów.

Sachem spochmurniał. Ujrzał w

Brz^{ZyStWie} Waupesheka, wodza¹ Foxów, Śledzącego Lisa. w 8, ^w tym miejscu wolny od zarośli, wrzynał się niewielkim cyplem w >'sipi, dając doskonały widok na rzekę, jej brzegi i teren poza ^{m nadb}rzeźnych szuwarów.

- Keokuk wita Czarnego Jastrzębia — w głosie Foxa brzm' tłumiona niechęć.
- Witaj — szorstko odpowiedział Sauk.
- Miczi-malsa są już niedaleko, czemu mój brat nie kryje się, lecz st | na otwartej przestrzeni? Trzeba się schować w zarośla, inaczej zasadzka | nie powiedzie. — Keokuk mówił z ironią, lustrując oczami chaszczę

Twarz sachema zmierzchła. Hamując gniew, odparł:

- Czarny Jastrząb nie kryje się przed Długimi Nożami...
- A gdzie wojownicy? W Saukenuk ich nie ma.
- Keokuk pragnie pomagać czy przeszkadzać w rozmowie z białymi? — pytanie zabrzmiało zaczepnie.

Fox pochylił się z konia i z szerokim uśmiechem odpowiedział:

- Ani jedno, ani drugie. Chcę zabrać moich ludzi. W Saukenuk będzie gorąco.
 - Taylor w Saint Louis powiedział to memu bratu? — spytał Waupeshek.
 - Phi... — roześmiał się cynicznie Keokuk. — Radzę przenieść się poza Me-si-kse-pe.
 - Śledzący Lis poprowadzi tam swych zwolenników? — rzucił szaman.
 - Tak, wkrótce...
 - Nawet kuj ot nie wyrzeka się łowieckich terenów swych przodków — ostro rzekł Czarny Jastrząb.
- Jesteś, bracie, gorszy od kujota. Zabierz ludzi, którzy cię słuchają, i odejdz.

Keokuk splunął z hałasem i zawrócił mustanga.

— Niech Waupeshek pojedzie za tym szaleńcem — zwrócił się Czarny Jastrząb do szamana — i dopilnuje, aby nie uczynił w Saukenuk jakiegoś głupstwa.

Czas płynął wolno. Słońce przekroczyło najwyższy punkt nieba, a statki nie nadpływały. Atmosfera wyczekiwania nie sprzyjała rozmowie. Sachem siedział zatroskany.

Wreszcie Orli Dziób, bezustannie obserwujący horyzont, podniósł rękę mówiąc:

— Dym na południu.

Zerwali się z murawy. Nikłe smuzki dymu zlewały się z siną dałą.
— Płyną — stwierdził Czarny Jastrząb i zwracając się do P^{us}Z⁵
stego Ptaka, rozkazał: — Niech mój brat da sygnał wojow
kom.

Zaterkotała jelenia grzechotka, gdzieś wśród zarośli ktoś powtó• tak nrzekazywany sygnał popłynął
na krańce do czatujących,

tycznie narastał huk maszyn, a statki stawały się coraz
i eisz. Wreszcie pierwsze cztery parowce przepłynęły blisko wyspy,
worka natomiast pruć nurt tuż przy brzegu. Na pokładach
^ | w stali przy działach, żołnierze zwrócili broń ku nadbrzeżnym

•raroślom. ... — ' ' "'
rdv statki znalazły się powyżej wyspy, Czarny Jastrząb w towarzystwie osób podszedł na skraj cypła.
Młody wódz, Puszysty Ptak, wzmacniając głos bizonim rogiem, zawołał:

Hej Miczi-malsa! Sachem Sauków i Foxów pragnie z wami
rozmawiać.

Dwukrotnie jeszcze powtórzył prośbę, ale nikt z białych nie odpowiedział. Tylko oficerowie uważnie
patrzyli na brzeg.

Czarny Jastrząb dał znak Kwaskwamii. Stary wódz wraz z Wielkim Sokołem i Okrągłym Orzechem
wsiedli do canoe i odepchnąwszy się wiosłami, popłynęli ku parowcom, podnosząc zieloną gałąź z
zatkniętym płatem białego płótna. Podpływali do statku, gdy rozległ się trzask sztucera. Z rąk Wielkiego
Sokoła wypadło wiosło, a ciało bezwładnie legło na burcie, przechylając łódkę.

• Do wody! — krzyknął Kwaskwamia i zwinnie zanurzył się w rzekę. Za nim skoczył Okrągły Orzech.
Chwycili się czołna, czyniąc zeń zasłonę przed strzelcami.

• Psy! Nie uszanowali parlamentariuszy — ze zgorzaniem i gniewem powiedział Puszysty Ptak.

Czarny Jastrząb przyłożył dłoń do warg. Donośne wołanie orła popłynęło w przestrzeń.

- oczeretów porastających zatokę wypływać poczęły liczne canoe,

-hane silnymi uderzeniami wiosła, szybko znalazły się na środku rzeki i

vane jej prądem, zbliżyły się ku parowcom. Wojenny krzyk czerwono-
nych odbił się od lustra wody. Grad strzała i kul posypał się na statki.

'kanom zdawało się, że atakuje ich cała armia Sauków i Foxów, bo
a roła się od canoe, a ciągle nadpływały nowe.

"eize, skupiwszy się na dziobach parowców, strzelali. Choć

e pociski tu i tam dosięgały celu, to jednak ogień białych był

niejszy. Z wysokich pokładów mieli lepsze pole obstrzału.

Wstrza ^^ przetoczyli armaty z prawej burty na nowe stanowiska. Huk

Powietrzem. Fontanna wody i dymu wytrysła wśród indiańskich

łodzi. Wysoka fala przewróciła kilka łódek. Rannych porwał bystrzy Mississippi.

Wojownicy ukryci na wyspie i w nadbrzeżnych chaszczach milczeli!

Czarny Jastrząb z towarzyszami dawno opuścił cypel. Długo teraz celo w czołowy parowiec, na
którym, jak przypuszczał, musiał płynąć dowód wyprawy — pułkownik Zachary Taylor. Kilka razy
ustawiał lufę działa wreszcie dał sygnał do odpalenia. Głucho sapnęła w zaroślach armat Ułamek
sekundy — i potworny huk targnął statkiem. Pióropusz dym pojawił się nad pokładem. Zaskoczenie
żołnierzy było tak wielkie, że moment umilkła karabinowa palba. Przez rozpruty pociskiem bok wdzierła
się z szumem i pluskiem woda. Popłoch ogarnął białych. Spuszczano łodzie ratunkowe. Nie wszyscy
mogli się w nich zmieścić, toteż wielu skakało do rzeki i płynęło ku wyspie z nadzieją znalezienia tam
bezpiecznego schronienia

Rozpętała się zajadła strzelanina. Ostry zapach prochu rozwłóczył wiatr Nurt unosił puste canoe. Dwaj
przeciwnicy zmagali się w wodzie w śmiertelnych zapasach. Tonęli ranni, obficie krwawiący żołnierze.

Saukowie ponownie naładowali działa. Odpalili. Celny pocisk zdruzgotał turbinę i ster drugiego
parowca. Tonąc dryfował z prądem. Jeszcze jeden armatni strzał. Tym razem eksplozja nastąpiła poza
statkiem, nie czyniąc mu szkody.

Amerykanie wreszcie przemieścili armaty. Z gwizdem spadł pocisk w pobliżu indiańskiej reduty.

Grudy rozmięklej ziemi posypały się na kanonierów. Czarny Jastrząb nie zwrócił na to uwagi. Był już w
swoim życiu wielokrotnie pod obstrzałem amerykańskich dział w puszczech nad Wabash i Niagarą, pod

Thames River i na sawannach Południa... Spokojnie celował. Podniósł rękę. Strzał. Skutecznie trafiony trzeci statek zapadał się dziobem w wodę.

Zawyły syreny parowców. Pięć statków zawracało. I wtedy zarośli wzdłuż brzegu ożyły ogniem. Trzaskały muszkiety o długich lufach, wtórowały im sztucery, cienko brzęczały ciężki łuków. Pociski tłukły w burty i ściany nadbudówek. Żołnierze, leżąc na pokładach, odpowiadali nieustanną palbą.

Ostatni pocisk armatni wysiany za uchodzącymi statkami dosięgn. kotłowni jednego z parowców, wzniciając na nim pożar.

Czarny Jastrząb oparł się o lawetę armaty i w skupieniu patrzył na te bitwy. Klęska białych była całkowita. Żołnierze z tonących statków, P obstrzałem wojowników, uciekali na wyspę, nie wiedząc o ukrytych Saukach i Foxach.

„odziewanie pojawił się Nasheakusk.

i — zawołał zdyszany — Whistler prowadzi Miczi-malsa na

Saukenuk.

Skąd wiadomość? / Zwiadowcy odkryli białych jeźdźców.

„Gdzie są?

[W pobliżu Wilczego Jaru.

„Dużo?

Dwustu. / Keokuk jest z nimi?

- Nasheakusk nie wie.

Sachem, wytarłszy spoczone czoło, położył dłoń na ramieniu syna, powiedział:

Weźcie z Saukenuk wszystkich wojowników. Wigwamy i kobiety niech zostaną pod opieką chłopców i starców. Zagroźcie drogę Długim Nożom. Ja wkrótce przybędę wam z pomocą.

Gdy Nasheakusk oddalił się, Czarny Jastrząb przywołał Puszystego ptaka. Poinformował go o nadciągającym ze wschodu niebezpieczeństwie.

— Mojemu bratu powierzam pięćdziesięciu wojowników — mówił — to powinno wystarczyć, aby zbłąkanych na brzeg żołnierzy schwytać lub pokonać w walce. Gdy tylko na wyspie i na rzece uporacie się z niedobitkami Miczi-malsa, śpieszcie zabezpieczyć Saukenuk.

- Ugh — przyjął rozkazy młody wódz Foxów.

Sachem ściągnął z zarośli część dobrze uzbrojonych ludzi i poprowadził ich przeciw szwadronom majora Whistlera.

Pułkownik Zachary Taylor na ratunkowej szalupie zbliżał się do wyspy. | a nim płynęły inne łodzie. Zastanawiał się, dlaczego nikt z tych, którzy obili do wybrzeży, nie usiłuje strzelać do indiańskich canoe, choć wielu jowało z bronią. Przewornie polecił skrócić w prawo. Z wysiłkiem wali wzdłuż brzegu. Przybiwszy do małej zatoczki, zapadli w zczce. Wokoło panował spokój. Jedyne na rzece grzmią kano nada.

'szy stanowiska poczęli prażyć w coraz gęściej nadpływających⁰ ułatwiało samotnym pływakom docieranie do zbawczego

— K

Pitanie Turyn! — wołał Taylor przekrzykując huk karabinów — wysłajcie ludzi na drugą stronę wyspy i obsadźcie brzegi. Nie m<v dopuścić tutaj czerwonych. To jedyna szansa naszego ocalenia.

Nim Turyn zdołał zorganizować bojowe grupy, poza plecami bi rozległ się mrozący krew wojenny krzyk Sauków i Foxów 7^' zatrzęsły się bitewnym zgiełkiem.

Biali z trudem bronili swej pozycji. Zamknięci pierścieniem od l zagrożeni od rzeki nadpływającymi canoe, toczyli beznadziejny bój o ?v |

Taylor gorączkowo szukał wyjścia z sytuacji. Jedyne ratunkiem bvl-h odsiecz. Czy mogli na nią liczyć? Wątpił. Bujna roślinność wyspy zasłania! widoczność, więc nie wiedział, co stało się z parowcami. Podzieliły los iee statku albo taktycznie odpłynęły. Czy wrócą?... Być może. Tu jednak decydowały minuty. Amunicja topniała błyskawicznie. Mieli jej tyle ii zdołali w pośpiechu wziąć z sobą

przed opuszczeniem parowca.

Coraz więcej było rannych. Lufy sztucerów parzyły palce. Oczy wypatrywały przeciwnika. Pot rozmazywał osiadły na twarzach dym i strzępy prochowej sadzy.

- Pułkownik, nie wytrzymamy! — krzyknął Turyn.
- Odwrót! Do szalup i w dół Missisipi! — Taylor podniósł się. Za nim żołnierze.

Był ku temu najwyższy czas. Chmara canoe docierała do wyspy. Grad strzał i kul szeleścił w listowiu, strącał gałązki, tu i tam powalał żołnierzy.

Jeszcze chwila i ciężką łódź Taylora porwał prąd wielkiej rzeki. Pomknęły za nią lekkie czółna Indian. Huczały strzelby.

A na wyspie dobiegał końca bój z białymi, którzy nie zdołali dostać I do szalup...

W połowie drogi między fortem Fox a Saukenuk ciągnie się pusze pełna jarów, wąwozów i uroczych dolin. Właśnie na skraju jednej tak doliny zaczęli się wojownicy Sauków i Foxów. Poszycie lasu było gęste, wysokiej skarpy odsłaniał się doskonały widok na wijący się knieją tr. Stworzyła go sama natura, bowiem biegł tędy szeroki pas bezdrzewnej niecki. Wprawdzie na jej zbocza wkraczały pojedyncze drzewa i krzew, środkiem można było bez przeszkód podróżować nawet ciężkimi wozami. Tam, gdzie roślinność przeszkadzała, ludzka ręka powaliła pnie i krza ten sposób powstał szlak łączący Chicago z Saint Louis.

Nasheakusk, Orzeł Prerii i szaman Waupeshek siedzieli na murawianym wierzchu. Nie rozmawiali. Bo po co? Cel wyczekiwania był widać. Wokoło krążyli zwiadowcy. Czuwały stráže.

W powietrzu wyczuwała się woń kwiatów, ziół i butwiejących roślin. W powietrzu unosił się dostoyny poszum i śpiew ptaków. Leniwie płynął nad koronami drzew

W powietrzu bezszelestnie wychynał z zarośli wojownik. Nadjeżdżają — zameldował. — Są już blisko. ^ ,
u ueda przy tamtym jesionie — szaman wskazał ręką na dolinę —
u urai da nam znać dwukrotnym krzykiem kruka, niecił ordi Indianin oddalił się.

W powietrzu muszą upaść zaraz po wołaniu orła — przypomniał Waupeshek — Od tego zależy powodzenie naszego uderzenia. Równocześnie musi przemówić broń — uzupełnił Orzeł Prerii. — przytaknął Nasheakusk.

Obaj poszli wykonać zadania, a szaman, z podwinętymi nogami, jak posąg, siedział oparty o pień.

Minął kwadrans. Dwukrotnie zaskrzeczał kruk. W polu widzenia ukazało się trzech kawalerzystów Unii w towarzystwie czarnobrodego przewodnika. Jechał pochylony nad karkiem konia obserwując ziemię: czasami unosił głowę, bacznie spoglądając na zarośla. Żołnierze z gotowymi do strzału sztucerami kłusowali za nim. Minęli ukrytych po obu stronach szlaku wojowników i znikli w zieleni lasu.

Do uszu czatujących docierać począł stale narastający tętent i wreszcie pojawili się jeźdźcy. Na przedzie podążała szpica zabezpieczająca kolumnę, a nią oficerowie, wśród których Waupeshek poznał majora Whistlera, a dalej szwadrony jazdy. Mięśnie na twarzy szamana stężyły. Spojrzeniem mierzył odległość i szukał od miejsca zasadzki. Podniósł dłonie. Krzyk orła rozbrzmiał nad doliną.

W powietrzu zwoch stron zwożającego się szlaku zatrzeszczały wysokie sosny, wyczuwały się nadcięte tuż przy ziemi pnie, z łomotem runęły w środek lasu. — Kwik koni, okrzyki zaskoczonych żołnierzy, wzywianie o pomoc, wycie konarami mieszały się ze świstem strzał, hukiem muskietów, wyciem czerwonoskórych. W dolinę wjechali indiańscy

W powietrzu szybko sformował się szalik i przyjął uderzenie. Ostrza szabel starły się o siebie. Pułkownikami i włóczniami. Tu i ówdzie padł strzał. Indianie wypatrywali przeciwnika odsłaniając żołnierzy, wtedy z zarośli zahuczała salwa. Biali odpowiedzieli ogniem. I znowu, zagrzewając się okrzykami, wypadła z lasu indiańska jazda. Prawym jej skrzydłem dowodził Orzeł Prerii, lewym — Nasheakusk. Półkolem natarli na zaplątaną jazdę konary drzew konnicę Unii. Jakiś kawalerzysta ciął z rozmachem Sauka. Skrwawione ostrze szabli podniósł do nowego ciosu, gdy ciśnięty ręką Orła tomahawk trafił go w tył głowy zwalając z siodła. Nasheakusk zmierzył się z oficerem, odbił lufą strzelby cięcie szabli i błyskawicznie rzucił nożem trafiając w pierś przeciwnika. Walka wręcz była zjadła, bezpardonowa.

Wtem zatrzeszczały kościane grzechotki. Indianie zawrócili w las. Zarośla na zboczach doliny ożyły rozbrzmiewaniem wystrzałów.

Whistler, widząc katastrofalną sytuację, wezwał żołnierzy do odwrotu. Ostrzeliwując się, z trudem wyprowadzano ludzi i konie spośród płataniny powalonych konarów.

Indiańscy jeźdźcy, z wojennym krzykiem, ponownie przypuścili szarżę. Tylko niewielka część żołnierzy przyjęła ich uderzenie. Główne siły w popłochu wymykały się z niebezpiecznej zasadki. Niedaleko uszli, **boi** czerwonoskórzy znowu atakowali ich tyły i boki.

Major Whistler postanowił przejść do kontrataku. Znalazłszy dogodny teren, szybko przygotował szwadrony i strzelców. Dolina tutaj zieleniła się rozległą łąką. Nadciągających galopem Sauków i Foxów powitała salwa i z impetem ruszyła konnica dowodzona przez porucznika Darkina.

Rozpierzchły się szeregi Indian. Wrzawa głosów ludzkich zmieszała się ze szczękiem broni. Krew czerwienią barwiła trawy. Lepiej uzbrojeni Amerykanie poczęli brać górę nad Indianami. Whistler był już pewny, zwycięstwa.

Nagle w dolinie pojawili się nowi jeźdźcy. Wojenny krzyk na chwilę zagłuszył bitewny zgiełk.

— Czarny Jastrząb! Czarny Jastrząb! — rozległo się triumfalne wołanie.

Kawaleria Unii, zaatakowana ze zdwojoną siłą, zawróciła. Sachem, doświadczony strateg, nie pozwolił Amerykanom odetchnąć. Następował¹ im na tyły, szarpał boki kolumny; pozorował większe natarcie, a gdy wojsko Whistlera zajmowało obronne pozycje, zasypywał białych pociskami i zupełnie z innej strony zniemacka uderzał i po krótkiej %alce wycofywał wojowników.

Żołnierze Unii, atakowani dniem i nocą, z trudem brnęli przez puszcę, znacząc drogę ciałami poległych. Rosnąca liczba rannych utrudniała pochód. Zmęczeni, u kresu wytrzymałości, wyszli z puszczy na stępi;

Odetchnęli z ulgą. Na otwartej przestrzeni Whistler uporządkował szwadrony. Raźniej ruszyli naprzód.

Indianie szli za nimi. W dzień nie atakowali. Natomiast każdej nocy huczały strzelby, trzeszczały jelenie grzechotki i niósł się bojowy krzyk czerwonoskórych.

Wreszcie w przymglonej dali zamajaczyły baszty fortu. Sygnał trąbki zadźwięczał metalicznie. Po paru minutach przez otwarte wrota wjeżdżali na dziedziniec warowni z gorzkim uczuciem poniesionej klęski.

Czarny Jastrząb w bezpiecznej odległości od fortu zatrzymał wojowników. W otoczeniu dowódców patrzył na twierdzę.

— Uderzmy, ojcze — powiedział Orzeł Prerii. — Miczi-malsa ponieśli poważne straty, są w tej chwili słabi. Zdobędziemy fort.

Spojrzenia naczelników z nadzieją zawisły na obliczu sachema. Pokręcił głową. Powiedział:

- Mają armaty. Zza palisady łatwo strzelać. Zginęłoby zbyt wielu wojowników.
- Więc wracamy? — w głosie Nasheakuska brzmiał zawód.
- Tak. Zostawmy tu dla Miczi-malsa zawieszony na kiju wampum z siwymi symbolami.
- Zlekceważą ostrzeżenie — rzeki z przekonaniem Waupeshek.
- A cóż możemy zrobić? — Czarny Jastrząb obserwował ostrokół warowni. — Co znaczy jeden zniszczony fort? Na ziemi naszej jest ich więcej: Milwaukee i Chicago, Edwards i Madison, Alton i Saint Louis... A Sauków i Foxów mało.

• Zwyciężyliśmy przecież! — zawołał Nasheakusk.
• Tak, synu. Może porażka białych twarzy przyniesie na jakiś czas spokój naszym wigwamom...
• Spójrzcie! — Orzeł Prerii wskazał na warownię. — Na palisadzie stoją Miczi-malsa. Oczekują naszego ataku.

• Ugh. Nie trzeba ich wyprowadzać z błędu — powiedział sachem. — Zostanie tu dwudziestu wojowników i będzie krążyć wokół fortu, aby biali nie czuli się bezpiecznie. Kto z moich braci obejmie nad tą grupą dowództwo?

• Ja! — zawołał Orzeł Prerii.

Czarny Jastrząb z niezadowoleniem ściągnął brwi.

• Pozwól, ojcze — żrenice Orła płonęły prośbą.

• Dobrze — odparł z wahaniem wódz. — Na tamym wzniesieniu — Wskazał ręką — rozbijemy obóz. Wojownicy odpoczną po trudach walki, a ^my omówimy twoje zadania, Orle.

SAMOTNYM SZLAKIEM

Żółty Liść, opuściwszy wigwam Czarnego Jastrzębia, na dużej trzcinowej tratwie, wraz z mustangiem, przepłynął na prawy brzeg Missisipi. Jutrzenka barwiła już niebo. Ostrożnie kłusował w dół rzeki, naprzeciw nadpływającym parowcom. W miejscu, gdzie koryto zakreślało łuk, a wody oblewały zieloną

kopułę wyspy, zatrzymał się patrząc na migocące m blaskach świtu fale. Stąd mógł obserwować sporą powierzchnię rzeki. Postanowił tu zapaść na czatach.

Wierzchowca ukrył wśród krzewów rosnących dość daleko od brzegu. Wyszukał sobie dogodne miejsce i ułożywszy się w bujnej trawie, słuchał szumu i plusku płynącej wody. Zupełnie niepostrzeżenie poszybował myślami ku rodzinnej wiosce, do Promyka Księżyca i wydarzeń nad¹ Zielonym Jeziorem, do poszukiwań nieuchwytnego tropu...

Jakiś dźwięk oderwał go od wspomnień. Przyciągając bliżej do siebie strzelba uważnie patrzył na rzekę, wyspę i zarośla. Po przeciwległej stronie dojrzał gromady wojowników. Kilkanaście canoe, przepelnionych ludźmi, dopływało do wysepki. Mimo oddalenia rozpoznał Sauków i Foxów. Zrozumiał, że tu przygotowują zasadzkę na wroga. Nie spuszczać niczego z oczu, znowu oddał się rozmyślaniom.

Czas włókł się leniwie. Słońce przygrzewało. Winnepagi zdjął z głowy wilcze okrycie i rękawem obtarł spoconą głowę. Gdy znowu naciągnął czapkę, ujrzał na południu dym. Serce mu zabiło żywiej. Płynęły statki. Czy dojrzy na nich swych wrogów?...

Parowce, zbliżywszy się do wyspy, skrzyły pod lewy brzeg Missisipi. Żółty Liść nie mógł rozpoznać twarzy ludzi kręcących się na pokładach. Gdyby statki przepływały pod prawym brzegiem, byłoby inaczej.

Zieleń wyspy zasłoniła parowce. Wtedy, kryjąc się za nadbrzeżną roślinnością, pobiegł w górę rzeki. Zobaczywszy mnóstwo płynących ku statkom canoe, legł wśród oczeretów. Z wymierzonym karabinem obserwował przebieg błyskawicznie rozwijających się wypadków. Z trwogą słuchał grzmotu armat i ze zdumieniem patrzył na tonące statki. Kilka razy celował w białych żołnierzy, ale w ostatniej chwili rezygnował ze strzału. Duch Opiekuńczy, jak sądził, szeptał mu, że nie g[^]dzi się wojownikowi strzelać z ukrycia do nieprzyjaciela. Leżał więc obserwując rzeczny bój.

Zgiełk bitwy zgłuszyły szelesty stąpań. Kilkanaście kroków od Żółtego Liścia przysiadł człowiek.

— Wojownik Winnepagów jest zwiadowcą czy przypadkowo znalazł się tutaj? — zabrzmiały słowa w dakotańskim narzeczu.

Liść nie poruszył się, choć serce uderzyło mu gwałtownie. Mocniej ścisnął strzelbę. Bez pośpiechu odwrócił głowę. Ujrzał młodziutkiego wojownika Osagów z twarzą pokryta wojennymi barwami.

— Mój brat ma czyste oblicze — mówił dalej Osag — więc dąży ścieżką pokoju, a Jeleni Róg wybrał wojnę.

Chwilę z napiętą uwagą spoglądał na rzekę, po czym zawołał:

— Saukowie i Foxowie zwyciężają!... Uff, wódz Miczi-malsa ucieka z wyspy...

Żółty Liść zobaczył pułkownika Taylora płynącego z prądem Missisipi i chmurę ścigających go canoe. Radość rozparła piersi Liścia. Całym sercem był po stronie zwycięskich współbraci.

— Winnepagi sprzyja Miczi-malsa czy Saukom? — spytał z przyciskiem Jeleni Róg.

Żółty Liść zmagał się z sobą. Jako zhańbiony, nie mógł rozmawiać z wojownikiem. Powinien od razu mową znaków wyjaśnić sytuację i spiesznie odejść. Coś go jednak powstrzymywało od takiego postawienia sprawy. Może urzeczony niezwykłym obrazem bitwy, a może z woli Nabash-cisa pozostawał jakby przykuty do brzegu wielkiej rzeki. — Dlaczego Winnepagi milczy? — w głosie Osaga zabrzmiała urażona duma.

Żółty Liść usiadł nie odkładając broni i wymijająco odparł:

- Idę własną ścieżką.
- Dokąd?
- Do Miczi-malsa, ale nie do tych — wskazał na rzekę.

— Może do tamtych z Wielkich Borów? — spytał zaciekawiony Osag.

Żółty Liść skinął głową.

• Jesteśmy zatem braćmi — rzekł z rozjaśnionym obliczem Jeleni Róg. — Biały wódz, Snelling, wypalił kalumet przymierza z Osagami. Winnepagom też sprzyja. Jest u niego młoda squaw z waszego plemienia.

• Widziałeś ją? Jak się nazywa?! — niemal krzyknął podniecony Żółty Liść, wbijając spojrzenie w Osaga.

- Jeleni Róg nie zna jej imienia. Jest ładna.

Przed oczami Liścia zawirował świat. Serce przyspieszyło rytm, pierś mu falowała. Po głowie tłukła się

uporczywa myśl: „Promyk Księżycy! To ona! Moja umiłowana...”

— Snelling w Wielkich Borach walczy z Dakotami Wanety — mówił

Jeleni Róg. — Zmartwi się wieścią o klęsce białych. Mój brat opowie mu o-i bitwie na Me-si-kse-pe?

Żółty Liść milczał.

Osag, zdziwiony zachowaniem się Liścia, zlustrował go badawczo i; dopiero teraz dostrzegł głęboko naciągniętą na głowę wilczą czapkę bez jednego pióra.

— Kim jesteś? — w szorstkim pytaniu zabrzmiał niepokój.

Żółty Liść z trudem wyzwolił się z własnych myśli, przymglonymi oczami popatrzy! na Osaga i powiedział:

• Zaniosę wiadomość do Wielkich Borów. — Po pauzie spytał: — Osagowie walczą po stronie Miczi-malsa?

• Ugh — odrzekł Jeleni Róg i ze zniecierpliwieniem rzucił: — Jakie nosisz imię?

• Winnepage — z naciskiem odparł Liść i wskazując łufą strzelby zarośla, dodał: — Tam stoi mój mustang i tam ubarwię swoje oblicze znakami wojny. Będziemy razem, Jeleni Rogu, na wojennej ścieżce... Dzięki ci za gadatliwość. Sprawić to musiał Manitou. Bywaj, Gadatliwy Jeleniu. — Wstał i ruszył wyciągniętym krokiem.

Osag patrzył za nim pełen zdumienia. Uszczypliwa przygana, jakaj usłyszał, wprawiła go w zakłopotanie. Nie mógł pojąć dziwnego zachowania się Winnepage.

Na wyspie i lewym brzegu Ojca Wód dobiegały końca ostatnie walki czerwonoskórych z białymi, gdy Żółty Liść, dosiadłszy wierzchowca, ruszył na północ, ku Wielkim Borom. Przynagłał mustanga. Spiesz się. Gnała go niecierpliwość i nadzieja, że może wśród żołnierzy Snellinga Jeleni Róg widział Promyk Księżycy, że może właśnie tam, w obozowisku białych, odnajdzie ukochaną i swoich wrogów?...

Rozbił obóz nad Upper River, prawym dopływem Missisipi, w wykrocie po zwałonym przez tornado¹ drzewie. Nad ogniem piekła się ustrzelona z luku kaczką. W pobliskich konarach białych dębów pohukiwała sowa. Jej przenikliwy, o głębokiej tonacji głos złowieszczo wwierał się w mózg Żółtego Liścia, wzniecając zabobonny lęk.

„Sam Kanaha² wcielił się w sowę czy May-may-gwenis³ zaczynają straszyć?... Czegóż chcą?...” — zastanawiał się Winnepage.

I nagle poraziła go trwoga. Znieruchomiał wpatrzony w zamazane nocą sylwetki drzew, skąd co chwila odzywało się hukanie sów. Uzmysłowił!

sobie, że złamał odwieczne, ustanowione przez Manitou prawa. Jako zhańbiony odważył się rozmawiać z wojownikiem Osagów. Teraz pewnie wszystkie złe duchy prerii i puszczy osaczają go i nim przyjdzie świt, ześlą nań nieszczęście.

„Co robić?” — usilnie szukał w myślach ratunku. Zastanawiał się, jakie duchy przywołać, jakich użyć modłów i zaklęć, aby odpędzić Kanahę i setki służących mu chochlików, duszków i gnomów.

Nie zauważył, że ognisko przygasa; słuchał z trwogą wołania sów. Prawie mechanicznie wyciągnął spoza bluzy wampum, który otrzymał od szamana Waupesheka w Saukenuk, i począł mówić, początkowo nieśmiało, bojaźliwie, a potem z żarliwością:

— O, Nabash-cisa, Duchu Światłości i Dobroci, spraw, aby twój brat, zły Kanaha, i orszak jego chochlików opuścił uroczysko i okolice; uczyn łaskę i wybac mi, że łamiąc obyczaje naszego ludu, rozmawiałem z Jelenim Rogiem, ale dzięki tej rozmowie zdobyłem cenną wiadomość, teraz wiem, gdzie szukać sprawców mej hańby. O, Nabash-cisa, nie opuszczaj mnie, przyślij tu Ducha Opiekunczego, niech czuwa nad moim snem i szlakiem mej samotnej wędrówki...

Żar ogniska pokrywał się siwym nalotem popiołu, tylko gdzieniegdzie jeszcze kołysały się malutkie języczki niebieskawych płomyków. Skarpy jaru otulał mrok. Ucichły pohukiwania sowy. Z szelestem skrzydeł przemknął w pobliżu jakiś ptak.

Żółty Liść obejrzał się wokoło i niespodziewanie zobaczył na skraju wykrotu dwa świetliste punkty. Migotały fosforyzującym światłem. Zimny dreszcz przeszedł po plecach Winnepage. „Kanaha czy jakieś zwierzę?” — spytał sam siebie i sięgnął po strzelbę. Gdy wycelował broń, niczego już nie dojrzał. W ciszy bezwietrznej nocy tajemniczo szumiała rzeka.

Żółty Liść rzucił wiązkę chrustu na gasnące węgle. Nie odkładając strzelby uważnie przyglądał się zarośłom i w modlitewnej prośbie wzywał Ducha Opiekunczego. Ogień objął suche gałęzie, płomienie

rozświetliły noc. W pobliżu dębów, w których do niedawna pohukiwała sowa, rozległo się groźne prykanie pumy.

Winnepago zdjął pieczeń z rozna. Jadł bez apetytu. Był roztrzęsiony. Położył się wygodnie obok ogniska, ale sen nie przychodził, choć tylko monotonny szmer wody w rzece mącił ciszę nocy.

O brzasku spożył resztę upieczonej wieczorem kaczki i przysypawszy ziemią węgle, ruszył na szlak. Klucząc bezdrożami dotarł wreszcie do Wielkich Borów. Zmęczony, bo przez ostatnie trzy doby jechał prawie bez

odpoczynku i snu, postanowił zaobozować w cieniu leśnych olbrzymów. Uwolnił mustanga z derki i podróżnej sakwy. Cały swój ekwipunek złożył pod sosną i począł gromadzić drewno na opał. Sporo czasu minęło, nim ułożył pokaźnych rozmiarów stos gałęzi i szczap. Uwiązał konia do pnia i sam ruszył zbadać okolicę. Szukając ludzkich tropów czujnie wsłuchiwał się w odgłosy kniei. Gdzieś w tej puszczy, według informacji Osaga, znajdowali się żołnierze Unii. Musiał być ostrożny. Żadnych śladów nie odkrył. Uspokojony wrócił do swego obozowiska. Przy nikłym ogniu spędził wieczór i noc. Rankiem wykapawszy się w Missisipi, w doskonałym nastroju dosiadł wierzchowca.

W drugim dniu wędrówki przez puszcę usłyszał jakby dalekie wystrzały. Zatrzymał konia, uważnie wsłuchiwał się w echo leśne. Huk wybuchał i gasł, dudnił jak turkot grzmotu podczas burzy, milkł całkowicie na przeciąg paru minut i znowu odzywał się ze wzmoczoną siłą. Gdzieś w głębi kniei toczyła się bitwa.

Żółty Liść ruszył wprost na kanonadę. Początkowo ponaglał wierzchowca, potem zwolnił i jechał bardzo ostrożnie. Echo wciąż niesło karabinową palbę. Odróżniał już salwy i pojedyncze strzały. Przebył jeszcze kawałek drogi i do jego uszu dotarł, głuszony hukiem, wojenny krzyk czerwonoskó-rych.

Winnepago objeżdżał bagienną nieckę, gęsto porośniętą roślinnością, gdy w puszczy zaległa cisza. Pochylony na karku mustanga ze zdwojoną czujnością dalej jechał przed siebie. Nagle zatrzymał się. Czyżby ludzkie głosy?... Uwiązał konia do pnia klonu i przemykając od drzewa do drzewa dotarł do splecionej ściany łożyn i trzcin. Ostrożnie począł skradać się przez gąszcz prętów i liści. Ziemia stawała się coraz wilgotniejsza. Przed nim pluskała i szumiała rzeka. Jeszcze chwila i Żółty Liść legł na błotnistym brzegu. Rozchyliwszy szuwały ujrzał szeroko rozlane wody, a za nimi obozowisko żołnierzy Unii.

Od strony lasu otaczał biały wysoki ostrokół, zbudowany z grubych pni. Z tyłu chroniły ich rzeki: Missisipi i jej dopływ — Minnesota. W tym trójkącie, wyznaczonym przez widły dwóch schodzących się rzek i palisadę, żołnierze budowali z okrągłaków blokhausy⁴. Jeden już był gotowy, drugi — większych rozmiarów — zaczęty. Duże ilości powalonych drzew i slosy masywnych desek zaścielały w nieładzie przestrzeń, świadcząc, że Amerykanie wznosili tu fortyfikację. Na pomoście obiegającym od wewnątrz ostrokół czuwało wojsko.

Nic więcej nie mógł ustalić. Wycofał się ze swego stanowiska i wróciłszy do uwiązanego mustanga, i ruszył na zachód, w górę Minnesota River. Przed zmierzchem przeprowił się w pław na drugi brzeg rzeki i wyszukał dogodne miejsce na nocne legowisko. Bez ognia, ze strzelbą na kolanach, oparty plecami o pień wielkiego jesionu, z koniem obok, przesiedział całą noc. pozwalając sobie jedynie na drzemanie. Najlżejszy szelest w lesie podrywał go na nogi. Z bronią gotową do strzału oczekiwał drapieżnika lub nieprzyjaciela. Noc jednak minęła spokojnie. Ledwie pojaśniało, już jechał z powrotem na wschód, ku białym.

Około południa niespodziewanie wychynął z zarośli wojownik Dakotów i podnosząc rękę spytał:

— Dokąd zdąża mój bral, Winnepago?

Żółty Liść zatrzymał mustanga, pokazał wampum otrzymany od Waupesheka i mową znaków odpowiedział:

— Odejdź, nie mam imienia. Niosę dla waszego szamana ważne wieści.

Wojownik znikł w krzakach. Żółty Liść spokojnie zawiesił na piersi wampum, przeczekał chwilę, aby Dakota zdążył poinformować o nim swych współtowarzyszy, i swobodnie ruszył przed siebie. Widział wśród drzew, w pewnej odległości, przemykającą postać. Zrozumiał, że w ten sposób wskazywano mu drogę.

Wjechał na polanę. Tu j obozowali Dakoci. Nad ogniskami piekło się bizonie mięso. Wszędzie kręcili się wojownicy. W środku polany, na długiej zerdzi, wbitej w ziemię, kcpłysał się pęk orlich piór. W tę stronę zmierzał wojownik prowadzący Żółtego Liścia. Winnepago objechał polanę i najkrótszą drogą zbliżył się do ogniska, przy którym siedzieli naczelnicy. Nie schodząc z konia, wyciągnął przed siebie wampum i zamknął oczy. Minęły długie minuty wy/czekiwania, nim usłyszał:

— Biały Bizon, szamani Dakotów, zezwala ci, synu, zsiąść z mustanga.

Żółty Liść podniósł powieki. Przy ognisku zobaczył tylko szamana i naczelnego wodza, WaneUę. Inni dowódcy pośpiesznie odeszli. WinnePago zsunął się z konia i opuściwszy głowę, przybrał postawę pełną pokory.

• Odczytałem wampijm mego brata, Waupesheka, synu. Mów, co cię tu sprowadza — powiedział z łaskawością Biały Bizon.

• Wojownicy Saukóv, v i Foxów zwyciężyli Miczi-malsa na wodach Me--si-kse-pe — mówił Żółty Liść. — Zatopili cztery wielkie ogniste canoe białych twarzy.

• Znasz przebieg bi twy? — spytał Waneta. - . Ugh. |

• Opowiedz dókładiiiiie — poprosił wódz.

WinnePago opisał słowami, jak mógł najlepiej, klęskę białych. Na zakończenie dorzucił):

• Osagowie wykopali tomahawk wojenny przeciwko Czarnemu Jastrzębiowi.

• Skąd wiesz, synu? — zaciekaWi! się Iszaman.

• Widziałem zwiadowcę i...

• ... i co? Żółty Liść milczał.

• Mów! — rozkazał Biały Bizon.

• Ojczy, nie wiem, czy mogę — szepną¹! spojrzawszy na Wanetę. — Obraziłem Nabash-cisa.

• Rozmawiałeś z Osagiem?

• Tak — potwierdził z lękiem.

• Wyznaj wszystko, synu — głos szamiana był karcący. — Wielki Waneta może słyszeć.

Opowiadaj.

Żółty Liść, niczego nie ukrywając, opowiedział o swoim spotkaniu z Jelenim Rogiem.

— Popatrz na mnie — polecił Bizon. |

WinnePago spojrzeł na poważną i zatroskaną twarz szamana. Nie wytrzymał przenikliwości jego wzroku i uciekł oczami w bok.

• Kanaha cię prześladował, prawda? — rz: skł Biały Bizon. Żółty Liść potwierdził ruchem głowy. — Odpędzę Ducha Ciemności od ciebie, synu. Głos szamana brzmiał ciepło. — Czy masz dla nas jeszcze jakieś wiadomości?

• Nie.

• Dokąd teraz pojedziesz?

• Do Miczi-malsa, ojczy. |

• Do Długich Noży w widłach rzek? — spytał Waneta.

• Tak.

| — To ryzykowne, synu — ostrzegł go szaiman. — Możesz zginąć.

Wejdiesz wilkowi w paszczę.

Żółty Liść wzruszył ramionami. v «*

• Jesteś mężnym wojownikiem — pochwalił Waneta. — Bądź ostrożny i nie narażaj bez potrzeby życia. — Po krótkiej pauzie dodał: — Przyjrzyj się Długim Nożom, zbadaj, co robią, co planują, ilu ich jest... Gdy szczęśliwie wrócisz, przyjdź i opowiedz.

• Hugh — szepnął Żółty Liść.

— Oczekujesz czegoś ode mnie? — spytał sz/Jiman widząc na twarzy

WinnePaga zakłopotanie. 1

• Ugh.

• Mów śmiało.

- Jeleni Róg twierdził, że u Miczi-malsa jest squaw WinnePagów... — przerwał zażenowany i cicho spytał: — czy to prawda, ojczy? Szaman rozłożył ręce.

— Nikt z wojowników nie meldował o tym. Może jest, a może była przed przybyciem Dakotów.

Żółty Liść pochylał ze smutkiem głowę.

Szaman lewą dłonią wykonał jakieś magiczne znaki i powiedział:

— Ruszaj na szlak, synu. Twój Duch Opiekunczy jest z tobą.

WinnePago pokłonił się z godnością, wskoczył na mustanga i opuścił polanę.

Włókił się bez pośpiechu, zostawiając koniowi całkowitą swobodę w wyborze drogi wśród leśnej

gęstwiny. Zastanawiał się, jak się zachować w osiedlu białych. Różne wersje planów, które rodziły się w jego umyśle, odrzucał, w każdym znajdując jakąś wadę.

Mustang wyniósł go po łagodnym zboczu na wzgórze porośnięte dorodnymi świerkami. Ziemia tutaj była zasłana zeschniętym igliwem i wolna od krzewów. Zapach żywicy odurzał. Nagle zatrzymał wierzchowca. W splotach korzeni sterczących nad powierzchnią leżały rozrzucone kucze pióra, puch i szczątki drobnych kostek. Musiała rozegrać się tu tragedia. Kruk mógł paść ofiarą pumy, może dosięgła go zbłąkana kula podczas bitwy Amerykanów z Dakotami, albo po prostu zginął ze starości. Lotki były długie, czyste i równe. Ileż to podobnych obrazków minął Żółty Liść podczas swej samotnej drogi. Aż ten zwrócił jego uwagę. Jak błyskawica przyszło skojarzenie: peruka i kucze pióra! Chrząknął z radości, olśniony tą myślą. Już wiedział, jak wjechać do fortu bladych twarzy. Jeśli są tam jego wrogowie — oficer z małymi wąsikami i Czarna Zarośnięta Twarz, to w peruce z piórami kruka nie potrafią w nim poznać zhańbionego wojownika znad Zielonego Jeziora.

Wybrał najładniejsze lotki i wyjąwszy z torby perukę, ofiarowaną mu przez Mokera, powpinał w nią kucze ozdoby. Schował wilczą czapkę i starannie nałożył na głowę okrycie zrobione z cudzych włosów. Początkowo czuł się nieswojo, ale potem jako tako przywykł do peruki.

O świcie, gdy w forcie wszczął się ruch, wjechał na otwartą przestrzeń. Zobaczył skierowane w siebie lufy strzelb i obserwujących go żołnierzy. Podniósł do góry zieloną gałąź i dawał pokojowe znaki. W miejscu, gdzie urywała się nie dokończona palisada, wjechał na teren fortu i zsiadł z mustanga. Od razu otoczyli go uzbrojeni ludzie.

— Czego tu chcesz? — szorstko spytał młody podoficer.

Żółty Liść nie rozumiał, choć domyślił się, o co jest pytany. Zachowując spokój i pomagając sobie gestykulacją odrzekł:

- Mam dla białych braci ważne wiadomości. Zaprowadźcie mnie do swego wodza.
- Rozumiesz, John, co on mówi? — spytał podoficer jednego z żołnierzy.
- Chyba chce do pułkownika Snellinga.
- A po co?... Może to nasłany łotr.
- Nie wiem. To Winneepago. Zbyt młody, by mógł być groźny — odrzekł John.
- Zameldujcie, Burton, pułkownikowi — rozkazał podoficer. — A wy pilnujcie bestii — zwrócił się do pozostałych. — Z Indianami nigdy nic nie wiadomo.

Żółty Liść chwycił uzdę mustanga i otoczony, omijając sterty belek i desek, poszedł pod jedyny, niedawno zbudowany blokhauz. Długo czekał, znosząc palące, nienawistne spojrzenia. Ukradkiem badał otoczenie. Przyglądał się twarzom żołnierzy i oficerów. Żadna nie przypominała ludzi znad Green Lake.

Wreszcie pojawił się człowiek w traperskim ubraniu, z rudą, pozlepianą brodą; z włosami opadającymi w ogromnym nieładzie na kołnierz i ramiona łosiowej bluzy. Bez ceregieli klepnął Żółtego Liścia w plecy f dziwacznie mrugając, zagadał mieszaniną indiańskich dialektów:

• Czego tu szukasz, bracie? Przysłali cię Dakotowie? Jesteś szpiegiem?... Przyjacielem?... No, o co ci chodzi?

• Jestem Winneepago — odrzekł Żółty Liść. — Byłem pod Saukenuk i przynoszę ważne informacje. Niech mój biały brat zaprowadzi mnie dp; naczelnika.

• To jesteś wysłannikiem Czarnego Jastrzębia albo Keokuka? -w* niby! stwierdził, niby spytał rudy traper.

- Przybyłem tu na prośbę sprzymierzeńców białych braci, Osagów — wyjaśnił Żółty Liść.
- Widziałeś Dakotów?
- Ugh, są na polanie — wskazał ręką puszcze.
- Byłeś u nich?
- Ominąłem ich obozowisko. Śpieszyłem do Miczi-malsa.
- Chcesz do pułkownika? Koniecznie? A nam nie możesz powiedzieć, o co chodzi? — natrętnie dopytywał się traper.

• Nie — odrzekł stanowczo Winneepago i zaglądając w podpuchnięte oczy rudego, spytał: — Mój brat zna wędrownego kramarza Mokera lub Wintersa z czarną brodą?

Traper podejrzliwie zamrugał i hardo zawołał:

- A ty czego od nich chcesz?
- To przyjaciele — odpowiedział chytrze Liść.

- Ha, przyjaciele — burknął rudy. — Wintersa tutaj teraz nie ma...
- Kiedy wróci?
- Nie wiadomo — traper wzruszył ramionami.
- A Moker?
- Nie znam Mokera — rudy machnął ręką. — Chodź do pułkownika Snellinga — powiedział i lekko popchnął Żółtego Liścia.

Minęli wąski korytarz i weszli do obszernej izby. Zbite z grubych desek sprzęty wyglądały topornie. Przez malutkie strzelnicze okienka sączyło się światło dnia. W pomieszczeniu panował półmrok.

— Oto czerwonoskóry, który domaga się rozmowy z wami, pułkowniku — powiedział traper.

Josiah Snelling przyjrzał się Indianinowi bez większego zainteresowania i podjął rozmowę, którą tłumaczył traper.

- Przychodzisz od Dakotów? — spytał.
- Jestem Winnepage. Nic mnie z Dakotami nie łączy — odparł Żółty Liść. — Przynoszę wiadomości od Osagów, z którymi biały brat wypalił kalumet przymierza.

Pułkownik ożywił się nieco.

— Masz informacje od Taylora i Osagów? Saukenuk zburzone? Co z Czarnym Jastrzębiem?

Żółty Liść przez chwilę nie odpowiadał, a potem, delektując się własnymi słowami, zaczął mówić:

— Wojownicy Sauków i Foxów rozgromili Miczi-malsa na wodach Me-si-kse-pe. Zatopili cztery wielkie canoe białych, a pułkownik Taylor ledwie zdołał uciec...

Snelling podniósł się z krzesła.

- Łżesz! — krzyknął. — W jaki sposób mogli zatopić parowe okręty?! Kulami strzelb, a może strzałami z luków?
- Biały brat musi uwierzyć słowom Winnepage — Liść mówił spokojnie. — Czarny Jastrząb strzelał do wielkich canoe z armaty.
- Co takiego? — zdziwienie pomieszane z niewiarą zabrzmiało w pytaniu pułkownika.
- Tak było.

Snelling usiadł. Twarz miał wzburzoną.

— Skąd wzięli działa?

- Winnepage nie wie.

— Usiądź, czerwony bracie — wskazał ławę pod ścianą — i dokładnie opowiedz wszystko od początku.

Żółty Liść rozsiadł się wygodnie i zreferował ze szczegółami przebieg bitwy.

— A co się wydarzyło wojsku majora Whistlera i Osagom? — pytał poirytowany Snelling. — Żołnierze mieli zaatakować Saukenuk od wschodu, a Osagowie z północy...

- Wojownicy Osagów przybyli za późno — wyjaśnił Żółty Liść. —

Bitwa była zakończona, nie mogli sami podjąć walki, ponieśli klęskę.

- A Whistler z fortu Fox? — wyraźny niepokój brzmiał w głosie pułkownika.
- Nie było Długich Noży Whistlera pod Saukenuk — odpowiedział Winnepage.

Snelling analizował w myślach usłyszane wiadomości. Głęboka troska malowała się na jego obliczu, oparł dłoń o brzeg stołu i po długiej ciszy zwrócił się do trapera:

- Co sądzicie, Niusen, o relacji czerwonego?
- Pewnie mówił prawdę.
- Skąd mieli armaty? — zastanawiał się pułkownik.
- Zdobyli...
- Czerwoni nie potrafili obchodzić się z działami.

-:- Czarny Jastrząb to doświadczony żołnierz — stwierdził Niusen. — Walczył po stronie brytyjskiej Kanady przeciwko Unii podczas ostatniej wojny. Niejednego mógł się nauczyć.

• Możliwe... - Pułkownik przeszedł się po izbie. — Przywołajcie mi porucznika Otkera - poprosił Niusena i zwrócił się do Żółtego Liścia:

- Co zamierza czerwony brat?

^

• Jeśli nie ma zleceń, to WinnePago odpocznie i jutro lub pojutrze opuści białych braci — odparł i z wahaniem dodał: — Chciałbym też zobaczyć się ze squaw WinnePagów, która tutaj mieszka.

Snelling, zatrzymując się na środku komnaty, przyglądał włosy.

• Zostań, czerwony bracie, może jeszcze będziesz mi potrzebny — powiedział zamyślony.

• Ugh — zgodził się Żółty Liść i spytał Niusena: — Czy mój brat zaprowadzi mnie do squaw WinnePagów?

• Nie ma jej w obozie.

• A gdzie jest?

• Odeszła.

• Dokąd? — w jego pytaniu brzmiała natarczywość.

• O co chodzi, Niusen? — spytał pułkownik.

• Dopytuje się o Indiankę — wyjaśnił traper.

• Powiedz mi prawdę, Tom — rzekł Snelling, błędząc myślami wokół problemów wojny z plemionami pogrnicza.

• Porucznik Jeff Birgens, opuszczając obóz, zabrał dziewczynę.

• Zabrał? A gdzie mogą być teraz?

• Czy ja wiem? — traper wzruszył ramionami, drapiąc się po zmierzwionych włosach. — Popłynęli statkiem do fortu Alton.

Oczy Żółtego Liścia płonęły podnieceniem.

• Miała na imię Promyk Księżycyca? — spytał gwałtownie.

• Tak się podobno kiedyś nazywała — odparł rudy, badawczo przyglądając się czerwonoskóremu — ale Birgens wołał ją Aneta.

Żółty Liść, widząc przenikliwe spojrzenia traperów, opuścił wzrok i przybrał obojętną postawę.

• Kim jest ona dla ciebie? — zainteresował się Niusen.

• Miałem dla niej wiadomości — odrzekł chłodno, podnosząc się z ławy. — Niech mój brat powie białemu wodzowi, że WinnePago będzie na dziedzińcu.

Wyszli. Żółty Liść wyszukał sobie na placu dogodne miejsce obok sterty zwalonych okrągłaków, wbił w ziemię palik i uwiązawszy doń mustanga, legł na derce. Podpatrując białych żuł pemikan zmieszany z kukurydzą.

Palisada i przestrzeń nie zabudowana ostrokołem były gęsto obsadzone wojskiem. Nad brzegami rzek także czuwała straż. Na przedpolach budującej się twierdzy krążyły patrole zwiadowców. Część żołnierzy pod kierunkiem cywilów pracowała przy wznoszeniu blokhauzu. Śpiew pił, stuk siekier, dźwięk miotów echo niosło w las. Powstawała warownia większa i silniejsza niż forty Fox, Edwards i Alton, które widział Żółty Liść. Zrozumiał sens walki Dakotów. Fortyfikacja powstająca na pograniczu ich łowieckich terenów zagrażała bytowi plemienia.

Wyciągnął z woreczka nową porcję pemikanu. Dalej się pożywiał. Był uradowany i smutny zarazem. Oto wreszcie uchwycił nić tropu. Porucznik, którego szukał, nazywał się Jeff Birgens. Znając nazwisko, łatwiej będzie mu teraz dotrzeć do niego. I Promyk Księżycyca żyła. Te wiadomości rozpierały mu pierś, cieszyły. A jednak jakaś gorycz i dziwny lęk kołatał w głębi duszy Żółtego Liścia. Odpędzał od siebie niepokojące myśli, a one dzwoniły jak natarczywe trzmielce: „Pojechała z białym dobrowolnie czy wbrew swej woli?... Dlaczego zmieniono jej imię?... Czyżby nie mogła zmylić straży i uciec?... Może została żoną Birgensa?...”

Przelknął pokarm nie czując smaku. Wstał. Nie mógł dłużej leżeć. Coś paliło jego duszę, jakiś żar obejmował całe piersi, podchodził pod krtań, a wewnętrzny zew wzywał na szlak. Wyrwał gwałtownie palik, do którego przywiązał wierzchowca, i chciał zwinąć rzemienny sznur, gdy dostrzegł dwóch żołnierzy obserwujących każdy jego ruch. Zrozumiał. Był pilnowany. Podprowadził rumaka bliżej rzeki, gdzie zielenił się nie zdeptany łąn trawy i wbił w ziemię kołek. Derkę i torbę zarzucił na grzbiet konia, a sam nie rozstając się z bronią, poszedł pod budujący się blokhauz. Dwaj żołnierze szli za nim. Nie mógł więc w tej chwili odjechać z obozu białych. Musiał zaczekać na decyzję pułkownika Snellinga lub wymknąć się nocą. Włóczył się więc tu i tam, trawiony ogniem bolesnego niepokoju.

O zmierzchu zrobił sobie legowisko obok mustanga nad rzeką i położywszy się, udawał, że śpi. Spod przymkniętych powiek obserwował brzeg, żołnierskie stanowiska wokół warowni i dwóch pilnujących go opiekunów.

Mrok zgęstniał. Niebo zaroilo się gwiazdami. Wielkie połacie ciemnych obłoków co chwila

przeplływały nad warownią. Lekki północno-wschodni wiatr szumił w konarach drzew.

Żółty Liść cierpliwie czekał. Minęła północ. Uważnie nasłuchiwał. Gdy spomiędzy chmur zlewała ziemię złota poświata, widział stanowiska przyczajonych strażników. Liczył, że uda mu się niepostrzeżenie przejść obok posterunków. Nawet jeśli go zauważą, będzie za późno. Tylko kula mogłaby go dopędzić. Czy jednak ktokolwiek trafi nocą w ruchomy cel?... A zresztą, czy w ogóle żołnierze będą strzelać? Przybył tu jako przyjaciel, o czym w ciągu dnia musieli wszyscy się dowiedzieć. Pilnowano go dla zasady, z nieufności... i tyle.

Ciemność wolno zatapiała fort i karczowisko wokół warowni. Gdy mrok otulał już całą przestrzeń, Żółty Liść wyrwał palik i zwinąwszy rzemień, bezszelestnie stanął obok mustanga. Położył dłoń na chrapy zwierzęcia, czule pogładził jego kark i ruszył ku rzecz. Ciche stąpania głużył szum "niedalekich drzew i szelest oczeretów. Przesunęli się jak aucny mięazy posterunkiem a nadbrzeżnymi szuwarami. Gdy gwiazdy ponownie oświetliły ziemię, Żółty Liść na skraju lasu dosiadał rumaka.

Zataczając łuk zbliżał się do obozu Dakotów. W drodze zdjął perukę z kruczymi piórami i nałożył wilczą czapkę. Znowu był sobą — samotnym tropicielem na dzikim szlaku.

Trzymając wampum tak, aby był widoczny z daleka, wjechał na polanę. Pod masztem ozdobionym pękiem piór spoczywał Biały Bizon.

— Wróciłeś, synu — uradował się szaman. — Zejdź z mustanga i mów.

Żółty Liść zsunął się z wierzchowca.

— Byłem u Miczi-malsa, ojcie — powiedział chyląc z szacunkiem głowę.

Biały Bizon ręką przywołał stojącego w pobliżu wojownika i polecił mu zawiadomić Wanetę o przybyciu Winnepaga. Z ciekawością przyglądał się Żółtemu Liściowi.

• Znalazłeś, synu, swoją squaw? — spytał.

• Nie, ale wiem, gdzie przebywa.

— Otwórz serce, synu. Słucham! — Poprosił zachęcająco, miękko.

Żółty Liść poczuł nagle potrzebę wyrzucenia z siebie wszystkich dręczących go myśli. Początkowo opowiadał chaotycznie, potem uspokoiwszy się, mówił płynnie, jasno i szczerze. Snuł przypuszczenia, nadzieje, obawy...

Przyszedł Waneta i siadając, dał znak Liściowi, by sobie nie przerywał. Gdy opowieść dobiegła końca, szaman z powagą powiedział:

— Nabash-cisa jest z tobą, synu. Odnajdziesz wrogów i wtedy poznasz prawdę o Promyku Księżyca. A teraz ucisz serce. — Ciepło biło ze słów szamana. Kojąca ulga spłynęła w skołatana duszę Indianina.

— Co mój brat zauważył w obozie białych twarzy? — spytał Waneta.

Winnepago znowu relacjonował, a później wódz Dakotów wypytywał o liczbę żołnierzy, uzbrojenie, posterunki wokół fortu. Kiedy ciekawość jego została zaspokojona, powiedział do szamana:

— Musimy uderzyć ponownie. Biali stąd sami nie odejdą.

— Nie ma innej możliwości — przyznał szaman i po krótkiej pauzie zwrócił się życzliwie do Żółtego Liścia: — Jesteś wolny, synu. Czeka na ciebie daleki szlak.

Winnepago, pokłoniwszy się Dakotom, dosiadł konia i odjechał. W dwie godziny później, gdy kluczył wśród drzew, zdążając na południe, usłyszał kanonadę. To wojownicy Wanety atakowali Amerykanów budujących fortyfikację.

UWOLNIONA

Andy Moker, zwalony wysoką temperaturą, mającąc w gorączkowym zwidzie, przeleżał ponad rok w domu kupca Roda Wooleya w forcie Fox. Do jego półprzytomnej świadomości nie dotarła wieść o klęsce majora Whistlera, o dwutygodniowej blokadzie fortu przez Sauków i ucieczce osadników z farm rozsianych po rozległych terenach Illinois i Wisconsinu. O tym wszystkim dowiedział się od Roda, gdy wrócił już zupełnie do zdrowia i mógł chodzić o własnych siłach. Wysechł jak szczapa, był jeszcze niezmiernie słaby, ale niecierpliwość nie pozwalała mu siedzieć beczynn timer. Pomagał Wooleyowi w sklepie, utrzymywał ład w podręcznym magazynie towarów, sprzęta! otoczenie i odbywał spacer y po zakątkach warowni. A było tu teraz tłoczno. Na podwórzach i plac ykach rozstawiono namioty, w których

gnieździły się rodziny różnego typu uciekinierów z zagrożonych ziem Północnego Zachodu.

Andy Moker uparcie szukał sprawców swojego nieszczęścia. Twardy los na puszczańskich szlakach nauczył go jednej zasady — nie czynić nikomu zła, ale też nie pozwolić się krzywdzić. Dlatego też rozmawiał z ludźmi, stale dopytując się o czarnobrodego łotra i jego kompanów.

Miało się pod wieczór, gdy przeciskając się wąskim przejściem między płótnem namiotu a ścianą budynku, usłyszał pytanie:

- Jesteście ze sklepu Wooleya, sir?
- Tak jakby — odparł Andy zatrzymując się.
- To dobrze — powiedział siwiejący już mężczyzna. — Czy macie medykamenty?
- Tylko zioła.
- Można z wami pójść? Same nieszczęścia spadają na moją rodzinę — mówił nieznajomy żaląc się.

— Zostałem kiedyś postrzelony indiańską strzałą i od tamtej pory niemiłosiernie bołą mnie piersi, zwłaszcza jak zmarzną. A w tych namiotach nocami nie jest za ciepło. Co za czasy! Ledwie uszliśmy z życiem znad Fox River...

- Mielście tam farmę, sir? — spytał Moker.
- Tak. Przed rokiem napadli na nas czerwonoskórzy. Niewiele brakowało, a spaliliby zabudowania.

Wtedy uprowadzili mi syna.

- Zginął?
- Nie. Wykręcił się jakoś i wrócił — odpowiadał nieznajomy. — Teraz, nie czekając napadu tych czerwonych łotrów, załadowałem rodzinę na wóz i hajda do fortu. Wszystko zostawiłem na zmarnowanie... — Machnął ręką

7, rezygnacją, przez chwilę kiwał 'rz/goryczą głową, potem wyciągnął rękę mówiąc: — Poznajmy się, jesteni John Melton.

- Miło mi, Andy Moker — jprzedstawił się kramarz.
- To jak z ziołami?
- Chodźcie, coś wyszukamy (iła was, sir — zaproponował Andy. Wyszli spośród namiotów.

Milton opowiadał bez przerwy o swojej

tragedii, o pozostawionym majątku, o synu, który jest dobry i pracowity, ale często potrafi zniknąć z domu na wiele dni, pozostawiając wszystkie obowiązki na barkach ojca.

— Pewnie lubi polować — powiedział Moker chcąc podtrzymać temat.

• Skąd?! — zachnął się farmer. — Zaprzyjaźnił się z obieżyświatem i ten go nie wiadomo gdzie wyciąga.

- Może wam się tak zdaje, sir?
- Wiem dobrze. Przyprowadził go kiedyś na farmę. Byli obaj podpici — mówił Melton. — Tak pięknie ten czarny przeproszał, że darowałem.

• Czarny? — żywo zainteresował się Moker.

• Ma czarną brodę jak rzadko jkto.

• Jak się nazywa? 1

• A kto go wie? — odparł farmer. — Pytałem Boba, ale zawsze odpowiadał, że to Guy... Mało to ludzi nosi takie imię?

- Może Guy Winters?
- Wy go znacie, sir? — zawołał Melton przystając na drodze.
- Nie, tylko mówił mi coś o Wirtersie porucznik Darkin.

Weszli do sklepu. Było tu tłoczno A gwarno. Wooley ledwie nadązał z realizacją zamówień. \

• Wróciłeś, Andy? — zawołał. — Jeśli możesz, pomóż — poprosił.

• Chętnie, tylko obsłużę znajomego'. — Moker pobiegł do magazynu, pozostawiając przed ladą Meltona. Poj paru minutach przyniósł wiązki suszonych liści. — Wybaczcie, sir, że dlnjigo mitrężyłem, ale szukałem ziela na wasze dolegliwości. \

• Znaleźliście? 1

• Oto trzy rodzaje suszu. Spróbujcki Jeśli będzie wam odpowiadało, sprzedam więcej. Nie wypada mi wypylchać ziół, które mogą nie być skuteczne.\

• Dziękuję za uczciwość. — Melton vMyciągnął rękę. — Zapraszam na pogawędkę — powiedział z sympatią. \

- Chętnie skorzystam — zapewnił Moker.

Parę dni później, wieczorem Andy złożył wizytę Meltonom. Odchyliwszy Kłapę namiotu, zaoaczyf przy stole zbitym z nie heblowanych desek całą rodzinę, spożywającą kolację. Chciał się więc cofnąć, ale John Melton go zauważył.

— A witajcie, witajcie! — zawołał, — Prosimy.

Andy usiadł na ławie wkopanej noganii w ziemię. Przelotnie spojrzął na chuderlawą kobietę, dwoje nieletnich dzieci i Boba, dorosłego już syna farmera. Podsunięto mu miskę ryżu, ojbfcie okraszonego tłuszczem.

• Czym chata bogata... W takich.¹ warunkach trudno przygotować przyzwoity posiłek — mówiła z zakłopotaniem Meltonowa.

• Z grzeczności skosztuję — odparł Moker. — Przyszedłem dowiedzieć się, czy pomogły wam nasze zioła.

• Poczułem się po nich lepiej — sr twierdził farmer. — Kupię większą ilość, bo gdzie tu czego szukać?...

• Pojedźcie do Saint Louis — po radził Andy — tam jest doskonały medyk, Ken Barton. On wyleczył moją paskudnie zaognioną ranę.

• Któż dziś odważy się odbyć tak. daleką podróż? — Melton rozłożył ręce. — Byłoby to dobrowolne podsuniecie karku pod tomahawk.

• Może goniec armii idący do Sa int Louis mógłby poradzić się medyka — podsunął myśl kramarz. — Tnzeba tylko wytłumaczyć mu, na czym polegają wasze dolegliwości.

• To dobry pomysł — pochwaliła Meltonowa.

• Właśnie. Guy Winters nie odmówi wam tej przysługi. To jeden z lepszych gości majora Whistlera. — Moker ukradkiem obserwował syna farmera.

• Guy jest w formie? — ożywił się nagle Bob.

• Podobno... — rzucił niedbale Andy^

— To ten, z którym przyjechałeś na farmę, synu? — spytał Melton.

Bob wzruszył ramionami, odsunął miskę i miał zamiar odejść od stołu.

Moker zagadnął:

• Chcecie iść do Wintersa? /

• Yes — bąknął chłopak. i

• Chętnie też go zobaczę — Andy podniósł się bez pośpiechu. — Po drodze podam zioła, a pogawędzić przyjdę innym razem, sir — powiedział do farmera.

Gdy wyszli z namiotu, Andy natychmiast przystąpił do^ rzeczy.

— Dawno nie widziałem Wintersa — zaczął, siląc się na poufałość. —

Jeśli rzeczywiście przybył do Ffox, to zahulamy.

I

— Długo go znacie? — spytał z rezerwą Bob.

• Poznaliśmy się, gdy nad Green Lake Guy zagarnął dla siebie młodą Indiankę — Moker klepnął dłonią Boba po ramieniu wybuchając śmiechem. — Winters to kompan do wszystkiego: do kieliszka i do draki.

• Lubicie go?

• Bardzo — odparł Andy i spytał: — A więc kiedy rozmawialiście z nim ostatni raz?

• Dość dawno.

• Dziewczynę włóczy z sobą?

• Wziął ją Birgens.

• Birgens?... A któż to taki? /

• Nie wiecie?! — zachnął się Bob.

• Przypomnijcie — poprosił miękko Andy. — Po chorobie pamięć mnie zawodzi.

• Toż to porucznik.

• Ach, racja. — Moker uderzył się w czoło. — O, jesteśmy koło sklepu. Zapraszam po zioła.

• Wstąpię, jak będziemy wracać.

• Musimy coś wypić — Andy ujął Boba pod rękę. — Przyjaciel Wintersa jest moim przyjacielem.

Chodźcie!

Tylnymi drzwiami weszli do domu.

— Proszę — Moker wskazał stołek. — Zaraz przyniosę nalewkę.

Melton popatrzył po izbie. Było tu przytulnie i cicho. Usiadł rozwalając szeroko nogi. Andy wrócił z gąsiorkiem i kubkami w rękę.

— Najlepsza, jaką mamy w magazynie — powiedział nalewając alko hol. — Wasze zdrowie, Bob — podniósł kubek.

Młody Melton mruknął podziękowanie i wychylił zawartość do dna.

- Dawno nie piłem — powiedział z zaczerwienioną twarzą.
- Pieniądzy nie macie?
- Nie to, ojciec zabrania.
- Będzie się gniewał, że poczęstowałem was — zmartwił się Andy.
- Eee... — Bob machnął lekceważąco ręką.
- Opowiadajcie o Wintersie — poprosił Moker.
- A co? — wzruszył ramionami chłopak.
- Brody nie zgolił? — zaczął chytrze kramarz.
- Nie.
- Ostatnio pociągnął do Saint Louis. Mogłeś, Bob, z nim pójść.

— Chciałem, nawet Guy prosił, bo zbierał sobie kompanów do towarzystwa — odrzekł Melton — ale ojciec chorował, więc zostałem.

Andy uśmiechnął się. Ten dwudziestoletni młodzieniec nie był jeszcze doszczętnie zepsuty.

- Może znasz kogoś z ostatnich jego kompanów — spytał od niechcienia.
- Nie wiem co to za ludzie — odrzekł Bob.

• Szkoda — Moker zakorkował gąsiorek z wódką. — Wiecie, że Indianin, którego oskalpował Guy, żyje i szuka zemsty? — zapytał nagle.

- Oskalpował?... Nie słyszałem o tym — odparł zaskoczony Melton.
- Zostań chwilę sam, przyniosę ziola — Andy opuścił izbę. Wrócił i kładąc wiązkę suszu przed

Meltonem, spytał: — Powiedz mi szczerze, Bob, czy Guy często miał zatargi z czerwonoskórými?

Chłopak zawahał się.

- Dlaczego pytacie?
- Winnepagowie go tropią — powiedział Andy patrząc w oczy Meltona.
- Nie lubił Indian. Kilku zastrzelił.

— A ty brałeś w tym udział?

Bob splonął jak wiśnia.

• No, cóż — głos Mokera brzmiał sucho — zanieś ojcu ziola i... — przeczekał sekundę, jakby zastanawiał się nad tym, co powiedzieć — znajdź sobie lepszego przyjaciela. Winters to towarzysz nie dla ciebie.

- Co wy?... — zaczął Bob i nie dokończył.
- Idź do domu! — Moker przyjaźnie położył dłoń na ramieniu chłopca. — Wintersa nie ma w forcie.

Bob, zaskoczony niespodziewanym obrotem rozmowy, wyszedł ze spuszczoną głową, nie powiedziawszy słowa pożegnania.

Andy rozciągnął się wygodnie na wełnianym kocu okrywającym łóżko. Myślał. Ze zdobytych informacji wynikało, że Winters i porucznik Birgens uczestniczyli w uprowadzeniu Promyka Księżyca. Musieli też znać sprawców oskalpowania wojownika Winnepagów. Może nawet sami to zrobili. Tak czy inaczej, uchwycił pierwsze nici tropu. Coś szeptało mu uparcie, że czarnobrody Winters — to tramp, który ograbił go i zranił.

Następnego dnia Moker zameldował się u dowódcy warowni.

— Wyruszę do Saint Louis — mówił stojąc przed majorem Whistlerem. — Po drodze wstąpię do fortów nad Missisipi, więc jeśli mogę być w czymś przydatny, jestem do waszych usług, sir.

• Radzę zrezygnować z tej podróży — życzliwość zabrzmiała w słowach Whistlera. — Indianie są wzburzeni. Samotna wędrówka to nieunikniona śmierć.

- Decyzji nie zmienię.
- Jak chcecie — odparł major. — Nie służycie w armii, więc zleceń dla was nie mam. Miejcie oczy otwarte i meldujcie dowódcy garnizonów swe spostrzeżenia ze szlaku. Jedynie o to mogę prosić.
- jUczynię tak, sir.

- Życzę szczęśliwej drogi.
- Dziękuję.

Wróciwszy do domu, Moker bez pośpiechu spakował podróżne sakwy, a do worka wtłoczył rozmaite towary i sporo amunicji. Wszystko starannie przytroczył do nowo kupionego rumaka i pożegnawszy serdecznie Roda Wooleya, wyjechał z fortu na obłany słonecznym światłem kręty gościniec.

Żółty Liść zatrzymał mustanga. Uważnie przyglądał się budowli. Wysoka palisada w kształcie czworokąta otaczała budynki. Na drewnianych wieżyczkach stojących w rogach ostrokołu rysowały się sylwetki wartowników. Od zachodu płynęły szeroko rozlane wody Missisipi. Zryty kopytami koni i kołami wozów trakt biegł prosto ku zamkniętej bramie fortu.

Oto warownia Alton, do której przybyła Promyk Księżycyca. Czy jeszcze jest tutaj? Może powleczono ją dalej, do innego osiedla białych? Jak dostać się do fortu, by to wyjaśnić?... Wjechać oficjalnie z jakimś wymyślonym kłamstwem — było zbyt ryzykowne. Każdego Indianina uważano za wroga, chyba że posiadał specjalne pełnomocnictwo albo pochodził z plemienia Irokezów lub Osagów.

Winnepago, rozmyślając, trącił stopami boki konia. Podjechał jeszcze z milę i skreślił ku rzece. Z tej odległości widział doskonale budowlę i strażników. Wlókł się stępą. Wartownik na wieżyczce wychylił się nieco i podniósł sztucer. Żółty Liść błyskawicznie zsunął się z grzbietu mustanga. Trzasnął wystrzał. Kula z jęklwym gwizdem przemknęła tuż nad wierzchowcem. Winnepago poderwał konia do galopu. Leżąc na karku rumaka pomknął w górę Ojca Wód.

Gdy fort zniknął w dali, Indianin zatrzymał się nad rzeką. Napoił konia i zapadł w krzakach. Postanowił przeczekać do zmierzchu. Wygodnie rozciągnięty na derce obserwował prerię. Ciszę mącił plusk płynącej wody i wiatr szeleszczący w oczeretach.

Niebo zapłonęło tysiącami gwiazdnych światełek. Widoczność była niezła. Żółty Liść, kryjąc się w zaroślach ciągnących się brzegiem Missisipi, podszedł w pobliżu Alton. Konia ukrył w łożynach, a sam usadowił się na skraju chaszcy i nie spuszczał oka z traktu i bramy fortu. Liczył na jakąś nieprzewidzianą sytuację, która pozwoli mu zasięgnąć języka lub wejść do warowni bez narażenia życia. Był cierpliwy. Od dziecka uczono go sztuki panowania nad sobą, spokoju i wytrwałości. Wierzył, że jego wysiłek, wcześniej czy później, musi zaowocować.

Po paru dniach czatowania dostrzegł na szlaku ruchomy punkt, zbliżający się do Alton. Był to jeździec. Mógł poprzedzać większy oddział lub karawanę, mógł też odbywać samotną podróż. „Co czynić? — zastanawiał się Winnepago. — Wyjechać naprzeciw, aby z daleka od fortu spotkać się z wędrowcem? A jeśli to wróg? Zresztą, cóż może dać spotkanie z człowiekiem, który jedzie do warowni i nie wie, co w niej obecnie się dzieje?...”

Żółty Liść został w ukryciu. Sylwetka jeźdźcy stawała się coraz wyraźniejsza. Musiał być sam, bo horyzont poza nim był pusty. Jechał powoli. Koń dźwigał przytroczone wór. Przerzucona przez ramię strzelba połyskiwała lufą w słońcu. Jeździec kręcił się niespokojnie w siodle.

Winnepago rozchylił szuwary, by mieć lepsze pole widzenia. Zaintrygował go dziwny wędrowiec. Fort tuż-tuż, a on wlecze się jak na ścięcie.

Nagle wędrowiec zsunął się z wierzchowca i zaczął poprawiać popręgi. Potem wycierając spoconą twarz rozglądał się wokoło. Nim dosiadł konia, przez ułamek sekundy stał w słońcu i wtedy Żółty Liść doznał olśnienia. Przypomniał sobie przed dwoma laty słyszane słowa:

„Gdybym odkrył ślad Promyka Księżycyca, gdzie mogę cię znaleźć?”

Tak pytał Andy Moker, którego ocalił od niechybnej śmierci. Wtedy Żółty Liść mu odpowiedział:

„Będę w pobliżu osiedli bladych twarzy”.

Winnepago wysunął się z chaszcy. Od strony jprtu osłaniały go krzewy. Zaskrzeczał trzykrotnie, naśladując żabę, i ręką uczynił znak.

Koń Mokera zatańczył, wierzgnął nogami raz i drugi, usiłując zrzucić z siebie człowieka. Nogi jeźdźcy wypadły ze strzemion, podskoczył niezdarnie na siodle i runął w zielony kobierzec. Wierzchowcem spokojnie sięgnął po soczystą trawę.

Niefortunny jeździec szybko usiadł i rozglądając się, zawołał:

- Hej! Jestem Moker! Andy Mokeu Żółty Liść wysunął się z listowia.
- Witaj, biały bracie.
- Nareszcie — rzucił z ulgą kramarz. — Dwa lata minęły, gdy odjechałeś z Fox. Pytałem o ciebie w Saukenuk i rozglądałem się w okolicach fortów Edwardsa i Madisona. Mam wieści.
 - Mów, bracie — Żółty Liść drżał z niecierpliwości.
 - Dziewczynę włóczy ze sobą porucznik, a czarnobrody nazywa się Guy Winters. Przebywa podobno w Saint Louis.
 - Promyk Księżyca jest z porucznikiem w Alton — odparł Winnepagó.
 - Tak? — zdziwił się Andy. — Co jeszcze wiesz?
 - Tylko tyle.
 - Czekaj na mnie. Dzisiaj albo jutro przyjdę, to porozmawiamy dłużej — powiedział Moker. — Wartownicy obserwowali moje sztuczki z koniem, gotowi uwierzyć, że uległem wypadkowi lub zaczną coś podejrzewać, i mogą tu przybyć żołnierze. Więc do zobaczenia.
- Andy chwycił za uzdę wierzchowca, niby mocując się z nim, wyprowadził go z zarośli i dosiadł z trudem. Koń, niespokojnie tańcząc, zbliżył się do ostrokołu. Brama uchyliła się, przepuszczając jeźdźca, i natychmiast z trzaskiem zapadły ciężkie, żelazne zasuwę.
- Moker zeskoczył z siodła urągając zwierzęciu.
 - Co mu jest? — zagadnął żołnierz.
 - Zbiesiło się bydlę — odparł Andy. — Pewnie nazarło się jakiegoś zielska. Komendant u siebie? — spytał.
 - Tak, w tamtym budynku — wartownik wskazał ręką.
- Moker uwiązał konia do drewnianej poręczy schodów i po stopniach wszedł na taras. Po chwili zameldował się u kapitana Bena Smitha. Poinformował go, że z polecenia majora Whistlera z fortu Fox wstępuje do wszystkich garnizonów, aby złożyć relacje ze spostrzeżeń na szlaku. Krótko opowiedział o żniwnym świecie kukurydzy w Saukenuk i zupełnym spokoju na prerii.
 - Nie zauważyliście Indian w okolicy Alton? — spytał Smith.
 - Nie.
 - Parę dni temu indiańscy zwiadowcy kręcili się wokół fortu — powiedział kapitan. — Dziwne, że nie natknęliście się na nich.
 - Nikogo nie widziałem.
 - Dokąd jedziecie?
 - Do Saint Louis.
 - Jesteście kurierem armii?
 - Nie, wędrownym handlarzem. Kapitan wzruszył ramionami.
 - Długo zatrzymacie się w Alton?
 - Może do jutra. Mam trochę towaru i chciałbym go spieniężyć.
 - Życzę zysków.
 - Dziękuję. Gdzie mogę znaleźć porucznika Birgensa?
 - A on wam po co?
 - Przynoszę mu prywatne wiadomości — wyjaśnił Andy.
- — Tydzień temu pociągnął ze szwadronem do Saint Louis. Jeśli się pośpieszycie, to możecie go jeszcze tam zastać.
- Moker zachnął się, pełen zawodu. Spytał:
 - Dziewczynę zabrał z sobą?
 - Tak — odparł z cieniem uśmiechu Smith. — Indianka jeździ na; koniu lepiej niż niejeden żołnierz.
- Przy tym może się w drodze przydać, gdyby doszło do spotkania z czerwonoskórymi.
- Andy wprost od komendanta fortu wpadł do zajazdu. Stał przy ladzie obok pijących piwo.
 - Mam cenne skórki, kupicie? — rzucił do właściciela magazynu.
 - Jakie? — spytał bez zainteresowania siwiejący mężczyzna.
 - Różne: srebrny lis, pumy, karibu...
 - Ile chcecie?
 - Hurtem, trzysta dolarów.
 - Drogo, sir. Teraz zastój. Sami wiecie, co dzieje się na pograniczu.

- Zupełny spokój — uśmiechnął się Moker. — Przyjechałem tu aż z fortu Fox. Indianie siedzą cicho. Podajcie piwo — poprosił.

Barman podsunął kufel pieniącego się płynu.

- Znacie może Guy Wintersa? — spytał Andy podnosząc do warg naczynie.

- Taki czarny? — rzucił barman. — Bywał tu kiedyś.

- Dawno?

- Ponad miesiąc temu. Dam dwieście dolarów za futerka — zmienił temat rozmowy właściciel zajazdu.

- Trzysta i ani centa mniej.

- To rezygnuję. *

- Trudno. Do zobaczenia. — Andy odstawił opróżniony kufel, położył na ladzie monetę i opuścił zajazd.

Słońce wskazywało dopiero południe. Moker postanowił nie zwlekać.

"Mógł przed nocą przebyć około piętnastu mil. Pilno mu było zajrzeć w twarz Wintersa.

Dosiadł konia.

- Już odjeżdżacie? — ze zdziwieniem zagadnął żołnierz przy bramie.

- Obowiązki, sir — odparł Andy z przyjaznym uśmiechem. Zgrzytnęły zasuw. Moker pogalopował przed siebie, zbaczając w stronę zarośli. Tu zatrzymał się na chwilę.

— Hej, WinnePago, będę czekał na ciebie przy pierwszym zakręcie Missisipi! — zawołał.

Z krzewów wychynął Indianin, podniósł dłoń na znak zrozumienia i natychmiast znikł.

Andy pocwałował dalej brzegiem rzeki. Po godzinie przyhamował konia. Missisipi skręcała tutaj łagodnym łukiem na' południowy zachód. Rozejrzawszy się wokoło, zsiadł z wierzchowca i puścił go wolno. Wydobył kromkę chleba. Pożywił się na wolnej przestrzeni, czekając na Indianina. Wkrótce nadjechał WinnePago.

— Nie zsiada! Porozmawiamy w drodze! — zawołał Andy podchodząc do swego rumaka. — Birgensa i dziewczyny nie ma w Alton, pojechali do Saint Louis.

Ruszyli strzemię w strzemię. Moker dokładnie opowiedział czerwono-skóremu o swych perypetiach i zdobytych informacjach, a Żółty Liść podzielił się swymi przeżyciami.

Jechali bez odpoczynku, nie zatrzymując się nawet na noc. Niebo z pyzatym księżycem sprzyjało podróży. W siodłach spożywali śniadanie, złożone z suchego prowiantu i kilku łyków wody z manierki, w którą zaopatrzył się Andy. Około południa ujrzeli gromadę samotnych drzew na brzegu rzeki. W ich cieniu dali wytchnąć zwierzętom. WinnePago poprowadził je do wodopoju, a Moker przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy i legł na murawie.

Czwartej dnia od opuszczenia Alton dotarli do Saint Louis.

- Musisz gdzieś tu zostać — powiedział Andy. — Amerykanie patrzą teraz nieprzychylnie na Indian. Ja rozejrzę się i wówczas zdecydujemy, co wypada czynić.

- Ugh — zgodził się Żółty Liść. — Biały brat znajdzie mnie nad Ojcem Wód, w tym rejonie — wskazał ręką. — Rozpoznawczym hasłem będzie trzykrotny głos żaby, powtarzany w krótkich odstępach czasu.

- Dobrze. Musisz uzbroić się w cierpliwość — odrzekł Andy. — Nie wiem, jak długo przyjdzie mi zbierać wiadomości.

Uścisnęli sobie dłonie. Czerwonoskóry skreślił ku rzece, a Moker ku miastu.

Andy wielokrotnie był w Saint Louis. Mieściła się tutaj, założona przez Francuzów w 1764 roku, faktoria skupująca futerka dzikich zwierząt. Skierował się wprost do jej magazynów. Korzystnie sprzedał skórki, które otrzymał za towary w Saukenuk.

Uwolniony od bagażu, ze sporym zwitkiem banknotów, zostawił konia w hotelowej stajni i poszedł do garnizonu.

Na próżno usiłował dostać się do Williama Clarka — gubernatora i dowódcy warowni. Młody porucznik, do którego wysłał go wartownik, kategorycznie oświadczył:

— Nie dokuczajcie, sir. Gubernator jest zajęty. Mogę was skierować do któregoś z oficerów.

Moker właściwie nie miał nic istotnego dla gubernatora. Zabiegał o wizytę tylko dlatego, aby wytworzyć wokół swej osoby odpowiednią atmosferę.

— Niech będzie — odparł z rezygnacją i niedbale dodał: — Może do porucznika Birgensa.

— Znacie go?

- Słyszałem o nim same superlatywy — łął Moker.
- Jeśli tak, proszę. Bill — zwrócił się do żołnierza pełniącego służbę — zaprowadź gościa do porucznika Jeffa i wracaj.

Szli wąską uliczką. Andy szukał gorączkowo w myślach jakiegoś wytłumaczenia swojej wizyty. Co miał powiedzieć Birgensowi?... Jak go pytać o Indiankę, Wintersa i odległe wypadki nad Zielonym Jeziorem?... Nieodpowiednio pokierowana rozmowa mogła zakończyć się nieszczęściem.

- Skąd przybyliście? — zagadnął nagle żołnierz.
- Z fortu Fox.
- Dużą mieliście eskortę?
- Żadnej. Podróżowałem sam.
- Czyżby? — zdumiał się żołnierz. — Przecież granica w ogniu.
- Głupstwa miłą językami — sarknął Moker. — Szlak cichy i bezpieczny. Indianie dali łupnia Taylorowi i koniec. Saukom chodzi o to, aby nie zabierano im ziemi.
- U nas opowiadają co innego.
- Nie wiercie.
- Oto kwatery porucznika Birgensa — żołnierz wskazał na estetyczny budynek.
- Wprowadźcie mnie, sir, i zameldujcie, że przychodzę od gubernatora — poprosił Andy. Żołnierz zawahał się.

— Dla mnie to ważne — prosząco nalegał Moker, wsunął do żołnierza kieszeni banknot i cicho dodał: — Na piwo.

Weszli do długiego korytarza. Żołnierz zapukał i otworzywszy drzwi, wpuścił Mokera pierwszego. Wysoki mężczyzna, starannie wygolony, o jasnych oczach i blond włosach, uniósł się znad stołu, spoglądając pytająco na przybyłych.

- Z polecenia gubernatora przyprowadziłem tego człowieka, sir — zameldował trzaskając obcasami.
- O co chodzi? — porucznik ze zdziwieniem przyglądał się zarośniętej twarzy i sfatygowanemu ubraniu przybysza.

- O rozmowę, poruczniku — odparł Andy z lekkim ukłonem. Żołnierz wyszedł.
- Kim jesteście? — zaczął niechętnie Birgens.
- Nazywam się Andy Moker. Przybyłem z fortu Fox.
- Do mnie?
- Do gubernatora i do was.
- Siadajcie — nieco uprzejmiej powiedział porucznik, wskazując krzesło po drugiej stronie stołu. — Gubernator wam nie wystarczył?

- Od was zależy, sir — odrzekł Andy siadając — czy będę jeszcze niepokoił gubernatora.
- Słucham. Z czym przychodzicie?
- Szukam waszego przyjaciela, Guy Wintersa.
- Winters nie jest moim przyjacielem.
- Ale podobno dobrym kompanem — rąbnął Andy.
- Być może.
- Chcę się z nim zobaczyć.
- Czemu nie — odparł chytrze Birgens. — Wykładajcie całą rzecz. Macie z nim na pieńku?
- Raniał mnie ciężko nożem i okradł z towaru. Ledwie uratowano mi życie w forcie Fox.

— Macie świadków, że to on? — Birgens uśmiechnął się cynicznie.

-- Nad Green Lakę wyście, poruczniku, byli świadkiem morderstwa i uprowadzenia. Po cóż szukać innych świadków? — Andy niemal wyskan-dował zdania.

Twarz Birgensa pokryła się lekkim rumieńcem, a ręka leżąca na stole nerwowo drgnęła. Uważnie przyglądał się Mokerowi.

— Kto opowiedział wam te głupie kłamstwa? — spytał niepewnie.

- Świadek — odrzekł chłodno kramarz. — Gdzie znajdę Wintersa'.
- Hmm... — mruknął porucznik. — Wczoraj opuścił Saint Louis.
- Dokąd pojechał?
- Nie wiem.
- To przypomnijcie sobie, poruczniku — wycodził Moker. — Muszę wiedzieć.
- Nie moja to rzecz — odrzekł lekceważąco Birgens.
- Sądzę, że także wasza — Andy surowo spojrzął na oficera i niespodziewanie spytał: — Jak czuje się Promyk Księżycy, czyli Aneta?

- A wam co do tego? — Birgens zerwał się z krzesła.
- Mnie nic, ale jest ktoś, kto interesuje się zniewoloną dziewczyną, sity
- O kim mówicie? — niemal krzyknął oficer.
- Poproście Anetę, przekażę jej pozdrowienie, a wówczas dowiecie się, kim jest ten człowiek — chłód powiał ze słów Mokera.

Birgens nerwowym krokiem przeszedł przez pokój i oparł się niedbale o starą komodę, na której leżał pas z rewolwerem.

- Rozwagi, poruczniku — zimno ostrzegł Andy wyciągając pistolet zza pasa. — Nie przyszedłem do was w złych zamiarach, ale w obronie własnej nie zawaham się użyć broni.

- Czego chcecie?
- Muszę zobaczyć się z Wintersem i Anetą. Nic więcej. Może to odbyć się w waszej obecności.

Birgens, hamując ogarniającą go wściekłość, znowu przespacerował się po izbie i usiadł naprzeciwko kramarza. Andy schował broń.

- Do czego zmierzacie? Krwią nie splamiłem swoich rąk — zaczął tłumaczyć się oficer.
- Uczestniczyliście w przestępstwie. To wystarczy — odparł Moker. — To jak z Wintersem i dziewczyną?

Porucznik zamyślił się, po czym powiedział:

- Winters naprawdę opuścił miasto, popapwadził wojsko, które zawiadania indiańskich wodzów o wielkim kongresie pokoju na Psiej Prerii. — Po pauzie dodał: — Jeśli wam koniecznie zależy, mogę przywołać Indiankę.

- Proszę.

Uchylił drzwi do sąsiedniego pomieszczenia wołając:

— Aneta!

Do pokoju weszła szczuplutka dziewczyna, ubrana w długą kwiecistą suknię, o czarnych oczach i włosach zaplecionych w warkocze. Oparła się o futrynę drzwi, pytająco spoglądając to na porucznika, to na kramarza. Jej wymizerowana twarz tchnęła smutkiem i cierpieniem.

— Jesteś Promykiem Księżycy, córką Białego Obłoka? — spytał Andy kalecząc dialekt Winnepagów.

Dziewczyna ze zdumieniem zatrzepotała powiekami.

- Tak — odrzekła.
- Twój wielki ojciec ciągle cię szuka — łagodnie mówił Moker. — Jesteś z nim z własnej woli — wskazał na Birgensa — czy pod przymusem?
- Dla Promyka Księżycy zgasło słońce — odparła z goryczą, przyciskając dłońmi falujące piersi.
- Nie pragniesz wrócić do swoich?
- Nie mogę — dwie łzy stoczyły się po jej policzkach.
- Rozmawiajcie po angielsku, ona już nauczyła się języka! — zawołał porucznik. — Chcę wiedzieć, o czym mówicie.

- Dobrze, sir — zgodził się Andy i w języku angielskim zwrócił się do Indianki: — Przynoszę ci pozdrowienia od Żółtego Liścia. Chciałabyś się z nim zobaczyć?

Oczy dziewczyny zaiskrzyły się i przygasły. Z dojmującym bólem w głosie powiedziała:

- Radość moich dni nie żyje; czyżbyś przynosił pozdrowienia od ducha?
- Żółty Liść był ciężko ranny. Uratowali go wojownicy twego plemienia — wyjaśnił Moker i spytał: — Powiedz to Winters do niego strzelał?

- Tak, i... — zakryła dłońmi twarz.

- ... i oskalpował rannego. Czy tak?
- Tak — szepnęła tłumiąc łkanie.
- On był przy tym? — Moker wskazał na porucznika.
- Dość! — Birgens uderzył dłonią w stół. — Nie będę dłużej słuchał.
- Ostatnie pytanie, sir — uspokoił go kramarz i zwrócił się do Indianki: — Czy ten oficer poślubił cię?

• Nie — wykrztusiła.

Zapadła cisza pełna duszącego niepokoju.

- Kim jest Aneta dla was, sir? — spytał Andy ponuro spoglądając na porucznika.
- Niewolnicą — z szyderstwem cisnął Birgens.
- To nie Murzynka kupiona na targowisku w Nowym Orleanie — szorstko odparł Moker. —

Odprowadzę ją do Winnepagów — zaproponował.

— O, nie! — zawołał porucznik. — Sam zadecyduję, dokąd ma mi służyć.

Andy z politowaniem pokiwał głową i w narzeczu Winnepagów spytał dziewczynę:

- Możesz wyjść swobodnie na ulicę?
- Nie, jestem pilnowana.
- Bądź czujna, spróbujemy z Żółtym Liściem przyjść po ciebie.
- Wynoś się! Rozmowa skończona! — krzyknął Birgens z czerwoną od gniewu twarzą, wskazując Indiance drzwi. Wysła ze spuszczoną głową. — O czym mówiliście? — rzucił pytanie Mokerowi.

• Pożegnałem ją w jej ojczywym języku — odparł z ironią Andy.

• Czego jeszcze chcecie?

• Już niczego — powiedział z uśmiechem kramarz. — Radzę odesłać dziewczynę Winnepagom i załagodzić sprawę, a Wintersa aresztować za mordy i kradzieże.

Moker, nie spuszczać oczu z porucznika, wycofał się do wyjścia.

— Do zobaczenia, sir! — zawołał, kłaniając się przesadnie, i zatrzasnął za sobą drzwi. Spieszenie przebiegł uliczkę i po chwili był poza fortyfikacją.

Zabrał konia z zajazdu i pośpieszył do Żółtego Liścia. Wśród zarośli, opędzając się od komarów, obaj zastanawiali się nad sposobem odbicia Promyka Księżycy. Trzeba było ją zabrać z fortu podstępem. Ale jak?... Długo snuli plany. Wreszcie zdecydowali, że Moker ponownie odwiedzi Birgensą. Jeśli porucznik będzie sam, spróbuje go uwięzić w jego własnej kwaterze, a dziewczynę wyprowadzi z fortu w męskim przebraniu. Ponieważ dzień dobiegał już końca, akcję postanowili przeprowadzić następnego dnia.

Po nocy przespanej nad rzeką, gdy tarcza słoneczna wzniosła się ponad widnokrąg, Moker uścisnął dłoń Żółtego Liścia.

• Czekaj tutaj — powiedział. — Gdybym do wieczora nie wrócił, będzie to znak, że akcja nie powiodła się i zostałem aresztowany.

• Będę czekał — odparł Winnepago. — Niech Manitou kieruje krokami mego brata.

Andy włożył stopę w strzemień i już miał dosiąść konia, gdy Indianin chwycił go za ramię.

— Uff! — zawołał wskazując na szlak — Długie Noże.

Cofnęli się głębiej w zarośla. Dwa szwadrony jazdy opuszczały miasto. Na przodzie jechali dwaj czerwonoskórzy zwiadowcy. Po grzebieniu włosów i wygolonych bokach czaszki, Żółty Liść rozpoznał Irokezów. Za nimi podążał oficer w towarzystwie... kobiety.

— Przyjrzyj się uważnie, Winnepago — powiedział Andy.

Żółty Liść rozchylił gałęzie. Jeźdźcy dotarli do rozwidlenia szlaku i skręcili na północ. Minęła chwila i już przejeżdżali w pobliżu ukrywających się. Winnepago zacisnął szczęki. Do twarzy napłynęła mu krew. Wykrztusił z siebie:

-* To ona... Promyk Księżycy... w stroju białych squaw...

— A ten oficer to Jef Birgens — dorzucił Andy.

Jeźdźców zasłoniły zarośla i skraj lasu ciągnącego się w stronę Illinois River. Żółty Liść podszedł do mustanga.

• Jadę ich tropem — powiedział stanowczo.

• Ja także — stwierdził Andy dosiadając wierzchowca. Wyjechali na trakt. W milczeniu i ze skupieniem patrzyli na żołnierzy

kłusujących przed nimi.

— Co sądzi mój brat o tej podróży Miczi-malsa? — spytał Winnepago.

• Myślę, że śpieszą gdzieś dalej niż do Alton — odparł Moker. — Inaczej nie braliby z sobą Irokezów.

• Ugh — zgodził się Żółty Liść.

• Może jadą do obozowisk i wiosek twoich pobratymców w sprawie kongresu pokoju na Psiej Prerii — ciągnął Andy. — Albo z jakąś misją do odległych fortów. Jedno jest pewne, że Birgens skorzystał z okazji i celowo opuścił Saint Louis.

• Tak czy inaczej, jutro będą mijać Alton. Mogą tam zostawić Promyk Księżyca — rzucił Winnepago.

• Możliwe — przytaknął Moker.

• W nocy trzeba ją odbić — powiedział zdecydowanie Liść.

• Spróbujemy — zgodził się Andy.

Jechali ciągle na północ, równoległe do Missisipi. Szlak biegł przez lasy, rozmiękłe tereny porośłe krzakami i prościutko przecinał szmaragdowe łąki.

Zapadał zmierzch. Wlekli się stępa, aż w dali zamigotał blask obozowych ogni. Ujechawszy jeszcze ze dwie mile, rozłożyli biwak. Bez ogniska, w zupełnej ciemności leżeli zapatrzeni w migotanie gwiazd na granatowym niebie. Około północy Żółty Liść powiedział:

— Ruszamy, trzeba zbadać obóz Miczi-malsa.

Ostrożnie podjechali w pobliże żołnierskiego biwaku i ukryli konie wśród krzewów.

— Biały brat zaczeka przy mustangach, Winnepago rozejrzy się wokoło — powiedział Indianin i oddalił się bezszelestnie.

Bez kłopotów dotarł pod obóz. Cztery ogniska tliły się zaledwie, rzucając nikle światło na dwa małe namioty. W jednym z nich, jak domyślał się Liść, musiała znajdować się Promyk Księżyca. Obok strzelb, ustawionych w kozły, spali żołnierze. Na skraju biwaku kręciły się spętane wierzchowce. W ich pobliżu, z derkami pod głową, leżeli dwaj Irokezi. Dziesięciu wartowników czuwało nad obozem.

Żółty Liść analizował sytuację. Zastanawiał się nad możliwością wyrwania stąd dziewczyny. Szanse były duże. Obóz spał. Straże nie przejawiały zbytniej czujności. Żołnierze uważali, że są tu bezpieczni, w odległości zaledwie jednego dnia drogi od Saint Louis. Postanowił zaryzykować.

Poczołgał się ku koniom. Mijał śpiących Irokezów, gdy natknął się na coś, co zwinięte w kształt kola leżało na murawie. „Czyżby wąż?” — pomyślał zaskoczony. — „Tak blisko ludzi i zwierząt? Niemożliwe”.

Siwy obłok odsłonił tarczę księżyca. Srebrny blask oświetlił ziemię. W trawie leżał zwój rzemienego sznura. Pewnie któremuś z żołnierzy wypadł nie zauważony podczas zdejmowania ekwipunku. Czyż nie byt to znak zwiastujący powodzenie przedsięwzięcia?... Tak to właśnie odczytał Winnepago.

Uśmiechnął się do błyskawicznie zrodzonego pomysłu. Rozwinął powróż i chwycił oba jego końce. Ostrożnie, bardzo ostrożnie zbliżał się do Irokezów. Opierając się na dłoniach i palcach nóg, ciężar ciała niósł ponad ziemią. Pozwalało to na uniknięcie szelestu przy przesuwaniu się po trawie. Zlany potem legł w pobliżu śpiących i unioślszy głowę, czujnie ich obserwował. Dziwił się, że obaj są pogrążeni w tak głębokim śnie. Od rzekii powiał lekki strumień powietrza i wtedy Żółty Liść poczuł zapach alkoholu. Zrozumiał. Irokezi przed snem pili wodę ognistą. Teraz by! pewny, że zrealizuje swój plan.

Jeden z Irokezów miał podkulone ku górze kolana, drugi położył nogę na nogę w ten sposób, że stopa sterczała nieco nad ziemią. Winnepago przeciągnął ramię pod kolanem i zawiązał luźną pętlę. Podobnie zrobił ze stopą. Czerwonoskórzy ani drgnęli. Alkohol uspił całkowicie ich czujność.

Żółty Liść bez przeszkód dotarł do koni. Strzygły uszami i parsknęły, ale były raczej spokojne. Stojący w pobliżu wartownik nie zwracał nań uwagi. Winnepago przeciął ciągnięty za sobą sznur na dwie połowy. Końce przywiązał do tylnych nóg dwóch wierzchowców. Teraz ostrożnie poruszał się i przecinał pęta rumaków, przywracając im pełną swobodę ruchów. Gdy płachty chmur zakryły księżyc i gwiazdy, przyłożył dłonie do warg. Złowrogi wilczy skowyt rozdarł noc. Zarżały przerażone wierzchowce. Znowu wilcze wołanie, wibrujące niesamowitymi nutami, popłynęło w dal. Trwoga ogarnięte zwierzęta pomknęły w step. Dwaj Irokezi, wleczeni przez konie, wrzeszcząc, usiłowali uwolnić się od sznura. Żołnierze, wyrwani ze snu, biegli po broń.

Żółty Liść, uczepiony grzywy jakiegoś konia, zatoczył łuk i zatrzymał się po drugiej stronie obozowiska. Wykorzystując zamęt wśród Amerykanów, ruszył ku namiotom. Większość żołnierzy uganiała się za wierzchowcami. Porucznik Birgens wydawał jakieś rozkazy. Na dogasające węgle ognisk

rzucano chrust. Nikt nie zwrócił uwagi na przemykającą postać. Winnepago zatrzymał się przy namiocie. Nikt nie pełnił tu straży. Zajrzał do środka: pusto. Podbiegł do drugiego. W wejściu stała Promyk Księżycyca. Przywarł do płótna namiotu i dotykając ramienia dziewczyny, powiedział:

— Twój Winnepago przyszedł po ciebie. Uciekajmy!

Gwałtownie odwróciła się. Nie zdołała nic odpowiedzieć, coś ścisnęło jej krtań. Porucznik Birgens z pistoletem w ręce szedł w ich stronę. Płomienie jednego z ognisk poczęły rozświetlać noc.

— Szybko! — szepnął pociągając dziewczynę w cień. Padli na ziemię za namiotem.

Birgens zawołał:

— Aneta!

Obóz napelniała wrzawa ludzi i tętent rozbieganych koni.

— Aneta! — powtórzył i rozglądając się poszedł w głąb obozu.

Poderwali się. Biegli ile sił w nogach. Jeszcze parę sekund i otuliła ich noc. Koń, na którym Żółty Liść objechał obozowisko, stał cierpliwie, jakby czekał na ich powrót. Dosiadł go, dziewczynę umieścił przed sobą i bez kłopotów dotarli do czekającego Mokera.

— Nareszcie! — zawołał z ulgą Andy.

Żółty Liść nie zareagował. W milczeniu usadowił Promyk Księżycyca na swym mustangu, a dla siebie zatrzymał zdobytego wierzchowca. Wskazując ręką przestrzeń, powiedział:

— Ku Illinois River!

Ruszyli. Przed nimi widnokrąg barwił się różowym blaskiem świtu.

NA PSIEJ PRERII

Tam, gdzie Wisconsin River wlewa swe wody do Missisipi, otoczona rozległą równiną, stoi stara faktoria. Na północy i wschodzie majaczą na widnokręgu odwieczne bory; na południe i zachód biegnie' pusta przestrzeń, zryta norami stepowych piesków¹. To Psia Preria. Tu od dawna ściągają indiańscy łowcy i biali traperzy, by plon zimowych łowów zamienić na towar lub szeleszczące banknoty; tu zwyczajowo milkną waśnie i spory. Osag bez uprzedzeń poklepie po plecach Sauka, Irokez przyjaźnie pogawędzi z Ottawą, a każdy biały może poruszać się tutaj jak we własnym domu.

Wykorzystując ten pokojowy zwyczaj Środkowego Zachodu, Unia w sierpniu 1825 roku zwołała w Prairie du Chien wielki zjazd przedstawicieli wszystkich plemion, szczepów i rodów.

Wokoło drewnianych magazynów faktorii zabieliły się płótna wojskowych namiotów. Na wysokim maszcie wiatr rozwijał flagę Stanów Zjednoczonych. W zagajnikach, sadzonych już ręką człowieka, biwakowało tysiąc naczelników, wodzów i szamanów. Byli tu wodzowie: Waneta — sachem Dakotów, Czerwony Ptak — Winnepagów, Took-suh — Szawane-zów, Siwy Włos — Peoriów, Huczący Grzmot — Miamisów, Szybki: Belt — Czipewejów, Keokuk — Foxów i Sauków, i wielu innych owianych] sławą i legendą... Nie zjawił się tylko Czarny Jastrząb — znakomity strateg i nieubłagany wróg Unii.

Liczni wodzowie przybyli z oddziałami wojowników, inni z całymi! rodami, nawet z kobietami i dziećmi.

Z dalekich miast, pod osłoną wojska, ścignęli na Psią Prerię kupcy, kramarze, wydrwigrosze i ludzie o podejrzanym wyglądzie. Skusiła ich] nadzieja łatwego zarobku — sprzedania Indianom lichych wyrobów i zakupienia u nich poszukiwanych na Wschodzie futer dzikich zwie-l rzą.

Rojno było i gwarnie, a wciąż jeszcze ze wszystkich stron napływali nowi przedstawiciele plemion i szwadrony kawalerii Unii. Malownicze stroje Indian, eleganckie mundury oficerów i niechlujne ubiory włóczęgów! pomieszały się, tworząc niezwykłą mozaikę.

Wśród tego tłumu przeciskał się Andy Moker. Bez skrupułów zagląda! do wnętrza namiotów, badawczo przypatrywał się ludziom. Szukał czarnobrodego człowieka, który kiedyś wyrządził mu krzywdę.

— Czy mnie oczy nie mylą? Toż to Andy! Witaj, przyjacielu! — Usłyszał nagle za sobą znajomy głos. Odwróciwszy się ujrzał uśmiechnięte oblicze Wooleya.

- Rod! — krzyknął wyciągając ramiona. Uścisnęli się po bratersku.
- Co cię tu ścignęło? spytał z grzeczności Moker.
- Handel. A ciebie?

Andy wydał z sarkazmem wargi, odparł:

— Nie domyślasz się? Trop...

Wooley rozglądając się dookoła i pociągając za rękaw Mokera, powiedział:

• Chodź, rozbiłem namiot między obozem czerwonoskórych a białych. Tam swobodnie porozmawiamy- A ty gdzie biwakujesz?

• Nigdzie — wzruszył ramionami Andy. — Śpię pod gołym niebem, pogoda sprzyja.

Przebiegli rojne obozowisko Dakotów, niewielką grupę Pottawatomich i podeszli do obszernego namiotu. Umieszczony na nim sztyld z prostokątnej deski głosił koślawymi literami: „Store”. Przed wejściem, przy wyłożonych towarach, siedział młody mężczyzna o jasnych włosach.

— Poznajcie się — Rod wskazał ręką — to mój pomocnik Ken Roggis.

Moker podał mu dłoń wymieniając nazwisko.

Usiedli w zacisznym kącie namiotu. Wooley wyciągnął rum i napełniając kubki, zwrócił się do Andy'ego:

- Opowiadaj, jestem ciekawy twych przeżyć. Musisz wiedzieć, że często myślałem o tobie.
- Co tu opowiadać — odparł Moker. — Widzisz, że zdrowie mi wróciło. Zawdzięczam to twej trosce.
- Nie tylko. Gdyby nie Winneepago, umarłbyś w puszczy. Co z tym Indianinem?
- Jest tutaj.
- Więc dopadł skalpownika i zmył hańbę?
- Nie — Andy pokręcił głową. — Odzyskał uprowadzoną dziewczynę, ale Wintersa nie odnalazł.
- Wintersa, powiadasz?
- Yes, Wintersa. Podejrzewam, że on był też sprawcą mego nieszczęścia.
- Chcesz go zobaczyć?
- Oczywiście! Jest tutaj? — Andy zerwał się z prowizorycznego siedzenia.
- Parę dni temu kupował u mnie proch i kule.
- Gdzie go można znaleźć?
- W faktorii. Ale spokojnie, Andy. Nerwami niczego nie osiągniesz. Tu potrzebna rozwaga i ostrożność.

Moker usiadł. Zaczerwienione oblicze świadczyło o wewnętrznym podnieceniu. Pociągnął nieco rumu.

• Winters nie odjedzie — mówił Wooley. — Jest tłumaczem. Musisz go najpierw zobaczyć z ukrycia. Obiecał, że przyjdzie jeszcze do mnie, be taniej sprzedaje towar niż inni.

- A jeśli nie przyjdzie? Wolę sam pójść do niego, niż czekać — rzuci Moker z błyskiem w oczach.
- Zamieszkaż ze mną — zaproponował Rod. — Płótno namiotu uchroni cię przed deszczem. A i weselej razem.

• Nie jestem sam — odparł Andy. — Nie wypada mi pozostawić: Winnepaga samego.

• Z nim mieszkasz?

• Tak.

• Przyjdźcie obaj.

• Chyba nie zechce — odrzekł Moker. — Jako zhańbiony, stroni od' swych pobratymców.

• Będzie wśród białych — Wooley uśmiechnął się. — Indianie obozują] po tamtej stronie — zrobił ruch ręką, wskazując na zachód.

• Zaproponuję mu to — Andy odstawił kubek i spytał: — Nie wiesz, a kim mieszka Winters?

• Nie wiem. W faktorii zorganizowano kwatery dla znakomitszycri oficerów. Jest tam Cass², Clark', Taylor, Scott⁴, Whistler, gubernatoa Reynolds... Oczekują przybycia samego Harrisona". Tłumaczy trzymają przy sobie. Rej wśród nich wodzi Izaak Gallanda.

• Pójdę popatrzeć — powiedział Andy wstając.

• Zostań, zdążysz — Wooley usiłował powstrzymać Mokera. — TerJ zjazd zakończy się dopiero we wrześnieiu.

• Nie szkodzi. Rod. Przyjdę do ciebie wieczorem, może razem i Indianinem — odrzekł Andy i z przyjacielskim gestem dłoni opuścił namiot.

Klucząc wśród biwakujących ludzi, zbliżył się do zabudowań faktorii] Długi drewniany budynek, z dwoma czubatymi wieżyczkami, obleżony był przez wojsko. Przed głównym wejściem czuwali wartownicy. Moker pokręcił się trochę, uważnie przyglądając się wszystkiemu, po czym wszedł

do magazynu handlowego. Było tu tłoczno. Zapach alkoholu, zmieszany z ludzkim potem, wypełniał pomieszczenie. Przy kontuarze stała rozparta zawadiacko gromada trampów z kuflami pieniącego się

piwa. Hałaśliwie rozmawiali, wybuchając co chwila śmiechem. Po drugiej stronie był sklep z różnymi towarami. Kilka osób w ciszy i spokoju czyniło jakieś zakupy. Moker tam skierował swoje kroki. Machinalnie położył dłonie na blacie lady, przyglądając się towarom leżącym na półkach i wiszącym na ścianie. Wybór był duży, jednak nie po towar przybył tu Andy. Udając, że szuka czegoś, obserwował i pilnie słuchał rozmów ludzi.

— Czym mogę służyć, sir? — Uprzejmie zwrócił się doń kupiec.

Moker uśmiechnął się przyjaźnie. Sprzedawca, ubrany w estetyczną kamizelkę z sukna, lamowaną brązową taśmą, starannie wygolony i uczesany, budził zaufanie i sympatię. Miał mu powiedzieć, że nie przyszedł po zakupy? Więc po co?... Błyskawicznie odparł:

- Nie widzę tego, co jest mi potrzebne.
- Może mamy w magazynie. Czego potrzebujecie, sir?

— Hmm... — chrząknął Moker zastanawiając się nad odpowiedzią — dobrej lornetki.

— Poczekajcie, sir — powiedział sprzedawca — spytam magazyniera.

Andy oparł się o ladę przyglądając się ludziom. Nikogo nie znał, a urywki rozmów, jakie chwycił, nie miały dlań znaczenia.

— Macie szczęście, sir! — wołał już z daleka sprzedawca. — Mieliśmy jedną. Świetna, o dużej mocy przybliżania.

Moker z zakłopotaniem patrzył na położoną przed nim lornetkę. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Tego typu optycznych przedmiotów w zasadzie nie sprowadzano do puszczańskich faktorii, a jeśli zdarzył się taki przypadek, to kosztowały one więcej niż dobra strzelba.

— Lepiej nie znajdziecie — zachwalał kupiec — oglądajcie, sir.

Andy z ociąganiem podniósł lornetkę, nastawił szkła do swych oczu, spojrzął w najdalszy kąt magazynu. Gwizdnął cicho przez zęby. Nigdy do tej pory nie miał okazji do korzystania z lornetki. Teraz zrozumiał, że może ona oddać olbrzymie przysługi na rozległych pustkowiach.

• Ile? — spytał.
• Dwieście dolarów — odparł sprzedawca.
• Za dużo... — z rezygnacją powiedział Andy kładąc lornetkę.
• Ależ, sir, to najnowszy model. Tylko niektórzy oficerowie posiadają takie szkła — mówił z pasją kupiec.

- Dla mnie za drogo — odrzekł Moker. — Mogę dać połowę ceny.
- Sto osiemdziesiąt...
- Nie, sto...
- Sto siedemdziesiąt.

Andy pokręcił przecząco głową.

• Ta lorneta leży u nas dość długo, aby pozbyć się jej z magazynu, oddam za sto pięćdziesiąt.

Więcej obniżyć ceny nie mogę.

- Nie.
- Trudno, sir — kupiec sięgnął po lornetkę.

• Chwileczkę — Moker wahał się. Wreszcie westchnąwszy sięgnął do kieszeni po pieniądze. — Nie wiem, czy dobrze robię, kupując ten luksus

Sprzedawca zgarnął banknoty.

• Dziękuję — powiedział. — Myślę, że będziecie, sir, zadowoleni. Andy, chowając lornetkę, spytał od niechcienia:

• Bywa tutaj tłumacz Guy Winters? Kupiec chwilę zastanawiał się.

— Nie wiem — odrzekł. — Przewijają się przez magazyn różni ludzie.

Może i on przychodził.

Moker wyszedł ze sklepu. Włączył się po obozowisku. Parokrotnie wypróbował lornetkę. Dziwił się, że tak doskonale zbliża przedmioty znajdujące się nawet poza zasięgiem wzroku. O zachodzie opuścił teren faktorii i po paru minutach pieszej wędrówki dotarł do biwaku Żółtego Liścia. Indianin powitał go pytającymi oczami. Andy, siadając przy małym ognisku, powiedział:

- Spotkałem Wooleya, tego z fortu Fox, do którego doprowadziłeś mnie, gdy byłem ranny.

Pamiętasz?

- Ugh.
- Rozbił namiot i sprzedaje towar. Zapraszał nas do siebie. Chce, abyśmy u niego zamieszkali.

Pójdiesz?

- Nie. e-
- Rod darzy cię przyjaźnią, zaprasza szczerze.
- Winneepago nie może.
- Jego namiot stoi w pobliżu wojska i z dala od Indian. Nie złamiesz swego obyczaju. Będiesz

wśród białych.

Żółty Liść milczał.

— Od Wooleya widać jak na dłoni obozowisko żołnierzy i budynki faktorii — mówił Moker. — Będziemy na zmianę obserwować ludzi. To ważne. Z białymi jest Guy Winters. Obaj musimy go zobaczyć, aby przekonać się, czy to ten, którego szukamy.

W czarnych źrenicach Iridianina pojawił się żywszy blask.

— Kupiłem lornetę — Andy wyciągnął ją z kieszeni. — Spójrz przez szklę na obóz pod faktoria.

Żółty Liść nie wiedział, co ma zrobić z trzymanym przedmiotem.

— Nie umiesz się z nią obchodzić? Zaraz ci pokażę. Tu pokręcaj, aż wyostrzy się obraz. Spróbuj.

Żółty Liść manipulował lornetką, aż wreszcie znieruchomiał.

Uff! — zawołał pełen zdziwienia i zachwytu. — To wielki talizman. W nim muszą mieszkać niezwykle duchy.

Odsunął szklę od oczu i znowu je przyłożył. Długo obserwował faktorię, potem zatoczył luk po widnokregu.

Białym braciom służą polężne moce — powiedział oddając lornetkę i z żalem dodał: ; Dlaczego Manitou nie obdarzył nas takimi duchami?

— To wymyślili uczeń fi - wyjaśni! Andy. — Wy też moglibyście robić podobne urządzenia. Potrzebna jest tylko wiedza. Zresztą, my nauczyliśmy się od was także wielu cennych rzeczy.

— Winneepago pójdzie; z białym bratem do namiotu Wooleya — rzekł

Żółty Liść zmieniając nagle temat rozmowy.

Starannie zasypawszy węgle ogniska, dosiedli koni. Zmierzch już nasiąkał nocą, gdy znaleźli się u Wooleya, który powitał ich radośnie. Wierzchowce uwiązali (do wbitych w ziemię palików i rozgościli się w namiocie.

Rod Wooley, jak na gospodarza przystało, poczęstował przybyłych kolacją. Spożywając wyśmienitą konserwę mięsną z pajdami pszennego chleba, gawędzili przy nikłym blasku łojowego kaganka.

• ... Winneepago noją uwolnił Promyk Księżycy z obozu żołnierzy — opowiadał Moker. — (Pognaliśmy jak szaleni. Birgens wysłał pościg, ale on — wskazał na Indianina — w lesie tak kluczył i zacierał ślady, że zgubiono nasz trop. Dziewczynę odwieźliśmy szczęśliwie do rodzinnej wioski. Wyobrażasz sobie, Rod, radość Białego Obłoka?

• Nie mogła wcześniej sama uciec? — spytał Wooley. — Sądzę, że okazji ku temu były.

• Początkowo próbowała — powiedział Żółty Liść — ale pilnowano ją jak niebezpiecznego Więźnia. Stale grożono jej torturami i śmiercią.

• Dranie! — zawołał oburzony Ken Roggis, pomocnik Wooleya. — Powiniście wnieść o/skarżenie na porucznika Birgens.

• Żeby to coś dało... — z powątpiewaniem machnął ręką Moker.

• Jak to? Takie ipzyny są karalne! — zawołał Roggis.

• Gdyby chodziło o białą dziewczynę, tak -I— stwierdził Wooley. — Ale to Indianka.

• Co za różnica? — obruszył się Ken.

• Macie rację, nie powinno być różnicy — przyznał Andy. — Jednak sądy Unii inne stosują prawa dla białych, indie dla czerwonoskórych, a! jeszcze inne dla Murzynów.

• To niesprawiedliwe! — Roggis był oburacony.

• Podzielał wasze zdanie — rzekł Wooley. — Taka jest, niestety! prawda.

• Co o tym myślisz, czerwony bracie? — HCen zwrócił się do Indianina.

• Biali bracia wypowiadają moje myśli — ocparł ze spokojną powagą czerwonoskóry. — Na sprawiedliwość Miczi-malsa liczyć nie można. Winnepagó sam musi wymierzyć karę poręcznikowi Birgensowi i Czarnej] Zarośniętej Twarzy. 1

- Miałeś okazję, gdy uwalniałeś dziewczynie, dokonać zemsty na Birgensie. Dlaczego tego nie uczyniłeś? — zawołał Roggis. Żółty Liść pokręcił głową, odrzekł:

— Nie godzi się strzelać z ukrycia. Winnepagó spotka się z białym oficerem twarzą w twarz. Hugh.

Przez chwilę trwało milczenie. Przerwał je Molker.

- Winters nie przychodził po zakupy? — spytał.
- Nie — odpowiedział Rod. — A ty nie spotkałeś go w faktorii?
- Nie miałem szczęścia, ale kupiłem świetną lornetkę. Zobacz i oceń jej wartość.

Wooley oglądając lornetkę.

• Dobra — stwierdził. — Dwa lata temu w moim sklepie w forcie Fos oficerowie i podróżnicy za znacznie gorsze płacili po dwieście dolarów. Ile dałeś?

- Sto pięćdziesiąt.
- Tanio, bardzo tanio — przyznał Rod.

Rozmawiali jeszcze trochę o różnych błahych sprawach, potem każdy zrobił sobie posłanie i usnęli. Wari wystawiać nie trzeba było. Nad bezpieczeństwem wielkiego obozowiska czuwało I wojsko i indiańscy wojownicy.

Rankiem po krótkiej naradzie postanowili, że Żółty Liść zostanie w namiocie i przy pomocy lornety będzie obserwował teren, a Moker pójdzie pod faktorię tropić Wintersa. Czas płynął. Na bezskutecznym wyczekiwa-

niu przeszedł jeden dzień i drugi. Guy Winters nie pojawił się na widowni albo tak się składało, że Moker nie natknął się na niego.

W trzecim dniu Andy spotkał szamana Winnepagów. Informacje, jakie od niego uzyskał, sprawiły, iż co prędzej pobiegł do Żółtego Liścia. Już w progu wołał:

- Rozmawiałem z Białym Obłokiem. Koniecznie chce cię zobaczyć, i to zaraz. Zbieraj się, idziemy!
- Razem?

• Tak. Gubernator polecił rozdawać czerwonoskórym prezenty. Po indiańskim obozie krąży oficerowie z tłumaczami i obdarowują wodzów i wojowników. Po południu będą u Winnepagów. Biały Obłok spodziewa się u siebie Wintersa.

Żółty Liść zerwał się, zarzucił przez ramię torbę i chwycił broń. Nie pytał o nic. Wiadomość była aż nadto jasna. Z zawieszonym na piersi wampumem poszedł za Mokerem. W milczeniu przecięli obozowisko i zatrzymali się przed tipi szamana. Andy dyskretnie zajrzał do wnętrza i widząc, że Biały Obłok jest tylko w towarzystwie Czerwonego Ptaka, skinął na Indianina.

— Jesteśmy — powiedział Moker, gdy weszli.

Żółty Liść skrzyżował ręce na piersi i zamknął powieki.

Szaman popatrzył na gości i wskazując miejsca obok siebie, poprosił:

— Usiądź, biali bracie, i ty także, mój synu.

Żółty Liść otworzył migocące radością oczy. Z wahaniem odparł:

- Noszę piętno hańby.
- Jaj szaman Winnepagów, za zgodą Nabash-cisa, pozwalam ci usiąść, synu.

Spoczęli na wskazanych miejscach. Minęła długa chwila, nim Biały Obłok zaczął mówić:

— Obaj chodźcie tropem Czarnej Zarośniętej Twarzy, obaj nie macie pewności, czy człowiek, którego szukacie, to Winters. Przyjdzie zaraz z darami dla Winnepagów. Przypatrzcie się mu, jeśli to przestępca, to jest także moim wrogiem. Jednak na Psiej Prerii trzeba o tym zapomnieć. To ziemia uświęcona pokojem. Pamiętajcie, bracia.

Żółty Liść pochylił głowę, a Moker powiedział:

- Zastosujemy się do panującego zwyczaju.
- Jeśh' Winters jest zbrodniarzem, ty, synu, oznajmisz mi to mową znaków — zwrócił się Biały Obłok do Żółtego Liścia.

• Chyba nieprzypadkowo Winters ma tu przyjść jako tłumacz? — Andy nie potrafił ukryć ciekawości.

- Nie, bracie — odrzekł szaman. — To podstęp Czerwonego Ptaka. Oby się powiodł.
- Unia zbyt hojną ręką rozrzuca prezenty — zmienił temat Ancly. — Chce dla swoich celów pozyskać przychylność wodzów.
- Białego Obłoka nie kupią — stwierdził stanowczo szaman.
- Woda ognista rozmiękcza myśli i uczucia — zauważył Moker. — Człowiek pod jej wpływem nie zawsze wie, co czyni.
- Ugh, biały brat ma rację — przyznał Czerwony Ptak. — Winnepago-wie nie przyjmą ognistej wody.
- Naczelnicy i szamani innych plemion nie odmawiają — odrzekł Moker. — Od dwóch dni widzę, co się dzieje. Wczoraj Huczący dirzmot ledwie trzymał się na nogach.
- Smutne — szepnął wódz Winnepagów.
- Prezentami i whisky Unia pragnie kupić waszą uległość — posiedział Andy. — Bądźcie rozważni.
- Nie ma jednomyślności wśród plemiennych wodzów i dlatego nie wiadomo, czym się skończy ta pokojowa narada białych i czerwonych ludzi — stwierdził z goryczą Czerwony Ptak.

Żółty Liść nie zabierał głosu. Nie wolno mu było rozmawiać]. Mógł jedynie odpowiadać na pytania. Doznał i tak wielkiej łaski, że mógł siedzieć obok wojowników. Biały Obłok wykorzystał przerwę w dialogu i zwrócił się do niego:

- Córka moja, synu, śle ci pozdrowienia.

Żółty Liść położył prawą dłoń na sercu i pochylił się w ukłonie.

- Promyk Księżycy jest smutna — mówił dalej szaman. — Oficer skrzywdził ją. Teraz zwątpienie i ból mieszkają w jej sercu. Nie wie, jakie dni przyniesie jej los.
- Gdy zmyję hańbę — cicho powiedział Żółty Liść — wprowadzając ją do swego wigwamu, jeśli jeszcze będzie chciała.
- Spytasz ją o to, synu, gdy wrócisz do wioski z własnym iinieniem.

Biały Obłok urwał. Do tipi weszło dwóch Sauków: szaman Waupeshek i zastępca Czarnego Jastrzębia — Neapope.

- Witajcie — powiedzieli zatrzymując się przy wejściu. i
- Witamy braci Sauków — odparł Czerwony Ptak. — Radzi jesteście z odwiedzin.

Saukowie usiedli.

- To Andy Moker, nasz biały brat — przedstawił wódz Winnepagów — a ten młody wojownik...

Waupeshek podniósł dłoń.

- Szaman Sauków zna obu — uśmiechnął się przyjaźnie. — To wielcy wojownicy.
- Przyszliśmy na krótko — przystąpił do rzeczy Neapope. — Miczi--malsa przygotowują do podpisania układu ustalający na Missisipi granicę między białą i czerwoną rasą. Czy wiecie, bracia, co to znaczy? — Przerwał, dając słuchaczom czas do namysłu, po czym ciągnął dalej: — Jeśli podpiszemy ten układ, wszystkie plemiona będą musiały opuścić ziemię swych ojców i przenieść się poza Me-si-kse-pe. A tam ojczyzna Dakotów, Osagów, Pawnisów, Komanczów... Będą oni bronić swych łowieckich terenów. Rozpoczną się bratobójcze wojny. Tego nam zrobić nie wolno.
- Biały Obłok nie podpisze układu — powiedział szaman Winnepagów.

Czerwony Ptak milczał.

- Czarny Jastrząb, wielki sachem Sauków i Foxów, nie przybył na Psię Prerię — mówił Neapope. — Przesłał mnie, Waupesheka, i swych synów: Orła Prerii, Nasheakuska i Gamesetta, by wezwali wszystkich wodzów do zjednoczenia się w obronie ziemi przodków.
- Część wodzów, omamiona prezentami i obietnicami białych, podpisał układ — odezwał się Moker. — Plemionom spoza Missisipi jest na rękę ustalenie takiej granicy, a los szczepów na wschód od rzeki ich nie interesuje.
- Biały brat wypowiedział gorzką prawdę — przyznał Waupeshek. — Synowie Czarnego Jastrzębia próbują pozyskać naczelników dla słusznej sprawy indiańskich narodów.
- A Keokuk, wbrew woli sachema, w imieniu wszystkich Sauków i Foxów podpisał z Długimi Nożami układ — rzucił z sarkazmem Czerwony Ptak. — Co wtedy uczyni Czarny Jastrząb?

Zapadła cisza.

Przed tipi rozległy się głośne rozmowy. Bez ceregieli szarpnięto zasłonę i do środka weszło czterech

ludzi. Dwaj postawili wypchany worek i wyszli. Pozostał porucznik i czarnobrody cywil o ponurym wyglądzie.

- Witajcie, czerwoni mężowie — zaczął oficer, a czarnobrody natychmiast tłumaczył. — Z polecenia Białego Ojca w Waszyngtonie gubernator Reynolds przesyła wam dary w dowód braterstwa i pokoju.

- Spocznijcie, biali bracia — poprosił Czerwony Ptak.

- Chętnie usiadzimy — odparł porucznik — lecz najpierw mój

- Nie, bracie — odrzekł szaman. — To podstęp Czerwonego Ptaka. Oby się powiódł.

- Unia zbyt hojną ręką rozrzuca prezenty — zmienił temat Andy. — Chce dla swoich celów pozyskać przychyłność wodzów.

- Białego Obłoka nie kupią — stwierdził stanowczo szaman.

- Woda ognista rozmiękcza myśli i uczucia — zauważył Moker. — Człowiek pod jej wpływem nie zawsze wie, co czyni.

- Ugh, biały brat ma rację — przyznał Czerwony Ptak. — Winn[^];pago-wie nie przyjmą ognistej wody.

- Naczelnicy i szamani innych plemion nie odmawiają — odrzekł Moker. — Od dwóch dni widzę, co się dzieje. Wczoraj Huczący Grzmot ledwie trzymahsię na nogach.

- Smutne +- szepnął wódz Winnepagów.

- Prezentami i whisky Unia pragnie kupić waszą uległość — powiedział Andy. — Bądźcie rozważni.

- Nie ma jednomyślności wśród plemiennych wodzów i dlatego nie wiadomo, czym się skończy ta pokojowa narada białych i czerwonych ludzi — stwierdził z goryczą Czerwony Ptak.

Żółty Liść nie zabierał głosu. Nie wolno mu było rozmawiać; . Mógł jedynie odpowiadać na pytania. Doznał i tak wielkiej łaski, że mógł siedzieć obok wojowników. Biały Obłok wykorzystał przerwę w dialogu i zwrócił się do niego:

— Córka moja, synu, śle ci pozdrowienia. |

Żółty Liść położył pfawą dłoń na sercu i pochylił się w ukłojnie.

- Promyk Księżycza [^]jest smutna — mówił dalej szaman. —j- Oficer skrzywdził ją. Teraz zwątpienie i ból mieszkają w jej sercu. Nie wie, jakie dni przyniesie jej los.

- Gdy zmyję hańbę — cicho powiedział Żółty Liść — wprowadzję ją do swego wigwamu, jeśli jeszcze będzie chciała.

— Spytasz ją o to, synu, gdy wrócisz do wioski z własnym irnieniem.

Biały Obłok urwał. Do tipi weszło dwóch Sauków: szaman WaUpeshek i zastępca Czarnego Jastrzębia — Neapope.

— Witajcie — powiedzieli zatrzymując się przy wejściu.

— Witamy braci Sauków — odparł Czerwony Ptak. — Radzi jesteście z odwiedzin.

Saukowie usiedli.

— To Andy Moker, nasz biały brat — przedstawił wódz Winnepagów — a ten młody wojownik...

Waupeshek podniósł dłoń.

- Szaman Sauków zna obu — uśmiechnął się przyjaźnie. — To wielcy wojownicy.

- Przyszliśmy na krótko — przystąpił do rzeczy Neapope. — Miczi--malsa przygotowują do podpisania układu ustalający na Missisipi granicę między białą i czerwoną rasą. Czy wiecie, bracia, co to znaczy? — Przerwał, dając słuchaczom czas do namysłu, po czym ciągnął dalej: — Jeśli podpiszemy ten układ, wszystkie plemiona będą musiały opuścić ziemię swych ojców i przenieść się poza Me-si-kse-pe. A tam ojczyzna Dakotów, Osagów, Pawnisów, Komanczów... Będą oni bronić swych łowieckich terenów. Rozpoczną się bratobójcze wojny. Tego nam zrobić nie wolno.

- Biały Obłok nie podpisze układu — powiedział szaman Winnepagów.

Czerwony Ptak milczał.

- Czarny Jastrząb, wielki sachem Sauków i Foxów, nie przybył na Psią Prerię — mówił Neapope. — Przysłał mnie, Waupesheka, i swych synów: Orła Prerii, Nasheakuska i Gamesetta, by wezwali wszystkich wodzów do zjednoczenia się w obronie ziemi przodków.

- Część wodzów, omamiona prezentami i obietnicami białych, podpisał układ — odezwał się Moker. — Plemionom spoza Missisipi jest na rękę ustalenie takiej granicy, a los szczepów na wschód od rzeki ich nie interesuje.

- Biały brat wypowiedział gorzką prawdę — przyznał Waupeshek. — Synowie Czarnego Jastrzębia próbują pozyskać naczelników dla słusznej sprawy indiańskich narodów.

- A Keokuk, wbrew woli sachema, w imieniu wszystkich Sauków i Foxów podpisał z Długimi Nożami układ — rzucił z sarkazmem Czerwony Ptak. — Co wtedy uczyni Czarny Jastrząb?

Zapadła cisza.

Przed tipi rozległy się głośnie rozmowy. Bez ceregieli szarpnięto zasłonę i do środka weszło czterech ludzi. Dwaj postawili wypchany worek i wyszli. Pozostał porucznik i czarnobrody cywil o ponurym wyglądzie.

- Witajcie, czerwoni mężowie — zaczął oficer, a czarnobrody natychmiast tłumaczył. — Z polecenia Białego Ojca w Waszyngtonie gubernator Reynolds przesyła wam dary w dowód braterstwa i pokoju.

- Spocznijcie, biali bracia — poprosił Czerwony Ptak.

- Chętnie usiądziemy — odparł porucznik — lecz najpierw mój towarzysz wyłoży prezenty. Guy, opróżnij worek — polecił czarnobrody, demu.

Guy rozwiązał ramię i wyciągnął parę butelek whisky, a potem na ziemi w pobliżu Indian układał różne dary: szklane paciorki, metalowe kubki, kociołek, noże, zwój błękitnego jedwabiu, nożyczki, koce, motki nici, pakiet igieł..

Żółty Liść gorejącymi oczami wpatrywał się w czarnobrodego. Krew'ci nabiegła mu do twarzy. Palce rąk kurczowo zacisnął na kolanach. Ciężko oddychał. Krople potu pokryły mu czoło. Ledwie panował nad sobą. Nie miał wątpliwości. To był zbrodniarz znad Zielonego Jeziora.

Moker trącił ~go~razJ drugi, a kiedy nie reagował, pochylił się i szepnął mu do ucha:

- Ten?

- Ugh — z zaciśniętych warg wybiegł świszczący syk.

Biały Obłok zauważył wzburzenie Żółtego Liścia i usłyszał pytanie oraz odpowiedź. Położył dłoń na ramieniu młodzieńca. To wystarczyło. Winnepag opuścił głowę. Ostatnim wysiłkiem woli stłumił narastający gniew. Czuł, jak strużka potu spływa mu wzdłuż kręgosłupa i wilgotnieją dłonie.

- To pierwsza część darów — powiedział porucznik siadając wraz z tłumaczem naprzeciw Indian. — Po podpisaniu wzajemnego układu moi bracia dostaną jeszcze wspanialsze prezenty.

- Przed namiotem postawiliśmy całą baryłkę wody ognistej — uzupełnił Guy. — A ta whisky — wskazał na butelki — to znakomitszy gatunek dla starszyzny.

Czerwonoskórzy milczeli.

— Poznajmy się — zaproponował z uśmiechem oficer. — Nazywam się Richard Kerang, a mój tłumacz — Guy Winters. — Powiodł spojrzeniem po siedzących i dodał: — Oprócz Winnepagów widzę Sauków i rodaka. Miło mi.

Biały Obłok z chłodną rezerwą odparł:

— Na Psiej Prerii wszyscy jesteśmy braćmi, więc witamy was w tipi. Tu siedzi naczelnik Winnepagów, Czerwony Ptak — wskazał ręką — jak rzadko kto miłujący pokój. To jest sławny szaman Waupeshek, obok jeden z wodzów Sauków — Neapope. Natomiast mnie, młodego wojownika i białego brata zna dobrze Czarna Zarośnięta Twarz, niech więc wymieni nasze imiona.

Winters, zaskoczony słowami szamana, udając obojętność, przyjrzał się Żółtemu Liściowi. Indianin nikogo mu nie przypominał. Potem z trudem wytrzymał wzrok Mokera i nieco zmieszany zwrócił się do Białego Obłoka:

- Domyślam się, że czerwony brat jest szamanem Winnepagów, lecz tamtych ludzi nigdy nie spotkałem, więc znać ich nie mogę.

- Czarna Zarośnięta Twarz kłamie — odezwał się surowo Waupeshek. — Białemu Obłokowi sprzyja nawet Kanaha, dlatego potrafi czytać w duszy czerwonych i białych ludzi.

- Czarna Zarośnięta Twarz? Cóż to za dziwne imię? — zachnął się oficer. — On nazywa się Winters. O co ten spór?

- Takie imię nadał mu tamten młody wojownik nad Green Lake — odrzekł Biały Obłok i zwrócił się do czarnobrodego: — Było to przed laty, czy Zarośnięta Twarz pamięta?

- Bierzecie mnie za kogoś innego.

• Byłeś wtedy z porucznikiem Birgensem. Czy to nie wystarczy? — zawołał Moker. — A mnie też nie poznajesz, łotrze?

Winters zbladł, odruchowo położył dłoń na kolbie pistoletu. Wstając, niemal krzyknął:

• Ublżają mi, więc odchodzę.

• Jesteście tłumaczem, zostańcie! — polecił Kerang. — Zmierzacie do awantury? — zwrócił się do Indian.

• Psia Preria jest miejscem pokoju — przypomniał sucho Biały Obłok. — Czarnej Zarośniętej Twarzy nic tu nie grozi, ale na szlaku...

• Nie wiem, co zaszło między wami — zaczął łagodzić napięcie porucznik. — Zapomnijcie o urazach. Za parę dni zawrzemy wieczysty układ pokoju. Czy warto roztrząsać krzywdy, które były po obu stronach?

Zapadła cisza. Winters z ociąganiem usiadł. W głębi źrenic migotał mu zły blask.

• Czego oczekuje Biały Ojciec od Winnepagów? — zwrócił się Czerwony Ptak do Keranga.

• Prezydent Unii pragnie Wielką Rzekę, Missisipi, uczynić wieczną i nienaruszalną granicą pokoju i przyjaźni — powiedział oficer. — Jutro ma przybyć generał Harrison, a 25 sierpnia pragniemy podpisać układ.

• Ziemia naszych dziadów leży z tej strony Me-si-kse-pe — zaczętnie zauważył Neapope.

• Na Wielkiej Pustyni jest miejsca pod dostatkiem — odrzekł Kerang. — Zmieście się tam bez kłopotów.

• To kraj Dakotów, Pawnisów, Odżibwejów i Komanczów — z naciskiem powiedział Waupeshek. — Nie możemy tam pójść.

• Wodzowie tamtych plemion nie będą was niepokoić — wyjaśniał porucznik. — Godzą się na takie rozwiązanie sprawy.

• Saukowie i Foxowie nie podpiszą układu! — zawołał Neapope.

• Biały Obłok podziela zdanie wielkiego Sauka — rzekł szaman Winnepagów — i także nie odcisnie swego totemu na układzie.

• Zastanówcie się — powiedział Kerang siląc się na przyjazny ton. — Unia pragnie z wami pokoju. To jedyne rozwiązanie. Waszyngton przyrzeka, że ta granica nigdy nie zostanie naruszona.

JCiedy nikt z Indian nie zabrał głosu, porucznik wstał mówiąc: f --^Odchodzimy. Wierzę, iż podpiszecie układ dla własnego dobra.

Winters rzucił nienawistne spojrzenie Mokerowi, dłużej zatrzymał wzrok na Żółtym Liściu, jakby chcąc zapamiętać jego oblicze, i buńczucznie, z podniesioną głową opuścił tipi.

Moker i Żółty Liść podnieśli się prawie jednocześnie. Wewnętrzny ogień rozsadał ich piersi. Oto mieli przed sobą zbrodniarza i nic nie mogli uczynić. Andy poprawił pas z pistoletem. Żółty Liść głębiej nasunął na czoło wilczą czapkę.

— Idźcie — powiedział Biały Obłok — i pilnujcie tego psa. Wyślę wam do pomocy naszych najlepszych tropicieli, aby nie uszedł z Psiej Prerii.

Następnego dnia, przy dźwiękach wojskowej trąbki, przybył w towarzystwie oficerów osłabiony William Henry Harrison. Żołnierze w tym dniu intensywnie uwijali się po indiańskim obozowisku roznosząc i rozwożąc antalki z alkoholem. Pijackie krzyki, śpiewy i awantury rozbrzmiewały do późna nocy. A rankiem, gdy słońce wzeszło już dość wysoko, na rozległy plac wzniesiono stół, podium i trochę krzeseł. Wokoło rozsiedli się Indianie.

Jako pierwszy zabrał głos Harrison, po nim Jackson⁶. Obaj mówili o wielkiej przyjaźni do indiańskich narodów i o nowej, wiecznej granicy pokoju na Missisipi. Niektórzy z czerwonoskórych w swych przemówieniach akceptowali propozycje Unii, inni mieli wątpliwości i obawy, a wielu nie chciało wyrazić zgody na wydziedziczenie ich z ojczyzny — z Wisconsinu, Illinois, Indiany i Kentucky.

Moker chodził krok w krok za Guy Wintersem. Teraz stał w jego pobliżu. Złoczyńca, otoczony oficerami, tłumaczył im wystąpienia Indian. Czuł się pewnie. Był przecież pod opieką wojska.

Żółty Liść natomiast siedział przed namiotem Wooleya. Przez szkła lomfty obserwował plac, na którym odbywał się wielki kongres pokoju. Pomocnik kupca, Ken Roggis, położył się na rozścielonym kocu.

—j- Jak myślisz? — spytał. — Podpiszą zgodę na tę granicę?

Żółty Liść wzruszył ramionami.

— Nie wiem — odparł. — Jeśli to uczynią, będą musieli odejść z ziemi ojców.

—r A ty co zrobisz?

— To co moi bracia.

Miało się pod wieczór, gdy ostatni przedstawiciele szczepów złożyli na traktacie swoje podpisy, znaki totemowe i koślawe krzyżyki.

Większość wodzów plemion osiadłych na wschód od Missisipi odrzuciła układ. Amerykanie byli na to przygotowani. Przekupieni wódką i darami wodzowie mniejszej rangi lub nawet zwykli wojownicy podpisali traktat rzekomo w imieniu swoich narodów. To, że nie mieli do tego prawa, dla Unii było bez znaczenia.

Na drugi dzień, około południa, rozeszła się wieść, że generałowie opuszczają Psią Prerię. Naczelnicy i szamani, dla których oczywiste było, że traktat prowadzi do nieuchronnej wojny, postanowili podjąć ostatnią próbę rozmów. Na usilne prośby łaskawie wpuszczono ich do obszernej sali w budynku faktorii. Po dłuższym oczekiwaniu zamiast generałów zjawił się pułkownik Josiah Snelling, w asyście tłumacza Izaaka Gallandy, kapitana Bena Smitha i porucznika Toma Turyna.

-w O co wam jeszcze chodzi? — obcesowo zagał pułkownik, a Gallanda płynnie przetłumaczył.

Siiwy Włos, wódz Peoriów, podnosił się majestatycznie. Jego poradlona zmarszczkami twarz tchnęła smutkiem. Z powagą zaczął:

- Biali bracia, nasze plemiona chcą żyć w przyjaźni z Miczi-malsa...
- No i dobrze — bezceremonialnie przerwał Snelling. — Po to ustaliliśmy granicę pokoju.

— To granica dla Dakotów, a nie dla nas! — zawołał Neapope.

Gallanda przyjrzał się Saukowi. Powiedział z naciskiem:

h- Ach, Neapope, prawa ręka Czarnego Jastrzębia! Mieliśmy szczęście poznać się w pobliżu Łagodnych Wzgórz, prawda?

- Chcemy rozmawiać z generałami — Neapope zbył uszczypliwe słowa tłumacza.
- Nikt z generałów nie przyjdzie — szorstko odparł pułkownik. — Jestem upoważniony do rozmów z wami. Mówcie, czego chcecie?

• Nie ustalono granic między Miczi-malsa a ziemiami naszych] plemion — włączył się Biały Obłok.
— Trzeba to uczynić.

- Wszystko ustala wczoraj podpisany traktat — surowo odparł Snelling. — Czyżbyście zapomnieli?
- Nikt z nas nie podpisywał układu! — zawołał Huczący Grzmot, wódz Miamisów. 1
- Zrobili to wasi przedstawiciele — drwina zabrzmiała w głosie pułkownika.
- To kłamstwo! — huknął Neapope.
- To prawda — z cynizmem odrzekł pułkownik.
- Kto śmiał? — zapytał Took-suh, wódz Szawanezów.
- Poruczniku Turyn, przynieście traktat — poprosił Snelling i zwrócił się do Indian: — Przez zimę możecie spokojnie mieszkać na dotychczasowych terenach, a wczesną wiosną musicie przejść poza Missisipi, zgodnie z podpisanym układem.

— Nie uczynimy tego — zaprotestował Siiwy Włos, wódz Peoriów.

Wrócił porucznik z traktatem. Gallanda rozwinął rulon papieru, objawiając szukał oczyma potrzebnych akapitów i zaczął czytać:

— Graniczny układ pokojowy w imieniu Sauków i Foxów podpisał wielki i sławny naczelnik, Keokuk. W imieniu Miamisów uczynił to Samotny Łoś, Peoriów reprezentował Bury Wilk, Szawanezów — Byistre Oko, Winnepagów — Długa Włócznia...

Przygnębiająca cisza zapadła na chwilę, przerwał ją milczący dotychczas Waupeshek:

• Wczoraj na placu jedynie Keokuk podpisał traktat. Reprezentował on tylko część plemienia. Niech więc odchodzi z ziemi ojców ze swymi ludźmi. Ani Czarny Jastrząb, ani obecny tu Neapope nie podpisali układu.

• Inni, których Miczi-malsa wymienił — włączył się Biały Obłok — nie mieli upoważnienia Rady Starszych do reprezentowania poszczególnych plemion. Wczoraj na placu nikt ich nie widział.

• Nie wiem, komu daliście prawo do składania podpisów — z lekceważeniem powiedział pułkownik — dość że wszyscy wymienieni z własnej woli przybyli tu wczoraj późnym wieczorem i podpisali traktat

w imieniu waszych plemion. To wystarczy. Radzę zastosować się do nakreślonych w układzie warunków.

Snelling, nie czekając na dalsze wypowiedzi Indian, opuścił salę, a za nim jego towarzysze.

— Czarny Jastrząb miał rację, że nie przybył na kongres — powiedział z goryczą Waupeshek kierując się ku drzwiom.

W ponurym nastroju opuścili faktorię.

Tego samego dnia generałowie na czele większości wojsk, przy dźwiękach werbli, opuścili Psia Prerię. Pozostało parę szwadronów jazdy i kilka kompanii piechoty.

Naczelnicy plemion zaczęli załatwiać różne sprawy międzyplemienne. Była ku temu okazja. Rzadko kiedy bowiem w jednym miejscu mogli się spotkać tak liczni przedstawiciele odległych od siebie szczepów. Planowano opuszczenie Psiej Prerii dopiero pod koniec września.

Andy Moker, zziębnięty, wpadł do namiotu Wooleya.

• Winters odjechał z wojskiem! Zbieraj się! — zawołał do Żółtego Liścia.
• Przygotowujemy obiad -- powiedział Wooley. — Nie posilicie się przed odjazdem?
• Wybacz, Rod — odparli Andy. — Każda chwila zwłoki może spowodować, że zgubimy trop tego lotra. A to stać się nie może. Musimy go teraz dopaść.

- Jak chcesz. Kiedy się zobaczymy?
- Nie wiem — Moker wyciągnął rękę do przyjaciela. — Odwiedzę cię w forcie Fox. Bywaj!
- Szczęścia na szlaku -^ z przyjaźnią powiedział Ken Roggis.
- Dzięki.

Mocno, po męsku uścisnęli sobie dłonie. Andy i Żółty Liść, dosiadłszy wierzchowców, ruszyli na południe szerokim traktem stratowanych przez wojsko traw.

ZBRODNIA W WĄ WOZIE

Mroźna zima 1826 roku dobiegała końca. Na indiańskich terenach plemiennych, od Jeziora Górnego aż po Ohio, panował spokój. Wojownicy wracali z myśliwskich wypraw obładowani zwierzyną. Dymili kociołki zapachem smakowitych potraw i rosły sterty świetnie wygarbowanych skórek.

Czasami szlakiem łączącym forty i miasta przemknął na karpach samotny goniec lub z trudem torując; sobie w śniegu drogę, brnął szwadron kawalerii. Jednak w pobliżu wiosek i zimowych obozowisk Indian nie dotarł ani jeden biały człowiek. Łowcy traperzy zaniechali łowów w Wielkich Borach nad Missisipi i w rozległych preriach i puszczach Illinois. Przedziwne uspokojenie spłynęło na umęczone ustawicznymi najazdami szczepy. Zdawało się, że po układzie na Psiej Prerii naprawdę zapanował pokój.

Była to, niestety, pozorna cisza. Ledwie bowiem spłynęły śniegi stopione wiosennym słońcem, a już do indiańskich osiedli dotarli gońcy Unii, nakazując Indianom, zgodnie z traktatem, przejść poza Missisipi.

Łagodny wiatr gnał siwe, postrzępione obłoki i niósł orzeźwiającą woń rozmięklej gleby. Siąpił deszcz. W drzwiach wigwamu stanęła Nameąua, podniosła głowę. Drobnutkie kropelki spadały wilgotną pieszczotą na jej twarz, płynęły po czole i policzkach. Z zamkniętymi powiekami, głęboko oddychając, upajała się zapachem wiosny.

Śpiewający Ptak, patrząc z macierzyńską miłością na dziewczynę, szepnęła do męża:

- Twoja córka, Czarny Jastrzębiu, skończyła już dziesiąty rok. Spójrz, wyrosła jak brzoza.
- Szyhko dojrzeła — uśmiechnął się Sachem.
- Za pięć, sześć lat odejdzie z naszego wigwamu — żal zabrzmiał w słowach matki.
- Być może — odparł Czarny Jastrząb. — Będzie miała własną chatę.
- I tysiące kłopotów, jak każda sąaw.
- Mężczyźni też je mają. Taki jest los człowieka.

— Oby tylko nie było wojny — westchnęła kobieta.

Sachem pochylił w zadumie głowę.

Nameąua obtarła dłońmi mokrą od deszczu twarz i zostawiając uchyloną zasłonę, powiedziała do ojca:

— Idzie Śledzący Lis.

Wraz z matką usunęły się w głąb wigwamu.

Keokuk wszedł, położył w geście powitania prawą dłoń na sercu i siadając naprzeciw sachema, powiedział:

- Wczoraj w Saukenuk był goniec Iwliczi-malsa. Co mój brat zamierza?
- Nic — padła sucha odpowiedź.
- Trzeba przejść na prerie za Me-si-kse-pe.
- Niech mój brat, Śledzący Lis, idzie.
- Wszyscy musimy tam pójść — Keokuk wyskandował słowa. — Tak postanawia traktat.
- Czarny Jastrząb nie podpisywał tego układu — odrzekł sachem. — Nie dotyczy on Sauków i

Foxów. Taka była wola Rady Starszych.

- Ja go podpisałem.
- To niech Śledzący Lis ze swymi ludźmi odejdzie — głos Czarnego Jastrzębia był chłodny.
- Ustaną deszcze, odejdziemy — powiedział Keokuk. — Radzę mojemu bratu uczynić to samo.
- Tylko zdrajca opuszcza kraj swych ojców — rzucił surowo Czarny Jastrząb.
- Śledzący Lis nie jest zdrajcą — Fox poczuł się dotknięty. — Amerykanie nie przyjdą na Wielką Pustynię, a zwierzyny tam dużo i kukurydza też wyrośnie wysoka. Będziemy mogli żyć w dostatku.

- Ale na obcej ziemi.

- To cóż? — Keokuk uśmiechnął się cynicznie. — Czy to nie wszystko jedno?

• Nie! Tu nasze miejsce! — Czarny Jastrząb mówił z głębokim przekonaniem. — Niech nasze życie upływa w niedostatku, ale we własnym kraju, gdzie leżą prochy ojców i dziadów, gdzie przysłiśmy na świat, gdzie lasy i stepy, rzeki i jeziora wypełnione są śladami Sauków i Foxów, gdzie każdy skrawek ziemi związany jest z dziejami naszego ludu... Za Me-si-kse-pe mieszkają inne plemiona, nie możemy tam pójść. — Sachem zajął w oczy Keokuka i zmieniając tonację głosu, mówił dalej serdecznie, miękko: — Bracie, porzuć Miczi-malsa, zerwij swoje wobec nich zobowiązania. Razem tworzymy siłę, z którą Unia musi się liczyć. Pamiętaj, czego uczył Tecumseh? Wewnętrzne rozbiecie zgubi czerwony lud, a jedność nas uchroni od głady. Porzuć, bracie, ścieżkę zdrady.

• Czarny Jastrząb jest w błędzie — odrzekł Keokuk. — Miczi-malsa są przyjaciółmi, wymagają tylko posłuszeństwa.

• Mylisz się, bracie — sachem z politowaniem pokiwał głową. — Oni skłócają nas po to, aby im było łatwiej nas zniszczyć. Czyż tego, mój bracie, nie rozumiesz?

- To fałsz.
- To prawda.
- Więc Czarny Jastrząb nie odejdzie ze mną? — spytał Keokuk wstając.
- Nie mogę opuścić ziemi ojców i mego ludu — odrzekł z godnością sachem. — Nie jestem zdrajcą.
- Śledzący Lis też zdrajcą nie jest — syknął Keokuk. — Czas okaże, kto z nas miał słusność.

Fox wyszedł. Czarny Jastrząb ze smutkiem patrzył gdzieś w przestrzeń.

Tragedia plemion wynikała z ciemnoty, krótkowzroczności i braku rasowej więzi...

Kilka dni później w słoneczny ranek prawie połowa Foxów i Sauków, prowadzona przez Śledzącego Lisa, opuszczała Saukenuk. Na czołmach i tratwach Indianie przepawili się wraz z dobytkiem na drugi brzeg Missisipi.

Czarny Jastrząb w otoczeniu wiernych mu wodzów i wojowników stał na brzegu. Nieco dalej zgromadziły się kobiety, dzieci i starcy. Z żalem żegnano odchodzących. Wszystkich łączyły więzi rodzinne, język i kultura, wspólne kłęski i zwycięstwa... Dlaczego szli w nieznaną, na obce ziemie?... Kierował nimi przede wszystkim strach przed bestialską przemocą białych najeźdźców i nadzieja na spokojne i bezpieczne życie. Nie potrafili uzmysłowić sobie jednak, że będą musieli z osiadłymi tam szczepami toczyć boje o nowe miejsce dla siebie, że podstępne intrygi Amerykanów osiągną ich też poza Missisipi...

Tratwami przewieziono na drugi brzeg ostatnie mustangi i toboły. Uformowane kolumny ruszyły na zachód. Wśród kobiet rozległ się szloch. Padały okrzyki pożegnania. Powiewano pękami barwnych piór. Kiedy pochód znikł w dali, ludzie z brzemieniem smutku rozeszli się po Wigwamach. Czarny Jastrząb ze stroskany obliczem usiadł w chacie. Rzucił wiązkę chrustu na żar dogasającego ogniska. Przyglądał się płomieniom trawiącym drewno. Pomyślał: „Biali to ogień, czerwoni to gałęzie. Zniszczą Indian, jak niszczy wszystko płomień...” Nagle pokręcił głową, jakiś nikły błysk przemknął mu po twarzy. Sterta mocno nasiąkniętych wilgocią bierwion potrafi zadusić ogień. Długo unosić się będzie jedynie dym

zmieszany z parą. „Nie można zniszczyć ludu — pomyślał — jeśli przepojony jest prawdziwą miłością do ojczyzny przodków”.

— Synu — zwrócił się do Orła Prerii, zajętego przygotowaniem strzał do łuku. — Pójdź do szamana, niech obwieści posiedzenie Rady Starszych.

W kilka minut później zebrał się krąg wodzów i znamienitszych wojowników. Krążył z rąk do rąk wielkich rozmiarów kalumet, używany tylko w Wigwamie Rady. W zupełnej ciszy wydmuchiowano dym w cztery strony świata, w ziemię i niebo. Wszyscy czuli, że za chwilę zapadną doniosłe decyzje.

Czarny Jastrząb przejął świętą fajkę od Neapope, oczyścił jej cybuch i zawiesił pod sufitem chaty. Ozdobiona kolorowym puchem zawisła nad głowami siedzących jak czarodziejski ptak.

Sachem, obiegłszy wzrokiem krąg oddanych sobie ludzi, zaczął mówić:

— Przed chwilą nasi bracia opuścili Saukenuk. Sami wybrali ścieżkę swego losu. Nie powstrzymałem nikogo. Wy zostaliście wierni tej ziemi. Może Gicze Manitou będzie przychylny, może uchroni nasz lud od nieszczęścia... — Umilkł patrząc gdzieś ponad głowami siedzących, po czym mówił dalej: — Sauków i Foxów czeka czas ciężkiej próby. Jeśli wszyscy do głębi serc przesiąkniemy miłością do kraju przodków, jeśli nie damy się zwieść słodkiemu językowi bladych twarzy, obronimy kraj i przyszłość naszego ludu...

Długo wodzowie i wojownicy snuli rozważania nad sytuacją. Jedni wątpili w to, że biali przyjdą zagarnąć łowieckie tereny plemienia; inni, ufni w moc swego oręża i własne możliwości, gotowi byli do obronnych działań wojennych. Nikt nie podsuwał myśli o opuszczeniu uroczych i żyznych dolin, rozległych prerii i wielkich puszczy Wisconsinu i Illinois. Postanowiono wzmocnić czujność i wszędzie utrzymywać lotne patrole zwiadowców.

Gdy słońce osuszyło wiosenne rozlewiska, a prerie i knieje pokrył seledyn świeżutkich liści, ze wschodu i południa ruszyły sznury pionierskich karawan. Kryte płótnem wozy, załadowane dobytkiem, zaprzężone w woły, czasami w konie, ciągnęły w żyzne doliny. Brodaci mężczyźni o zdesperowanych obliczach, uzbrojeni w muszkiety i sztucery, szli obok dzieci i kobiet siedzących na wozach. Mniejsze karawany osłaniało wojsko. Tu i tam krążyły dla bezpieczeństwa szwadrony kawalerii.

Wodzowie Winnepagów, Szawanezów, Miamisów, Peoriów, Sauków i Foxów, Delawarów i Kickapuzów z trwogą patrzyli na pochód białych najeźdźców.

Czarny Jastrząb, choć rozpierał go niepokój, słuchał ostatnich meldunków z kamienną twarzą.

- Nad Sangamon River zatrzymało się ponad dwieście osób — relacjonował wysoki zwiadowca. — Wycinają w lesie drzewa i nad rzeką budują drewniane wigwamy.

- W dolinę Illinois River napływa coraz więcej bladych twarzy — mówił drugi wojownik. — Dotarli już w pobliże wioski Peoriów.

- Na skraju Cichego Lasu wyrasta osiedle otoczone palisadą z pni... — meldował trzeci.

Waupeshek patykiem maczanym w ochrze zaznaczał na mapie namalowanej na skórze miejsca, gdzie osiedlali się osadnicy.

— Dłużej czekać nie można — powiedział z przekonaniem Neapope, gdy ostatni zwiadowca złożył relację. — Musimy wypędzić blade twarzy.

Czarny Jastrząb w zadumie patrzył przed siebie.

— Jestem tego samego zdania, ojczu — poparł go Nasheakusk.

Sachem milczał.

- Każdy dzień umacnia białych — zauważył Orzeł Prerii. — Później, gdy zamkną się za ostrokołami, trudniej będzie ich pokonać.

- To prawda — przyznał Czarny Jastrząb. — Musimy jednak rozważnie działać, przecież nie o wojnę nam chodzi, lecz o spokojne życie na ojczystej ziemi.

- Nie dadzą nam spokoju! — zawołał Neapope. — Każą wynieść się na Wielką Pustynię. Lepiej zginąć, niż iść na tułaczkę.

- Kto wie, bracia, co nas czeka. Bądźcie cierpliwi — głos Czarnego Jastrzębia zabrzmiał złowroźnie. — Niech gońcy zanoszą do wszystkich fortów siwo-czarne wampumy ostrzeżenia, a białym osadnikom niech podrzucają czarne strzały wojny... — Sachem przerwał; po chwili zwrócił się do Waupesheka: — Mój brat jeszcze dzisiaj wyśle posłańców do wszystkich okolicznych plemion z wezwaniem do wspólnej walki. Niech dotrą też do Czipewejów i na farmę Czerwonego Serca. Obiecał kiedyś, że stanie po naszej

stronie, gdy przyjdzie potrzeba.

Zmierzch gęstniał. Czujny Sokół, Gamesett i Szeroki Mokasyn, leżąc na pachnącej wiosennymi sokami prerii, w milczeniu oczekiwali zapadnięcia nocy. W pobliżu trzy mustangi skubały trawę. Chrzęściły żerujące owady. Z daleka płynął płaczący zew kujotów. Niebo wreszcie zapłonęło gwiazdami, a stepowa dal znikła za zasłoną nocy.

Czujny Sokół usiadł.

- Już czas — powiedział. — Kto pojedzie?
- Ja!
- Ja! — zgłosili chęć prawie jednocześnie Szeroki Mokasyn i Gamesett.
- To zadanie dla jednego — rzucił Sokół. — Niech je wykona Gamesett.

Młody wojownik zerwał się uradowany. Zdjąwszy wampum wiszący na piersi, obwinął nim kijek wyjętej z kołczanu strzały. Dosiadł wierzchowca.

— Wróć szybko, czekajcie! — zawołał do towarzyszy.

Ujechał ze dwie mile. Wbił palik w ziemię i uwiązał mustanga. Z łukiem w ręku ruszył przed siebie. Księżyc i gwiazdy mdłym światłem rozjaśniały równinę. W dali zamajaczyła budowla. Gamesett zwiększył czujność. Pochylony nisko do ziemi przemykał jak wilk, co chwila padając najmurawę. Dostrzegał już wyraźnie zarysowane baszty i palisadę. Jeszcze kilka skoków i wybrałszy najdogodniejszą drogę, dalej począł się czołgać. Dotarł w pobliże drewnianej wieżyczki, na której czerniła się postać wartownika. Odetchnął chwilę. Na cięciwę łuku założył strzałę z przywiązanym wampumem i napiął broń. Cięciwa zabręczała jak trzmiel. Grot utkwił w ścianie strażniczej baszty. Żołnierz poruszył się, wyrzwał na zewnątrz raz, potem drugi, i znowu znieruchomiał, wpatrzony w mrok. Gamesett poczołgał się z powrotem, bez przeszkód docierając do wierzchowca. Po paru minutach jazdy był wśród towarzyszy. Zeskoczył z mustanga.

- Wampum zawisł na ścianie fortu — zameldował.
- Ugh — Czujny Sokół przyjął meldunek i rozkazał: — Ruszamy do Chicago.

W napotkanych wioskach Peoriów i Pottawatomich zostawili wezwanie Czamego Jastrzębia do wspólnej walki w obronie ojczyźnej ziemi i dopiero nad jeziorem Michigan zatrzymali się na całodzienny odpoczynek. Nikt nie zakłócał im spokoju. Rankiem ruszyli w dalszą podróż. W Chicago wrzucili wampum do wnętrza fortu i pociągnęli do Milwaukee. Bez przygód i tu wykonali zadanie, po czym skierowali się na zachód. Mijały dni. W pobliżu Wisconsin River zatrzymał ich pas stratowanych traw. Ogarnęli wzrokiem prerię. Wokoło pusto. Tylko smuga zgniecionych roślin biegła w dal. Gamesett i Szeroki Mokasyn, zsunawszy się z koni, badali trop.

- Miczi-malsa z wozami — powiedział Gamesett wskazując na liczne odciski podków i kół.
- Pewnie towarzyszą backwoodsmanom — rzucił przypuszczenie Mokasyn.
- Może... — rzekł Czujny Sokół. — Pojedziemy tropem. Warto wiedzieć, kim są ci ludzie i dokąd śpieszą.

Kłusowali obserwując horyzont. Ślady były wyraźne. Czwartego dnia dostrzegli na prerii dalekie ruchome punkciki. Zwiększyli ostrożność. Zapadła noc. Księżyc wisiał nad stepem. Widoczność była dobra. Z bronią gotową do strzału wlekli się stępa. Gamesett, wysunięty nieco do przodu, podniósł rękę zatrzymując równocześnie mustanga. Jego dwaj towarzysze uczynili to samo. Przed nimi migotały, jak gwiazdy, ogniska.

- Biwakuja — powiedział Czujny Sokół.
- Ugh. Kto przeprowadzi zwiad? — spytał Gamesett.
- Podjedziemy bliżej obozowiska — rzekł przywódca grupy, Czujny

Sokół — i wówczas niech Szeroki Mokasyn rozezna sytuację; on spośród nas jest najlepszy w podchodach.

Ujechali jeszcze około dwóch mil i zsiadli z mustangów.

— Tu zaczekamy — powiedział do Mokasyna Sokół.

Indianin, pozostawiwszy strzelbę i torbę, tylko z nożem i tomahawkiem ruszył pieszo ku światłu nocnego obozu.

Konie poczęły skubać trawę. Saukowie, wyciągnięci na ziemi, patrzyli w rozgwieżdżone niebo. Czas włókił się jak leniw wół. Mokasyn nie wracał. Do brzasku pozostały ze dwie godziny. Niepokój zaczął

ogarniać czekających. Niecierpliwie wpatrywali się w mrok.

- Powinien wrócić o północy — odezwał się Czujny Sokół.
- Może pochwycili go biali — rzucił niespokojnie Gamesett.
- Może...
- Trzeba zobaczyć, co tam się stało. Czujny Sokół sięgnął po broń.

— Gdybym nie wrócił do świtu — rzeki — niech mój brat wraca do

Saukenuk i... — Umilkł.

W mroku zarysowała się sylwetka człowieka. Wracał Mokasyn. Niósł przewieszzone przez ramię dwa worki. Zrzucił je na trawę i usiadł zmęczony. Ubranie miał przesiąknięte wilgocią

• To Miczi-malsa — zaczął — obozują nad rzeką. Jest ich stu. Wszyscy na koniach. Prowadzą pięć wozów, załadowanych workami i przykrytych płótnem. — Zrobił przerwę dla zwiększenia ciekawości słuchaczy i dokończył: — W tych workach jest proch.

- Stamtąd pochodzi ta zdobycz? — Czujny Sokół wskazał na: przyniesione worki.
- Tak.
- Nasz brat dokonał wielkiego czynu. Jak to się stało?

• Wozy ustawiono w środku obozu — opowiadał wojownik — ale jeden z nich stał niemal nad samą rzeką. Szeroki Mokasyn podpłynął pod brzeg i korzystając z nieuwagi wartowników, podkraść się i przeciął nożem sznury mocujące plandekę. Po stwierdzeniu co to za ładunek dwa worki udało mu się ściągnąć i przenieść na drugą stronę rzeki. Później zmienili się strażnicy i już nie można było podejść do wozu.

- Rano Miczi-malsa odkryją kradzież prochu i będą szukać sprawców.
- Ugh.
- Musimy stąd odjechać, póki jeszcze noc. Co proponują moi bra-j cia? — spytał Czujny Sokół.

Zastanawiali się przez moment. Gamesett odezwał się pierwszy:

- Trzeba dotrzeć do rzeki. W nadbrzeżnych zaroślach łatwo się ukryć.
- Słusznie — przyznał Czujny Sokół.
- Białych trzeba wywieść w pole. Jeden z nas ukaże się im na prerii — zaproponował Szeroki

Mokasyn. — Poczną go ścigać...

- Gamesett podejmie się tej roli — rzekł młody wojownik.
- Dobrze. Będziemy zostawiać znaki, aby Gamesett łatwo mógł nas odnaleźć. A my ukryjemy się nad Wisconsin River i w odpowiednim czasie pociągniemy za Miczi-malsa. Koniecznie musimy wiedzieć, dokąd dążą.

Szeroki Mokasyn i Czujny Sokół, dosiadłszy mustangów, pocwałowali na północ, by potem zataczając łuk na zachód, dotrzeć w pobliże nowego biwaku białych.

Gamesett natomiast przrzucił przez grzbiet rumaka worki z prochem, sprawdził ładunek w strzelbie i cierpliwie czekał. Skoro tylko świt rozproszył mrok, bez pośpiechu podjechał nieco pod obóz Amerykanów i zawróciwszy, wolno zmierzał na wschód, spoglądając co chwila poza siebie.

Po pewnym czasie zauważył sześciu jeźdźców galopujących w jego stronę. Przekonawszy się, że to pościg, ponaglił wierzchowca. Odległość między nim a żołnierzami nie malała. Po dwóch godzinach gonitwy Amerykanie zrezygnowali z pościgu i zawrócili. Gamesett jednak pędził dalej przed siebie. Żołnierze mogli mieć lunetę i śledzić jego ruchy. Dopiero po godzinie zatrzymał mustanga na krótki odpoczynek. Postanowił okrężną drogą dotrzeć do miejsca rozstania z Czujnym Sokołem i Szerokim Mokasynem.

W dwa dni później, śpiesząc tropem, bez trudu dopędził swych towarzyszy. Jechali teraz razem śladami Amerykanów wzdłuż rzecznej koryta Wisconsinu. Po wysłuchaniu informacji Gamesetta Czujny Sokół stwierdził:

- Podstęp się udał. Miczi-malsa sądzą, że Gamesett był sam.
- Dokąd śpieszą?
- Pewnie na Psią Prerię, a może do fortu Snellinga — odrzekł Sokół.
- Co planujemy? — spytał Gamesett.
- Będziemy szli tropem białych — odparł Szeroki Mokasyn. — Przecież mamy wstąpić do wioski Kickapuzów, a to po drodze.

W parę dni później, w miejscu gdzie Wisconsin River gwałtownie skręca na zachód, a łagodnie

schodzące w wodę brzegi ułatwiają przeprawę przez rzekę, Amerykanie zatrzymali się na nocleg. Wolną od zarośli nadbrzeżną łąkę porastała soczysta zieleń. Puścili tu wierzchowce, wozy ustawili blisko siebie, karabiny — w kozły. Żołnierze rozbiegli się w poszukiwaniu chrustu na opał. Musieli daleko odchodzić od biwaku, bo krzaków w pobliżu nie było.

Saukowie, zorientowawszy się, gdzie biali przygotowują obóz, przeprawili się w bezpiecznej odległości na drugi brzeg Wisconsinu i ukrywając konie, podeszli pod biwak. Leżąc wśród krzewów, które rosły tu gęsto, ukryci przed wzrokiem żołnierzy i oddzieleni od nich korytem rzeki, czuli się bezpieczni. Gdy zapłonęły ognie, mieli doskonały widok na amerykańskie obozowisko.

Przyglądali się krzątaniu ludzi. Jedni warzyli posiłek, inni włóczyli się bez celu lub leżąc gromadami, wiedli hałaśliwe rozmowy. Gęsty kordon wartowników otaczał obóz. Nad rzeką przechadzało się ich aż pięciu. Przy żywiej płonącym ognisku, prawie w środku biwaku, siedzieli oficerowie, a wśród nich dwóch brodatych przewodników.

Czujny Sokół położył dłoń na ramieniu Szerokiego Mokasyna. " — Mój brat zostanie na czatach — powiedział cicho. — My wrócimy do mustangów. Gdyby zaszły ważne wydarzenia, Szeroki Mokasyn wezwie nas trzykrotnym wyciem kujota.

Gamesett i Czujny Sokół, wydostawszy się z zarośli, ruszyli do ukrytych koni.

• Gdy Miczi-malsa usną — rzekł Sokół — a wartownicy będą znużeni czuwaniem, spróbujemy podpalić ładunek prochu na wozach.

• Jak? — zdumiał się Gamesett. — Za dużo wokoło wart. Nie sposób podejść w pobliże.

• Nie ma takiej potrzeby. Czujnemu Sokołowi Nabash-cisa podsunął pewną myśl. Może się uda.

• Co mój brat zamierza? — ciekawość zabrzmiała w pytaniu Gameset-ta.

• Strzały ogniste.

• Uff! — zawołał z podziwem młody wojownik. Po chwili dodał z wahaniem: — Trzeba zapalić strzałę przed jej wystrzeleniem, a do tego] potrzebne ognisko. Płomień zdradzi białym naszą obecność...

• Mamy sporo prochu. Łatwo więc zapalić strzałę. Nim Miczi-malsa] zorientują się w sytuacji, umkniemy w preię... Tak czy inaczej, spróbowaJ warto.

Doszli do mustangów. Zwierzęta, podniósłszy łby, zastrzygły uszami. Icfftł spokój upewnił Indian, że wokoło jest bezpiecznie. Czujny Sokół, siadając!

sięgnął po strzałę. Z torby wydobył kilka kulek żywicy i rozwiązał jeden worek z prochem.

— Przygotujemy trzy pociski — powiedział. — Na wystrzelenie większej liczby chyba nie będzie czasu.

Zabrali się do pracy. Drewnianą strzałę, od ostrza do połowy, obwinęli wąską i cienką taśmą ze skóry, pod którą umieścili warstwę prochu i żywicy. Tak przygotowane pociski włożyli do kołczana.

Czujny Sokół miał bizoni róg, przystosowany do przechowywania prochu. Napelniwszy go, zawiesił sobie u pasa i starannie zawiązał worek z cenną zdobyczą.

Dobrze po północy, uzbrojeni w łuki i strzelby, dotarli w zarośla naprzeciw biwaku białych. Szeroki Mokasyn powitał ich radosnym gestem ręki. Zameldował:

— Nic się nie zdarzyło.

Amerykanie spali. Ogniska ledwie płonęły. Wartownicy, aby odpędzić sen, chodzili to w jedną, to w drugą stronę. Szumiała płynąca rzeka, szeleściły zarośla.

Czujny Sokół i Gamesett zapoznali Szerokiego Mokasyna z planem przedsięwzięcia. Minęła jeszcze godzina wyczekiwania.

— Teraz — zaproponował Mokasyn. — Za chwilę powinni zmienić wartowników. Ci są już zmęczeni, więc mniej czujni.

Zajęli wygodne stanowiska. Za krzakiem ułożyli małą kupkę suchych traw, przemieszanych obficie z prochem. Ustawili strzały na cięciwach. Gamesett, położywszy swój łuk obok siebie, szepnął do towarzyszy:

— Zaczynam.

Uderzył w krzesiwo raz i drugi. Sypnęły się drobne iskry, padły na podpałkę i płomyk zatańczył złotym blaskiem. Saukowie błyskawicznie przytknęli doń końce strzał. Podnieśli broń i dwie świetliste smugi poszybowały nad obóz.

Gamesett chwycił leżący łuk i nim płomień przygasł, zdołał zapalić strzałę. Płótna wozów majaczyły za rzeką. Wycelował. Trzeci pocisk przeciął mrok.

Saukowie przypadli do ziemi i nie troszcząc się już o zachowanie ciszy, umykali z miejsca akcji.

Wartownicy, zaskoczeni zjawiskiem lecących płomyków, patrzyli zdumieni. Któryś wypalił ze sztucera.

Ogniste strzały spadły na wozy. Jedna z nich rozplomieniła się nagle i olbrzymi słup ognia z trzaskiem rozświetlił noc. Zawrzało. Huknęły karabiny. Trębacz grał na alarm.

Indianie dopadli mustangów. Pędzili przez step do Rock River, gdzie rosła puszcza. Dopiero po południu ujrzeli pościg. Tym razem ich tropem jechało kilkunastu dragonów. Widać nie żalowali koni, bo pod wieczór znacznie zbliżyli się do Sauków.

Czerwonoskórzy odetchnęli z ulgą, wjechawszy w knieję.

• Tu jesteśmy bezpieczni — uśmiechnął się Czujny Sokół zatrzymując na moment mustanga. — Rozdzielimy się — rozkazał. — Ja pojedę prosto, Szeroki Mokasyn na lewo, Gamesett na prawo. Spotkamy się jutro obok strzaskanego piorunem dębu, nad Niedźwiedzim Jarem. Czy moi bracia znajdują to miejsce?

• Ugh.

• Rankiem pozacieracie swoje ślady. W ten sposób Miczi-malsa zgubią nasz trop.

Noc spowiła puszcę. Z bronią gotową do strzału ostrożnie przedzierali się przez bór, gotowi w każdej chwili odeprzeć atak leśnego drapieżnika lub niespodziewanego wroga.

Pierwszy dotarł pod strzaskany dąb Gamesett. Uwiązał do drzewa wierzchowca. Usiadł, opierając się o pień jesionu, zasłuchany w odgłosy kniei. Był śpiący. Przez ostatnie noce prawie nie zmrużył oczu. Aby nie usnąć, zerwał pęd jakiejś rośliny i począł żuć. Jej cierpki smak pozwalał mu na zwalczanie senności.

Po pewnym czasie przybył Szeroki Mokasyn. Kiedy spoczął na leśnej ściółce, Gamesett powiedział:

— Niech mój brat pokrzepi się snem, będę czuwał.

Minęło około dwóch godzin, nim rozległy się stapania konia. Spośród drzew wynurzył się Czujny Sokół. Zsiadając z mustanga, powiedział:

— Niedaleko stąd jest wąwóz ze strumieniem. Tam odpoczniemy.

Trzymając mustangi za uzdy, poczęli schodzić po zboczach w głąb jaru.

Przeszedłszy jego dnem kilkadziesiąt jardów, znaleźli się w wąskim przejściu, pomiędzy stromymi ścianami, na których obficie krzewiły się i zarośla. Z trudem przebrnęli przez gąszcz i weszli w wysokopienny bór, prawie wolny od krzewów. Klony i buki, świerki i białe dęby, jesiony i brzozy stały tu obok siebie niczym kolumny wspierające wysoko ponad głowami szumiące morze listowia. Nie wsiedli na rumaki. Szli wymijając potężne drzewa. Stanęli na skraju wąwozu. Po kamienistym dnie płynęła czysta jak kryształ woda. Brzegi rzeczki i łagodne zbocza parowu zieleńiły się dywanem traw. Konie poczęły kręcić się niecierpliwie i strzyći uszami.

— Idziemy! — Czujny Sokół skierował się ku miejscu, gdzie łatwiej było zejść w wąwóz.

Wtem dwa strzały, jeden po drugim, zadudniły zaskakująco blisko. Umilkły śpiewy spłoszonych hukiem ptaków. Z oddali dobiegło niewyraźne ludzkie wołanie.

Saukowie błyskawicznie ukryli się za pniami drzew. Nasłuchiwali. Nic już jednak nie mąciło ciszy. Ptactwo znowu rozpoczęło swój koncert.

Zostawiwszy konie uwiązane do drzew, ruszyli brzegiem parowu. Za ostrym zakretem legli na ziemi. Nad strumieniem stała prymitywna chata, zbudowana z drągów i prętów, pokryta trzcina i liśćmi. Nieco dalej nad rzeczką leżały narzędzia — kilofy i łomy, szpadle, misy i sita... Ze sto jardów dalej, w pobliżu olbrzymiego głazu, trzech białych mężczyzn pochylało się nad zwłokami dwóch Indian. Najstarszy, o rudej brodzie i włosach opadających na ramiona, coś mówił, nerwowo gestykulując, potem machnąwszy ze złością strzelbą, poszedł w kierunku chaty. Drugi oparł się o głaz. Trzeci, uklękawszy, przeszukiwał kieszenie i torby zabitych wojowników.

Co tu zaszło?... Nie wyglądało to na walkę. Czerwonoskórzy musieli zostać zastrzeleni zaraz po zejściu w parów. Zginęli na miejscu? A może któryś jeszcze żył?...

Różne przedmioty: krzesiwo, noże, tomahawki i broń, biały złożył na stos i powiedział coś do towarzysza. Obaj, chwyciwszy zwłoki, ciągnęli je pod skarpe odsłaniającą nagie bryły piaskowca.

Czujny Sokół cicho odciągnął kurek strzelby.

• Pomścimy śmierć braci Winnepagów — szepnął.

• Tsss... — zasyczał Gamesett wskazując wylot wąwozu.

Nad rzeczką ukazali się jeźdźcy. Zdumienie ogarnęło Sauków. To byli dragoni z pościgu. Czarnobrody

przewodnik, za nim porucznik i żołnierze z podniesioną bronią ostrożnie posuwali się naprzód. Nagle brodacz roześmiał się hałaśliwie i opuszczając sztucer, krzyknął coś do rudowłosego, który stojąc koło chaty przyglądał się jeźdźcom. Wymienili parę zdań. Porucznik z czarnobrodym zsiadli z wierzchowców. Przywołali tych, którzy przed chwilą ograbili zwłoki Winnepagów. Rozmawiali, wskazując poległych Indian. Potem wszyscy razem weszli do chaty. Dragoni bojaźliwie obserwowali zarośla i krawędzie wąwozu. Minęło może dziesięć minut. W wiklinowym domu niespodziewanie padły trzy wystrzały. Gwałtownie otwarto drzwi. Czarnobrody i porucznik, wskoczywszy na siodła, ruszyli galopem. Dragoni za nimi. Jeszcze chwila i znikli w zieleni krzewów. Tętent kopyt oddalał się, aż zupełnie zgasł.

Saukowie nie rozumieli nic z tego, co się stało. Czyżby wymierzono sprawiedliwość zabójcom Winnepagów? To niepodobne do białych. Dlaczego nikt nie wychodził z chaty?

Nim zdecydowali się zejść w parów, pojawili się nowi ludzie. Tego było już Saukom za wiele. Szeroki Mokasyn szeptem wzywał Ducha Opiekunczego, a Czujny Sokół wypowiadał jakieś tajemne zaklęcia. Gamesett zaciskał palce na kolbie strzelby.

Po przeciwległej stronie, wykorzystując zarośla i nierówności terenu, ktoś skradał się pod chatę. Czasami mignęła na otwartej przestrzeni ciemna sylwetka mężczyzny i nikła z pola widzenia. Wreszcie człowiek pojawił się, przytulony do ziemi. Podczołgawszy się do otwartych drzwi, po chwili wahania wszedł do wnętrza, lecz zaraz wybiegł przed dom. Rozglądając się, uczynił ręką kilka znaków. Spod kępy leszczyn podniósł się Indianin.

- Uff! — zawołał Gamesett. — To Winnepag bez imienia. Był w wigwamie mego ojca.
- A biały w Saukenuk sprzedawał towary — przypomniał Czujny Sokół. — Trzeba się im pokazać. — Włożył palce w usta i krzyk orła wypełnił powietrze.

Moker i Winnepag błyskawicznie padli na ziemię, podnosząc strzelby. Na krawędzi wąwozu ujrzeli wojowników. Przekonawszy się, że nie mają wrogich zamiarów, Andy dał im znak, by zeszli.

— Winnepag popatrz na ślady Miczi-malsa — rzekł Żółty Liść.

— Dobrze, ale wracaj szybko. Nie możemy tu długo zabawić.

Skinął głową na zgodę i oddalił się brzegiem strumienia.

Moker ponownie wszedł do chaty. Groza ścisnęła mu serce. Dwóch ludzi znał osobiście. Martwymi oczami patrzył nań Bob Melton, częsty towarzysz złych zabaw Guy Wintersa; obok spoczywał nie znany mu człowiek; pod ścianą lśniły rudym blaskiem długie włosy dobrodusznego trapera Toma Niusena. Uklękawszy przy nim, ułożył ciało na wznak. Stary jęknął, poruszył powiekami.

Andy rozejrzał się, dostrzegł w kącie beczkę z wodą i drewniany kubek. Zaczepnął, chlusnął w twarz rannego. Nożem rozcinał skórzaną bluzę szukając postrzału. Weszli Indianie i pośpieszyli z pomocą.

Niusen otrzymał ciężki postrzał w pierś. Ułożono go na posłaniu z gałęzi i liści. Mimo ziół i bandaża na ranie, obficie krwawił.

Moker zwrócił się do Sauków:

— Niech moi bracia czuwają w wąwozie. Łotry mogą wrócić. Ja pozostanę przy nim. Może odzyska świadomość i wyjawi przyczynę tej tragedii.

Traper po paru minutach otworzył oczy. Z trzciniowego stropu chaty przeniósł wzrok na Mokera. W głębi zamglonych źrenic zapalił się ledwie widoczny blask.

— Poznajesz mnie, Tom? Jestem Andy Moker. Przyszedłem w porę.

Wyleczę cię z tego postrzału. Rozumiesz, co mówię?

Stary zamrugał powiekami.

- Cieszę się, Tom. Możesz mówić?
- Tak — wyszeptał.
- Kto do was strzelał?
- Guy...
- ...Winters? Lekki ruch głowy.
- Był z dragonami Jeffa Birgensa? Znowu mrugnięcie.
- Dlaczego to zrobili?

Niusen mocował się z uciekającym życiem. Ciężko oddychał. Usiłował coś mówić, nie mógł. Wreszcie ostatnim wysiłkiem wyszeptał:

- Złoto... miedz... Za-bra-li plan...

- Odkryliście pokłady? — zdumiał się Andy.

Oddech Toma stawał się coraz krótszy, słabszy. Jeszcze coś szeptał, ale Moker niczego już nie potrafił zrozumieć. Potem głębokie westchnienie i Niusen znieruchomiał. Nie widzące już nic źrenice patrzyły w przestrzeń. Andy zamknął mu powieki i ocierając łzy opuścił chatę.

Stary Tom Niusen nigdy nikomu nie wadził. Był na swój sposób dziwakiem, jak każdy samotnik. Trochę rubaszny, nieokrzesany, ale dobroduszny.

- Umarł — powiedział Moker do Szerokiego Mokasyna, który czuwał przy chacie.
- Nie powiedział, kto zastrzelił wojowników Winnepagów? — spytał Sauk.
- Nie — Andy bezradnie rozłożył ręce.

Usypali dwie mogiły: w jednej pochowano białych, w drugiej Indian.

Zmęczeni usiedli w ustronnym miejscu nad strumieniem. Dopiero teraz Saukowie podzielili się z Mokerem swoimi spostrzeżeniami i powiedzieli mu o tym, co zdarzyło się w chacie.

— Winnepagowie pewnie poznali tajemnicę odkrycia przez białych złota i miedzi i dlatego ich zabito — snuł domysły Andy. — Dragonów szukających waszych śladów do wąwozu ściągnął huk strzelb. Winters zorientował się po sprzęcie, że Niusen z towarzyszami szuka złota. Może w chacie powiedzieli o swoim sukcesie, może pokazali plan odkrytych terenów. Guy był przecież z oficerem i wojskiem. Mieli prawo im ufać. — Moker pokiwał w zadumie głową, dodał: — Mogło też być nieco inaczej. Szczegóły znają łotry, morderca Winters i jego sojusznik.

Nad wąwozem zakrakal kruk.

- Na mnie już czas — powiedział Andy.
- Dokąd mój brat pośpieszy? — spytał Czujny Sokół.
- Tropem zbrodniarzy. A wy?
- Musimy zawiadomić Winnepagów o śmierci ich wojowników, a potem ruszymy do Kickapuzów.
- To nie po drodze — zauważył Moker.
- Cóż zrobić?
- Mam interes do Białego Obłoka. Wstąpię do wioski Winnepagów i opowiem o wszystkim.
- Dzięki, bracie — Czujny Sokół wyciągnął do Mokera rękę.
- Bywajcie — Andy uścisnął dłonie czerwonoskórych. — Mój towarzysz już czeka.

Na krawędzi parowu, między pniami strzelistych świerków, stał Żółty Liść trzymając uzdy wierzchowców.

POŻOGA

Kończyło się upalne lato. Pożółkłe i wyschłe od słonecznego żaru trawy prerii cichutko chrzęściły w podmuchach wiatru.

Czarny Jastrząb jechał na czele doborowych oddziałów na południe. Inni wodzowie poprowadzili wojowników na północ i wschód. Z ciężkim sercem sachem Sauków i Foxów podjął decyzję o rozpoczęciu wojny, która miała wyprzeć białych najeźdźców z ojczywej ziemi. Wampumy wrzucone do fortów i osad kolonistów nie przyniosły oczekiwanych rezultatów! Karawany pionierów ciągnęły jak szarańcza. Coraz częściej dochodziło do tragedii. Trampy napadli na wioskę Pottawatomich. Ludzie o podejrzanym wyglądzie penetrowali plemienne tereny Indian. Wojsko otoczyło osiedli

124

Winnepagów. Czerwony Ptak dobrowolnie oddał się w ręce żołnierzy, aby ocalić życie mieszkańców wioski. Uwięziony na Psiej Prerii, został podstępnie otruty. Co było robić?

Gdy do Saukenuk przybył Biały Obłok z licznym zastępem wojowników, a później przyszedli wojownicy Kickapuzów, Peoriów, Miamisów i Pottawa-tomich, Rada Starszych postanowiła rozpocząć walkę. W różne strony wysłano większe i mniejsze oddziały, oznaczono dokładnie dzień równoczesnego natarcia na osady i forty. Taka taktyka mogła czerwonoskórym przynieść sukces, bo nie pozwalała białym na skoncentrowanie swych sił.

Czarny Jastrząb zdawał sobie sprawę, że nie zdoła zniszczyć dużych ośrodków Unii, takich jak Saint Louis czy nawet Milwaukee i Chicago. Dlatego też plan zakładał zburzenie osad i małych warowni zbudowanych na terenie Wisconsinu, Illinois i przyległych ziemiach Indiany i Kentucky. Chodziło przecież jedynie o powstrzymanie inwazji osadników i obronę własnego kraju przed zachłannością białych.

W puszczy, około dziesięciu mil¹ od fortu Edwardsa, Czarny Jastrząb zatrzymał pochód. Na malowniczej polanie rozbito biwak. Nie rozpalono ognisk. Do zachodu słońca pozostawało jeszcze dużo czasu. Dwu- i trzyosobowe grupy zwiadowców wyruszyły zbadać okolicę; jedna z nich poszła aż pod warownię Edwardsa. Sachem, skrzyżowawszy nogi, siedział w towarzystwie znakomitszych wojowników i syna, Gamesetta. Gwarzyli na różne tematy. Według ustaleń generalny atak na wszystkie osiedla białych miał nastąpić dopiero pojutrze. Mieli więc trochę czasu.

O zmierzchu rozpalono tylko jedno małe ognisko. Wojownicy spożyli suchy prowiant na kolację i spokojnie, bez żadnych wydarzeń przesпали noc. W południe wrócił zwiadowca spod fortu. Czarny Jastrząb słuchał jego meldunku.

- Miczi-malsa nie wykazują zdenerwowania — mówił. — W przystani, na Me-si-kse-pe, stoi wielkie canoe. Drzwi w palisadzie, wychodzące na rzekę, były uchylone. Przy nich czuwał jeden wartownik.
- A brama od strony szlaku? — spytał sachem.
- Jest zamknięta. Na wieżycze widać strażnika.
- Jak wyglądają zarośla nad rzeką? Czy wycięto je w pobliżu fortu? — badał naczelnik.
- Strzała z łuku wystrzelona z brzegu zarośli nie dosięgła palisady — informował zwiadowca — ale kula strzelby bez trudu trafi w cel. Roślinność nad Me-si-kse-pe jest bujna, łatwo skryje ludzi i mustangi.
- Czy udało się moim braciom ustalić liczbę żołnierzy w forcie?

— Nie. Oczy nasze nie potrafiły zajrzeć za ogrodzenie.

Czarny Jastrząb zamyślił się. Nikt nie przerywał tej zadumy. Po chwili, kładąc dłonie na kolanach, powiedział:

— Wielkie canoe przywiozło Długim Nożom żywność, amunicję, a może nowych żołnierzy. Trzeba się z tym liczyć. — Przerwał na moment i rzekł do zwiadowcy: — Mój brat wróci pod warownię Edwardsa. O wszystkich nowych spostrzeżeniach meldujcie.

Wojownik oddalił się.

— Tylko podstępem można zdobyć fortecę — powiedział sachem do siedzących wokoło towarzyszy. — Moi bracia przygotowują suche wiązki chrustu do podpalenia palisady. W nocy wyruszymy nad Wielką Rzekę.

Gdy wojownicy odeszli, Gamesett spytał sachema:

- Mój wielki ojciec posiada już plan zwyciężenia białych z fortu Edwardsa?
- Nie, synu.

— Gamesett w nocy zakradnie się do warowni i otworzy bramę.

Czarny Jastrząb przyjrzał się Gamesettowi z dumą i troską. Cieszył się z odwagi i przebiegłości syna. Równocześnie jednak lękał się o jego życie.

- Jak chcesz to uczynić? — spytał cicho.
- Pod osłoną ciemności przejdę ogrodzenie przy pomocy arkanu...
- To ryzykowne. Nawet-jeśli udałoby się niepostrzeżenie wejść taką drogą do fortu, to tam łatwo zginąć. Brama jest strzeżona.

• Ze mną mogą pójść inni wojownicy — odparł Gamesett. — Będzie wtedy większa pewność, że bramę uda się otworzyć.

• Sama myśl jest niezła — pochwalił sachem. — Wezmę ją pod uwagę. — Kładąc dłoń na ramieniu syna, powiedział ciepło: — Gamesett wyrósł już na wybitnego wojownika.

O zmierzchu Saukowie ruszyli. Zachowując daleko posuniętą ostrożność, dotarli do brzegów rzeki i zapadli w bujnych chaszczach. Pogoda im sprzyjała. Zerwał się suchy wiatr i z poświstem gwał krzewy, szeleścił! trawami preerii, wzburzał wodę w korycie Missisipi, gwizdząc uderzał w przeszkody, pędził po niebie postrzępione płachty ciemnych obłoków, i

Indianie byli przekonani, że to Manitou, sprzyjając im, zesłał tę wicherę, by głuszyła stapania wojowników i zasłaniając chmurami światło księżycy i gwiazd, umożliwiała bezpieczniejsze poruszanie się na otwartej przestrzeni.,]

Jak duchy przemykali czerwonoskórzy między zaroślami a fortem. Ul podnóza palisady kładli wiązki chrustu i szczap. Ostatnich dziesięciu (wojowników poniosło w woreczkach około dwóch funtów prochu i p<l

jednej zapalce, które sachem przed laty kupił u wędrownego kramarza. Proch miano spożytkować do wysadzenia bramy, a zapalki do łatwiejszego zapalenia nagromadzonych wiązek drewna. Chodziło o pośpiech. Krzesanie ognia indiańskim sposobem, przy użyciu krzesiwa lub przez tarcie dwóch drewniek, trwałoby za dłużej.

Amerykańscy strażnicy nie zauważyli niczego. Czerwonoskórzy, przyczaiwszy się pod ostrokołem fortu, z niecierpliwością oczekiwali na sygnał do rozpoczęcia akcji.

Tymczasem Czarny Jastrząb z dowódcami roztrząsał szczegóły ataku.

• A jeśli wrota nie ustąpią? — spytał sachema młody wódz, Puszysty Ptak. — Ogień nieprędko strawi grube pnie palisady. Miczi-malsa będą też próbować ugasić pożar. Co wtedy uczynimy?

• Musimy wejść od przystani — odrzekł Jastrząb. — Nasi wojownicy muszą otworzyć drzwi.

— Ojczy! — zawołał syn naczelnika — Gamesett wykona to zadanie.

Sachem nakazał ręką milczenie.

• Paru wojowników zakradnie się do fortu — mówił dalej. — Gdy zapłonie chrust pod frontową ścianą palisady, przypuścimy szturm. Dla Miczi-malsa będzie to zaskoczenie. Wtedy zaistnieją dwie możliwości: albo wdrzemy się bramą, którą strzaska proch, lub otwartymi drzwiami od przystani.

• Albo z jednej i drugiej strony — zauważył Puszysty Ptak.

• Byłaby to sytuacja idealna — stwierdził sachem. — Może się jednak zdarzyć, że bramy nie zniszczymy, a wojownicy nie zdołają przejść ostrokołu lub nie będą mogli otworzyć drzwi, wtedy pozostanie oblężenie...

• I długa walka, a nam chodzi o pośpiech — powiedział Orli Dziób, jeden ze znakomitszych wojowników.

• Podstawowe zadanie spoczywa na tych, którzy wejdą do fortu — rzekł Puszysty Ptak. — Dlatego muszą to być najodważniejsi i najsprytniejsi wojownicy.

• Ugh — zgodził się sachem. — Niech mój brat wybierze takich śmiałków. Myślę, że dwóch wystarczy. Więcej ludzi łatwiej zwróci uwagę białych.

• Ojczy!,... — głos Gamesetta brzmiał prosząco.

• Dla ciebie mam inne obowiązki — przerwał synowi Czarny Jastrząb. — Ja poprowadzę atak na główne wrota, a Puszysty Ptak — od Przystani.

— Szykujcie się, bracia. Do świtu zostało niewiele! — rozległ się stanowczy głos Czarnego Jastrzębia.

Puszysty Ptak wybrał dwóch zaprawionych w walce wojowników, znanych ze swej niezwyklej zręczności i odwagi. Byli to: Cicha Puma i Niezawodne Oko. Pierwszy z nich przejął kierownictwo. Uzbrojeni w tomahawki, noże, jeden pistolet i arkany przemknęli pod ostrokoł fortu. Leżąc za kępą zielska obserwowali szczyt palisady. Było tu pusto. Narożna wieżyczka, gdzie pewnie stał wartownik, ledwie majaczyła w nocnej czerni. Czołgając się dotarli pod samo ogrodzenie.

Niezawodne Oko podniósł się, przez chwilę nasłuchiwał, potem zakręcił i cisnął arkan na szczyt ostrokołu. Wiatr skrzywił lot sznura i pętla nie dosięgła celu. Świst rzemienia utonął w szumie wichru. Jeszcze jeden chybiony rzut. Przy trzeciej próbie pętla opadła na wystający nieco kołek. Wojownik chwycił sznur i opierając o palisadę stopy w miękkich mokasynach, ostrożnie i cicho wspinał się ku górze. Chwyciwszy się dłońmi; za grzbiet ogrodzenia, odetchnął chwilę i zajrzał do fortu. Gruba opona chmur zakrywała wszystko. Niczego nie dojrzał. Przerzucił więc nogę przez ogrodzenie i leżał całą długością ciała na palisadzie. Z niebywałą czujnością rozglądał się i słuchał. Ale tylko wiatr zawodził. Gdzieś w głębi forticy, skrzypiało coś, jakby kołysane wichrem drzwi. Przeczekał jeszcze z minutę i zawiesił na ostrokołe arkan dla Cichej Pумы.

Po chwili ujrzał obok cień towarzysza. Już mieli schodzić do fortu, gdy na palisadę bezszelestnie wszedł ktoś trzeci. Niezawodne Oko sięgnął po nóż.

• Ktoś ty? — spytał gwałtownie.

• Gamesett — padła skroś wichru odpowiedź.

Nie było czasu na dyskusję. Bez słowa przerzucił rzemienie do środka fortu i ostrożnie zsunął się w dół. Znalazł się w pobliżu jakiegoś budynku. Przywarł do ogrodzenia i usiłował przeniknąć wzrokiem ciemność, która tutaj była gęściejsza niż na prerii. Wokoło panował spokój. Pociągnął więc sw<S arkan,

dając w ten sposób znak towarzyszym. Zeszli błyskawicznie.

Zostawiwszy na ostrokołe arkany, aby w razie potrzeby mogły stanowić drogę ucieczki, ruszyli ku przystani. Przechodząc obok domu, usłyszeli w jego wnętrzu ujadanie psa. Przyśpieszyli kroku.

Nagle Gamesett nogą potracił jakiś przedmiot, który toczył się wydając odgłos podobny do pękniętego garnka. Wiatr hałasował tutaj mniej; jeg<?> zawodzenie szło górą. Dlatego dźwięk zabrzmiał alarmująco. Saukowif stanęli zaciskając palce na tomahawkach.

- To ty, John? — padło w ciemności pytanie, zupełnie blisko Indian.
- John! — rozległo się znowu.
- A czego? — Ktoś odezwał się z prawej strony.
- Tam jesteś? Słyszałeś?
- Wiatr. Pewnie twoja puszka po konserwie.
- Być może...

Wartownicy rozpoczęli przyciszoną rozmowę. W mroku zamigotał blask latarki. Zbliżały się twarde żołnierskie kroki. Cicha Puma szepnęła do towarzyszy:

— Cofamy się, chodźcie za mną.

Chyłkiem ruszyli w przeciwnym kierunku. Znow przeszedli obok domu, z którego ponownie odezwało się wściekle warczenie psa. Otworzył się przed nimi spory plac. Była tu lepsza widoczność, dlatego pośpiesznie przemknęli pod palisadę. Czas był ku temu najwyższy. Zrzęda bowiem warstwa chmur i poświata gwiazd spłynęła na dziedziniec fortu. Dostrzegli bramę i strażnika. Na pomoście biegnącym wzdłuż ostrokołu nie było nikogo, jedynie w wieżyczce, w pobliżu bramy, rysował się cień żołnierza. W oknie niedaleko budynku zapłonęło światło.

— Musimy się śpieszyć. Zaraz obłoki zakryją gwiazdy — mówił Cicha Puma. — Ja biorę na siebie tamtego — wskazał basztę — a wy zajmijcie się bramą.

Gdy fort zatonał w ciemnościach, przywódca grupy uchwycił palcami brzeg pomostu przy palisadzie i podciągnąwszy w górę ciało, wszedł na ułożony z desek mostek.

Gamesett, wskazując skupisko skrzyń i beczek niedaleko głównej bramy, powiedział do Niezawodnego Oka:

— Tam musimy podejść.

Ruszyli wzdłuż palisady, później, czołgając się, dotarli do składowiska. Stały tutaj drewniane skrzynie, nakryte pokrywami, i beczki, napełnione wodą. Nieco na lewo, w odległości paru jardów, widniały w palisadzie dwuskrzydłowe wrota, przy których czuwał wartownik.

• Gdy będę już blisko — szepnęła Niezawodne Oko — mój brat zwróci uwagę bladej twarzy na siebie.

• Ugh — zgodził się Gamesett.

Sauk skradał się cicho jak kot, wybierając miejsca ciemniejsze od innych. Pod samym ostrokołem, tuż przy bramie, znikł zupełnie w mroku.

Gamesett przeczekał jeszcze parę sekund i rzucił grudkę ziemi w beczkę z wodą. Plusnęło. Żołnierz nie zareagował. Wiatr szumiał nad warownią, czasami uderzał w ściany budowli. Plusk był w tych warunkach za delikatny, aby mógł zainteresować strażnika. Gamesett podniósł spory kamień i cisnął go w pobliże bramy. Teraz wartownik rozejrzył się i leniwie poszedł w miejsce upadku kamyka. To wystarczyło. Mignęła sylwetka człowieka i dwa cienie zwarły się z sobą.

Gamesett nie zwlekał. Pochylony, kilkoma susami dopadł walczących. Ułamek sekundy i biały legł bezwładnie. Chwyciwszy go, szybko zanieśli na składowisko i złożyli między skrzyniami.

Pełni podniecenia oczekiwali powrotu Cichej Pumpy. Gamesett nerwowo zaciskał pięści, a Niezawodne Oko niespokojnie obserwował plac, pobliskie budynki, ostrokoł i niebo, na którym pojawiły się pierwsze oznaki zbliżającego się brzasku.

- Może Cicha Puma poszedł spróbować szczęścia przy drzwiach przystani? — szepnęła Gamesett.
- Powiedziałby. Raczej zginął.
- Wartownik wszcząłby alarm.
- To prawda — przyznał Niezawodne Oko i dodał: — Może jest ranny.
- Co robimy?
- Nk akcję w przystani już za późno, bracie — rzekł Oko. — Oby nikt nam nie przeszkodził przy

otwarcu bramy. Niebo szarzeje. Zaraz się zacznie.

Wiatr przywiał wołanie puszczyka. Saukowie spojrzeli na siebie.

— To sygnał — powiedział Gamesett. — Chodźmy otworzyć wrota.

Podbiegli do bramy. Gamesett chwycił żelazny pręt przytrzymujący masywny skobel. Z trudem wyciągnął go z uchwytu. Ze zgrzytem wypadł wreszcie z otworu. Pchnął połowę wrót. Skrzypiąc zatoczyły łuk. Gamesett podparł je tomahawkiem, aby się same nie zamknęły.

Na zewnątrz Saukowie zapalali chrust i smolne szczapy.

Niezawodne Oko tymczasem zsunął hak przytrzymujący drugą połówkę bramy i chciał ją odepchnąć na bok, gdy z głębi placu huknął strzał. Wojownik padł ugodzony w plecy.

Zatupotały żołnierskie buty. Gamesett leżał w otwartej połowie i podniósł sztucer zabrany pokonanemu wartownikowi. Wymierzył w nadbiegających. Błysk wystrzału. Któryś z Sauków przybiegł mu z pomocą. Huknęło. Żołnierze rozbiegli się. Zadźwięczała na alarm trąbka.

I wtedy od strony prerii załomotały kopyta mustangów. Wojenny krzyk czerwonoskórych pochwycił wiatr.

Amerykanie usiłowali zamknąć bramę, ale gromada Indian zagroziła im drogę. Rozgorzał bój. Płonący chrust coraz jaśniej rozświetlał i tak rzadnący już mrok. Zatrzeszczały indiańskie grzechotki. Wojownicy spod bramy błyskawicznie umknęli, pozorując ucieczkę. Nim Amerykanie zorientowali się w sytuacji, przemknęła konnica Czarnego Jastrzębia, strzelając w oświetlonych żołnierzy. Nie wjechała jednak do fortu. Zatoczywszy łuk znowu szła do szarży. Przyczajeni piesi Saukowie razili białych ze strzelb i łuków.

Gdy zdawało się, że żołnierze mimo gęstego ostrzału zdołają zawrzeć wrota, zapłonął ułożony pod zawiasami proch, z trzaskiem wyrzucając snopy iskier. Zakotłowało się w bramie. Wtedy Indianie, jakby na ten moment czekając, runęli jak fala do wnętrza warowni. Strzał padał za strzałem. Podpalono jeden z budynków. W blaskach pożaru złowrogo połyskiwały ostrza szabel i tomahawków. Wiatr rozprzestrzenił płomień i niósł w dal bitewną wrzawę.

Szczególnie zaciekle walczyli Amerykanie pod blokhausem; osłaniając wyprowadzone dzieci i kobiety, cofali się do przystani, gdzie dotychczas nie-atakowany statek przygotowywał się do odpłynięcia.

Żołnierze, którzy nie zdołali wejść na pokład, skakali do wody i płynęli za parowcem.

Puszysty Ptak podbiegł do sachema wołając:

- Tam są armaty! — wskazał na palisadę. — Zniszczmy wielkie canoe z armat.
- Nie. Saukowie nie będą strzelać do dzieci i sąuaw — stanowczo odparł Czarny Jastrząb i rozkazał: — Mój brat w wojownikami przeszuka fort. Broń i wszystkie wartościowe przedmioty stanowią wojenną zdobycz. Jeńców, jeśli będą, wyprowadźcie na prerię i podpalcie pozostałe budynki, niech szybciej spłonie to przekłete gniazdo białych twarzy.

Wyniesiono z magazynów i zabudowań broń, proch i wszystko, co mogło być przydatne. Ściągnięto dwa działa z rusztowań. Bogaty łup leżał w pobliżu fortu. Pięciu żołnierzy dostało się do niewoli. Ponuro patrzyli na rozprzestrzeniający się pożar. Wojownicy znosili ciała poległych.

Sachem doglądał wszystkiego.

Uformowano kolumnę z noszami, na których leżeli ciężko ranni i zabici Indianie. Do armat zaprzęgnięto konie. Objuczono zdobyczą wierzchowce.

Czarny Jastrząb przywołał jednego z wojowników.

— Wielka Stopa poprowadzi ten orszak do Saukenuk — powiedział. —

Dla ochrony towarzyszyć mu będzie zbrojny oddział.

— Ugh — odrzekł wojownik i bez słowa poszedł wykonać polecenie.

Sachem zbliżył się do jeńców; bez odrobiny nienawiści popatrzył na ich załęknięte twarze. Powiedział po angielsku:

— Wódz Sauków i Foxów, Czarny Jastrząb, daruje wam życie i wolność. Pogrzebicie swych braci, którzy padli w walce, a potem pójdźcie do Saint Louis i nie wracajcie więcej na ziemię czerwonoskórych plemion. Powiedźcie gubernatorowi i generałom, że Czarny Jastrząb broni tylko ojczyzny przodków, a wojny z Unią nie chce. Hugh.

Żołnierze z ulgą i zarazem ze zdziwieniem słuchali słów sachema.

— Powtórzmy wszystko, co usłyszeliśmy — odparł jeden z nich.

Słońce na wschodzie weszło już ponad horyzont, gdy długi sznur jeźdźców ruszył w kierunku Spoon River. Za nimi płonął fort Edwardsa. Wiatr unosił nad prerią kłęby

czarnosiwego dymu. Przed nimi ciemną grubą kreską rysowała się daleka puszcza.

Monotonną równinę przejechali szybko i bez większych wydarzeń, przebrnęli przedzidziki bór i wczesnym popołudniem znaleźli się nad łąką rozciągającą się ^ między lasem a rzeką, nad którą rozłożyła się wieś backwoodsmenów.

Gromada mężczyzn pracowała na wyrębie. Ścięte drzewa oczyszczano z konarów. Olbrzymie pnie przywiązywano do końskich uprzęży i szkapy wlokły je do wioski. Tam osadnicy wznosili budynki i palisadę. Konie właśnie ciągnęły ciężkie okrągłaki przez łąkę, a zapracowani 'drwale, w trzasku walących się drzew, w śpiewie pil i w stuku siekier, nie spostrzegli Indian przemykających po lesie i łące.

Swen Erikson odłożył topór, wyprostował obolałe plecy i rękawem koszuli zaczął wycierać spocone czoło. Zupełnie przypadkowo jego wzrok padł na Indianina opartego o sosnę. Czerwonoskóry ze strzelbą opuszczoną kolbą do ziemi stał spokojnie, najwyżej trzy, cztery jardy od osadnika. Swen rozejrzał się za sztucerem, ale zostawił go przy pniaku zwalonego dębu. Co miał robić?... Chwycić siekiere?... Zresztą Indianin zachowywał się spokojnie. Aby zwrócić uwagę pracujących, zawołał:

— Hej, czego chcesz, czerwony bracie?

Erikson był Szwedem i odezwał się w swym ojczystym języku. Czerwonoskóry nie mógł go zrozumieć.

Osadnicy przerwali pracę. Widząc Indianina, chwycili broń. Na wyrębie zaległa cisza. Tylko w koronach drzew niósł się poszum listowia.

— Czarny Jastrząb, wódz Sauków i Foxów, chce rozmawiać z dowódcą backwoodsmenów — czysto i wyraźnie zabrzmiał głos sachema.

Jeden z osadników, Anglik, wysunąwszy się do przodu, spytał:

- Czego chcesz?
- Jeśli biały człowiek jest przywódcą ludzi w tej wiosce, niech się zbliży — odparł Czarny Jastrząb.

— Tu każdy jest sobie przywódcą — powiedział Anglik. — Oni nie znają ani angielskiego, ani waszego języka. Możesz mówić ze mną.

- Podejdź bliżej, biały bracie.
- Po co? Mów z daleka.

Szwedzi skupili się. Swen Erikson spytał Anglika:

- Tom, czego on chce?
- Nie wiem — odrzekł Tom. — Chce rozmawiać z nami.
- Kropnąć go i basta — odezwał się z nienawiścią piegowaty olbrzym. - Daj spokój, Arne — zaprotestował Tom. — Mielibyśmy zaraz na

karku innych. Zresztą nie wiadomo, czy przybył tu sam.

— Wódz Sauków podejdzie trochę, ale biały brat uczyni podobnie — powiedział do Toma Czarny Jastrząb.

Sachem ręką uczynił parę znaków przeznaczonych dla wojowników, ukrytych w zaroślach, wszedł na karczowisko, ominął pień leżącego dębu i mając przed sobą wszystkich drwali, zatrzymał się bez najmniejszych oznak lęku.

— Czarny Jastrząb nie obawia się backwoodsmenów — powiedział ze swobodnym uśmiechem — bo ma czyste sumienie wobec białych ludzi.

— ' My też nie uczyniliśmy wam nic złego — odparł Tom.

• Biały człowiek kradnie ziemię czerwonych plemion — odparł surowo sachem — wycina drzewa, poluje, nawet zabija samotnych czerwonoskó-rych... Czy to nie dosyć?...

- Do czego zmierzasz? — W pytaniu Toma zabrzmiało zakłopotanie.
- Ziemia, na której zbudowaliście tamte chaty — wódz wskazał na wieś nad rzeką — należy do Sauków i Foxów. O zgodę Rady Starszych nie pytaliście.

• Ziemię kupowaliśmy od Rządu Unii, w Saint Louis...

• To ojczyzna mego ludu! — podniesionym głosem zawołał Czarny Jastrząb. — Nikt oprócz Rady Starszych nie ma prawa decydować o kupnie i sprzedaży ziemi.

• Nie znamy się na tym — odrzekł wykrętnie Anglik. — Myślę, że pogodzimy się jakoś.

• Nie! — pokręcił głową sachem. — Powiedz swym braciom, tym z wioski i tu stojącym, że Czarny Jastrząb daje dwie godziny czasu na

przygotowanie się do opuszczenia tych ziem. Wszystko możecie zabrać, z wyjątkiem strzelb, prochu i ołowiu. Saukowie nie chcą rozlewu krwi. Cała wieś jest otoczona wojownikami. Spójrz — wskazał na wejmutkę⁵ — jeśli cień tego drzewa przesunie się pod tamten krzak, macie stąd odejść, a jeśli nie

uczynicie tego, rozpoczniemy walkę. Hugh!

W oczach zaskoczonego Anglika pojawił się lęk i nienawiść.

- Będziemy się bronić — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Wojsko przyjdzie nam z pomocą.
- Forty Edwardsa i Madisonsa nie istnieją, spłonęły — odrzekł dumnie wódz. — Długie Noże nie przybędą z odsieczą. Los wioski baekwoodsme-nów wszędzie już przesądzony. Niech błada twarz pośpieszy z decyzją Czarnego Jastrzębia do swych braci. A ci ludzie — sachem wskazał na drwali — niech złożą broń, są jeńcami Sauków.

Naczelnik odwrócił się i wolnym krokiem wracał do lasu. Wtedy wysoki Arne podniósł strzelbę, ale nim zdołał nacisnąć kurek, śmignął bełt i wbił się w jego lewy bark. Szwed opuścił broń i łapiąc się za ramię, usiadł na pniaku.

I — Dajcie spokój! — krzyknął roztrzęsiony Tom. — Jesteśmy otoczeni. Posłuchajcie... — Złożył pionierom relację z rozmowy z Czarnym Jastrzębiem. — Z oddaniem broni zwlekajcie — mówił. — Porzucić zakupionych parceli niepodobna. Z. czego będziemy żyć?... Dokąd pójdziemy?... Zbiorę ludzi. Jeśli się uda, rozpędzimy tych dzikusów.

Tom powlókł się łąką do wioski, a drwale poczęli zastanawiać się nad wyjściem z przykrew sytuacji.

Czarny Jastrząb siedział na brzegu lasu i leniwie obserwował przesuwający się cień wysmukłej wejmutki. Gamesett usiadł cicho obok ojca. Wódz nawet nie poruszył się. Obaj milczeli. Słońce jasno oświetlało karczowisko i łąkę. Owady jak kolorowe ziarenka unosiły się w powietrzu przepojonym zapachem żywicy.

- Ojczy... - zaczął z zażenowaniem Gamesett.
- Mów — zachęcił go sachem.

Młodzieniec nie wiedział, jak rozpocząć, co powiedzieć ojcu, aby usprawiedliwić swoje nieposłuszeństwo. Przez całą drogę, od fortu Edwardsa aż do tej pory, Czarny Jastrząb dawał mu odczuć swoje niezadowolenie i unikał rozmowy. Zresztą stale ktoś był w pobliżu sachema, co uniemożliwiałoby swobodną wymianę zdań. Dopiero teraz nadarzyła się okazja.

— Wybacz, ojczy, że byłem nieposłuszny i poszedłem bez twojej zgody na wyprawę do warowni — wykrztusił jednym tchem, opuszczając głowę. •

- Podstawowym obowiązkiem wojownika jest słuchać rozkazów wodza — pouczył go Czarny Jastrząb.

- Ugh — szepnął Gamesett i po chwili dorzucił: — Byłem w forcie potrzebny...
- Wiem — uciął sachem — ale samowola nie zawsze tak się kończy. Może spowodować nieobliczalne szkody.
- Prawdę mówisz, ojczy.
- Jesteś, synu, wojownikiem i ciesz się twoją odwagą — mówił wódz — ale nie wolno nikomu narażać życia bez koniecznej potrzeby. Pamiętaj o tym.

- Dobrze, ojczy.

Drwale tymczasem, widząc, że Indianie pozostawiają im swobodę ruchów, postanowili opuścić teren wyrębu. Z podniesioną do strzału bronią poczęli bez pośpiechu cofać się do wioski.

Czarny Jastrząb ruchem ręki przywołał Puszystego Ptaka.

— Mój brat weźmie jeźdźców i pojmie blade twarze — polecił.

Drwale doszli już do łąki, gdy z puszczy wypadło kilkanaście mustangów. Schowani za ich bokami wojownicy byli niewidoczni. Konie zatoczyły łuk i osadnicy znaleźli się w zamkniętym kole. Ze zdumieniem spoglądali na rumaki. „Czary czy co?” — myśleli. Nagle wojenny krzyk zmroził ich serca. Niespodziewanie na mustangach pojawili się czerwonoskórzy z wycelowaną bronią. Drwale machinalnie podnieśli ręce do góry.

— Blade twarze rzuć broń! — zawołał rozkazująco Puszysty Ptak, pokazując równocześnie, o co mu chodzi.

Osadnicy opuścili sztucery na trawę. Wtedy paru Sauków zeskoczyło z siodła i zabrało strzelby. Zaprowadzono białych na leśną polanę i zaciągnięto strażę. Siedzieli przerażeni liczbą wojowników. Arne, mimo opatrunku, pojękiwał cicho. Wprawdzie ostrze strzały zostało wyjęte, ale od rany promieniował niesamowity ból.

Cień drzewa dosięgnął krzaka tarniny. Sachem dalej cierpliwie czekał. Minuty płynęły za minutami. Ciemna smuga wolniutko przesunęła się przez krzew i jak długa włócznia legła przez środek wyrębu.

Czarny Jastrząb podniósł się. Jeden gest dłoni i wojownicy wyjechali z lasu. Gamesett włożył palce w

usta. Wolanie orła popłynęło nad łąkę. Gdzieś za rzeką rozległ się odzew.

Osadnicy spoza płotów swych zagród patrzyli na las. Kiedy pojawił się tam sznur indiańskich jeźdźców, struchleli.

— Patrz, Tom! — ktoś szarpnął Anglika wskazując step za rzeką.

Z oddali, z wysokich traw, rozciągnięta w tyralierę, bez pośpiechu nadjeżdżała konnica. Chybotwały na głowach jeźdźców pióra i lśniła w słońcu broń.

Strach rozszerzył źrenice backwoodsmenów i krople potu uperliły ich czoła.

- Nie damy rady — stwierdził jasnowłosy Fluga.
- Trzeba ratować życie. Mamy dzieci... — szepnął zawsze rozważny Gunnar.

Zapadło dręczące oczekiwanie.

• Hej, blade twarze! — rozległ się głos Czarnego Jastrzębia — wyznaczony czas minął. Za chwilę wojownicy Sauków i Foxów rozpoczną atak. Raz jeszcze wzywamy was do opuszczenia domów.

• Nie ma co — powiedział Fluga. — Życie moje cenniejsze niż skrawek ziemi. Zresztą, mogę tu kiedyś wrócić, gdy będę żył. Opuszczam osadę.

• Ja też — przyłączył się Gunnar.

— Powiedz im, Tom, niech pofolgują z czasem — odezwał się starszy

...

wiekim mężczyzna.

Na łące pod lasem i za rzeką stali jeźdźcy. Było ich dużo, bardzo dużo. Walka byłaby -szaleństwem. Tom złożył dłonie w trąbkę i zawołał:

— Zaczekajcie, idę do was.

Po chwili stał przed sachemem.

— Nie zdążyliśmy załadować wozów. Dajcie nam jeszcze godzinę czasu — mówił prosząco.

Czarny Jastrząb, pochyliwszy się z siodła, z drwiącym uśmiechem odparł:

- Błada twarz kłamie, ale Czarny Jastrząb jest wyrozumiały. Daję wam pół godziny, ani krzty więcej.

Hugh.

- Nie zdążymy... — próbował prosić Tom.

g..b

- Mielicie czas, ale przeznaczyliście go na inny cel. — Sachem spojrział na osadnika wyniośle. —

Za pół godziny Czarny Jastrząb chce widzieć blade twarze w drodze do Saint Louis.

- Dobrze — odrzekł cicho Tom i zawrócił do wsi.

Indianie pozostali na stanowiskach, nieruchomi jak posągi wśród traw. Czasami mustang pochylał łeb lub zastrzygł uszami. Słońce połyskiwało na haftach ubrań, na amuletach i naszyjnikach, na grotach strzał i lufach strzelb...

Wreszcie, turkocząc kołami, wyjechały z wioski pierwsze wozy. Płacz dzieci i kobiet, złorzeczenie i pokrzykiwania mężczyzn zlewały się w przykry zgiełk.

Czarny Jastrząb polecił wypuścić zatrzymanych drwali, pobiegli za oddalającą się kawalkadą.

Do osady weszli teraz Indianie. Przeszukano każdą zagrodę i podłożono ogień. Gdy zapadł wieczór, potężna łuna pożaru wieściła, że osiedle backwoodsmenów nad Spoon River przestało istnieć.

W pobliskim lesie Saukowie przespali noc. Rankiem wyruszyli w dolinę Illinois River, aby w jej południowym biegu, zniszczyć następne osiedla osadników. Po paru dniach jazdy ujrzeli na widnokręgu kłębiące się tumany dymu.

• To pewnie dzieło wojowników Peoriów — rzekł Puszysty Ptak, cwałując koń w koń z Czarnym Jastrzębiem.

• Łatwo uporali się z powierzonymi zadaniami, skoro doszli aż do ujścia La Moins River — zauważył naczelnik.

- Pod wieczór powinniśmy spotkać naszych braci Peoriów.

- Ugh.

Popędzili konie. Otwarta równina ułatwiała jazdę. Kopyta mlistangów głucho tłukły o prerię. Wokoło, aż po horyzont, rozciągała się pusta dal.

Słońce jak złotoczerwony krąg zsuwało się na zachodzie poza ciemną smugę lasów, gdy zbliżyli się nad szeroko w tym miejscu rozlane wody Illinois River. Dopały się tu pionierskie zabudowania. Ze spalonych resztek snuł się gryzący śwąd.

Czarny Jastrząb, uważnie przyglądając się śladom, przejechał wzdłuż pogorzelniska. Ziemia w niektórych miejscach była stratowana kopytami mustangów. Poza obrębem pożaru leżał ze strzałą w

boku martwy koń.

- Stoczyli bitwę — powiedział Sachem do towarzyszy.
 - Mieli zwyciężyć Miczi-malsa w forcie Alton — rzekł Gamesett. — Czy to im się udało?...
- Sachem wzruszył ramionami.

— Canoe — wskazał na rzekę Puszysty Ptak.

Rzeczywiście z przeciwległego brzegu odbiło czółno. Płynęło szybko. Prąd znosił je nieco, mimo usilnej pracy trzech wiosłarzy.

— Peoriowie — stwierdził wódz.

Łódka dopłynęła. Indianie wyciągnęli ją na dość wysoki brzeg i sforsowawszy skarpe, pośpieszyli do Sauków.

Czarny Jastrząb zsiadł z wierzchowca, za nim uczyniła to starszyzna.

Peoriowie, kładąc prawą dłoń na lewej piersi, pochyliłi głowy. Jeden z nich powiedział:

- Witamy wielkiego sachema i braci Sauków i Foxów.
- Witajcie, bracia — odparł przyjaźnie naczelnik. — Co przynosicie Czarnemu Jastrzębiowi?
- Pierzasty Grot, z rozkazu wodza Peoriów, przynosi pomyślne wieści — mówił czerwonoskóry. —

Wojownicy naszego plemienia, wspierani przez Pottawatomich, zniszczyli fort Alton i wszystkie osiedla backwoods-menów między Illinois a Sangamon River.

- Jak Peoriowie zdobyli Alton? — spytał z zainteresowaniem sachem. — Czy dużo ludzi zginęło?
- Wojownicy weszli podstępem — odrzekł Pierzasty Grot. — Poległo trzydziestu dwóch wojowników i prawie tylu Długich Noży, pozostali uciekli. W walkach z backwoodsmenami padło tylko kilku Pottawatomich i Peoriów.

• Niech moi bracia poinformują walecznych wodzów — powiedział Czarny Jastrząb — że fort Edwardsa i wioski białych nad Spoon River nie istnieją. Spłonęły. — Zrobił krótką pauzę i mówił dalej: — Jeśli na północy Winnepagom i Kickapuzom udało się zrealizować powierzone im zadania, to kraina naszych przodków jest wolna. — Uśmiechnął się z ufnością. — Czuwajcie, bracia, nad południowymi obszarami ziem i o wszystkim meldujcie. Sachem zjednoczonych plemion będzie w Saukenuk.

W stolicy Sauków i Foxów, w wigwamie Rady Starszych, Czarny Jastrząb wysłuchiwał relacji z wyniku wojennych działań. Najpierw opowiadał Biały Obłok o zwycięskich walkach z osadnikami u źródeł Rzeki Kamiennej⁶, w lasach w pobliżu Wisconsin River i na podmokłych terenach niedaleko jeziora Michigan. Siwy Włos, wódz Peoriów, plastycznie odmalował zdobycie fortu Alton i oczyszczenie doliny Illinois. Jeden z młodszych wodzów Kickapuzów, Wędrujący Jeleń, opowiedział o pomyślnej akcji na osady nad Black River.

• Po spaleniu wigwamów backwoodsmenów — kończył swoją opowieść — wojownicy zagrodzili drogę odsieczy idącej z Psiej Prerii. Po godzinnej bitwie Miczi-malsa zawrócili, a Kickapuzowie ścigali ich aż do pokoju uświęconej ziemi; dalej nikt z wojowników nie odważył się iść za Długimi Nożami.

• Psią Prerię biali przekształcili w warownię — powiedział Czarny Jastrząb. — Trzeba ją też zniszczyć.

- Któż tam odważy się podnieść broń? — spytał Puszysty Ptak.
- Saukowie — odparł sachem.
- To ziemia pokoju — szepnął z trwogą Wędrujący Jeleń. — Obrazimy Manitou...
- Wielki szaman, Waupeshek, przebłaga Wielkiego Ducha — rzeki łagodnie Czarny Jastrząb.

Oczy zebranych zwróciły się na szamana, który z ociąganiem odrzekł:

— Jutro w Wigwamie Tajemnic zahuczy święty bęben i spłoną wonne kadzidła. Może duchy dobra i zła wysłuchają moich prośb.

Nikt nie odezwał się po tych słowach. Dopiero po chwili sachem gestem poprosił wodza Miamisów o złożenie meldunku.

— Huczący Grzmot wypędził białych osadników z łowieckich terenów plemienia — informował — ale mimo bohaterstwa wojowników, nie udało się zniszczyć fortu Fox...

Długo jeszcze wodzowie i znamienitsi wojownicy informowali o wynikach rozpoczętej wojny. Prawie wszędzie podjęte działania zakończyły się sukcesem. Tylko w nielicznych wypadkach białym Amerykanom udało się wyjść z ataków zwycięsko.

Czarny Jastrząb był zadowolony.

- Bracia — podsumowywał — z waszych meldunków wynika, że wszystkie osady backwoodsmenów zostały spalone, a ludzie przepędzeni precz. Pożar strawił fort Alton, Edwardsa i poważnie uszkodził warownię Madisonsa, leżącą po tamtej stronie Ojca Wód. To nie koniec wojny. Musimy koniecznie zburzyć fort Fox i przepędzić Miczi-malsa z Psiej Prerii. Zastanówmy się wspólnie, jak to uczynić.

- A co z fortem Snellinga i osadami Milwaukee i Chicago? — spytał Nasheakusk. — Jeśli nie przepędzimy stamtąd białych, po jakimś czasie będą znowu wysyłać backwoodsmenów i wojsko.

- To prawda. Nie zdołamy jednak zdobyć tych osad; za dużo tam Amerykanów — powiedział z goryczą Waupeshek.

- Najgroźniejszy jest fort Fox, bo leży niemal w środku naszego kraju, dlatego musi spłonąć. — Głos Czarnego Jastrzębia był stanowczy. — Pozostałe forty leżą na pograniczu naszych ziem, jeśli będą pod stałą obserwacją zwiadowców, Miczi-malsa nie zdołają nas zaskoczyć. Pamiętajcie, bracia, nie tocymy wojny z Unią, lecz bronimy kraju przodków.

Radzili jeszcze długo. Wodzowie zobowiązali się do ustawicznej kontroli swoich terenów i rugowania wszystkich białych, nawet wędrownych kupców. Potrzebne towary postanowiono sprowadzać z przyjaznej

Kanady. Saukowie przy pomocy sojusznicznych plemion podjęli się w najbliższym czasie zniszczyć fort Fox, nazywany też przez białych Wisconsinem.

W PUŁAPCE

Kilka tygodni później próba ataku na fort Wisconsin zakończyła się niepowodzeniem. Zapadła więc decyzją blokady warowni. Dzień i noc kręcili się wojownicy wokoło twierdzy, czekając na sprzyjającą okazję do ponownego szturmu.

Lotne oddziały nieustannie krążyły po preriach Illinois i puszczech Wisconsinu, czuwając nad bezpieczeństwem plemion i rodów. Tu i tam odkryte samotne farmy szły z dymem, czasami przepędzono trampa, innym razem białego trapera lub włokącego się z towarami handlarza.

Na pograniczu co pewien czas dochodziło do potyczek między wojskiem Unii a wojownikami. Rezultaty tych starć były różne: raz zwyciężali Amerykanie, to znów czerwonoskórzy. Jedno było ważne dla sojusznicznych plemion — amerykańska armia nie podejmowała ofensywnych działań i osadnicy nie wkraczali na niebezpieczne dla nich tereny.

Tak" minęły trzy lata. Plemienne rody żyły we względnym spokoju. Gdyby nie konieczność ustawicznego pilnowania pogranicza, nic nie zakłócałoby szczęścia czerwonoskórych.

Fort Wisconsin dalej tkwił jak bolesna zadra w samym sercu indiańskich ziem. Mimo blokady, parę razy udało się białym dostarczyć do warowni żywność i amunicję. Gdy we wrześniu 1831 roku biali, ubrani w indiańskie stroje, zmyliwszy czujność Sauków, weszli do twierdzy wraz z czterema naładowanymi wozami, Czarny Jastrząb postanowił nie zwlekać dłużej. Zrozumiał, że głodem nie zmusi majora Whistlera do poddania fortu. Trzeba było przygotować się do ataku i za wszelką cenę zniszczyć warownię.

Właśnie w gronie zaufanych ludzi, na wygarbowanej do białości skórze wapiti kreślił ochrą plan szturmu, gdy wszedł wojownik Winnepagów. Kurz na ubraniu i zaczerwienione oczy świadczyły, że musiał w pośpiechu odbyć daleką drogę.

Czarny Jastrząb odłożył mapę i wskazując mu miejsce przy ognisku, powiedział:

— Mój brat jest zmęczony, niech zaspokoi pragnienie i głód.

| Wojownik z ręką na sercu pochylił głowę w geście powitania i usiadł. Jak nakazywał obyczaj, zaczerpnął nieco klonowego napoju, zwilżył nim wargi i nie czekając na zezwolenie, zaczął:

i— Wielki sachem Sauków i Foxów wybaczy, że Ostry Pazur natychmiast przystąpi do rzeczy. Każda chwila jest droga. Miczi-malsa pod dowództwem generała Scotta palą wioski Czipewejów, Kickapuzów i szukają tropów Winnepagów... Biały Obłok prosi o pomoc.

-|r Skąd pochodzą Długie Noże?

—i- Wyszli z Milwaukee.

—i Ilu ich jest?

—\ Siedem razy po stu.

—I W którą stronę idą?

— ;Na północny zachód. Gdy Ostry Pazur wyruszał z wiadomością, znajdowali się w pobliżu Zielonego Jeziora — informował Winnepage. — Schwytany żołnierz zeznał, że w rejonie Yellow River mają połączyć się z Długimi Nożami z Psiej Prerii.

Wiadomość była przygnębiająca. Starszyzna milczała. Czarny Jastrząb siedział z kamienną twarzą i sercem pełnym niepokoju. — Miczi-malsa planują jakieś większe działania przeciwko naszym plemionom — powiedział z troską. — Trzeba pokrzyżować ich plany. Gdybyśmy wiedzieli, do czego zmierzają... — Zapatrzył się w wiśniowe bryłki żaru w ognisku i ciągnął dalej: — Biali wiedzą, że na wieść o napadach na Kickapuzów i Czipewejów Saukowie pośpieszą braciom z pomocą. Wtedy ziemie południa li Saukenuk nie będą dostatecznie zabezpieczone i Miczi-malsa zaatakują z fortu Wisconsin, Chicago, może nawet z Saint Louis. — Powiódł spojrzeniem po siedzących. — Co wypada nam robić? Mówcie. Czarny Jastrząb pragnie wysłuchać waszych rad.

Zabierali głos po kolei: Waupeshek, Neapope, Kwaskwamia, Orzeł Prerii i Okrągły Orzech. Różnili się w swych wypowiedziach tylko taktyką walki. Sachem, wysłuchawszy ich, zabrał głos:

— Z waszych i własnych myśli, bracia, Czarny Jastrząb wybrał to co najlepsze. Pójdziemy z pomocą Kickapuzom i Winnepagom, ale musimy też pamiętać: o całym obszarze naszych terytoriów. Oto plan, który trzeba wprowadzić w czyn. Puszysty Ptak z oddziałem wojowników wyruszy pod Saint Louis. Po drodze zabierze Miamisów. Waupeshek z Peoriami zamknie Chicago. Nasheakusk przy pomocy Pottawatomich czuwać będzie nad fortem Wisconsin. Orzeł Prerii i Kwaskwamia zabezpieczą Saukenuk. Za wszelką cenę musicie powstrzymać Miczi-malsa, gdyby próbowali skądkolwiek uderzyć. Nikomu nie wolno ustąpić przed nimi. Neapope i ja pośpieszymy przeciw generałowi Scottowi. Przez konnych gońców będziemy utrzymywać łączność. Jutro ruszamy. Idźcie, bracia, i niech Mani|ou będzie nam łaskawy. Hugh.

Bębny dudniły całą noc. Wojownicy malowali twarze i torsy, a potem tańczyli wojenne tańce, prosząc Nabash-cisa o zwycięstwo.

Ledwie niebo zaróżowiło się dalekim brzaskiem, żegnani przez najbliższych, opuszczali Saukenuk.

Czarny Jastrząb z trzystu wojownikami galopował na północ. Towarzyzyli mu Neapope i Gamesett, który dotąd prosił, aż ojciec zdecydował się wziąć go na wyprawę. Parli bez wytchnienia, zatrzymując się na krótko, by nakarmić i napoić konie. Znanymi sobie brodami na rzekach i ścieżkach w puszczy szybko śpieszyli naprzód, robiąc po pięćdziesiąt, a nawet więcej mil dziennie.

Znalazszy się nad Kickapoo River, ujrzeni spopielałe wigwamy i zniszczone sprzęty codziennego użytku. Ślady ludzkie zatarł już czas. Po krótkiej naradzie pojechali dalej. W głębi lasu natknęli się na paru Kickapuzów, którzy doprowadzili Sauków do swego obozowiska, fożłożo-nego na rozległej polanie.

Radośnie witani Saukowie mogli tu odpocząć po niezwykle forsownej jeździe. Mustangom także było potrzebne wytchnienie. Czarny Jastrząb nie odpoczywał. Natychmiast w towarzystwie starszyzny obu plemion zasiadł do narady. Szaman Kickapuzów Wysoka Brzoza opowiedział o] zniszczeniu wioski, o śmierci wielu sąuaw i dzieci. Kończąc swą wstrząsającą relację, poinformował:

- Wczoraj konnica Miczi-malsa z Psiej Prerii połączyła się z żołnierzami generała Scotta.
- Gdzie się spotkali? — spytał Czarny Jastrząb.
- Nad Yellow River.
- Dużo Długich Noży przyjechało?
- Cztery razy po stu.
- Uff — sapnął Neapope — to razem jest ich ponad tysiąc.
- Mają strzelby na kołach? — dociekał sachem.
- Nie.

- Gdzie znajduje się Biały Obłok?

Krąży wokół Miczi-malsa i kąsa ich jak wilk. Są z nim wojownicy Kickapuzów.— Ugh, dobrze czynią — powiedział Czarny Jastrząb. — Wyślijcie gońców, niech powiadomią, że Saukowie czekać będą na Białego Obłoka nad Żabim Strumykiem.

Sachem Sauków i Foxów nie mógł usnąć tej nocy. Głowił się nad strategią walki z silniejszym liczebnie i lepiej uzbrojonym przeciwnikiem. Jazda Unii liczyła ponad tysiąc ludzi, wszyscy uzbrojeni w szable, sztucery, nierzadko też w pistolety. On mógł przeciwstawić tej sile około siedmiuset wojowników, z których większość posiadała tylko łuki. Wyboru jednak nie było. Bitwę musiał podjąć i zwyciężyć. Klęska bowiem równałaby się krwawej tragedii jego ludu.

Zachowując niebывałą ostrożność jechali od rana przez dziką knieję. Czwartego dnia dotarli nad wąziutki strumyk o piaszczystym podłożu i malowniczych brzegach. W przezroczystej wodzie uwijały się ławice większych i mniejszych ryb, w zakolach porośniętych trzcina rozlegał się skrzek żab. Korony drzew szumiały dostojnie. Tu zalegli oczekując szamana i wodza Winnepagów — Białego Obłoka.

Zjawił się nagle jak duch, przeskakując strumyk. Czarny Jastrząb wziął go w ramiona.

— Witaj — szeptał wzruszony szaman. — Winnepagowie nie tracili nadziei; wierzyli, że Saukowie przybędą...

Usiedli na wystających nad ziemię korzeniach olbrzymiej hikory² i długo rozmawiali. Czarny Jastrząb wyciągnął nóż, oczyścił kawałek ziemi i rysując końcem ostrza, mówił:

• Tu Yellow River łączy się z korytem rzeki Wisconsin, tworząc ostry kąt. W tym miejscu obie rzeki rozszerzają się w wielkie rozlewisko wodne, bogate na brzegach w bujną roślinność. Miczi-malsa znajdują się tu — sachem nakreślił krzyżyk. — Czy tak?

• Ugh — przytaknął Biały Obłok.

• Winnepagowie zaatakują Amerykanów od strony tego rozlewiska — mówił Czarny Jastrząb. — Pod ich naporem zaczniecie się cofać, wciągając Długie Noże właśnie w ten kąt między rzekami. Jeśli dadzą wywieść się w pole, zwyciężymy.

Rankiem 6 listopada 1831 roku puszcza tonęła we mgle. Białe opary otuliły drzewa, krzewy, zwierzęta i ludzi. Na odległość dwóch kroków nie było widać niczego.

General Winfield Scott był zdenerwowany. Gdy o świcie, po źle przespanej nocy, zobaczył ocean mgieł, spochmurniał. O dalszym marszu nie mogło być mowy.

• Pułkownik Sand, ogłaszam stan pogotowia bojowego — rozkazał. — Trzykrotnie zwiększyć straż. Ta dzisiejsza mgła może nas drogo kosztować. Jeszcze takiej nie widziałem.

• Na otwartych przestrzeniach jest rzadsza, panie generale. W puszczy wisi na drzewach.

• Oby się szybko ulotniła. Gdyby teraz Indianie... — urwał nasłuchując. — Słyszeliście?

• Nie.

• Tam, za rzeką... jakby rzenie konia.

• To nasze, jest ich tu tyle — odrzekł Ben Sand.

• Jestem jakiś niespokojny.

• Indianie nie zaatakują, generale — powiedział z przekonaniem siedzący obok major Jim Pakston. — Stanowimy przecież poważną siłę.

• Bigosu mogą narobić — Scott był nieufny. — Bez przerwy przecież szarpią boki i tył kolumny.

• Mało skutecznie.

• Ale żołnierze giną.

• To prawda — włączył się do rozmowy porucznik Frank Hoskins, adiutant generała. — Ostre pogotowie bojowe w tych warunkach jest potrzebne. Niezwykła ostrożność także. W tej mgle nie wiadomo kto swój, a kto wróg.

Żołnierski obóz otulony białą zasłoną trwał w niepewności. Wartownicy, rozstawieni wokół biwaku, wytężali słuch i wzrok. Wszędzie jednak było spokojnie. Wiatr przyczał się gdzieś w zakamarkach kniei. Ciszę mącił jedynie delikatny poszum puszczy. Odwieczny bór żył. Nawet w spokojniejsze noce i dnie zawsze, bez przerwy, niosła się nieuchwytna, poważna, dostojna muzyka dziewiczego lasu...

Około południa, gdy słońce weszło już wysoko, mleczny welon począł rzednąć, odsłaniając pnie drzew. Zakwilił jakiś ptak. Odpowiedziały mu inne.

Nagle na południowe pozycje wojsk Unii spadł grad strzał i kul. Bojowy krzyk Indian popłynął w bór. Żołnierze odpowiedzieli ogniem, strzelając przed siebie, bo atakujący nieprzyjaciel był niewidoczny.

— Mówiłem, że wykorzystają mgłę — powiedział z naciskiem generał Scott. — Zróbcie, panowie, rozeznanie — zwrócił się do towarzyszących mu oficerów. — Sądzę, że to stara taktyka tych dzikich zbójów. Po wymianie strzałów ujdą w puszcze.

Indianie jednak nie uchodzili. Kryjąc się za drzewami i w krzakach, wykorzystując mgłę, podczołgivali się dość blisko białych i wybierając cel, szyli z łuków. Padało coraz więcej zabitych i rannych.

- Panie generale — meldował młody wachmistrz — przeciwnik bez przerwy razi nasze stanowiska, jest słabo widoczny. Wojsko odpowiada ogniem, ale z niewielkim skutkiem.

- Dziękuję. Oszczędzajcie amunicję nie podejmujcie kroków zaczepnych — polecił generał. — W razie ataku czerwonoskórych ani kroku wstecz. Możecie odejść, wachmistrzu. A wy, poruczniku — Scott zwrócił się do Hoskinsa — wyślijcie zwiada, niech zobaczą, czy z innych stron nie grozi niebezpieczeństwo.

- Rozkaz — porucznik pobiegł wykonać polecenia.
- Za długo trwają te ataki — zauważył Sand.
- Wykorzystują mgłę — stwierdził major Pakston.
- Prawdopodobnie — rzekł Scott.

Huk strzałów i wojenne okrzyki wojowników napęły las. Kule, cienko śpiewając, przelatywały nad obozem.

Po upływie prawie dwóch godzin wrócili zwiadowcy. Nie odkryto niczego. Jedyne mgła znacznie się przprzedziła. Indianie cofnęli się, ale nie odeszli. Co chwila padał po obu stronach strzał. Czasami równocześnie zahuczało kilka sztucerów. Tu i tam wzywał pomocy człowiek.

Niespodziewanie spośród mgły i drzew wynurzyli się indiańscy jeźdźcy. Natarli na Amerykanów. Podniosły się szable i tomahawki. Cios padał za ciosem. Indianie na dźwięk grzechotek zawrócili, aby za parę minut znów uderzyć.

Ziajający wachmistrz wyprężył się przed Scottem.

— Panie generale — meldował. — Konnica nieprzyjaciela atakuje przyczółek.

Oficerowie, pełni zaskoczenia, spojrzeli po sobie.

- Co to znaczy? Czyżby chcieli otwartej bitwy? — zastanawiał się Jim Pakston.
- Wątpię — odrzekł Ben Sand.
- Przywołajcie przewodnika — poprosił Scott majora. — A wy, sir — zwrócił się do Sanda — przygotujcie trzy szwadrony do kontrataku.

Oficerowie odeszli. Winfield Scott słuchał huku wystrzałów, tętentu galopujących koni i wycia czerwonoskórych. Mgła znikła. Gęściejsze jej warstwy unosiły się jeszcze nad rzekami. Wzrok sięgał już dość daleko.

Generał oparł plecy o pień jesionu. Patrząc na spadające kolorowe liście, zastanawiał się nad sytuacją. Ani odrobina lęku nie gościła w jego sercu. Nie pierwsze to było jego starcie z Indianami i prawdopodobnie nie ostatnie. Ginę ludzie?... To wojna. Prowadził karną wyprawę przeciwko nieposłusznym plemionom, które odmówiły przejścia za Missisipi, wzniesając zbrojny bunt. Miał ich ukarać. Taki otrzymał rozkaz. I wykonał go skrupulatnie. Dysponuje wystarczająco dużymi siłami, aby pokonać buntowników i rozprawić się z nimi zgodnie z prawami wojny.

- Przewodnik czeka, generale — zameldował Pakston. Scott wyciągnął z torby mapę i rozłożył ją na ziemi.
 - Pokażcie, Bill, gdzie jesteśmy — polecił.
- Bill Lester, włóczęga i traper, usiadłszy, pochylił się nad pergaminem.
- Wczoraj już mówiłem — odrzekł ochryplym głosem. — Jesteśmy akurat tutaj — pokazał patykiem. — Tu i tam płyną rzeki, obie schodzą się mniej więcej w tym miejscu.
 - Chwileczkę, trzeba to nanieść — porucznik Hoskins nakreślił znaki. — Tu się schodzą, mówicie?
 - Yes\
 - Mapa niedokładna.
 - Oczywiście, sir. Rzeki tworzą tutaj coś w rodzaju rogu, a teren jest podmokły i porośnięty wodną roślinnością.

- Koryta rzek wąskie? — spytał Scott.
- Z lewej strony to Wisconsin River. Rozlewa się jak jezioro.
- A ta rzeka?
- Obozujemy obok niej, to Yellow River. Przy ujściu jest szersza, ale sforsować jej bez łodzi niepodobna.
- Czy jesteście pewni, Bill, że się nie mylicie? — Generał uważnie patrzył w twarz Lestera.
- Polowałem tu na ptactwo wodne, sir. A trochę dalej są bobry. Znam ten zakątek jak własną kieszeń — wyszczerzył w uśmiechu zęby, uderzając dłonią o spodnie.
- Dobrze, Bill, jesteście wolni, ale nie odchodźcie daleko. Mogę was potrzebować — powiedział Scott.

Lester wyciągnął się wygodnie pod niedalekim krzakiem, a generał spoglądając na mapę i jej uzupełnienia, rozważał plan działania. Wrócili oficerowie. Ben Sand zameldował:

- Szwadrony czekają na rozkaz.
- Co na przyczółku, pułkowniku?
- Indianie szarżują i zawracają. I tak w kolo.

- Jakie straty?
- Spore, sir — włączył się major Pakston. — Wojsko domaga się operacji. Mówią, że dzicy strzelają do nich jak do kaczek, a oni nie mogą przejść do przeciwnarcaria.

- Weil. — Generał uśmiechnął się tego dnia po raz pierwszy. — Poprowadźcie, majorze Pakston, szarżę szwadronów. Nie za daleko. Ma ona mieć charakter rozpoznawczy. Chcę wiedzieć, jak zachowują się Indianie. Przyprowadźcie też, i to koniecznie, jeńca.

Jim Pakston zasalutował i pobiegł do czekającej konnicy. Wydał rozkazy podoficerom i wojsku. Oddziały zajęły wyjściowe stanowiska.

Właśnie nadbiegały mustangi. Indianie, wisząc z boku lub pod ich brzuchami, stanowili trudny cel. Sami natomiast zasypywali Amerykanów pociskami.

Pakston podniósł szablę. Dźwięk trąbki poderwał jeźdźców. Szwadrony ruszyły wolno, później przeszły w galop. Z okrzykami i zaciekłością spadli na czerwonoskórych. Zadźwięczał oręż. Tu i tam zwałił się Indianin, gdzie indziej dragon. Wśród drzew zatrzeszczały jelenie grzechotki. Wojownicy cofali się ostrzeliwując białych. Las stawał się gęściejszy, więc Pakston kazał trąbić do odwrotu.

Kawaleria zawróciła, a czerwonoskórzy za nią. W ustawicznych starciach, pod gradem strzał, wjechali dragoni do obozu. Żołnierze, spoza prowizorycznych osłon, rozpoczęli ogień.

Major wytarł chustką spoconą twarz.

— Dave Naab, uporządkujcie oddziały i obliczcie straty, szybko! — rozkazał podporucznikowi.

Zeskakując z siodła szukał wzrokiem żołnierzy, którym powierzył zadanie wzięcia do niewoli czerwonoskórego. Dojrzał ich pod świerkiem.

- Mamy jeńca, jest ranny — zameldował żołnierz, gdy zbliżył się do nich. — To Winnepagó.
- Ranny? Poważnie? — spytał major. — Może mówić?
- Lekko, w rękę.
- Zaprowadźcie go w pobliże generała — polecił. — Gdy będzie potrzebny, przywołam was.

Jim Pakston wrócił do swoich szwadronów, stojących w szeregu. Dave Naab zameldował:

- Panie majorze, siedmiu zabitych, jedenastu rannych, w tym jeden ciężko.
- Uzupełnijcie straty i bądźcie w pogotowiu — powiedział. — Możecie odpocząć.

Pakston wyminął stado koni, pasących się niemal w środku biwaku, i zbliżywszy się do generała, złożył szczegółowy meldunek. Scott i towarzyszący mu Sand i Hoskins uważnie wysłuchali raportu.

— Coś kryje się w tej taktyce Indian, tylko co? — zastanawiał się generał. — Może wydusimy sedno sprawy z jeńca. Przyprowadźcie tu czerwonoskórego i tłumacza — poprosił porucznika.

Po chwili zjawił się Bill Lester i usiadł obok oficerów. Przyrowadzono Indianina ze skrępowanymi wzdłuż ciała rękami. Łosiowa bluza z prawej strony była lepka od krwi. Za pośrednictwem trapera rozpoczęła się rozmowa. Generał spytał:

- Jesteś z plemienia Winnepagów? Jak się nazywasz? Jeniec milczał.
- Dlaczego nie odpowiadasz? Znowu milczenie.

Porucznik Frank Hoskins zwrócił się do Scotta: A Kaźcie opatrzeć jego ranę, sir. To w pewnej mierze

usposobi go życzliwiej do nas.

— Ten pies niewart takiej troski — odrzekł Scott — ale może macie rację. Rozetnijcie mu więzy i zróbcie opatrunek.

Gdy przecięte rzemienie opadły, Lester powiedział do czerwonoskórego:

— Nasz czerwony brat pozwoli opatrzeć ranę. Generał Scott zrugął ludzi za to, że nie uczynili tego wcześniej.

Podsunięto Billowi bandaże.

— Usiądź, czerwony bracie.

Obnażywszy bark, Lester przyjrzał się ranie. Długie, ale płytkie cięcie szabli, biegnące wzdłuż przedramienia, nie wyglądało groźnie. Po obmyciu rany Bill z Hoskinsem sprawnie obwinęli rękę taśmą bandaży.

— Szybko się zagoi — rzekł Lester podsuwając Indianinowi manierkę z wodą.

Jeniec z wahaniem przyjął naczynie i wypiłszy trochę, powiedział: ;

- Mały Wilk, wojownik Winnepagów, dziękuje.
- A teraz do rzeczy. — Scott był zniecierpliwiony. — Kto dowodzi Winnepagami?
- Biały Obłok.
- Które szczepy was wspomagają?
- Kickapuzowie.

— Ilu was jest?

Winnepago nie odpowiedział.

- Dlaczego zamilkłeś? — spytał Lester. — Generał chce wiedzieć, ilu wojowników ma Biały Obłok.
- Dużo...
- Ilu? — rzucił z naciskiem Scott.
- Mały Wilk nie wie — odparł ze spokojem czerwonoskóry.
- Jeśli nie będziesz odpowiadał na pytania, zginiesz — nienawiść zabrzmiała w głosie Sanda.
- Wtedy umrą dwaj Miczi-malsa wzięci do niewoli...
- Macie naszych? — zainteresował się generał.
- Ugh.
- Gdzie ich więzicie?
- W rogu rzek.
- Tam obozuje Biały Obłok? — W oczach generała zapaliło się ledwie dostrzegalne zainteresowanie.
- Miczi-malsa wzięci do niewoli mogą wrócić — zamiast odpowiedzi, Winnepago wysunął

propozycję.

- Pod jakim warunkiem? — spytał Pakston.
- Jeśli Małemu Wilkowi dacie wolność.
- Chcesz chytrą cię ocalić swoje życie? — podniesionym głosem rzucił pułkownik Sand.
- Mały Wilk mówi prawdę.
- Kim jesteś, że za ciebie jednego wypuszczą naszych dwóch? Skąd w ogóle pewność, że trzymacie

jeńców? — powątpiewał Ben Sand.

— Mały Wilk nie jest wężem, ma tylko jeden język.

Winfield Scott przetrwał coś w myślach.

— Może zaryzykować — powiedział do oficerów. — To przecież jeden, i w dodatku ranny, Indianin. Jeśli rzeczywiście trzymają naszych i wypuścili by ich, to... — chrząknął dwuznacznie.

Zapadła chwilowa cisza, w której oficerowie zastanawiali się nad propozycją generała. Przerwał ją porucznik Hoskins:

- Cenna myśl, sir — powiedział.
- I ja tak sądzę — dodał z odrobiną niepewności Pakston.
- Tłumacze, Bill — Scott poprosił trapera. — Jeżeli Małemu Wilkowi darujemy życie i wolność — mówił do Indianina — to na pewno odeślecie żywych i zdrowych naszych żołnierzy?
- Ugh.
- Jak się oni nazywają?
- Mały Wilk nie zna ich imion.

- Jaką gwarancję da nam Mały Wilk, że dotrzyma zobowiązania? — spytał generał.
- Honor wojownika.
- To mało.
- Wojownik Winnepagów nigdy nie łamie przyrzeczenia — odparł stanowczym głosem.
- Weil. Mały Wilk odejdzie wolny. Wierzę, iż dotrzyma zobowiązań i żołnierze wrócą. — Na obliczu Scotta błąkał się chytry uśmiech. — Powiedz też Białemu Obłokowi, aby ze swymi wojownikami wyniósł się za Missisipi, do swych rodzin. Nie będziemy was ścigać. Jeśli nie uczynicie tego, zniszczymy wszystkich Winnepagów i Kickapuzów.

- Mały Wilk powtórzy wielkiemu szamanowi słowa wodza Miczi-mal-sa — odparł z kamiennym spokojem czerwonoskóry.

- Niech wasi wojownicy zaniechają wszelkich kroków wojennych przeciwko białym osadnikom — ciągnął dalej generał — i jeszcze raz powtarzam, niech przejdą jak najszybciej za Missisipi... Na odpowiedź i na dwóch żołnierzy czekam godzinę. Później będzie pokój między nami albo zfetruję was na miazgę. Pamiętaj, co powiedziałem.

- Odprowadź go, Naab — zwrócił się do podporucznika — i niech chłopcy przypadkiem nie ważą się go kropnąć, gdy będzie wychodził z naszego obozu.

- Rozkaz.

Gdy Dave Naab oddalił się za Indianinem, Scott uśmiechając się do towarzyszy, powiedział:

- Oni zazwyczaj dotrzymują danego słowa. Sądzę, że wypuszczą jeńców, a wtedy mielibyśmy informację z pierwszej ręki. Mam pewien taktyczny pomysł, ale brakuje mi pewnych ogniw.

Wypuszczeni z niewoli żołnierze mogą mój pomysł skonkretyzować.

- A jeżeli nie dotrzyma zobowiązań lub Rada Starszych je odrzuci? — spytał Sand.

- Niewielka strata. Zgnieciemy ich i tak; może tylko kosztem większych ofiar.

Po odejściu Małego Wilka ustały ataki Winnepagów i ucichła po obu stronach strzelanina. Mgła ulotniła się już zupełnie. Okrzyki radości rozległy się w obozie. To witano powracających, żołnierzy. Indianin dotrzymał słowa. — Siadajcie. — Scott uściśnął dłonie dragonów. — Interesują mnie pewne sprawy, więc najpierw pytania, a później o waszych przeżyciach... — z miejsca ustalił tok rozmowy.

- Dziękujemy, generale, za szybkie wyswobodzenie z niewoli — powiedział Oscar Bullings. — Pytajcie, sir, słuchamy.

- Opiszcie teren, na którym obozują Indianie — poprosił Scott.

- To trójkąt utworzony przez Yellow River, która łączy się z korytem Wisconsinu — zaczął informować Nick Delfeld, drugi dragon. — Dużo chaszczy, część z nich już sucha. Ziemia podmokła. Obie łączące się rzeki można przepłynąć tylko w łodziach.

- Indianie mają czółna?

- Nie — odrzekł Bullings.

- Widzieliście Białego Obłoka?

- Rozmawiał z nami — powiedział Delfeld. — Przesłał odpowiedź na wasze, generale, ultimatum.

Długo wyjaśniał, że Winnepagowie nie mogą odejść za Missisipi, bo tu jest ich kraj. Prosił, aby wojsko Unii opuściło łowieckie tereny Indian w Illinois i Wisconsinie, a oni, to znaczy czerwonoskórzy, nie będą napadać na pogranicze; chcą żyć w pokoju.

- Jaką siłą dysponuje Biały Obłok?

- Obaj naliczyliśmy około trzystu wojowników.

- Mają z sobą kobiety, dzieci? — dociekał Scott.

- To wojenny obóz. Sami mężczyźni.

- Jest tylko jedna kobieta, córka szamana — uzupełnił Delfeld. — Nazywa się Promyk Księżyca.

- A uzbrojenie?

— W większości to łucznicy.

Generał rozłożył mapę.

— Spójrzcie! — poprosił. — Tak wygląda zejście się dwóch rzek? Czy tutaj obozują Winnepagowie?

Dragoni przyglądali się przez moment barwnym znakom na pergaminie.

- Tak, zgadza się — rzekł z wahaniem Bullings.

- Mapa prawidłowo pokazuje teren — z przekonaniem stwierdził Delfeld.

Generał Scott machinalnie zastukał prętem w pergamin, analizując coś w Myślach.

— Nie jesteście ranni — uśmiechnął się pułkownik Sand. — Jak opadliście w ręce czerwonoskórych?

— Kilku skoczyło mi na plecy, uległem — odparł Delfeld.

~ Ze mną było podobnie... — dodał Bullings.

- Przesłuchiowano was? — zagadnął major Pakston.
- Oczywiście, ale opowiadaliśmy im same głupstwa — zaśmiał się Delfeld.
- Dużo mają koni? — znowu włączył się w rozmowę generał.
- Około stu Kickapuzów było pieszo, a Winnepagowie na mustangach — poinformował Bullings.
- Czy zauważyliście coś szczególnego, coś, co dla nas mogłoby mieć znaczenie?... Pomyślcie.
- Hmm... — mruknął Delfeld, zastanawiając się nad odpowiedzią. — Nie znamy języka czerwonoskórych, więc trudno było cokolwiek zrozumieć. Denerwowali się, to pewne.

• Oni sądzili, że celowo zamknęliśmy ich w rzeczonym trójkącie: Tak mi się wydaje, sir — powiedział Bullings.

• O, właśnie — Scott uderzył się w kolano — gdyby nie mgła, odeszlibyśmy stąd wypuszczając zwierzynę z sieci.

-4- Ale sieć została zastawiona przypadkowo — zauważył Hoskins. \ — Yes, w taką sieć też wpada gruby zwierz — odparł z dwuznacznym uśmiechem Scott. — Musimy to, panowie, wykorzystać. Do zmierzchu mamy ponad dwie godziny. Wystarczy rozciągnąć szczelną tyralierę między jedną i drugą rzeką i uderzyć na przeciwnika. Nie zdoła przerwać naszej linii: jest zbyt słaby. Zostanie mu możliwość poddania się albo walki, której koniec będzie wiadomy.

• Mogli podczas mgły przejść brzegiem Wisconsinu obok naszego obozu i opuścić niebezpieczny teren. Dlaczego tak nie postąpili? — wysunął swoje obawy Pakston.

• Nie zorientowali się, że tam nie ma naszych posterunków — odparł Sand.

• Może...

• Szkoda czasu, panowie — generał złożył mapę. — Moje stanowisko już znacie. Za dziesięć minut ruszamy.

Posuwali się konno, rozciągnięci w długą tyralierę. Za pierwszą linią szła druga i trzecia. Nic się nie działo. W miejscu, gdzie zaczynały gęstnieć krzewy, powitał ich wojenny krzyk czerwonoskórych, świst strzał i huk broni palnej. Odpowiedzieli ogniem i przeszli do ataku. Nie można było rozwinąć szarzy. Coraz bujniejsze chwasty i krzaki utrudniały walkę. Spod każdej niemal kępy roślin padał strzał lub wylatywał celny pocisk z łuku. Coraz częściej dochodziło do starć wręcz. Generał Scott na gniadoszu, otoczony dragonami, z szablą w jednej i pistoletem w drugiej ręce, parł naprzód.

Winnepagowie walczyli ostatkiem sił. Konnica Unii spychała ich w głąb niewielkiego skrawka ziemi między dwiema rzekami.

Generał Winfield Scott i jego oficerowie w ferworze walki nie spostrzegli, że Indianie walczą pieszo, że nigdzie nie pojawili się ich jeźdźcy.

Nagle umilkły indiańskie strzelby. Żołnierze wjechali na zdobyty teren, ale czerwonoskórych nie było. Jedynie gdzieś leżały zwłoki poległych.

Nim zorientowano się w sytuacji, na tyły Amerykanów posypał się grad pocisków i puszcza rozbrzmiała wojennym krzykiem czerwonoskórych.

Scott zatrzymał się przerażony.

— Atakujcie! — krzyczał. — Rozbić, koniecznie ich rozbić!

Zawrócili jak szaleni. Gwizdały kule i bełty strzał. Dragoni kładli się jak podcięte drzewa. Każda próba wbicia klina w indiańską linię kończyła się fiaskiem. Generał zwołał sztab. Był wściekły i przygnębiony.

• To niemożliwe, aby trzystu Winnepagów i Kickapuzów potrafiło zatrzymać napór naszych szwadronów — pinił się. — Musi ich być znacznie więcej.

• Wyprowadzili nas, nie w pole, ale w przekłety róg, z którego będzie trudno się wyrwać — powiedział uszczypliwie Hoskins.

• Musimy... — zaczął Pakston i przerwał, bo strzelanina przygasła i rozległy się zniekształcone odległością słowa. Podjechali trochę bliżej. Po obu stronach broń umilkła zupełnie.

• Hej, Miczi-malsa, mówi do was Czarny Jastrząb — usłyszeli w języku angielskim. — Jesteście otoczeni wielką liczbą wojowników Sauków i Foxów, Winnepagów i Kickapuzów, Peoriów i Miamisów.

Poddajcie się, bo inaczej czeka was śmierć. Przyślijcie parlamentariuszy dla omówienia warunków kapitulacji. Czarny Jastrząb daje wam kwadrans czasu do namysłu. Hugh!

Zapadła cisza.

Drzewa w blaskach zachodzącego słońca stały w czerwieni, brązie i żółci.

- Szatan, przeklęty szatan — z nienawiścią wycedził przez zaciśnięte wargi pułkownik Sand.
- Tylko on mógł zdobyć się na taki podstęp — z upokorzeniem Powiedział Scott.
- Żadnych pertraktacji, generale — pisał dalej Sand.
- Więcej rozważ, sir — rzekł Pakston. — Wysłanie parlamentariuszy

nie oznacza oddania się na łaskę i niełaskę czerwonoskórych. Warto pójść, można przy okazji zorientować się w siłach przeciwnika.

• Popieram wniosek majora — głos Hoskinsa brzmiał stanowczo. — Zwłoką w walce jest nam teraz potrzebna. Można ją wykorzystać do zbadania terenu, na którym jesteśmy. Stąd musi być możliwość wycofania się. Przecież czerwonoskorzy nie ulotnili się w powietrze... Wojsko musi też okopać się. Przyjdzie nam chyba stoczyć ciężki bój.

• Pakston i Hoskins mają rację — przyznał generał. — Którzy z was zabawią się w parlamentariuszy?

- Mogę pójść — zgodził się major.
- Ja także — dodał porucznik.
- Weźcie z sobą Billa Lestera. On zna ich język, będzie szczególnie przydatny. A wy, sir — zwrócił się Scott do pułkownika — każcie przetrząsnąć wszystkie zarośla, zbadajcie brzegi rzek i dopilnujcie, aby! żołnierze wykopali dla siebie stanowiska strzeleckie.

W kilka minut później major Jim Pakston, porucznik Frank Hoskins i Bill Lester, powiewając białą flagą, zbliżyli się do indiańskich pozycji. Z zarośli wychynął wysoki wojownik.

— Czerwone Pióro zaprowadzi Miczi-malsa do wielkiego sachema — powiedział.

Szli za nim w milczeniu rozglądając się wokoło. Dostrzegli paru przyczajonych Indian i to wszystko. Las zdawał się być pusty i cichy. Chrzęściły tylko pod butami opadłe, suche liście.

Czarny Jastrząb, w otoczeniu wodzów, siedział pod czerwonym cedrem. Nie zareagował na widok parlamentariuszy. Bez nienawiści przyglądał się oficerom i białemu trampowi. Na jego spokojnym obliczu malowało się zmęczenie. Nic więcej.

— Na prośbę wodza Sauków przybyliśmy na rozmowę — powiedział sucho Pakston, a Bill nieskładnie przetłumaczył.

Minęła długa chwila, nim odezwał się sachem:

• Czarny Jastrząb nie prosił bladych twarzy na rozmowę, lecz postawił konkretne warunki. Dlaczego nie przyszedł generał Scott? Czyżby się lękał?

• Jeżeli zajdzie potrzeba, przyjdzie — odrzekł Hoskins. — Posiadamy pełnomocnictwo do prowadzenia pertraktacji.

• Niech Miczi-malsa usiądą — sachem wskazał miejsce naprzeciwko siebie.

Spojrzeni na ziemię. Liście i zeschnięte trawy nie zachęcały do siadania. Indianie spoczywali na wzorzystych derkach. Ich zakłopotanie spostrzegł naczelnik Sauków i Foxów. Dał znak stojącemu w pobliżu wojownikowi.

— Czarny Jastrząb jest na wojennej ścieżce — powiedział do posłów — nie dysponuje wygodami wigwamu. Aby jednak gościnności stało się zadość, niech Długie Noże usiądą na derkach.

Wojownik przyniósł zwinięte w rulon kolorowe pasyaki i rozłożył je na leśnej ściółce. Usiedli.

• Czego od nas oczekujecie? — spytał obcesowo Pakston.

• Czarny Jastrząb niczego nie oczekuje od białych ludzi — odrzekł z goryczą sachem. — Długie Noże niosą kłamstwo, fałsz i zbrodnię. Tak było dawniej, tak jest dzisiaj i tak będzie jutro... — Zamilkł na ułamek sekundy. — Wiecie, czego oczekujemy od was? Pokoju i braterstwa.

• Przecież to wy wszczęliście wojnę. Do kogo więc pretensje? — zawołał zdenerwowany Pakston.

• Przewrotne i kłamliwe są słowa Miczi-malsa — odrzekł sachem. — To biali ludzie najężdżają nasz kraj, a czerwoni wojownicy jedynie bronią swej ziemi, rodzin, wigwamów... — Pokiwał ze smutkiem głową. — Rada Wodzów nie chce rozlewu krwi. Możecie stąd odejść, jeżeli zaprzestaniecie walki i oddacie broń. Wszystkie inne przedmioty, łącznie z końmi, pozostaną dalej waszą własnością.

- Jeśli generał nie przyjmie takich warunków? — spytał Pakston.
- Zginiecie.
- Przesada — skrzywił się lekceważąco Pakston. — Co mamy przekazać generałowi?
- Czarny Jastrząb stoi na czele paru sojusznicznych plemion — odparł sachem. — Z pułapki, w którą weszliście, żywi nie wyjdziecie.
- Oddać broń — to hańba dla żołnierza. Będziemy walczyć — odezwał się buńczucznie Hoskins.
- Miczi-malsa wybierają wojnę, a nie pokój — odrzekł sachem. — Rada Wodzów czeka do zachodu słońca na złożenie broni i wypalenie fajki pokoju. Gdy słońce zgaśnie i zapadnie noc, a Miczi-malsa -nie spełnią żądań Rady Starszych, Czarny Jastrząb rozpocznie bitwę. Hugh.
- Za krótki dajecie termin. Nie zdążymy odbyć narady. Przyślemy odpowiedź rano — zaproponował Hoskins.

— Nie. — Sachem dłonią dał znak zakończenia rozmowy.

Odchodzili z dziwnymi wrażeniami. Spokojna pewność Czarnego Jastrzębia świadczyła o jego sile. Lekceważyć go byłoby głupotą. Był dość wiadczonego wodzem, miał na swym koncie wiele zwycięskich bojów.

A oni?... A generał Winfield Scott?... Czyż nie rozgromił Kriksów nad Tallapoosa River? Czy nie nazywano go „Pogromcą Czerwonoskórych”? Pułapka... Wyjdą z niej. Dysponują tysiącem świetnie wyszkolonych dragonów.

Gdy złożyli szczegółowy meldunek ze swego poselstwa, Scott przez chwilę analizował usłyszane wiadomości.

• Niewątpliwie jesteśmy, panowie, w trudnej, a może nawet w ciężkiej sytuacji — powiedział do oficerów. — Mimo to, nie złożymy broni, to niemożliwe. Czy ktoś jest innego zdania? — powiódł pytającym spojrzeniem po otaczających go ludziach. A kiedy nikt nie zabrał głosu, mówił dalej: — W nocy przeciwnik prawdopodobnie nie podejmie działań. Będziemy więc mieli dość czasu, aby przygotować obronę. Powierzam panom następujące zadania: Dave Naab pokieruje budową barykady ze ściętych drzew — zaczął rozdzielać polecenia. — Pułkownik Sand czuwać będzie nad kopaniem rowów strzeleckich. Pakston zajmie się zbudowaniem z gałęzi i trzciny kilku tratw. Ta robota musi być skończona przed północą. Na tratwach wyślemy śmiałków, którzy sprowadzą odsiecz. To na wszelki wypadek, gdyby przyszło nam bronić się na skrawku tego trójkąta.

• Z Psiej Prerii odsiecz nie przyjdzie, generale. Tam została niewystarczająca liczba żołnierzy do obrony fortu — zauważył wachmistrz McRoy.

• Wiem — odrzekł Scott. — Podobna sytuacja jest w Milwaukee i Chicago. Inne placówki leżą stanowczo za daleko i nie wchodzi w rachubę. Pozostaje tylko fort Wisconsin. I tam muszą dotrzeć gońcy.

• A jak wpadną w ręce Indian?

• Wszystkich nie schwycą. Do dzieła, panowie.

Stuk żołnierskich toporków i trzask padających drzew niósł się po lesie. Przy pomocy koni ściągano pnie i układano z nich szaniec. Z mozołem ryto strzeleckie rowy. Nikt tej nocy nie spał. Z wysiłku mdlały ręce, pot zlewał ciała. Ciągnął zimny wiatr i kładł się nieprzyjemnym chłodem na mokre plecy i twarze pracujących.

Około północy, w pewnych odstępach czasu, na prymitywnych tratwach wypłynęli żołnierze. Byli to ochotnicy, którzy podjęli się dotrzeć różnymi drogami do fortu Wisconsin.

Blask ognia oświetlał skupione oblicza wodzów. Siedzieli kręgiem, słuchając mowy sachema. Mówił płynnie. Ze zdań biła nieugiętość i przedziwna moc przekonywania.

— Słyszycie, bracia?... Miczi-malsa zabijają drzewa w puszczy, aby za ich osłoną bronić się przed szturmem naszych wojowników. Czy pozwolimy im zbudować szaniec?... Jeśli mamy zwyciężyć, nie możemy czekać. Na pamięć ojców i dziadów naszych, których prochy drzemią w świętej ziemi, wzywam was, bracia, do ofiary krwi i męstwa. Zwycięstwo albo zgon! Taka jest wola Manitou, objawiona Czarnemu Jastrzębiowi przez Nabash-cisa. Hugh.

Ciszę, jaka zapadła po słowach sachema, przerwały kroki wojowników. Przed starszyzną popchnięto

związane go żołnierza. Ociekał wodą. Stał ze spuszczoną głową.

• Pojmaliśmy bladą twarz po tamtej stronie Yellow River — zameldował wojownik. — Przypłynął na tratwie.

• Był sam? — spytał Biały Obłok siedzący obok Czarnego Jastrzębia.

• Ugh.

• Pilnujcie brzegów — polecił wojownikowi sachem i zwrócił się po angielsku do Amerykanina: — Dokąd śpieszylesz?

• Uciekłem.

• Dlaczego?

• Nie chcę umierać, a tam czeka śmierć — wskazał w kierunku obozu białych.

• Bładą twarz obleciał strach? — zadrwił Neapope. — To pewnie wykręt. Miczi-malsa kłamie.

Żołnierz milczał.

Czarny Jastrząb pochylał się do Białego Obłoka i cicho coś mu powiedział. Szaman Winnepagów odparł szeptem:

• Warto wiedzieć, dokąd go wysłano i skąd chcą otrzymać pomoc.

• Nie wiadomo, ilu gońców wysiali — zauważył sachem. — To jeszcze jeden powód, dla którego nie powinniśmy odkładać bitwy.

• Ugh.

• Niech mój brat zajmie się jeńcem — poprosił Czarny Jastrząb. — Odprowadźcie go na skraj obozu i ułatwcie mu ucieczkę, a nasi tropiciele niech pójda jego tropem.

Szaman, skinąwszy na jeńca i wojowników, odszedł, a sachem odczekał chwilę i wrócił do przerwanej sprawy.

— Bracia — zaczął — niedługo rozpoczniemy ostatni bój z Długimi

Nożami. Powierzam wam odpowiedzialne zadania. Od ich dokładnej

realizacji zależy zwycięstwo. Pamiętajcie o tym. — Zrobił krótką pauzę. —

Wysoka Brzoza, szaman Kickapuzów, na canoe będzie patrolował rzeki i

na krzyk orła podpali zarośla. Gamesett z wojownikami wejdzie na konary drzew wokół obozu Miczi-malsa i stamtąd będzie ich raził. Neapope obejmie dowództwo prawego skrzydła; Biały Obłok — lewego, a Czarny Jastrząb pokieruje środkiem natarcia. Trzykrotne wołanie puszczyka będzie sygnałem do szturm. Idźcie przygotować wojowników.

Minęła północ listopadowej nocy. We wrogich obozach płonęły ognie. Amerykanie pracowali z pośpiechem, chcąc zdążyć z szańcami. Indianie zajęli pozycje do szturm. Chłodną noc rozjaśniały gwiazdy.

Złowieszczo zabrzmiał trzykrotny krzyk puszczyka. Generał Scott podniósł głowę nasłuchując. Nagle zahuczały strzelby. Barykada z pnij drzew nie była gotowa nawet w połowie. Indianie jeźdźcy bez trudu wdarli się w obręb obozu zaskoczonych Amerykanów. Piesi wojownicy przemykali jak cienie. W mrocznej kniei, słabo rozjaśnionej promieniami gwiazd, rozpętał się niesamowity bój.

Czarny Jastrząb rąbał tomahawkim, czasami strzelał z pistoletu. Jakiś dragon zaatakował go szabłą. Wódz zręcznie uchylił się przed ciosem i cisnął wojenny topór. Żołnierz zwałił się z siodła pod nadbiegające mustangi.

Gamesett i wojownicy, usadowieni na konarach wśród liści, wypuszczali strzałę za strzałą. Tu i tam padał Amerykanin przeszyty upierzonym pociskiem.

Generał Scott z trudem wydawał rozkazy. W szczerku i huku oręża, we wrzawie ludzkich głosów tonęły jego słowa. Udało mu się wreszcie wysłać żołnierzy do zgaszenia ognisk. Dragoni pod gęstym obstrzałem gasili płomienie. Jeden z nich, trafiony w pierś, zwałił się całym ciałem na węgle. Inne ogniska zasypało ziemią. Mrok otulił walczących.

Z niebywałym wysiłkiem Scott utworzył obronną linię. Atakowani a niezwykłą determinacją cofali się krok za krokiem w stronę zarośli, obficie brocząc krwią.

Pułkownik Sand z grupą liczącą około stu żołnierzy, wcisnięty między strzelecki rów a nie dokończoną barykadę, bezskutecznie usiłował wyrwać się z kleszczy napastnika.

W podobnej sytuacji znalazły się inne grupy. Odizolowane od całości, toczyły walkę, na śmierć/i życie.

Blisko pięciuset żołnierzy, część z nich na koniach, pod dowództwem Scotta weszła w trzciny. Na ich skraju piechurzy przypadli do ziemi i utworzyli mur karabinowego ognia. Atakujący Indianie, zatrzymani

gradem kul, znikli w mroku. Spoza krzaków i drzew ostrzeliwali terefl porośnięty oczeretami.

Winfield Scott odetchnął. Miał teraz możliwość manewru. Nie mógł tu zostać. Kilkanaście jardów za wojskiem szeroko rozlewały się wody rzek. Zewsząd z niezwykłą zjadłością parli Indianie, których — jak mu się zdawało — było co najmniej trzykrotnie więcej niż żołnierzy. Jedyny ratunek to wyrwanie się z przekłęci pułapki jeszcze podczas tej nocy. A świt był już bliski. Bładły gwiazdy; doświadczone oko mogło dostrzec pierwsze oznaki zbliżającego się brzasku.

Scott wezwał do siebie dowódców. Przybył porucznik Frank Hoskins i dwóch wachmistrzów: William McRoy i Dik Roger. Inni zginęli lub walczyli w rozproszonych grupach.

— Uformować kolumnę! — generał przekrzykiwał bitewny zgiełk. — Spieszonych dragonów w środek, po bokach kawalerzyści. Za pięć minut uderzamy. Musimy wyjść z potrzasku.

Kończyli pośpieszne ustawianie szwadronów, gdy rozległ się krzyk orla. General zaklął. Nie miał wątpliwości, że to sygnał. Co zapowiadał?...

Wjechał na wierzchovcu w środek kolumny. W oczeretach zamigotały płomienie. Zeschłe trzciny i badyle błyskawicznie ogarniał ogień, oświelając teren walki.

— Żołnierze, naprzód! — krzyknął generał.

Sygnał trąbki zadźwięczał nutami nadziei.

Wolno, krok za krokiem posuwali się strzelając i siekąc przeciwnika. Za nimi szumiął pożar nadrzecznych zarośli, ogień jak żywy przeskakiwał z łodygi na łodygę, pełzał po ziemi ścigając uchodzących. Jeszcze chwila i wyszli z niebezpiecznych zarośli. Z przodu, z boków, z tyłu, nawet z koron drzew sypały się na nich pociski. Żołnierz padał za żołnierzem. Z zaciśniętymi wargami, z uporem straceńców parli do przodu.

Niebo zaczynało blednąć. Mrok zmieniał się w szaróvkę. Generał Scott, znacząc swą drogę ofiarami, posuwał się puszcza. Miał teraz poza sobą atakujących Indian. Co pewien czas organizował przeciwnatarcia i odskakiwał od przeciwnika. Mimo ogromnego znużenia uchodzili dalej i dalej. Nie mogli jeszcze odpocząć. Wróg deptał im po piętach, atakował tył kolumny. Wiedzieli jednak, że są uratowani...

A w rogu dwóch rzek, w blaskach pożaru oczeretów, dobiegał końca dramat resztek żołnierzy Unii, którzy nie zdołali zespolić się z kolumną generała Winfielda Scotta.

OGIEN NA PRERII

— Widzę, że ledwie trzymacie się na nogach — powiedział major Whistler, komendant fortu Wisconsin do stojącego dragona. — Usiądźcie i wszystko spokojnie powtórzcie jeszcze raz.

Żołnierz opadł ciężko na podsunięte krzesło. Wyglądał okropnie. Mundur pod warstwą pyłu i błota zatracił swą barwę. W wychudłej, pokrytej kurzem twarzy płonęły chorobliwym blaskiem zaczerwienione oczy.

Oficerowie ze współczuciem i zainteresowaniem patrzyli na przybyłego przed chwilą żołnierza.

• Generał Winfield Scott prosi o wysłanie odsieczy — z wysiłkiem informował dragon. — Wojsko zostało zamknięte między ujściem Yellow River do Wisconsinu przez przeważające siły Indian. Gdy wyruszał, wznoszono szance. Będą walczyć, aż przyjdziecie. Bez pomocy nie wyjdą z potrzasku. Czerwonoskórymi dowodzi Czarny Jastrząb. Są z nim wodzowie Kickapuzów i Biały Obłok — szaman Winnepagów.

• Jak udało się wam przejść przez obłężniczy kordon? — spytał kapitan Ted Harlon.

• Przepłynąłem rzekę na tratwie wyplecionej z trzciny. Indianie schwycili mnie, ale uciekłem, porwałem im mustanga i dotarłem do was, ^

• Koń ledwie zipie — powiedział porucznik Tom Keyer.

• Nie szcędziłem go; każda minuta jest droga.

• Kiedy opuściliście generała? — spytał major.

• W nocy, z szóstego na siódmego listopada.

• Jak było na szlaku? — zainteresował się Whistler. — W pobliżu fortu nie natknęliście się na Indian?

• Nie — szepnął, z trudem opanowując zmęczenie, które teraz, gdy wykonał rozkaz, jak fala zatapiało organizm. Niczego nie pragnął tylko zwilżenia wodą przelyku i snu.

• Poruczniku Keyet, zajmijcie się gońcem — poprosił Whistler. — Potrzebuje kąpieli, pożywienia i

odpoczynku.

Dragon poszedł za oficerem zataczając się jak pijany. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, komendant powiedział:

- Co wy na to, panowie?
 - Goniec przyniósł rozkaz generała, trzeba natychmiast wyruszyć - odrzekł kapitan Harlon.
 - A co z fortem?
 - Od dłuższego czasu nie ma czerwonoskórych w pobliżu warowni — stwierdził sierżant Dik Pelpin.
- Czarny Jastrząb poprowadził wszystkich wojowników przeciwko kawalerii Scotta.
- Tak to wygląda — przyznał Harlon.
 - Wczoraj widziano Sauków przez lunetę — przypomniał Whistler.
 - Kręci się kilkunastu dla trzymania nas w niepewności — orzekł kapitan.
 - Jesteście zdania, żeby wyruszyć? Też tak uważam. — Whistler podszedł do mapy wiszącej na ścianie. — Czy zdążymy? To kawał drogi.
 - Zabarykadowani, mogą bronić się tygodniami — rzucił Pelpin.
 - Z żywnością też nie powinni mieć kłopotu — dodał Harlon. — Rzeka dostarczy ryb, a konie mięsa.
 - Zabierzemy gońca. Tamte obszary są mało znane. Mapa posiada nieścisłości. Goniec ułatwi nam drogę. — Major zastanawiał się chwilę. — Ilu ludzi zostawimy w forcie? Dwudziestu wystarczy?
 - Musi.
 - Też tak sędzę. Kto obejmie dowództwo fortu? — Niebieskie oczy komendanta spoczęły na Harlonie.
 - Wolałbym pojechać — powiedział. Wrócił porucznik Tom Keyet.
 - To może wy, poruczniku, będziecie czuwać nad warownią?
 - Zastosuję się do rozkazu, sir — odrzekł Tom.
- Zgoda. Ogłoście alarm. Za godzinę wyruszamy — rozkazał

Whistler.

Stu kawalerzystów opuściło fort Wisconsin. Trzyosobowe grupki zwiadowców krążyły dla bezpieczeństwa wokoło szwadronów. Gnali klusem. Na czele jechał major Whistler, nieugięty wróg czerwonoskórych, i kapitan Ted Harlon, który stosunkowo niedawno wraz z porucznikiem Keyetem, objął służbę w forcie. Nikt ze zwiadowców ani żaden z kawalerzystów nie dostrzegł Indian śledzących marsz kawalerii.

Okrągły Orzech, Długie Pióro i Gibki Wąż zatrzymali mustangi. Zrudziałe trawy prairie biegły aż po daleki las.

— Tam! — wskazał ręką Okrągły Orzech.

Daleko, bardzo daleko poruszał się jeździec, a za nim w znacznej odległości jeszcze pięciu.

— Ścigają go — stwierdził Gibki Wąż.

— Będą przejeżdżać w pobliżu, zobaczymy, kim są — powiedział Długie Pióro ześlizgując się z grzbietu wierzchowca.

Dwaj wojownicy poszli za jego przykładem. Przemawiając do mustangów i poklepując je po karkach, sprawili, że zwierzęta położyły się na ziemi. Usiedli obok nich. Wśród wysokich traw stali się niewidoczni.

Minęło parę minut. Samotny jeździec był już blisko. Rumak kluso-[^]wał z wielkim wysiłkiem. Człowiek w uniformie żołnierza Unii leżał niemal na jego karku. Poza nim, może w odległości mili, mknęli czerwonoskórzy.

— Chyba Saukowie — szepnął Okrągły Orzech.

— Ugh, poznaję Wilczą Łapę! - zawołał Gibki Wąż.

Przeczekawszy, że białe minie ich kryjówkę, Długie Pióro podniósł się i wymachując rękoma, dawał ścigającym znaki. Dostrzegli je, bo dwóch skręciło w ich kierunku.

- Witajcie — powiedział Wilcza Łapa — jesteście pewnie zwiadowcami, a my dążymy za bładą twarzą.
- Nasze mustangi są wypoczęte — rzekł Okrągły Orzech. — Szybko dopadniemy Miczi-malsa. /•
- Mogliśmy to dawno uczynić — odparł Sępi Szpon, drugi wojownik. — Długi Nóż musi dotrzeć do

fortu Wisconsin. Taka jest wola Czarnego Jastrzębia.

- To czemu go ścigacie? — zapytał zaintrygowany Gibki Wąż.
- Aby nikt z naszych braci nie ubił bladej twarzy. Spojrzeli po sobie ze zdumieniem.
- Chronicie Miczi-malsa? — zawołał z oburzeniem Długie Pióro.
- Ugh, dla pewnych celów — padła odpowiedź. — Nasi bracia dopilnują, aby blada twarz szczęśliwie dotarła do fortu, a wy powiedzcie, czy znacie miejsce „pobytu Waupesheka, Orła Prerii i Nasheakuska?”
- Orzeł Prerii jest w Saukenuk, Waupeshek — pod Chicago, a Nasheakusk — w pobliżu fortu — poinformował Okrągły Orzech.
- Rozjedźcie się, bracia, i wezwijcie ich pod warownię Wisconsin. Wilcza Łapa przekaże im rozkazy Czarnego Jastrzębia. To pilne i ważne. Hugh.

Nie pytali o nic. Dosiadłszy mustangów ruszyli w step. W tydzień później, cztery mile od fortu, w ustronnym jarze, naczelnicy słuchali relacji Wilczej Łapy.

— Czarny Jastrzęb polecił przepuścić gońca Miczi-malsa — kończył. — Jeżeli goniec sprawi, że major Whistler wyśle żołnierzy na pomoc generałowi Scottowi, musicie zatrzymać tę odsiecz i w tym czasie zniszczyć fortecę. Takie są rozkazy sachema.

Szaman Waupeshek położył dłonie na kolanach. Zamknął oczy. Dopiero po dłuższej zadumie, powiedział:

- Wilcza Łapa mądrze postąpił wysyłając do nas zwiadowców. Dzięki temu, niewiele straciliśmy czasu. Goniec do fortu dotarł wczoraj. Dzisiaj Miczi-malsa idący na pomoc generałowi są w pobliżu Rock River. Nasi tropiciele pilnie obserwują ich marsz. Zdążymy zagrozić im drogę.

- Za małą stanowimy siłę, aby zaatakować kawalerię Miczi-malsa i uderzyć na fort — stwierdził Nasheakusk. — Trzeba ściągnąć wojowników spod Chicago i z Saukenuk, a wówczas nieprzyjaciel może wtargnąć na nasze ziemie.

Orzeł Prerii pokręcił głową.

- Trzeba działać szybko. Nim wieści dojdą do osiedli białych ludzi, odsiecz musi być rozbita i warownia spalona — powiedział stanowczo.
- Obaj moi bracia po trosze mają rację — stwierdził szaman życzliwie się uśmiechając. — Za słabi jesteśmy, aby w otwartym boju pokonać Miczi-malsa, ale możemy ich zwyciężyć podstępem. — Zrobił przerwę i spytał Wilczą Łapę: — Czarny Jastrzęb powierzył naszemu bratu sposób podjęcia walki?
- Nie — odrzekł zapytany.
- Ugh — Waupeshek skinął głową. W forcie zostało niewielu Długich Noży. Jeżeli podstępem uda się otworzyć wrota, wróg szybko ulegnie. Kto z braci podejmie się tego zadania?
- Orzeł Prerii chętnie to uczyni — zgłosił się syn Czarnego Jastrzębia.
- Nasheakusk będzie wspomagał Orła — powiedział szaman. — Dysponować będziecie setką wojowników, mnie w boju z kawalerią zostanie sześćdziesięciu.

Zamyślili się wszyscy nad ryzykiem przedsięwzięcia. Mieli przed sobą świetnie uzbrojoną konnicę i fort najeżony armatami. Oni natomiast ani uzbrojeniem, ani liczbą wojowników nie mogli zrównoważyć przewagi przeciwnika.

- Może użyć strzelb na kolach, które zdobyliśmy w forcie Edward-sa? — spytał Nasheakusk.
- Trzeba z nich umieć celnie strzelać, inaczej narobią tylko hałasu — odparł szaman. — Czy moi bracia potrafią?

Opuścili z zażenowaniem głowy.

— Spróbujmy inaczej... — zaczął Waupeshek.

Pilnie słuchając jego propozycji, wtrącali swoje uwagi i tak krystalizował się plan dwóch strategicznych operacji.

Kawaleria majora Whistlera sfinansowała Rock River, przeszła brodami dwie inne rzeki i pozostawiając za sobą rozległą puszcze, znowu posuwała się prerią.

- Jesteśmy w połowie drogi — zauważył major. — Za pięć dni, jeśli nic się nie zdarzy, powinniśmy znaleźć się na lewym brzegu Wisconsinu i podążając ciągle na północ, dotrzemy do ujścia Yellow River.

Tak twierdzi Jerry Berm, goniec generała Scotta.

- Czy to pewne? — Harlon miał wątpliwości.
- Tędy jechał do nas — odrzekł major. — Dotychczas prowadzi nieźle. Myślę, że będzie tak dalej. Od szpicy kolumny oderwał się dragon i podjechał do komendanta, zameldował:
- Indianie przed nami.
- Dużo? — w pytaniu Whistlera zadrgały nutki niepokoju.
- Kilku. Na widok wojska zawrócili.
- Wyślijcie rekonesans — rozkazał. — Może przypadkowo natknęli się na nas, a może to

zwiadowcy jakiegoś większego oddziału.

- Rozkaz, sir.

Kapitan Harlon przyłożył do oczu lornetkę i badał horyzont. Jesienne, pożółkłe trawy prerii zginał wiejący od północy wiatr. Wokoło ciągnęła się pusta dal.

- Nikogo — powiedział do majora.

• Mogli się ukryć, to szczwane lisy — odparł dowódca. — Jesteście na pograniczu od niedawna, nie znacie chytrłości tych dzikusów. Zawsze zjawiają się w najmniej oczekiwanym momencie.

• Poczekamy na wyniki rekonesansu — rzeki Harlon. — Nie sądzę, aby groziło nam cokolwiek. Przecież na dziesiątki mil widać wszystko dookoła. W puszczy mogą urządzić zasadzkę, ale tu?... Brrr... — zachnął się nagle. — Co za dokuczliwy wiatr.

• Rzeczywiście, coraz gwałtowniej wieje prosto w twarz — przyznał Whistler. — Ciągnie z północy, może przywlec deszcz, a, nawet śnieg. To już jesień.

Kapitan nasunął głębiej na czoło żołnierską czapkę. Kłusowali dalej w milczeniu. Kopyta wierzchowców tomatowały o suchy grunt stepu. Szeleściły wysokie, uschłe trawy.

Nagle niepokój ogarnął przód kolumny. Jak szaleni pędzili wysłani na zwiad; krzyczeli coś wymachując rękami.

Whistler podniósł lornetkę. Jedno spojrzenie i rozumiał wszystko.

— Pali się! Preria płonie! — krzyczeli nadjeżdżający żołnierze.

Na widnokregu snuły się dymy; zrazu wątle i nikle, później wysokie, skłębione, błyskawicznie rozszerzające się na lewo i prawo. Wiatr rozdmuchiwał i przerzucał płomienie, goniąc je w kierunku amerykańskiej kawalerii.

— Uciekajmy, generale! — zawołał wystraszony Dik Pelpin.

Whistler zatrzymał pochód. Próbując lornetką przyjrzał się płonącemu stepowi. Ogień migotał wśród traw czarodziejskimi złotymi jezorami. Żywym półkolem osaczał wojsko i gnał na południe. Niedaleko przemknęło kilka kujotów. W oddali uciekało przerażone stado wapiti. Nie było na co czekać. Musieli zawrócić na południe. Innej drogi nie było.

Padły rozkazy. Wyciągniętym galopem pędzili przed siebie. Konie, wyczuwając niebezpieczeństwo, nie potrzebowały zachęty. Mknęli jak burza. Ale płomienie były szybsze. Zbliżały się ustawicznie. Powietrze coraz bardziej nasycalo się dymem, poczęło dławić, drapało krtań, dusiło kaszlem.

Ogień trzeszczał i szumiał. Kłęby pyłu gęstniały. Wiatr niósł gorący oddech rozszalałego żywiołu i ciskał w plecy uciekających. Wierzchowce pokrywał pot.

Ludzie zaczęli tracić nadzieję ratunku. Co chwila ktoś rozglądał się szukając wyjścia z sytuacji. Ale ze wszystkich stron huczały płomienie i kłębiła się bura zasłona dymu. Jediną luką wolną od ognia leżała przed nimi. Więc kłując wierzchowce ostregami, gnali w panicznej ucieczce. Niemal razem z ludźmi biegły jelenie, losie, kujoty, nawet wilki...

— Rzeka! Rzeka! — ktoś zachrypiał radośnie.

W dali srebrzyła się taśma płynącej wody. Konie nabrały energii. Poczwały wilgoć. Jeszcze mila i z pluskiem wpadli w płytki, o szerokim korycie strumień. Na drugim brzegu [odetchnęli, zatrzymując zmęczone wierzchowce.

Major Whistler zdjął czapkę i wycierając spoconą twarz, rozmasował drobiny osiadłej sadzy.

— Przekłęci Indianie! — sapnął ze złością. — Ledwie wyszliśmy z opresji.

- Sądziacie, sir, że prerię podpalili czerwonoskórzy? — spytał Harlon.
- Nie mam wątpliwości — odrzekł major.
- Wiatr nie przerzuci płomieni na [tę stronę? — rzucił zaniepokojony któryś z dragonów. — Może odjedźmy dalej.

- Nie — pokręcił głową Whistler. -*m* Byłby to błąd. Ogień zatrzyma się na rzece. Prerie płoną błyskawicznie i błyskawicznie wygasają. Jeżeli płomienie przeszłyby na naszą stronę, to uciekniemy na pogorzelsko.

- Konie poparzą nogi.

— Chcielibyście poparzyć swoje? -*p* zakpił Pelpin.

Niektórzy dragoni wybuchnęli śmiechem.

— Poczekajmy, aż pożar wygaśnie] — powiedział major. — Napoimy konie i sami choć zwilżymy twarze, *m* potem w drogę.

Płomienie tymczasem docierały już; do brzegu strumienia. Kłęby dymu snuły się nad rzeką. Ostatnie stadka zwierzyny przemknęły obok wypoczywających ludzi i znikły w stepie.

Nagle jak spod ziemi wyrosli czerwonoskórzy jeźdźcy. Musieli być gdzieś ukryci wśród traw prerii. Wojenni ich krzyk mieszał się z hukem wystrzałów.

— Do broni! — krzyknął kapitan Harlon chwytając się za pierś, w której ugrzęzła strzała.

Żołnierze skoczyli do wierzchowców. Zagrzechotały sztucery. Indian na mustangach nie było; ukryci pod brzuchami zwierząt, strzelali ze strzelb i luków.

Major Whistler podniósł szablę. I

— Za mną! — krzyknął ruszając do natarcia.

Ruszyły szwadrony. Linia atakujących załamała się i nim zdołano zetrzeć się wręcz, wojownicy zawrócili. Pościg trwał krótko. Trąbka wezwała dragonów do powrotu.

— Ruszamy brzegiem rzeki — rozkazał Whistler. — Czerwonoskórzy chcą nas odciągnąć w głąb prerii i powtórzyć zabawę z pożarem traw. Będą jeszcze wielokrotnie nas napastować. Trzymać się razem. Rannych w środek.

Po drugiej stronie strumienia dopalał się step. Tu i ówdzie lśniły złote iskry żaru, czasami rozbłysnął na moment nikły płomyczek i zgasł. Nad spopieliałym, ciemnym obszarem (prerii wiatr unosił siwy pył popiołu i gryzący zapach spalenizny).

Indianie szli za wojskiem. Co pewien czas przypuszczali gwałtowny atak i uchodzili przed kontruderzenie dragonów.

Whistler z trudem prowadził oddział. Nie zatrzymał ich zmierzch. Okopceni i brudni, spragnieni i niewyspani jechali całą noc, walcząc z czerwonoskórzymi. Po drodze grzebano poległych. Przybywało rannych. Około południa Whistler zarządził odpoczynek. Rozstawiono strażę wokoło biwaku. Dragoni myli się w rzece, konie wreszcie mogły napić się do woli i skubnąć zieleni pokrywającej brzeg strumyka.

Nie zdołano dokończyć toalety i spokojnie spożyć posiłku. Wznosząc wojenne okrzyki nadciągali Indianie. Trzasnęły wystrzały; szyjąc powietrze, cienko zawodziły belty strzał...

Wojsko generała Scotta, uchodząc przed pościgiem Indian, klucząc puszcza, zgubiło orientację. Bill Lester, traper i przewodnik, może gdzieś wędrował z innymi ocalałymi z pogromu żołnierzami albo poległ w pułapce nad Yellow River. Winfield Scott był zdany wyłącznie na siebie. Przy pomocy niezupełnie sprawnego kompasu, koron drzew i mchów porastających od północy pnie leśnych olbrzymów ustalał kierunek marszu. A marsz ten był ciężki, niesamowity. Indianie szli krok w krok za nimi. Wprawdzie rzadziej otwarcie atakowali, ale ciągle ktoś ginał; to ugodzony strzałą, to znów kulą. Nocami podchodzili pod obozowisko i obrzuciwszy żołnierzy pociskami, znikali w puszczy lub stepie. I tak było każdego dnia i każdej nocy. Gdy wyszli z potrzasku, liczyli prawie czterystu ludzi, obecnie zostało ich mniej niż trzystu. Wychudli, zmęczeni, wlekli się jak cienie.

Stanęli na skraju podmokłej puszczy, patrząc na czarną przestrzeń prerii.

- Spłonęły trawy — powiedział Scott do towarzyszy w zamyśleniu przyglądając się spopieliałej ziemi.

- Szczęście, że nie zapalił się las — rzekł McRoy. — Byłoby po nas.

- To bagienna puszcza. Od paru dni brniemy przez rozlewiska — stwierdził porucznik Hoskins.

- Dzięki temu płomienie nie zdołały zapalić leśnego podszycia — uzupełnił Scott. — Ten pożar nie był przypadkowy.

- Może uchodzący żołnierze zaproszyli ogień — rzucił przypuszczenie któryś z dragonów.

- Raczej Indianie — odrzekł generał. — Potrafią wybrać teren i kierunek wiatru. Kto wie, czy pożaru nie wznecili przeciwko wojsku.

- Co robimy? — spytał Dik Roger.

— Nie mamy wyboru — odparł Scott. — Musimy przejść tę spopielalą ziemię.

Spod kopyt końskich i nóg spieszonych dragonów unosił się pył. Minął dzień. Wędrowali całą noc, chcąc jak najszybciej przebyć spaloną prerię. Pod wieczór drugiego dnia usłyszeli daleki huk broni.

- Nasi — powiedział generał i podniósł do oczu lornetkę. Nie mylił się. Daleko majaczyły malutkie sylwetki dragonów i ruchliwe postacie czerwonoskórych jeźdźców. Spalona ziemia urywała się, jakby odcięta krzywymi nożycami, a dalej wiatr gładził szczotkę traw.

- Nad strumieniem walczą żołnierze — poinformował chowając lornetkę — Wachmistrz Roger, poprowadzicie piechurów i rannych — rozkazał Dikowi — a wszyscy dragoni za mną!

Gnali przez szerniawy step. Chmurę pyłu unosił wiatr. Dudnił tętent galopujących rumaków. Odległość błyskawicznie malała. Coraz wyraźniej widać było toczący się bój. Rozwinęli szyki. Indianie, widząc nadciągającą kawalerię, pocwałowali w step. Jeszcze chwila i żołnierze znaleźli się nad strumieniem.

Zaległa cisza, tylko wierzchowce, czując zapach wody, niespokojnie przebierały nogami. Generał Scott i major Whistler zeskoczyli z siodła i padli sobie w ramiona.

- Zamiast ja wam, to wy mnie, sir, przychodzicie z odsieczą — powiedział z zakłopotaniem Whistler.

- Nie szkodzi, tak czasami bywa — odrzekł generał. — Grunt, że połączywszy się, stanowimy większą siłę.

- Pobiliście, sir, Czarnego Jastrzębia?! — Ni to spytał, ni to stwierdził major.

Scott skrzywił się z niesmakiem.

- Porozmawiamy potem — odrzekł sucho. — Zaraz nadciągną piechurzy...

- Macie z sobą piechotę?

- Nie, to dragoni bez wierzchowców — wyjaśnił Scott i dodał: — Popasać tu nie możemy. Depczą nam po piętach Saukowie. Was także napastują.

- Więc dokąd?

- Najbliżej chyba do warowni na Psiej Prerii — powiedział generał. — W drodze powiemy sobie resztę...

Budził się dzień. Wartownik stojący w baszcie fortu Wisconsin rozcierał zgrabiałe ręce. Noc była wyjątkowo chłodna. Lekki przymrozek białym szronem pokrył źdźbła i przylgnął do drewnianej barierki wieżyczki. Szary listopadowy świt rozproszył mrok. Strażnik ogarnął wzrokiem dal. Wychyliwszy się poza poręcz przyglądał się dziwnemu jeźdźcowi, który chwiał się na siodle. Mundur wyraźnie wskazywał dragona. Pochylony na karku rumaka, kołysał się niezgrabnie. Sztucer na plecach kolebał się w takt ruchów wierzchowca.

„Ranny” — przemknęło przez myśl wartownikowi. Popatrzył wokoło. Pusto. Od paru tygodni nikt nie widział czerwonoskórych. Wysłany wczoraj zwiad wrócił nie natknąwszy się na ich ślady. Zresztą, jak okiem sięgnąć, step leżał w brzasku poranka cichy i spokojny.

- Hej, Peter! — wychylając się zawołał do wartownika przy bramie. — Zbliży się ranny żołnierz. Wpuść go. Szybko!

- Sam? — spytał Peter.

- Sam, dookoła nie ma nikogo.

Zgrzytnęły zawiasy; wrota uchylły się i Peter wyrżał. Samotny jeździec wjechał w bramę. Zdawało się, że traci przytomność. Wartownik chwycił go wpół, pomagając mu zejść.

— Co się stało? Jesteś ranny czy chory? Skąd jedziesz? .. — pytał.

Nie otrzymał odpowiedzi. Ręce przybysza chwyciły go stalowym uściskiem. Szamocząc się rozpoznał twarz Indianina. Chciał krzyknąć, lecz nie zdołał. Otrzymał cios powalił go na ziemię.

Spod palisady podniosły się dziwne postacie, oblepione liśćmi. Wyglądały jak chochoły. Zwinnie podbiegły do wrót i rozwarły je szeroko.

Wartownik w wieżyczce dopiero teraz zrozumiał, że dzieje się coś niedobrego. Wypalił w biegnącą kukłę z liści. Niemalże w tej samej chwili trafiła go strzała. Fort błyskawicznie zapełniał się wojownikami Sauków i Pottawatomich.

Wojenny krzyk i huk wystrzałów zbudził mieszkańców warowni.

Porucznik Tom Keyet zerwał się z posłania, podbiegł do okna i wyjrzał. Przerazenie na moment sparaliżowało jego ruchy. Indianie strzelali do okien i tomahawkami tłukli w drzwi budynków. Przemógł się, chwycił sztucer, wymierzył i strzelił. Biegący Pottawatomi upadł i wił się z bólu. Z parteru koszar żołnierze zaczęli prażyć z karabinów. Czerwonoskórzy przypadli do ziemi.

Zastukały po schodach żołnierskie buty. Do pokoju Keyeta, na pierwszym piętrze koszar, wpadł dragon. Ze zdenerwowania nie mógł wydobyć z siebie głosu. Porucznik, naciągając na siebie mundur, choć wiadomo było, że nie otrzyma odpowiedzi, spytał:

— Jak ci zbóje dostali się do fortu?

Żołnierz wzruszył ramionami.

— Wejść na dach — powiedział Tom Keyet do dragona. — Przyjrzyć się sytuacji. Przyślijcie mi Kindersa, a sami ostrzeliwujcie wroga.

Wyszedł na korytarz i po drabinie wspiął się na strych, a stamtąd, podniósłszy klapę włazu, dostał się na dach. Koszary były blokhauzem. Pochylenie dachu łagodnie schodziło ku krawędziom budynku, przy których wznosiła się strzelnicza osłona. Ze sztucerką w ręku ostrożnie ogarnął wzrokiem plac i zabudowania. Kordon Indian otaczał koszary. Nieco dalej zaczynał płonąć magazyn i sklep Roda Wooleya. Z pobliskiego domu wyprowadzano przerażone dzieci i kobiety. Niektóre nie zdążyły się ubrać, były w nocnej bieliźnie.

- Melduję się, według rozkazu — usłyszał za sobą głos Kindersa.
- Spójrz, jak to wygląda — powiedział Keyet. — Z dwudziestoma ludźmi nie wyprzemy czerwonoskórych z fortu. Wszystko stracone.

- Będziemy się bronić w blokhauzie.
- Spalą nas.
- Zginie jak żołnierze.
- A co z cywilnymi mieszkańcami fortu? — rzekł z goryczą i troską porucznik. — Pozwolimy także im zginąć? Co powiedzą o nas koledzy, gdy wrócą z odsieczy i znajdą zwłoki swych najbliższych?

- To co robić?
- Walka wiedząca do beznadziejnego unicestwienia nie ma sensu.
- Zostają pertraktacje — powiedział Kinders.
- Ty znasz Sauków. W jakim stopniu można im zaufać?
- Sądzę, że dotrzymają obopólnych postanowień. Dotychczas nie słyszałem, aby złamali kiedykolwiek dane przyrzeczenia. Gwarantować jednak nie mogę. Kto ich tam wie, jak postąpią.

— Rozumiem. Zejdźmy do chłopców i wspólnie podejmiemy decyzję.

Długo zastanawiano się nad sytuacją. Jedni chcieli walczyć do końca, inni, a tych było więcej, przychylali się do podjęcia rokowań.

Wywieszono więc białą flagę. Huk wystrzałów ucichł.

Z koszar, powiewając chustką, wyszedł bez broni porucznik Tom Keyet w asyście Arnolda Kindersa. Jeden z wojowników podprowadził ich do naczelników.

— Jesteście wodzami? — spytał obrzucając Orła Prerii i Nasheakuska upokorzonym spojrzeniem.

Stojący obok wojownik przetłumaczył słowa Keyeta. Odpowiedzieli skinieniem głowy.

- Poddamy się, jeżeli oszczędzicie kobiety i dzieci — wydusił z siebie porucznik.
- Wojownicy nie walczą ze squaw — odrzekł dumnie Orzeł Prerii. — Darujemy życie i wolność wszystkim: Długim Nożom też, jeżeli opuścicie fortecę i udacie się do najbliższego osiedla białych.

- Nie dojdziemy tam, wasji wojownicy w drodze nas zabiją — powiedział Kinders. — Pełno ich wszędzie.

- Jeśli postacie zgodnie % wolą Sauków, dotrzecie do Chicago bezpiecznie — zapewnił Nasheajkusk.

- Jaką dajecie gwarancję? — j- Keyet chciał uzyskać pewność.
- Jesteśmy synami wielkiego; sachema, Czarnego Jastrzębia. Ja jestem Orzeł Prerii, a on — Nasheikusk — powiedział wyniośle. — Nie prowadzimy wojny z Unią, lecz bronimy własnego kraju. Idźcie precz z tej ziemi i nigdy nie wracajcie, a będzie między nami pokój. Hugh.

- Dobrze, zaufamy wam — odparł niepewnie Keyet. — Za parę minut wyjdziemy z koszar.

• W budynku zostawcie broń. Wyjdziecie z podniesionymi rękami — postawił warunek Orzeł Prerii. — Gdyby ktoś z Miczi-malsa złamał słowo, zginie.

• Dotrzemy zobowiązań — zapewnił Kinders i spytał: — Kiedy przypieczętujemy pokój dymem kalumetu?

• Mój ojciec, wielki sachem Sauków i Foxów, wiele razy wypalał z Miczi-malsa kalumet i nigdy blade twarze nie uszanowały świętego dymu — odparł Orzeł Prerii. — Nie będziemy teraz palić fajki pokoju. Czarny Jastrząb uczyni to wówczas, gdy Długie Noże przestaną niepokoić plemiona zamieszkałe na ziemi danej im przez Gicze Manitou. Wtedy będzie pokój. Teraz jeszcze jest wojna.

• Jakże mamy wam wierzyć, skoro nie chcecie swych słów potwierdzić świętą fajką? — nie ustępował Kinders.

• Słowo nasze jest jak skala — powiedział Nasheakusk.

• U was też są klamcy i zdrajcy.

• Błada twarz chce obrazić synów Czarnego Jastrzębia? — w głosie Orła Prerii zabrzmiał gniew i zniecierpliwienie.

• Dobrze, zaufamy wam — powiedział Keyet.

— Wojownicy poczekają chwilę. Śpieszcie się! — rozkazująco zawołał Nasheakusk.

1

Dragonicy wychodzili z koszar ze spuszczonej głowami, zawstydzeni, złamani. Nie rozumieli, jak doszło do tego upokorzenia. Żołnierze pełniący nad ranem warty, mogliby im wyjaśnić wiele, ale byli martwi. Porucznik Keyet pocieszał się tym, że przynajmniej [rokowaniami] ocalił ludzi. Czyż z garstką dragonów miał szansę zwycięstwa?... Zza palisady mógł kierować skuteczną obroną, ale w sytuacji, w której się znalazł, nie było wyjścia...

Żołnierzy i kilkanaście cywilnych osób wyprowadzono przed fort. Po ich twarzach płynęły łzy. Wystraszone kobiety tuliły zawodzące dzieci.

— Niech Miczi-malsa wezmą z fortu konie i wozy. To dla squaw — dobrodusznie powiedział Orzeł Prerii do porucznika.

Keyet ruchem głowy podziękował. Podziwiał wspaniałomyślność dzikich — jak się wyrażał często o Indianach — i ich ludzki, ciepły stosunek do dzieci i kobiet.

Bez broni, z niewielkimi tobołkami, które w pośpiechu udało się im zabrać; biali powlekli się na wschód, do Chicago. Gdy po pewnym czasie spojrzeli poza siebie, zobaczyli nad prerią słup ognia i kłęby czarnego dymu. To płonął warownia Wisconsin.

ZIMĄ W SAUKENUK

Zgasły luno pożarów i ucichł orzeł. Na indiańskim terytorium panował spokój. Zima sypała śniegiem, mróz lodem jak szkłem pokrył bagna i strumienie, rzeki, stawy i jeziora. Dzikie Wichry, tłukąc zadymką w ściany wigwamów, wdzierały się w każdą szparę, w każdy zakamarek, pod futrzane ubrania, kłusząc przejmującym ichłodem.

W Saukenuk mimo mroźnej i śnieżnej zimy było rojno. Do stolicy Sauków i Foxów ścigały liczne szczepy i rody Kickapuzów, Pottawato-mich, Peoriów, Miamisów, a nawet Czipevjevów i Ottawów. Najlicniejszą grupę stanowili wojownicy Winnepagów.!

Biały Obłok zamieszkał w chacie Waupesheka. Obaj szamani mieli swoje tajemne problemy wynikające z pełnionej funkcji i przynależności do midewiwinu! Promyk Księżycy, która nie poszła z kobietami na Wielką Pustynię i wszędzie towarzyszyła ojcu i wojownikom, została, jako krewna, gościnnie przygarnięta przez żonę Czarnego Jastrzębia. Szybko

znalazła wspólny język z Nameąą. Dziewczyna wprawdzie była o dziesięć lat młodsza, ale przylgnęły do siebie jak dwie brzozy wyrosłe z tego samego pnia. Ciemne oczy siedemnastoletniej Nameąy, ocienione firanką długich rzęs, i kształtne usta, układające się stale w słodki uśmiech, jednały jej ludzi, wabiąc równocześnie spojrzenia młodych wojowników. Czarny Jastrząb często, patrząc na nią, mówił z dumą do żony:

— Wyrosła nam córa na niecodzienny kwiat, bo piękna, rezolutna, mądra i pracowita.

A matka, wznosząc wzrok, z westchnieniem dodawała:

— Oby Manitou był dla niej łaskawy. Tyle teraz zła...

Któregoś dnia obie dziewczyny zbierały drzewo w lesie w pobliżu Saukenuk. Gdy władowały je na tobogan³, zaprzęgnięty w szóstkę psów, oparły się o stertę zgromadzonego opału, aby odpocząć chwilę. Słońce zapalało srebrne błyski na puszystym śniegu. Mróz był niewielki, a dzień bezwietrzny. Nameąą zsunęła do tyłu bobrową czapkę, odsłaniając czarne pukle włosów.

— Nie pytałam cię dotąd, ale powiedz — rzekła do przyjaciółki — czy dalej kochasz tamtego wojownika, który ciągle ściga Zarośniętą Twarz?

Promyk Księżycy opuściła głowę.

- Tak — odparła cicho.
- Gdy pokona wroga i wróci oczyszczony z hańby, poślubisz go?
- Jeśli będzie chciał...
- Do mnie zaleca się Chytry Lis. Jest dzielny i przebiegły, ale to mu nie pomoże. — Uśmiechnęła się zagadkowo.

• Nameąą posiada wielu adoratorów — stwierdziła Promyk Księżycy, i

• Tak. Siwa Strzała niedawno był u ojca z prośbą o moją rękę, nawet mnie o zgodę nie pytając — poinformowała z ironią.

• I cóż sachedem?

• Spytał o moje zdanie.

• A ty?

• Nameąą zlekceważyła Siwą Strzałę — machnęła ręką. — Jest taki nieokrzesany.

• A który ci się najbardziej podoba? — spytała Promyk Księżycy.

• Czy ja wiem — zastanawiała się Nameąą patrząc gdzieś w przestrzeń. — Pewnie Czerwony Płomień. Jest wysoki i gibki. Zawsze miły i grzeczny, i jakoś tak ciepło, tak serdecznie patrzy.

- Kochasz go?
- Sama nie wiem. — Rozpromieniła uśmiechem oblicze. — Lubię go — dodała.
- Mówią, że sprzyja Keokukowi. To ci nie przeszkadza?
- Nie poszedł z nim, został.
- Pewnie dla ciebie. i
- Może...

— Wracajmy już do Saukenuk — zaproponowała Promyk Księżycy.

Nameąą krzyknęła na psy. Ruszyły żwawo, a dziewczęta pobiegły na karpfach za toboganem. /

W kilka dni później powróciła gromada łowców, przynosząc upolowane łosie i jelenie, kuny, lisy i wilki, parę pum i trochę bobrów. Każda zima jest dla Indian okresem intensywnych łowów. Poluje się nie tylko dla zdobycia mięsa i tłuszczu, lecz przede wszystkim dla skór, które w tym czasie posiadają gęstą i mocno trzymającą się sierść. Za takie futerka w faktoriach płacono wysokie ceny; z takich futer kobiety szyły dla swych rodzin doskonałą i ciepłą odzież.

Nameąą i Promyk Księżycy w kacie wigwamu garbowały skórę karibu. Śpiewający Ptak, żona Czarnego Jastrzębia, przyrządzała południowy posiłek, a Gamesett, który wrócił z łowów, siedział w pobliżu ognia i na drewnianym strzale osadzał metalowe, ostro zakończone groty.

Zaskrzypiał śnieg pod czyimiś szybkimi krokami i do wigwamu wsunął się wojownik Foxów.

- Witaj, bracie — powiedział do pracującego Gamesetta.
- Witaj, Czerwony Płomieniu — padła odpowiedź.

— Ukłon dla sauw wielkiego sachema — Fox pochylił z szacunkiem głowę przed żoną naczelnika i zwrócił się do dziewcząt: — Kląnam się najpiękniejszym kwiatom Saukenuk.

Promyk Księżycy z podziwem przyglądała się zgrabnej sylwetce mężczyzny; Nameąą rzuciła mu czarujący uśmiech, a on podszedłszy, położył przed dziewczyną świeżą skórę pumy i powiedział:

— To dar Czerwonego Płomienia dla Nameąy.

Przez chwilę panowała cisza. Na oliwkową twarz dziewczyny wypłynął rumieniec.

- Nie mogę, nie mogę tego przyjąć — szepnęła przyciskając dłonie do piersi.
- Czerwony Płomień niczego w zamian nie żąda — odrzekł z powagą. — Niech mojej siostrze służy to puszyste futro. — Uśmiechnął się ciepło, obrzucając ją gorącym, rozkochanym spojrzeniem.

Spuściła płochliwe oczy, ukradkiem spoglądając na leżący dar. Futro było cudowne, duże, połyskujące brązowopłową sierścią. Zapragnęła je zatrzymać, ale czy mogła? czy wypadało?... Spojrzała na matkę pytającym wzrokiem. Dostrzegła nieznaczny ruch głowy; zrozumiała, że wolno jej przyjąć prezent.

— Dzięki — szepnęła z wdzięcznym uśmiechem.

Orzeł Prerii, syn Czarnego Jastrzębia, przemierzał na karpiach knieję i zastawiał sidła na drobną zwierzynę. Założywszy pod sosną potrzask, włókł się przez białe zasy wypatrując tropów. Parę dni temu wyłożył w pobliżu obfitą karmę dla łośi i jeleni, dlatego rozglądał się za ich śladami. Ominąwszy przywalone śniegiem krzaki, dojrzał trop. Zwierzęta, a musiało ich być co najmniej pięć sztuk, zapadały się głęboko w miękkie i sypkie śnieg, zostawiając niewyraźne ślady. Domyślał się, że należą do wapiti albo do karibu. Zdjął z ramienia strzelbę, sprawdził ładunek i ostrożnie poszedł tropem.

Po około dwugodzinnej wędrówce zbliżył się do polanki, na której zostawił umieszczone na rusztowaniu z drążków pokaźne wiązki siana. Zachowując kocią czujność zatrzymał się za pnem potężnego dębu. Oczy zapłonęły mu łowieckim podnieceniem. Stado zjadało resztki karmy.

Podniósł strzelbę, wycelował. Huk wstrząsnął borem. Z najbliższych konarów posypał się śnieżny pył. Wapiti runął wierzgając smukłymi nogami. Następny strzał. Drugie, celnie rażone zwierzę, zważyło się w śnieg. Błyskawicznie odłożył strzelbę i chwyciwszy łuk, posłał jedną, drugą i trzecią strzałę. Dwie z nich powaliły łanię. Ocalałe zwierzęta, z trudem skacząc przez puszystą warstwę śniegu zaścielającą polanę, dopadły drzew i znikły w puszczy.

Orzeł Prerii, podniósł strzelbę i nabiwszy ją, podszedł do zwierząt. Trzy sztuki, barwiąc czerwienią śnieżną biel, leżały nieruchomo. Pochyliwszy się nad nimi Indianin podziękował Manitou za myśliwski sukces.

Popatrzył po drzewach. Musiał zawiesić zwierzęta wysoko i wrócić po nie z toboganem. Sam nie był w Stanie przetaszczyć tych wielkich wapiti do łowieckiego biwaku. Nie mógł też ukryć zdobyczy na polanie, bo za parę godzin wilki zostawiłyby tu tylko nagie kości. Zdjął przewieszony przez ramię zwój rzemienia, obwiązał tylne nogi największej sztuki i począł ją ciągnąć pod klon, którego masywne konary sterczały nad polanką. Przerzuciwszy sznur, podciągał zwierzę ku górze.

Nagle usłyszał szmer; dziwny, charakterystyczny szmer. Puścił rzemień. Nim cielsko wapiti miękko uderzyło o śnieg, on sam błyskawicznym skokiem dopadł drzewa i legł za jego osłoną, ściskając strzelbę i czujnie patrząc wokoło. Kilkanaście jardów dalej dojrzał przyczajoną postać człowieka.

- Jestem przyjacielem, niech mój brat odłoży broń — usłyszał słowa w ojczystym języku.
- Kim jesteś? — spytał nieufnie.
- Niedźwiedzie Oko. Ze mną idą wojownicy Szawanezów — padła odpowiedź.
- Uff! Któż wami dowodzi?
- Took-suh i wielki biały wojownik, Czerwone Serce.
- Ja jestem Orzeł Prerii. Wyjdź, jesteśmy braćmi. Podeszli do siebie ze słowami powitania.
- Daleko są wasi wojownicy? — spytał Orzeł.
- Blisko. Zaraz ich przywołam. — Szawanez zwinął dłoń w trąbkę i zawył jak wilk. Po chwili rozległo się podobne wołanie. — Słyszysz? Odpowiedzieli, zaraz tu będą.
- Jeżeli jest z wami Czerwone Serce, to idźcie do Saukenuk. Czy tak? — rzucił Sauk.
- Ugh.
- Będzie święto w wigwamie Czarnego Jastrzębia — rzekł Orzeł. — Mój ojciec dawno nie widział białego przyjaciela.
- Mój brat na łowach — powiedział Niedźwiedzie Oko. — Huk jego broni zwrócił naszą uwagę. Powiodło się polowanie?
- Tam leżą trzy wapiti — Orzeł Prerii wskazał polanę. — Chodźmy, przy nich poczekamy na Szawanezów.

Najpierw usłyszeli skowyt i poszczekiwanie psów, potem szelest i skrzywienie płóz toboganów i śnieżnych rakiet. Odgłosy narastały i wreszcie ukazał się długi szereg psich zaprzęgów i ludzi.

Sauk podniósł rękę na powitanie.

- O, witaj, Orle Prerii — zawołał Ryszard Kos, wyciągając ramiona do Indianina. — Cieszę się, że

znowu widzę syna Czarnego Jastrzębia.

• Witaj, Czerwone Serce. Mój ojciec będzie szczęśliwy widząc u siebie białego brata i walecznych Szawanezów — odrzekł Sauk obejmując krępą postać przybysza. Spod futrzanej czapki, nasuniętej głęboko na czoło, spojrzaly nań szczere, łagodne i przenikliwe oczy.

— Witam Orła Prerii — powiedział naczelnik Szawanezów. — Took-suh przybywa na wezwanie, bo bracia Saukowie są w potrzebie.

Orzeł Prerii z szacunkiem pokłonił się wodzowi.

• A tego młodzieńca znasz? — spytał Kos wskazując na wysoką postać wojownika. — Poznajcie się, to Ebunseh⁶, syn sławnego sagamore⁷ Tecumseha.

• Zostanę na zawsze twym bratem, Ebunsehu — rzekł szczerze Orzeł Prerii.

• A ty moim — odrzekł dźwięcznym głosem młodzieniec, wyciągając rękę. Zwarli dłonie w mocnym, męskim uścisku.

• Widzę, że Orzeł Prerii miał szczęśliwy dzień, świadczy o tym upolowana zwierzyna — powiedział Took-suh. — Władujemy ją na nasze tobogany i prowadź nas, bracie, do Saukenuk.

• Ujgh — odparł uradowany Orzeł.

Czarny Jastrząb, powiadomiony przez specjalnego posłańca o zbliżaniu się znakomych przyjaciół, w asyście wodzów wyszedł ich powitać. Całe Saukenuk wrzało. Czerwone Serce i Took-suh żyli w pamięci Sauków i Foxów; często o ich czynach opowiadano w długie jesienne i zimowe wieczory. Powszechną ciekawość wzbudzał Ebunseh, syn sławnego Tecumseha. Spotkali się niedaleko osady. Czarny Jastrząb, w odświętnym stroju, wysunąwszy się do przodu, z radosnym uniesieniem zawołał:

• Witajcie, wielcy przyjaciele! Wszystkie wigwamy stoją dla was otwarte, bo radują się nasze serca.

• Witajcie, bracia — powiedział Took-suh.

• Witajcie — rzekł Ryszard Kos podchodząc do Czarnego Jastrzębia. — Dawno nie widziałem walecznego wodza Sauków.

• To prawda — odrzekł — ale uczucia dla mego brata nie wygasły w duszy Czarnego Jastrzębia.

• Cieszę się...

Uścisnęli się serdecznie. Wzruszeni nie mówili nic. Prawdziwa przyjaźń nie wymaga słów. Jest jak źródło, z którego bez żadnej pomocy tryska ożywczy strumień.

Potem nastąpiły dalsze powitania, z synami sachema, młodszymi wodzami i grupą sędziwych wojowników, z którymi przed laty Kos, u boku Tecumseha, walczył przeciw Unii.

Po wymianie serdeczności ruszyli do Saukenuk. Ulice i place wypełnił tłum. Wiwatowano na cześć gości. Szybko rozlokowano wojowników, a starszyźnie przydzielono do dyspozycji oddzielne wigwamy.

Ryszard Kos, Took-suh i Ebunseh, zgodnie z życzeniem, otrzymali do wspólnego użytku małą, przytulną i schludnie urządzoną chatę. Złożywszy w niej podręczny ekwipunek, poszli do sachema na powitalną ucztę.

Czarny Jastrząb, jego synowie, naczelnicy zaprzyjaźnionych plemion, wodzowie i szamani Sauków i Foxów siedzieli na puszystych futrach. Przed każdym stały naczynia. Smakowita woń polewki mieszała się z zapachem skwierczącej na ogniu pieczeni. Sachem, zapraszając, wskazał im miejsca. Took-suh usiadł po lewej stronie Jastrzębia, a Kos po prawej. Ebunseh zajął miejsce między Ryszardem a Orłem Prerii.

Czarny Jastrząb sięgnął po wielką kamienną fajkę o czerwonym cybuchu, ozdobioną wisiorami i kolorowym puchem ptaków. Napelniwszy ją, zapalił węgielkiem z ogniska. Podniósł się majestatycznie.

— Bracia, gościmy w Saukenuk Szawanezów, z którymi przez dziesiątki lat łączy Sauków i Foxów trwała i niezawodna przyjaźń — zaczął. —

Wspólnie toczyliśmy boje w puszczech nad Wabash River, nad Wielkimi Jeziorami i na sawannach Południa. Były to wojny w obronie zagrożonych ziem czerwonego ludu. I dziś, jak dawniej, Took-suh i Czerwone Serce przybyli nam z pomocą. A z nimi młody Ebunseh, syn sagamore, przyszedł śladami swego ojca... Chwała im, bracia, chwała!

Sachem w>dmuchał dym z kalumetu i oddał go Ryszardowi.

— Minęło prawie dwanaście lat od czasu, gdy rozeszły się nasze ścież

ki — mówił Kos. — Zamieszkałem nad jeziorem Seul. Ale ani czas, ani odległość nie zgasiły przyjaźni do moich czerwonych braci. Na wieść, że znowu musicie toczyć wojnę w obronie kraju, skrzyknąłem Szawanezów, których część osiadła w gościnnej Kanadzie, i oto jesteśmy.

Spełniwszy rytuał palenia, oddał fajkę Ebunsehowi. Ten, podniósłszy się, stał wyprostowany, smukły. Szerokie ramiona, mocna szyja i muskularne mięśnie świadczyły o niepospolitej sile osiemnastoletniego młodzieńca. Jego skupiona twarz o śmiało zarysowanym orlim nosie, trochę kapryśnie biegnące linie brwi i ciemne, głębokie, myślące oczy, nadawały mu dumny, stanowczy wygląd. Pełne usta, w kącikach których czaił się ledwie dostrzegalny uśmiech, sprawiły, że Ebunseh budził sympatię i zaufanie.

— Bracia, mój wielki ojciec, Tecumseh, i Niskuk, moja matka, której imię zna każdy szaman, nie zawiodą się na Ebunsehu, bo nigdy nie zdradzi swej rasy i nie będzie służyć bladym twarzom. — Mówił melodyjnie, gładko posługując się językiem Sauków. — Ebunseh przybył do Saukenuk, aby walczyć razem z braćmi przeciwko Miczi-malsa. — Jego wzrok obiegi krąg wodzów i zatrzymał się nagle na dziewczynie siedzącej w głębi wigwamu, zamrugał powiekami, jakby zaskoczony niebywałym zjawiskiem, i dokończył: — Ebunseh będzie walczył w obronie ziemi moich braci, urodziwych squaw i malutkich, bezradnych dzieci... Taka jest wola Ebunseha. Hugh.

Wydmuchał dym w cztery strony świata i podał kalumet Orłowi Prerii. Znowu nastąpiło przemówienie i fajka przeszła w następne ręce. Gdy wreszcie dotarła do Czarnego Jastrzębia i oczyszczona zawisła pod sufitem, zaczęto pożywiać się. Wszyscy jedli z apetytem pieczeń wapiti, kukurydziane placki i aromatyczny rosół. Wkrótce rozwiązały się języki. Zaspokoiwszy wzajemną ciekawość, wojownicy zaczęli snuć wspomnienia. Took-suh opowiadał swoje przyżycia w bitwie nad Tallapoosa River, a Ebunseh nachylił się do Orła Prerii i wskazując ukradkiem w głąb chaty, cicho spytał:

- Kim są te młode squaw?
- Ta z czarnym piórem wpiętym we włosy to Promyk Księżycy, córka Białego Obłoka, a druga — to moja siostra Nameąua.
- Serce jej jest wolne?
- O tym tylko ona wie — odrzekł z uśmiechem Orzeł Prerii. — Zabiega o jej względy kilku wojowników.
- Sprzyja któremuś?
- Mój brat sam ją musi o to spytać — poradził syn Czarnego Jastrzębia.
- Ebunseh to uczyni — odrzekł młodzieniec obserwując z zachwytem dziewczynę.

Gdy obaj tak gawędzili, Ryszard Kos zwrócił się do Czarnego Jastrzębia:

- Mój brat odniósł świetne zwycięstwa nad wojskiem generała Scotta i majora Whistlera.
- To prawda.
- Na wiosnę Amerykanie mogą zorganizować ofensywę.
- Jeśli sojusznicze plemiona nie opuszczą Sauków i Foxów, zdołamy powstrzymać marsz Długich Noży.

— Na Szawanezów może mój brat liczyć — wtrącił się Took-suh.

Po skończonej gościnie Orzeł Prerii postanowił zapoznać Ebunseha z dziewczętami. Promyk Księżycy szła legginy, a Nameąua haftowała długą krajkę, jaką podczas uroczystości wojownicy przepasywali przez pierś.

— Orzeł Prerii prowadzi do nas Ebunseha — szepnęła Promyk Księżycy.

Nameąua pochyliła się nad pracą, udając, że nie spostrzega brata i gościa.

Mężczyźni przez chwilę przyglądali się pracy kobiet, po czym Orzeł Prerii powiedział:

- Ebunseh pragnie was poznać, a szczególnie ciebie, siostrze. Dziewczęta nie przerywały roboty.
- Czemu milczycie?
- Miło mi poznać syna Tecumseha i Niskuk — rzekła z ciepłym uśmiechem Promyk Księżycy.
- Nameąua cieszy się z poznania — cicho powiedziała siostra Orła.
- Nameąua rzuciła czary na serce Ebunseha — rzekł młodzieniec pochylając się w ukłonie.
- Niczego nie rzucałam — zaprzeczyła szybko i spojrzała na wyniosłe i urodziwe oblicze młodego

wojownika.

- Nameąa nie odpędzi Ebunseha, gdy przyjdzie jutro? — spytał.
 - Nie — odrzekła przeciągając przez krajkę kościaną igłę z barwną nicią.
 - Do zobaczenia — Szawanez pożegnał dziewczęta i wraz z Orłem Prerii opuścił wigwam.
- Przez moment pracowały w milczeniu. Promyk Księżycy, widząc zamyśloną Nameąę, powiedziała:
- Przybył ci nowy adorator.
 - Piękny wojownik — szepnęła Nameąa.
 - Olśnił cię swą urodą? — Promyk uśmiechnęła się do przyjaciółki. Nameąa zatrzepotała powiekami.
 - A co na to powie Czerwony Płomień?
 - Phi... — rzuciła Nameąa opuszczając spłonioną twarz.

Przez kilka następnych dni Ebunseh przychodził do wigwamu Czarnego Jastrzębia. Gdy tylko nadarzyła się okazja, nawiązywał rozmowę z Nameąą. Prawił jej komplementy i dawał do zrozumienia, że ma w stosunku do niej poważne zamiary. Dziewczyna coraz częściej, zawstydzona, opuszczała wzrok, ukradkiem obrzucając Szawaneza płomiennymi spojrzeniami.

Któregoś dnia Nameąa, nabrawszy z przerębli wody w tykwę, szła do chaty ścieżką wykopaną w śniegu. Niespodziewanie zagroził jej drogę Czerwony Płomień. Mimo że rozpierała go zazdrość, starał się zachować grzecznie. Niezdarnie jakoś powitał dziewczynę i spytał trochę natarczywie:

- Dlaczego Nameąa mnie unika?
 - To nieprawda — odrzekła zmieszana.
 - Szawanez zawrócił mojej siostrze głowę. Czym zasłużył na względy?
 - Ależ...
 - Czy dlatego, że nazywa się Ebunseh? — w głosie Indianina zakipiała zawiść.
 - Mylisz się, Czerwony Płomieniu. Nameąa obu was traktuje jednakowo.
 - Nie chcę. Albo on, albo ja! — zawołał podnosząc głos.
 - Mój brat staje się niegrzeczny — upomniała go poprawiając tykwę stojącą na głowie. — Ebunseh jest gościem, należy mu się szacunek.
 - Gość, który uwodzi cudzą sąaw, zasługuje na wzgardę.
 - Gniew mąci myśli Czerwonego Płomienia — powiedziała zgorszona Nameąa.
 - Nie.
 - Woda jest ciężka, przepuść mnie, Płomieniu — poprosiła, nie mogąc wyminąć Foxa, gdyż z obu stron ścieżki piętrzył się śnieg.
 - Nie puszcze! — odparł podniecony. — Muszę wiedzieć, kogo Nameąa wybiera: Ebunseha czy mnie?
 - Proszę, przepuść...
 - Odpowiedz!
 - Żadnego.
 - Kłamiesz! — krzyknął chwytając dziewczynę za rękę. Tykwa straciła równowagę i rozbryzgując wodę spadła w śnieg.
- Spoza pobliskiej chaty wyszedł Ebunseh. Ogarnął spojrzeniem stojących i zrozumiał zajście.
- Witajcie. Widzę, że Ebunseh przybył w porę. Moja siostra pozwoli, że przyniosę wody, którą nieopatrznie wylał ten wojownik.
 - Jak śmiesz? — zachnął się Czerwony Płomień. — To nasze sprawy. Odejdź.
 - Dobrze, tylko pomogę córce wielkiego sachema zanieść wodę do chaty — odrzekł uprzejmie Ebunseh.
 - Nie pozwolę...
 - Mój brat był niegrzeczny i wylał wodę. Ebunseh to naprawi. — Szawanez uśmiechnął się kpiarsko. — Czerwony Płomień nie potrzebuje łaski! — krzyknął sięgając do pasa po nóż.

Ebunseh, który właśnie chciał podnieść tykwę, wyprostował się, ujmując rękojęć tomahawka. Czarne źrenice zapłonęły mu dziwnym blaskiem. Brwi ściągnął w ^rubą zmarszczkę na czole i chłodno

odparł:

- Czerwony Płomień chce obrazić Ebunseha i Szawanezów, którzy przyszli pomagać wam w wojnie z Miczi-malsa? Gdzież święta gościnność Sauków i Foxów? Jeśli mój brat koniecznie szuka zwady, to proszę, ale nie tutaj i nie przy squaw.

- Ugh, Czerwony Płomień czeka nad Me-si-kse-pe — krzyknął hardo i odszedł z podniesioną głową.

Ebunseh zajął w oczy dziewczyny. - Chodźmy -- powiedział ruszając ku rzece.

- Mój brat -źle uczynił. — Głos Nameąuy drżał niepokojem. — Niej chcę rozlewu krwi.
- Ebunseh także go nie pragnie.
- Więc po co to wyzwanie?
- To Czerwony Płomień chciał bójkę.
- Musicie się pogodzić.
- Ebunseh nie obraził Focha, ale go przeprosi, jeśli tego życzy sobie Nameąua.
- Ugh — szepnęła ledwie dosłyszalnie.

Zatrzymali się nad Rock River. Ebunseh, zanurzwszy w przerębli tykwę, nabrał wody. Ustawił naczynie na swej głowie.

- To czynność squaw — powiedziała dziewczyna, zaskoczona postępowaniem Szawaneza.
- Dobry uczynek nie hańbi wojownika — odrzekł Ebunseh z uśmiechem i gestem ręki poprosił, by szła przed nim. Gdy weszli na ścieżkę, spytał: — Czerwony Płomień jest wybrańcem mojej siostry?

- Nie.
- Czy jest ktoś, kogo Nameąua miłuje?
- Także nie... — odpowiedziała z odrobiną wahania.

Szli dalej milcząc. W wigwamie Ebunseh, stawiając tykwę z wodą, dostrzegł zdumiony wzrok Śpiewającego Ptaka i figlarny uśmiech Promyka Księżyca.

- Dzięki — szepnęła rumieniąc się Nameąua.
- Ebunseh pójdzie do Czerwonego Płomienia — poinformował. -Jeżeli on zechce, przyjdziemy tu obaj.

- Ale w zgodzie.
- To będzie zależało od Focha — odrzekł Szawanez i opuścił chatę. Przeciął w poprzek osadę i wyszedł nad Missisipi. Czerwony Płomień stał

w towarzystwie Gamesetta. Podeszli do siebie.

— Gamesett będzie świadkiem naszej walki! — buńczucznie zawołał

Fox.

Ebunseh, uśmiechając się swobodnie, zwrócił się do Sauka:

- Niech mój brat spyta Czerwonego Płomienia, dlaczego żąda pojedynku?
- Podobno Ebunseh napastuje Nameąuę — odrzekł Gamesett. — Tak przed chwilą twierdził.
- To kłamstwo. Nameąua sama musi oświadczyć, że Ebunseh ją napastował, i dopiero wtedy może odbyć się walka.

- Szawanez lęka się Focha czy śmierci? — zadrwił Czerwony Płomień.

- Ebunseh nie boi się niczego — odrzekł uśmiechając się pogodnie. --Pokażmy, co potrafimy. Spójrz, Czerwony Płomieniu — wskazał na samotny klon sięgając po tomahawk. — Trafisz w pień?

Zamachnął się i cisnął topór. Mignęło ostrze i wbiło się w drzewo.

- Żadna sztuka — roześmiał się Płomień chwytając wojenną siekierę. Rzucił z rozmachem.

Tomahawk utkwiał w pniu.

- A teraz noże. Patrz!

Ebunseh błyskawicznie wyrwał z pochwy sztylet. Zafurkotał w powietrzu i utkwiał tuż koło tomahawka.

Fox postąpił podobnie, ale rzucony nóż uderzył w pień nie ostrzem, lecz trzonkiem, więc odbił się i upadł w śnieg.

Czerwony Płomień mruknął coś zawstydzony i z kołczanu wyciągnął mały łuk.

— Każdy po trzy strzały — zaproponował. Wypuścił je jedna za drugą.

Wszystkie utkwily w klonie.

Ebunseh bez słowa równie szybko swoje strzały umieścił w drzewie. Wbiły się prawie w jednym miejscu, dotykając do siebie.

- Brawo! — pochwalił Gamesett. — Jesteś lepszy, Ebunsehu.
- Dość popisów — rzucił ponuro Czerwony Płomień. — Będziemy Walczyć na pięści.
- Bez powodu? — trochę z drwiną spytał Szawanez.
- Uwodzisz Nameąę.
- Jest wolna i każdy ma prawo zabiegać o jej serce.
- To moja sąaw.
- Jeszcze nie. /
- Ale nią będzie...
- Jeżeli wybierze ciebie, Czerwony Płomieniu, Ebunseh odejdzie — powiedział poważnie. —

Chodźmy do niej, niech zadecyduje.

• Mój brat ma rację — przyznał Gamesett. — Idziemy. Moja siostra rozstrzygnie spór. — Ruszył przodem, a rywale za nim.

Czerwony Płomień szedł zakłopotany. Zaczynał wstydzić się swego uniesienia.

Gdy wkroczyli do chaty, oprócz dziewcząt, zastali sachema i jego synów.

— Ojczy, pozwól, by Nameąa uczyniła wybór między Czerwonym Płomieniem a Ebunsehem — zwrócił się Gamesett do sachema.

Czarny Jastrząb popatrzył na młodzieńców i z pobłażaniem przyzwalając skinał głowę. Promyk Księżycy przeszła na gospodarczą stronę wigwamu, udając, że czegoś szuka wśród worków i naczyń. Gamesett powiedział do siostry:

— Czerwony Płomień i Ebunseh pragną twego serca, siostro. Wybierz jednego.

Nameąa zatrzepotała długimi rękami, zażenowana chwyciła koniec swego warkocza i cicho odpowiedziała:

- Lubię obu, ale serce moje nie należy do żadnego.
- Cóż mają robić Ebunseh i Czerwony Płomień — spytał Gamesett — skoro Nameąa taką dziwną daje odpowiedź?

Dziewczyna opuściła na piersi głowę. W ciszy zabrzmiał spokojny, poważny głos Czarnego Jastrzębia.

— Uczucia w sercu kobiety dojrzewają długo. Bądźcie cierpliwi.

Przyjdzie czas, gdy moja córka wskaże mężczyznę i powie: „ten zamieszkał w mej duszy”. Może to będzie jeden z was.

Fox i Szawanez pochylili z szacunkiem głowy.

— Mądra jest twa mowa, ojczy — powiedział Ebunseh i wyciągając rękę do Focha, zaproponował: — Zostańmy przyjaciółmi, Czerwony Płomieniu.

Uścisnęli sobie dłonie.

Oblicze Nameąy zajaśniało radością.

Na początku marca w asyście kilkunastu wojowników przybył do Saukenuk najmniej spodziewany gość — Keokuk. Czarny Jastrząb był niezadowolony. Pojawienie się Śledzącego Lisa zawsze zapowiadało jakieś wydarzenie. Wódz Foxów zamieszkał w dawnej swojej chacie i przez kilka dni nawiązywał kontakty z przebywającymi w Saukenuk wodzami różnych plemion i rodów. Mówił im wprost, że powinni osiedlić się na Wielkiej Pustyni. Foxom, swym pobratymcom, proponował porzucenie Czarnego Jastrzębia, obiecując im bogactwa, spokojne i bezpieczne życie pod swoją władzą. Na razie nikt tych propozycji nie traktował poważnie. Sachem jednak obawiał się, że krecia działalność Keokuka może w końcu przynieść fatalne skutki. Przeczuwał zresztą, że Śledzący Lis przybył do Saukenuk w określonych celach, dlatego zaufanym ludziom polecił śledzić każdy krok wodza Foxów i cierpliwie czekał, kiedy ten zdecyduje się złożyć mu wizytę. A Keokuk unikał spotkania nie tylko z Czarnym Jastrzębiem, lecz także z Ryszardem Kosem, Took-suhem, Waupeshekiem i Białym Obłokiem.

Po tygodniu pobytu, gdy miało się już pod wieczór, wsunął się do wigwamu sachema i stanąwszy przed Czarnym Jastrzębiem, patrzył nań cynicznie, z grymasem nienawiści na śniadej twarzy.

Sachem, wskazując miejsce obok siebie, powiedział:

- Niech Siedzący Lis spocznie. Mamy sobie dużo do powiedzenia.
- Keokuk siedział już w tym wigwamie, na uboczu, na wilczej skórze. Trudno o tym zapomnieć — odparł złośliwie.

- Wtedy mój brat knował z Miczi-malsa przeciwko własnemu ludowi — przypominał sachem.
- Dziś także Keokuk żyje z białymi w przyjaźni.
- Po co więc mój brat tu przyszedł?
- Przyszedłem powiedzieć, że Miczi-malsa wyznaczyli za żywego lub martwego naczelnika Sauków wysoką nagrodę. — Zarechotał nieprzyjemnym śmiechem odsłaniając żółte zęby. — Ciekawe, kto tę nagrodę otrzyma!? — dorzucił ze złym błyskiem żrenic i odwróciwszy się, poszedł do wyjścia.

Nasheakusk, który w pobliżu zajęty był czyszczeniem swego sztucera, słysząc wypowiedź Keokuka, chwycił za tomahawk. Czarny Jastrząb ręką powstrzymał syna.

Po dłuższej zadumie sachem poprosił:

— Przywołaj Waupesheka, synu.

Parę minut później naradzał się z szamanem. Rozważali wszystkie możliwe warianty. Doszli do przekonania, że Śledzący Lis przybył tu jako szpieg Amerykanów. Waupeshek proponował uwięzić Keokuka i postawić go przed sądem Rady Starszych. Czarny Jastrząb sprzeciwił się temu, uważając, że skoro Śledzący Lis z częścią plemienia osiedlił się na Wielkiej Pustyni, nie powinien więcej wracać w okolice Saukenuk.

Na białej korze brzozy szaman nakreślił rysunek tomahawka z dwukrotnie złamanym styliskiem. Ten znak wygnania bez prawa powrotu poniósł Keokukowi Orzeł Prerii.

Wódz Foxów zawiązywał podróżną sakwę, gdy do chaty wszedł syn Czarnego Jastrzębia.

- O, jaki zaszczyt — zadrwił Fox. — Czego chce Orzeł Prerii?
- Z rozkazu szamana i sachema przynoszę memu bratu znak opuszczenia Saukenuk. — Orzeł podał mu płat brzozowej kory.

Śledzący Lis przyjął rysunek, obejrzał i połamawszy go na kawałki, rzucił pod nogi Orła Prerii.

— Powiedz im — zasyczał wściekle — że Keokuk i bez tego opuszcza Saukenuk.

Sachem był niespokojny. Zwiadowcy przestali przynosić meldunki. Wyznaczony czas minął, a informacje nie napływały. Była druga połowa marca. Nocami dokuczał jeszcze mróz. W dzień słońce przygrzewało topiąc śniegi. Mimo to można było poruszać się bez większych kłopotów. Jediną przeszkodę stanowiły wezbrane strumienie i rzeki. Mogły one opóźnić marsz, ale nie powstrzymać. Co więc działo się ze zwiadowcami?...

Ostry Pazur na spienionym mustangu wjechał do osady i zeskoczywszy przed wigwamem Białego Obłoka, wbiegł do środka. Zameldował:

- Osagowie! Ostry Pazur ledwie im uszedł.
- Skąd wracał mój brat? — spytał szaman Winnepagów.

- Wyruszyłem nad Cichy Potok, gdzie są bobrowe żeremia — informował wojownik. — Nie dotarłem do rozlewiska bobrów, bo zaatakowała mnie gromada Osagów. Ich strzały chybiły. Jednego trafiłem i uciekłem.

Szaman zamyślił się.

— Może to drobny incydent, a może poważna historia. Dzięki, Ostry Pazurze, za meldunek. Bądź w pobliżu. Biały Obłok porozmawia z Czarnym Jastrzębiem.

Po naradzie wysłano w różne kierunki piesze i konne oddziały wojowników. Pierwsze meldunki rekonesansu doniosły, że wokoło Saukenuk kręcą się Osagowie i wojownicy Keokuka.

UDANY PODSTĘP

Niepowodzenia militarne armii Unii w wojnie z Saukami zdecydowały, że Waszyngton ogłosił mobilizację mężczyzn od osiemnastego do czterdziestego piątego roku życia. Do punktów zbornych ściągali różnego autoramentu ludzie: jedni z poczucia obowiązku, inni dla przygód albo na skutek braku pracy. Wśród rekrutów znalazł się miody Abraham Lincoln¹ z New Salem, który po bankructwie sklepu Offuta, gdzie był subiektem, znalazł się w beznadziejnej sytuacji materialnej. Towarzyszył mu jego rówieśnik i przyjaciel John Armstrong². Obaj trafili pod komendę pułkownika Taylora. Lincoln otrzymał szlify kapitana i dowództwo szwadronu, do którego wszedł Armstrong w stopniu starszego wachmistrza.

W połowie lutego 1832 roku cztery liczebnie silne armie ruszyły przeciwko wojowniczym Saukom i ich sojusznikom. Z Saint Louis wyszły wojska generała Reynoldsa i pułkownika Taylora. Ten ostatni pomaszerował na północny wschód, by później skręcić ku Saukenuk. Reynolds, nie śpiesząc się, szedł w górę Missisipi. Z Chicago wprost na stolicę Indian prowadził swoje oddziały, uzbrojone w dwie armaty, generał Atkinson, a z Psiej Prerii ciągnęła konnica generała Scotta. Te cztery armie miały w ostatnich dniach marca dotrzeć do Saukenuk i wziąć osadę w żelazne kleszcze.

Wojsku towarzyszyli skłóceni z Saukami Osagowie. Przekupiony cennymi podarkami Keokuk, zdradzając własny naród, także oddał swoje usługi Amerykanom.

Aby zmylić czujność Czarnego Jastrzębia, Osagowie, wyprzedzając znacznie wojska, niszczyli patrole Sauków. Wojownicy Śledzącego Lisa, jako pobratymcy, bez podejrzeń poruszając się po ojczystej ziemi, naprowadzali Osagów na zwiadowcze oddziały sachema.

Dzięki takiej taktyce marsz Amerykanów przebiegał bez zakłóceń. Wprawdzie obfite śniegi utrudniały poruszanie się ludzi i zwierząt, ale ścięte lodem bagienne rozlewiska, jeziora i rzeki można było przechodzić bez ryzyka, często skracając o wiele mil drogę. Później, gdy śniegi poczęły się topić, pochód wojsk odbywał się wolniej.

Pod koniec marca armia Taylora znalazła się w pobliżu źródeł Spoon River. Posuwali się teraz ze wzmoczoną ostrożnością. Dla bezpieczeństwa szwadron Lincolna wysłany został do przodu jako szpica. Pogoda była piękna. Równina, na której stopniały już śniegi, leżała pusta i szara. Trawy jeszcze nie zdążyły wychylić się zielenią kielków. Ziemia z wierzchu rozmiękła, ale w głębi skuwał ją dalej mróz. Jechali bez pośpiechu, rozglądając się po okolicy. Przed nimi rysowała się ciemna linia lasu. Gdy zbliżyli się doń, Lincoln zwrócił się do Armstronga:

— John, weź paru żołnierzy i zajrzyj do lasu.

Wachmistrz wybrał pięciu kawalerzystów i odjechał.

Kapitan polecił żołnierzom zwolnić bieg koni. Wlekli się stępa oczekując na wynik penetracji terenu. Minęło sporo czasu, nim z puszczy wypadł dragon. Po chwili zameldował:

- Pochwyciliśmy trzech Foxów, kapitanie. Poza tym bezpiecznie.
- Zwiadowcy Czarnego Jastrzębia?
- Yes, sir — odrzekł żołnierz. — Jeden słabo mówi po angielsku.
- Warto go przesłuchać.
- Wachmistrz polecił ich powiesić. Nie mamy warunków na zajmowanie się jeńcami, sir.
- Niech powstrzyma swoje zapędy. Zawiadomię pułkownika o wzięciu zwiadu do niewoli. Wracaj z tym rozkazem — polecił Lincoln.

Dragon zawrócił. Gdy goniec z meldunkiem dla Taylora także odjechał, Abraham Lincoln cwałem poprowadził szwadron do lasu.

Przywiązani do drzew ponuro patrzyli Foxowie na przybyłych żołnierzy. Najstarszy z czerwonoskórych, ponad pięćdziesięcioletni mężczyzna, zobaczywszy kapitańskie dystynkcje, zawołał:

- To pomyłka! Niech mój biały brat mnie uwolni! Lincoln z wysokości siodła przyjrzał się Indianinowi, spytał:
 - Jesteś Foxem?
 - Tak.
 - Skąd przybywasz?
 - Z Saukenuk.
 - Nie ma więc pomyłki — odparł szorstko.
 - Bez przerwy ten psi syn mówi o pomyłce — roześmiał się wachmistrz Armstrong. — Powiedziałem mu, że zawiśnie.
 - Moi bracia popełniają błąd. — Jeniec był wyraźnie zdenerwowany. — Jestem Śledzącym Lisem, wodzem Foxów.
 - Słyszysz, Abrahامية? Nie lada sztukę wzięłem do niewoli. — Armstrong wziął się pod boki. — Pułkownik Taylor za taki czyn nie omieszką udzielić mi pochwały.
 - Keokuk posiada mówiący papier podpisany przez gubernatora — tłumaczył dalej Fox — Rozwiążcie mi ręce.
 - Bredzisz, czerwony psie! — huknął wachmistrz i zwrócił się do Lincolna: — Tego można przytrzymać do przybycia pułkownika, a tamtych chłopcy chcą załatwić...
 - Poczekaj, John — odrzekł kapitan. — Taylor zaraz nadciągnie. Niech sam zadecyduje.

- Jak chcesz. — Armstrong, niezadowolony, wzruszył ramionami. — Zapominasz o rozkazie: bez pardonu likwidować zwiadowców przeciwnika.

- Pamiętam, John — odparł Lincoln zsiadając z wierzchowca. — Odpoczynek, chłopcy! — krzyknął do szwadronu.

Na prerii zatrzymały się oddziały wojska. Zachary Taylor wjechał pomiędzy drzewa na skraju puszczy, przelotnie spojrzawszy na jeńców. Kapitan Lincoln, przejąc się służbiście, zameldował:

- Wachmistrz Armstrong z pięcioma dragonami pojmał zwiada nieprzyjaciela. Jeden z czerwonoskórych włada naszym językiem.

- Dziękuję, sir. — Pułkownik zeskokczył z siodła. — Który mówi po angielsku? — spytał.

Wachmistrz wskazał Indianina. Taylor podszedł. Zdumienie odmalowało się na jego twarzy.

- Czy mnie wzrok myli?... Siedzący Lis?... — rzucił zaskoczony.

- Niech biały brat uwolni Keokuka — Fox ledwie panował nad rozpierającą go wściekłością. — Tak nie wolno traktować przyjaciół. Wódz Foxów tłumaczył i wyjaśniał, ale w zamian słyszał obelgi i pogrożki.

- Rozwiążcie ich — rozkazał pułkownik. — Jak to się stało, wachmistrzu, że ludzie ci są w pętach?

Stawili opór?

- No, właściwie... hmm... — John Armstrong nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Toż to nasz sojusznik. Więcej rozsądku, wachmistrzu.

- Mówił, że idzie z Saukenuk — powiedział w formie usprawiedliwienia Lincoln.

- I cóż z tego? Wykonywał zadanie. — Pułkownik zwrócił się do Keokuka: — Niech czerwony brat wybaczy, to niedoświadczeni żołnierze.

Fox rozcierał sine pręgi na przegubach rąk, odcisnięte sznurami.

- To zniewaga — wycedził.

- Naprawią swój błąd — rzeki pojednawczo Taylor. — Spodziewałem się Keokuka trochę bliżej osady Sauków.

- Śledzący Lis wcześniej musiał opuścić Saukenuk.

- Jakie nowiny?

- Took-suh przywiódł swych Szawanezów.

- Z Kanady?

- Tak. Jest z nimi Ebunseh, syn Tecumseha, i Czerwone Serce. Pułkownik przez moment szukał w pamięci.

- Mówisz o tym białym Szawaniezie, Ryszardzie Kosie? — spytał dla upewnienia się.

- Ugh.

- Co jeszcze? — dopytywał się Taylor.

Keokuk niechętnie popatrzył na Lincolna i Armstronga.

- Wódz Foxów resztę powie na osobności — powiedział. — Niech mój brat każe zwrócić Keokukowi i wojownikom zabraną broń i mustangi.

- Wachmistrzu, oddajcie Foxom ich własność i przeproście za swoje grubiaństwo — rozkazał bez cienia nagany, jedynie z odrobiną ironicznego rozbawienia.

Posiedzenie Rady Starszych było burzliwe i pełne nerwowego napięcia. Kilku zwiadowcom udało się ujść z zasadzki Osagów. Wróciły nowo wysłane patrole, przynosząc także niepokojące wiadomości. Nadeiagnęły znad Indiańskiego Potoku niedobitki Pottawatomich, którzy zagrodzili drogę wojsku generała Atkinsona i zostali rozbici, a ich wieś zrównano z ziemią. Jakby za mało było nieszczęść, znad Wisconsin River, ledwie trzymając się na nogach, dowlokła się gromada Winnepagów i Sauków. Mieli oni zabezpieczać tereny wokół fortu na Psiej Prerii. Zaatakowani przez znaczne siły Amerykanów, dowodzonych przez generała Dodge'a, ponieśli klęskę. Nieliczni, którzy przeżyli pogrom, uszli w knieje. To **onll** dotarli z tragiczną wieścią do Saukenuk.

Na podstawie informacji zarysował się obraz nadciągającego niebezpieczeństwa. Marzec dobiegał końca. Cztery armie Unii podchodziły oskrzydając stolicę Indian.

Na przeprawę przez Missisipi było za późno. Rzeka wezbrała niczym ocean, tocząc swe wzburzone wody z niezwykłą szybkością. Do jej sforsowania trzeba by mieć dużo tratw i łodzi. Taka przeprawa musiałaby odbywać się bardzo długo i przyniosłaby masę ofiar. Podczas starcia z wrogiem była wprost

niemożliwa.

Padaly różne propozycje. Żadna nie nadawała się do realizacji. W;J Saukenuk było dużo dzieci, kobiet i starców. Ten fakt wykluczał wiele strategicznych pomysłów. Ogołocona z zieleni preria, nagie chaszcze nad]

Missisipi nie mogły ukryć ludzi. Opuszczenie osady skończyłoby się pościgiem Amerykanów.

Wojownicy nie sprostaliby olbrzymiej przewadze nieprzyjaciela i doszłoby do krwawej tragedii. Trzeba było za wszelką cenę część armii Unii zatrzymać, rozczłonkować i wyprowadzić w pole. Ale jak?...

W końcu postanowiono podjąć rokowania, a gdyby one nie dały rezultatów, bronić się.

Całe Saukenuk wrzało. Najcenniejszy majątek pakowano na włóki i lobogany. Wszystkie mustangi sprowadzono do osiedla. Wokoło, za radą Ryszarda Kosa, kopano strzeleckie rowy i ziemne skarpy dla osłony przed pociskami. Kos przygotował do użycia zdobyte przez Sauków armaty.

W dniu 1 kwietnia Amerykanie zwartym pierścieniem zamknęli Saukenuk, szykując się do ostatecznej rozprawy z czerwonoskórymi.

Następnego dnia, powiewając białą płachtą, Neapope poprowadził pięciu parlamentanuszy. W połowie drogi między osadą a kordonem nieprzyjaciela z amerykańskiej strony padł strzał. Kula zawodząc przeleciała nad delegacją.

— Wracajcie! Nie będzie układów! — krzyknął w języku Sauków czarnobrody człowiek.

Indianie zatrzymali się. Neapope wysunawszy się do przodu, zawołał:

— Chcemy rozmawiać z naczelnym wodzem Miczi-malsa!

Zamiast odpowiedzi, zagrzmiwały strzelby. Wojownik niosący białą flagę zwał się z przestrzeloną głową. Neapope z towarzyszami padł na ziemię. Indianie rozmieszczeni w strzeleckich rowach na skraju Saukenuk odpowiedzieli ogniem. Pod jego osłoną parlamentariusze wycofali się, zabierając poległego Sauka.

Indiańska starszyzna była oburzona.

• Zawsze, gdy Miczi-malsa dysponują przeważającą siłą — powiedział z pogardą Czarny Jastrząb — beczeszczą parlamentanuszy.

• To prawda. Nie ma dla nich żadnej świętości — przyznał Ryszard Kos.

• Mogą jeszcze dzisiaj zaatakować — włączył się do rozmowy Took-suh.

• Albo jutro — dodał Waupeshek.

• Oskrzydlili osadę — zauważył Biały Obłok — ale za Rzeką Kamienną nie widać ich wojska. Czy to nie dziwi moich braci?

Saukenuk od zachodu opierało się o Missisipi, natomiast od południa wigwamy dochodziły do Rock River, która tu właśnie wlewała swe wody w olbrzymie koryto Ojca Rzek.

• Może to pułapka — podsunął przypuszczenie Orzeł Prerii.

• Za Me-si-kse-pe także nie ma bladych twarzy — rzekł Huczący Grzmot, wódz Miamisów. —

Miczi-malsa wiedzą, że o tej porze roku nie sposób przepłynąć nawet Rock River.

• Trzeba zbadać tereny na lewym brzegu Rzeki Kamiennej — powiedział w zadumie Czarny Jastrząb. — Nie wolno lekceważyć niczego.

• Kto wykona to zadanie? — spytał Orzeł Prerii.

• Doświadczeni tropiciele — odparł sachem.

• Ebunseh pragnie uczestniczyć w tej wyprawie — zgłosił swoją kandydaturę Szawanez.

• I ja, ojcie — poprosił Gamesett.

• Dobrze, weźcie jeszcze jednego. Trzech wystarczy. Nocą na canoe przepłyniecie rzekę — instruował Czarny Jastrząb. — Nikt was zobaczyć nie może. Nie wdawajcie się w żadne awantury.

Zbadacie puszcę w pobliżu Edwards River i wróćcie.

Młodzieńcy poszli przygotować się do ryzykownej wyprawy, a starszyzna dalej roztrząsała sytuację.

• Amerykanie dysponują dwoma armatami — mówił Kos. — Jedna, ustawiona na prawym skrzydle, może razić osadę i ewentualnie łodzie na Missisipi. Druga spełnia tę samą rolę w stosunku do Rock River, bo ustawiono ją na lewym krańcu obłężniczego kordonu. Te armaty, bracia, trzeba zniszczyć jak najszybciej.

• W jaki sposób? — spytał Waupeshek.

• Z naszych dział — podsunął myśl Neapope.

• Nie — pokręcił głową sachem. — W armatach Czarny Jastrząb pokłada nadzieję wyjścia z opresji.

• Mój plan jest prosty, bracia, choć niebezpieczny — zaczął Kos. — Zresztą jesteśmy w sytuacji tragicznej. Z oblężenia nie wszyscy wyjdziemy żywi. Chodzi więc o to, by ocalić możliwie największą liczbę ludzi, dlatego działa wroga musimy zniszczyć. — Zrobił przerwę i po chwili ciągnął dalej: — W nocy zaatakujemy pozycje Amerykanów, co powinno ich zaskoczyć. W tym czasie dwa wysłane oddziały dotrą do armat i zepchną je w rzekę. Rozumiecie?

Zapadła cisza, potem posypały się pytania i każdy dorzucał coś do planu akcji. Ustalono, że przed końcem nocy, gdy mrok jest jeszcze gęsty, a strażę najbardziej senne, dwie grupy wojowników — jedna tuż przy brzegu Missisipi, druga Rzeką Kamienną podpłyną w pobliże armat przeciwnika. Wtedy konnica zaatakuje środek oblężniczego łuku nieprzyjaciela, odwracając jego uwagę od własnych skrzydeł.

W atmosferze nerwowego napięcia minął dzień i nadeszła chłodna noc. Z szumem i pluskiem płynęła wielka rzeka. W dali odzywały się wilki i płaczące skomlenie kuj otów. Przemknęły niekiedy cienie nocnych ptaków.

Ebunseh, Gamesett i Okrągły Orzech odpłynęli na drugi brzeg Rock RiSter.

W godzinę później oddział dowodzony przez Neapope ostrożnie parł pod prąd Missisipi, kryjąc się za skarpią brzegu. Canoe posuwało się cicho, szelest i plusk wiosła tonął w rozgwarze fal.

Podobny oddział pod dowództwem Białego Obloka posuwał się Rock River.

Za wigwamami indiańscy jeźdźcy czekali na sygnał do szarży, którą mimo sprzeciwu wielu wodzów uparł się poprowadzić sam Czarny Jastrząb. U jego boku stanął Ryszard Kos i Took-suh.

Najpierw zakrzyczał puszczyk gdzieś nad Rzeką Kamienną. Po jakimś czasie podobne wołanie nadbiegło z nad Missisipi.

— Dotarli w pobliże dział — rzekł sachem do towarzyszy. — Nadszedł czas ataku! — Podniósł się w siodle ze wzniesionym tomahawkiem. — Za mną! — krzyknął.

Wyjechali z osady. Przeskoczywszy przyczajonych w okopach strzelców, w milczeniu ruszyli galopem. Amerykanów zbudził tętent cwałujących koni. Zahuczały pojedyncze strzelby. Indianie dopadli amerykańskich stanowisk. Wojenne okrzyki rozdarły noc. Powstało zamieszanie. Skrzyżowały się szable i tomahawki. Kolby karabinów tłukły jak maczugi.

Kilku żołnierzy zaatakowało Czarnego Jastrzębia. Odparowywał ciosy, z trudem dając sobie radę. Ryszard pośpieszył mu z pomocą. Z pistoletu powalił dwóch i z szablą wpał na karki pozostałych. Głuche cięcia ostrza. Przerażliwy krzyk. Dragoni rozbiegli się w popłochu.

Na karym mustangu, otoczony Szawanezami, parł Took-suh; nieprzyjaciel cofał się, znacząc drogę poległymi.

Wokoło Czarnego Jastrzębia zrobiło się luźniej; wróg nie ośmielał się na bezpośredni atak. Sachem, wykorzystując ten moment, chwycił wiszącą na piersi grzechotkę, zrobioną z jeleniego rogu. Zatrzeszczała dwukrotnie. Tu i tam odezwały się inne. Indianie rozbiegli się na lewo i prawo, odsłaniając dotychczasowe pole bitwy. W tę lukę posypał się grad pocisków z okopów czerwonoskórych.

Indiańska konnica, zatoczywszy łuk, połączyła się i szła do nowej szarży jakby chciała klinem przebić się przez szeregi nieprzyjaciela.

Specjalne oddziały operacyjne szczęśliwie dotarły w pobliże armatnich redut.

Neapope z wojownikami wyszedł na brzeg poza stanowiskiem dział. Leżąc na ziemi obserwował nieprzyjaciela. Koło armaty przechadzał się tylko jeden wartownik. Karabiny stały ustawione w kozły. Żołnierze, owinięci w koce, spali. Trącił swego towarzysza. Krzyk puszczyka popłynął w mroczną dal. Neapope, zostawiwszy przy czołnach kilku wojowników, poczołgał się z pozostałymi w stronę reduty.

Bitewna wrzawa w oddali zburzyła ciszę nocy. Żołnierze, zrywając się ze snu, biegli po sztucery. Z przedpola patrzyli na rozgrywającą się bitwę. Choć noc i odległość zamazywały obraz zmagania, widzieli w rozbłyskach wystrzałów walczących ludzi. Chwilami ogarniał ich lęk zmieszany z podziwem dla odwagi czerwonoskórych.

Neapope poderwał swych wojowników do ataku. Skoczyli jak tygrysy. Na zaskoczonych żołnierzach spadły ciosy tomahawków. Zwarli się w walce.

Sześciu Sauków podbiegło do armaty. Ile sił w mięśniach, Indianie wypychali ją z ziemnego wgłębienia. Stawiała opór, była ciężka. Wreszcie koła przetoczyły się przez nasyp, którym była obwarowana. Grunt łagodnie spadał ku rzece. Pchnięta, potoczyła się dalej sama.

Zewsząd nadbiegali na pomoc żołnierze. Indianie rzucili się do ucieczki. Oczekujący na brzegu przy łodziach wojownicy otworzyli ogień, osłaniając w ten sposób wycofujących się towarzyszy.

Działo, podskakując na nierównościach, dotarło na skraj rzeki i runęło.

Amerykanie, ujrawszy to, wściekle natarli na Sauków. Indianie rzucili się w rzekę. Jedni płynęli wpraw, inni zdołali wskoczyć do łodzi. Gęsto sypały się za nimi kule. Brzeg roił się od żołnierzy.

Neapope, płynąc, dojrzał canoe. Nie dając się prądowi wynieść na środek rzeki, z trudem dopłynął do łódki. Wygramolił się z wysiłkiem. Usiadł na dnie dysząc ciężko. Z ubrania spływały strugi wody.

Wiosła w rękach trzech wojowników migają jak skrzydła wiatraka.

— Tam! — wskazał jeden z wiosłarzy. Zobaczyli walczącego z prądem Indianina. Skręcili w jego stronę. Po chwili siedział w czółnie wypływając wodę.

Amerykanie otrząsnęli się z zaskoczenia. Cała armia była na nogach. Dragoni wyjeżdżali zetrzeć się z indiańską szarżą. Ale czerwonoskórzy, ostrzelawszy przeciwnika, gwałtownie zawrócili. Amerykańska konnica

runęła w pościg. Indianie przesadziwszy własny rów strzelecki znikli za chatami. Na ścigających posypała się lawina strzał i kul. Załamał się atak Amerykanów. Trąbka wezwała ich do odwrotu.

Obie linie razily się ogniem, który stopniowo wygasał. Gdy jutrzienka rozjaśniła niebo, strzelanina umilkła.

Amerykanie z białą flagą wyszli na przedpole zebrać zabitych i rannych. Indianie, wykorzystując to, poszli za ich przykładem.

Czarny Jastrząb usiadł w wigwamie. Zmęczenie na jego twarzy stężało siecią zmarszczek wokół warg, ale czarne oczy płonęły żywym blaskiem.

— Obliczcie straty — powiedział podpierając głowę rękami.

Nasheakusk wyszedł wykonać polecenie.

Starszyzna milczała. Każdy na swój sposób przeżywał i analizował zbrojny wypad. Jedno było pewne: Amerykanów zaskoczyła szarża. Musieli stracić sporo ludzi. Jeśli Biały Obłok i Neapope zatopili armaty, to poniesione przez Indian ofiary nie były daremne.

Pierwszy nadszedł Biały Obłok z rozciętym, krwawiącym prawym policzkiem i w kaftanie zbroczonym krwią.

— Zrobione — powiedział chwiejąc się na nogach. — Wróciło ze mną tylko trzech... — Podparł się strzelbą jak kijem i dodał: — Może ktoś jeszcze wróci...

Sachem podszedł do szamana Winnepagów i przyciskając go do piersi, szepnął:

- Dzięki, bracie.
- Zrobione — powtórzył Biały Obłok. — Wielką strzelbę na kołach pochłonęła rzeka.
- Mój brat jest ranny — rzekł szaman Sauków. — Waupeshek opatrz go. Chodźmy, bracie. —

Wsparszy Białego Obłoka swym ramieniem, wyprowadził go z chaty.

Wszedł wreszcie, ociekający wodą, oczekiwany Neapope. Już w drzwiach, z uradowaną twarzą, wołał:

— Armata zniszczona! Utonęła w Me-si-kse-pe.

Na znużonym obliczu sachema zajaśniał uśmiech.

— Zadaliśmy Miczi-malsa pierwszy cios — powiedział z mocą. —

Czarny Jastrząb wierzy, iż wyjdziemy z kleszczy Długich Noży.

W sercach starszyny zapłonął płomyk nadziei.

Zwycięski wypad czerwonoskórych upokorzył! generałów, zwłaszcza Atkinsona, który sprawował naczelne dowództwo. Postanowił więc przyśpieszyć szturm. Szwadrony czekały na rozkaz do natarcia.

Orzeł Prerii zauważył przygotowania w obozie nieprzyjaciela. Zawiadomił o tym sachema. Strzeleckie rowy obsadzili nie tylko wojownicy, lecz wszyscy, którym starczyło sił, by napiąć łuk lub nacisnąć cyngiel: sędziwi starcy i młodzi chłopcy; nawet dziewczęta umiejące posługiwać się bronią.

Nameąa i Promyk Księżycy położyły przed sobą kołczany pełne strzał. Z palcami na cięciwach łuków, z przyśpieszonym biciem serca oczekiwały dalszych wypadków. Obok Nameąy siedział Czerwony Płomień. Oparł długi muszkiet o ziemny pagórek. W zasięgu ręki umieścił pistolet i łuk.

— Widzę, że moją siostrę opuścił zarozumiały Szawanez — powiedział z kpina. — Czyżby uciekł?

Nameąa wzruszyła ramionami.

- Czerwony Płomień będzie czuwał nad bezpieczeństwem Nameąuy. Ebunseh jest tu niepotrzebny — mówił dalej. — Dobrze zrobił, że umknął jak przestraszony pies...
- Zostaliście przyjaciółmi. Dlaczego Czerwony Płomień obraża Ebun-seha? — skarciła Foa dziewczyna. — Czyż Szawanez wygląda na tchórza?
- Przecież nie ma go wśród obrońców...
- Czerwony Płomień jest niesprawiedliwy — rzekła z przyganą Nameąua. — Ebunseh i Gamesett wyruszyli na niebezpieczną wyprawę. Nie trzeba urągać nieobecnemu.

Fox chciał coś odpowiedzieć, ale ruch na amerykańskich pozycjach zamknął mu usta. Oczy obrońców śledziły nieprzyjaciół.

Zadźwięczał bojowy sygnał trąbki. Konnica, rozciągnięta na całej obłązniczej linii, od Missisipi po Rock River, ruszyła cwałem. Przyczajeni Indianie milczeli. Dopiero gdy Amerykanie znaleźli się w zasięgu strzału z łuku, zadudnił bęben. Na ten sygnał ożyła indiańska linia. Ogniki wystrzałów rozdarły hukiem ciszę. Zabrzęczały cięciwy. Tu i tam zwałił się z wierzchowca żołnierz.

Nameąua wypuszczała strzałę za strzałą. Robiła to błyskawicznie. Promyk Księżycy nie była gorsza od swej przyjaciółki.

Czerwony Płomień wypalił dwukrotnie z muszkietu i sięgnawszy po łuk, strzelał jak automat. Celował krótko; jego pociski trafiały niezawodnie.

Amerykańska jazda docierała już do obronnej linii Indian. Spośród chat wyłonili się czerwonoskórzy jeźdźcy. Bęben zawarczał głucho, rytmicznie.

Na ten sygnał wojownicy, wznosząc okrzyki wojenne, zasypali nieprzyjaciela chmarą strzały i kul. Do przeciwnatarcia ruszyła indiańska konnica.

W atakujących szwadronach, dobrze już przeredzonych, powstało zamieszanie; gwałtownie zawrócili. Uchodzącego nieprzyjaciela ostrzelano, nie podejmując pościgu.

Dalsza część dnia minęła spokojnie. Po obu stronach nie podejmowano żadnych działań. Wieczorem Czarny Jastrząb polecił wysunąć wzmocnione straże daleko na przedpole. Obawiał się podstępu białych lub nocnego ataku. Nic się jednak nie działo.

Po północy, z wyprawy poza Rock River, wrócił Ebunseh, Gamesett i Okrągły Orzech. Przynieśli pomyślne informacje. Brzeg Rzeki Kamiennej i przestrzeń ciągnąca się aż do puszczy w pobliżu Edwards River były bezpieczne.

Sachem, po wysłuchaniu relacji, natychmiast ściągnął zaufanych naczelników. Przedstawił im swoje wnioski i propozycje, a były one niezwykle odważne.

- Mój brat proponuje przeprowadzić rodziny na drugą stronę Rock Ri-ver? — Took-suh był zdumiony. — Czy to możliwe?

- Miczi-malsa nie mają armat, ostrzeliwać rzeki nie mogą — wyjaśniał Czarny Jastrząb. — Kule ze strzelb nie osiągną ludzi, bo przeprawa odbywać się będzie zbyt daleko od lewego skrzydła Amerykanów. Ponadto sprzyjać nam będzie noc. Dzieci, starcy i słabsze kobiety wraz z dobytkiem przepłyną na canoe i tratwach. Wojownicy i zdrowe squaw przejdą brodem. Mimo wezbranych wód jest w rzece przejście, które Saukowie kiedyś sami zbudowali, zasypując dno kamieniami.

- Myśl cenna — włączył się Ryszard Kos. — Możemy odeprzeć kilka szturmów, ale w końcu Amerykanie przełamają obronę i wejdą do Saukenuk. Wtedy byłby koniec. Opuszczenie osady — to jedyne wyjście z trudnej sytuacji.

Omówiwszy szczegóły przedsięwzięcia, rozdzielili zadania. Nie czekając świtu, przystąpiono do budowy tratw, wykorzystując materiał ze ścian wigwamów.

Następny dzień znów minął bez szturmów. Amerykanie przygotowywali większą operację, która miała, według ich planów, zakończyć się zdobyciem stolicy Indian. Czerwonoskórzy nie podejmowali akcji zaczepnych. Obie strony jedynie pilnie obserwowały swoje pozycje.

Nadszedł wieczór. Pod osłoną ciemności, zachowując ciszę, przeniesiono nad Rock River łódki, tratwy i podręczny, najcenniejszy dobytek. Ludzie, podzieleni na grupy, kierowani przez wojowników, szykowali się do przeprawy. Każdy oddziałek wiedział, w jakiej kolejności i w którym miejscu miał sforsować rzekę.

Tymczasem z drugiej strony Saukenuk Czarny Jastrząb przygotował wojowników do odparcia ewentualnego ataku białych. Zdjęto maskowania z trzech armat, którymi dysponowali Saukowie. Przy jednej stanął Ryszard Kos, przy drugiej sachem, a trzecią obsadził Took-suh. Do pomocy dobrano kilku wojowników.

Gdy noc już była w pełni, Waupeshek i Biały Obłok, wraz z szamanami sojusznicznych plemion, uderzyli w kotły. Wystukiwany pałeczkami rytm popłynął w mroczną dal; był ostry, niesamowity, przejmujący i zarazem dziki.

Nagle glucho sapnęło działo, potem drugie i trzecie. Na amerykańskie pozycje spadły pociski. Zadudniły eksplozje, wyrzucając w górę grudy błota, obłoki dymu i gwizdzące szrapnele.

Zawrzało wśród zaskoczonych Amerykanów. Zajmowano pośpiesznie obronne pozycje. Żołnierze, wtuleni w ziemię, słuchali gwizdu nadlatujących kul. Generał Atkinson z oficerami leżał w pobliżu swego namiotu klnąc siarczyście Indian i ich działa. A wielkie pociski co chwila wybuchały kaskadą ognia, dymu i żelaza. Między jedną a drugą eksplozją słychać było złowrogie, denerwujące dudnienie indiańskich kotłów.

Kierowani przez wojowników, zanurzeni po szyję w wodzie, z tobołami nad głową przechodzili Indianie przez rzekę. Niedaleko brodu płynęły canoe i tratwy. Obok ludzi przepływały konie i psy. Wszystko to odbywało się bez okrzyków, sarkania, nawoływań, w zupełnym milczeniu; przy monotonnej muzyce bębnow i huk armat.

Po paru godzinach wszyscy szczęśliwie przeprawili się na drugi brzeg Rzeki Kamiennej.

W Saukenuk pozostała jeszcze część wojowników. Działa strzelały coraz rzadziej, wreszcie umilkły. Zaprzęgnięte do mustangów potoczyły się nad rzekę i tu je zatopiono. Wojownicy przeszli bród.

Czarny Jastrząb spojrział na zamazane nocą kontury chat. Czuł intuicyjnie, że patrzy na osadę po raz ostatni.¹ Zacisnął szczęki aż do bólu. Odwrócił się. Ręką dał znak. Ruszyli za rozciągniętą kawalkadą.

Nim świt rozproszył mrok, ujechali około dziesięciu mil. Za nimi pozostała opuszczona osada, przed nimi rysował się ciemną smugą las.

W południe Neapope, odwróciwszy się, ujrzał słup dymu.

— Podpalili Saukenuk — powiedział z głębokim smutkiem.

Czarny Jastrząb zatrzymał mustanga. Patrzył na skłębione tumany dymu, rozświetlane krwawymi błyskami ognia. Łuna pożaru barwiła niebo.

Po twarzach kobiet płynęły łzy.

- Śpieszmy, bracia, będą nas ścigać — z trudem wykrztusił sachem. Popędzili zwierzęta.
- Co planuje mój brat? — spytał Ryszard Kos.
- Lasami skręcimy nad Me-si-kse-pe. W górnym biegu rzeka jest węższa. Tam przeprowimy sąuaw i dzieci. Niech dołączą do rodzin Winnepagów. A my wrócimy walczyć — powiedział Czarny Jastrząb.
- W pobliżu ujścia Bade Axe do Ojca Wód nurt jest leniwy — odezwał się Biały Obłok. — Na rzece rozłożyły się wysepki; tamtędy łatwo przepłynąć koryto.
- Ugh — przytaknął naczelnik.

Jechali jakiś czas w milczeniu. Kos dostrzegł Ebunseha uwijającego się obok kobiet. Z uśmiechem powiedział do Czarnego Jastrzębia:

- Mój brat niedługo wyprawi córcę wesele.
- Nameąua i Ebunseh interesują się sobą. Jeśli przeżyją tę wojnę, może się pobiorą... — odrzekł w zadumie.

Gdy armaty umilkły, generał Atkinson podniósł się z wilgotnej ziemi.

- Wreszcie przestali, diabelskie syny — rzucił przez zęby. — Co teraz zrobią?... Zaatakują?...
- Za tym ostrzałem coś się kryje — powiedział Winfield Scott.
- Tylko co? — dodał pułkownik Taylor.
- Te przekłete bębny gorzej denerwują niż wybuchy pocisków. — Atkinson usiłował nasunąć czapkę na uszy. — Nie mogę słuchać.

Dudnienie płynęło jednostajnym, monotonnym, niesamowitym rytmem, wywołując w duszy rozdrażnienie i jakiś dziwny niepokój.

- Chcą nas przestraszyć i psychicznie załamać — orzekł Reynolds.
- Dla nich każdy rytm, każdy ton ma swoją treść — powiedział Scott. — Indianie mogliby nam wyjaśnić znaczenie tych głosów. Są tu przecież wojownicy Keokuka i Osagowie. Każcie, sir, przywołać któregoś z nich.
- Wczoraj odeszli — odparł Atkinson. — Poleciałem im pilnować naszych tyłów. Obawiam się odsieczy.

- Trzeba kończyć z Saukenuk, generale — rzekł Taylor. — Przedłużanie oblężenia działa na korzyść czerwonoskórych.

- Gdybyśmy wczoraj zaatakowali — odrzekł Atkinson — a przeciwnik użyłby armat, stracilibyśmy masę ludzi.

- Trzeba zastosować podstęp, inaczej będziemy tu stać długo, mimo naszej zdecydowanej przewagi — powiedział Reynolds.

- Słusznie... — Atkinson urwał zaczęta myśl.

Indiańskie bębny umilkły. Zaległa cisza, której nawet szum płynącej wody w rzekach nie potrafił zmącić.

- Nareszcie — Atkinson odetchnął z ulgą, popatrzył na granatowy strop nieba i spytał: — Daleko do świtu?

- Około dwóch godzin — odparł Taylor.

- Rano podejmiemy ostateczną decyzję. Trzeba skończyć z Czarnym Jastrzębiem i jego zgrają. — General popatrz! w kierunku osady. — Pewnie chcieli nas zmęczyć nocnym ostrzałem i bębnami, abyśmy w dzień nie mogli podjąć działań — zrobił krótką pauzę i dokończył: — Sprawdźcie, jakie spustoszenia wyrządziły eksplozje. Gdyby coś zaszło, meldujcie. Muszę przespać się choćby parę minut. Jestem zmęczony.

Mrok wolno ustępował światłu poranka.

Zachary Taylor obszedł stanowiska swoich oddziałów. Żołnierze, znużeni bezsennością i denerwującą nocą, drzemali z bronią w ręku, gotowi w każdej chwili stanąć do walki. Czuwały tylko straż. Mijał samotny świerk, gdy usłyszał za sobą: „Panie pułkowniku!” Odwróciwszy się, zobaczył biegnącego Lincolna.

- Co takiego, kapitanie? — spytał.

- Tam dziwnie cicho — Lincoln wskazał ręką na osadę.

— Zawsze zachowują ciszę.

Lincoln pokręcił głową.

- Obawiając się ataku, gdy przestali strzelać, wysłałem zwiad. Wrócił przed chwilą. Żołnierze mówią, że okopy czerwonoskórych są puste, a osada robi wrażenie, jakby w niej nie było ludzi.

- Może knują jakiś podstęp? — Taylor zastanawiał się przez chwilę. — Hmm... Uciec przecież nie mogli, bo którędy?

- Znają tu każdy kamień w rzece — powiedział Lincoln.

- Wyślijcie jeszcze raz zwiadowców. Teraz jest dość widno, więcej zobaczą — polecił pułkownik. — I natychmiast zameldujcie Atkinsonowi o wynikach rekonesansu. Będę u niego.

General, przeciągając się sennie, słuchał relacji Taylora.

— To niemożliwe, pułkowniku — rzekł z powątpiewaniem. — Przypuścicie, że sforsowali rzekę? Bez zwrócenia naszej uwagi? Et...

- Huk armat i warkot bębnowy głośzył odgłosy przeprawy.

- Poczekajmy do powrotu zwiadowców, sir — Atkinson usiadł na okrytym kocem ziemnym kocyku, zastępującym taboret.

Minęło kilkanaście minut. Do namiotu wszedł kapitan Lincoln i wachmistrz Armstrong. General, nie czekając na meldunek, spytał niecierpliwie:

— Jakie wyniki zwiadu, kapitanie?

— Nie ma w osadzie Indian, sir. —

Atkinson wstał pełen zdumienia.

— Czyż to możliwe? — rzucił pytanie nie wiadomo do kogo. Zrobił

krok ku wyjściu i rozkazał: — Trąbić wsiadanego. Ruszamy! A wy,

pułkowniku — zwrócił się do Taylora — wyślijcie tropicieli, niech ustalą,

którędy opuścili osadę. Guy Winters zna się na śladach...

Słońce weszło ponad puszcze i równiny. Ciepły wiatr roznosił wonie wiosny. Żołnierze wyciągali z wigwamów stopy skór, plon zimowych łowów, i pozostawione z konieczności rękodzieła kobiet. Układali to poza osiedlem. Później podpalono chaty.

Ogień, hucząc i trzeszcząc, niszczył stolicę nieujarzmionych Sauków i Foxów.

General Atkinson w otoczeniu oficerów patrzył na rozszerzający się pożar. Na jego obliczu nie było zadowolenia. Płonęły wprawdzie wigwamy Saukenuk, ale sprytny nieprzyjaciel uszedł z zastawionych

kleszczy, a stało się to przez krótkowzroczność sztabu, gdyż nie obsadzono wojskiem drugiego brzegu Rock River.

— Będziemy ich ścigać — powiedział szorstko i buńczucznie. — Drugi raz nie popełnimy błędu...

POGROM

W połowie czerwca Saukowie dotarli nad jezioro Mille Lacs i rozbili obóz. Kobiety i dzieci, a zwłaszcza starcy, zdrożeni forsownym marszem, ledwie trzymali się na nogach, a przecież czekała ich jeszcze niełatwa przeprawa przez Missisipi. Musieli więc odpocząć.

Czarny Jastrząb był przygnębiony. Zaraz po opuszczeniu Saukenuk odeszli wojownicy Miamisów i Peoriów; w rejonie Wisconsin River bez słowa pożegnania oddalili się Ottawowie i Pottawatomi; nad Red Cedar

River Wędrujący Jeleń — wódz Kickapuzów, podszedłszy do sachema, powiedział:

- Wybacz, wielki bracie, ale; Rada Starszych poleciła Kickapuzom odejść na północ, wraz z Czipewejami.
- Samotnie trudno będzie obronić się przed Miczi-malsa — odparł sachem. — Czyż nie rozumiecie, że tylko w połączeniu stanowimy siłę zdolną oprzeć się białym?
- Pojedynczym plemionom łatwiej ująć pogoni — odparł wymijająco Wędrujący Jeleń opuszczając oczy.

- Mój brat błędnie rozumuje...

- Żegnaj, Czarny Jastrzębiu — powiedział cicho i oddalił się zakłopotany.

I oto przy Saukach i Foxach zostali wojownicy Winnepagów i garstka Szawanezów. Czyż mogli, dysponując tak znikomą siłą, prowadzić skuteczną walkę z Amerykanami?

Sachem, oparłszy się o pień jesionu, stał nad jeziorem zadumany. Zastanawiał się nad losem swego ludu. Ciężkim brzemieniem przygniatała go beznadziejność sytuacji. Jednak ciągle jeszcze ludził się nadzieją, że uda się zakończyć wojnę pokojem i powrotem Sauków na ojczystą ziemię.

- Smuci się serce mego brata — powiedział Ryszard Kos podchodząc do sachema.
- Czarny Jastrząb rozmawiał ze swymi myślami — odrzekł wódz. — Teraz będzie mógł rozmawiać z Czerwonym Sercem.

- Mój brat trapi się odejściem sojuszników?

- Ugh.

- Plemienni wodzowie nie potrafią ogarnąć złożoności problemu, dlatego Amerykanie zawsze będą mieli przewagę nad wami.

- Co Czerwone Serce radzi?

- Trudno tutaj coś poradzić — odparł Kos. — Trzeba za wszelką cenę uciec przed pościgiem Amerykanów i wówczas można pomyśleć o zmobilizowaniu nowych sił do walki.

- Za parę dni przeprawimy się przez Me-si-kse-pe.

- Radzę lasami pójść do Kanady. Amerykanie granicy nie przekroczą — podsunął propozycję Ryszard. — Jako dawni sojusznicy Kanadyjczyków będziecie tam bezpieczni.

- A kraj?... A prochy ojców?....

— W Kanadzie Czarny Jastrząb przygotowuje się do nowej wojny.

Sachem patrzył na srebrem migocące fale.

- Zza Missisipi bliżej do kraju Sauków — odrzekł.

- Amerykanie bez skrupułów mogą wejść na Wielką Pustynię, ale kanadyjskiej granicy nie przekroczą — przekonywał Kos. — Część Szawanezów żyje tam spokojnie.

- To ostateczność — po dłuższym milczeniu odrzekł sachem. — Przeplniemy Wielką Rzekę w pobliżu Bade Axe, aby połączyć się z rodzinami Winnepagów. Czarny Jastrząb nie może pozostawić największych sojuszników, a oni bez swych żon i dzieci nie pójda do Kanady.

- Mój brat postępuje szlachetnie, ale nie wszyscy Winnepagowie zasługują na taką przyjaźń — odrzekł Ryszard. — Wielu z nich opuściło Sauków i swego szamana, Białego Obłoką.

- Dawno nie widzieli się z rodzinami...

- Podobno niektórzy dali się przekupić Amerykanom. Tak twierdził Szybkonogi Jeleń.
- Wszędzie znajdują się zdrajcy — odparł sachem. — Biały Obłok i część jego wojowników są z nami. Nie mogę ich zawieść.

- Można wysłać posłańców, którzy poprowadzą rodziny Winnepagów do Kanady, i spotkacie się w umówionym miejscu, na przykład nad granicznym Jeziorem Leśnym.

- Nie wiem, czy ludzie wytrzymają dalszą drogę. Wloką się resztkami sił. — Czarny Jastrząb w zamyśleniu pochylał głowę. — Amerykanie zgubili nasz trop, ale odnajdą go niebawem. Gdyby doszło do bitwy, mielibyśmy nikłe szanse zwycięstwa. Przejdziemy, bracie, za Missisipi, j Białym przecież o to chodzi. Tam dadzą nam spokój.

Po dwudobowym odpoczynku wyruszono w dalszą drogę. Amerykanie! musieli zgubić ślad — tak przypuszczano — bo zwiadowcy nigdzie nie natrafili na nich. Raz tylko daleko w stepie przemknął mały oddział Osagów, i to wszystko. Spokojnie więc dotarli w bory nad Missisipi, w pobliżu Bade Axe. Przeszukano teren i nie odkryto żadnych śladów.

Knieja była tu gęsta, rozśpiewana ptactwem, pełna poszumu i dzwoniąca niezliczoną ilością owadów. Z wysokich traw wychylały się kwiaty p jaskrawych barwach; różnego rodzaju chwasty bujnie krzewiły się wokół karłowatych cyprysów, drzew tulipanowych i dorodnych leszczyn. Potężne dęby, jesiony, buki i hikory, dostojne w swym majestacie, pięły się w gó^ę, zasłaniając koronami błękit czerwcowego nieba.

Missisipi toczyła tutaj swe wody spokojnie i cicho. Drugi brzeg, także pokryty puszcza, stał w ulewie słonecznych blasków. Śmigłe rybit\jvy, pokrzykując, przelatowały nisko nad wodą. Złociły się chybrotliwe waiki.

Na rzece, rozrzucone tu i tam, wznosiły się małe wysepki, stwarzając wyśmienite warunki da przeprawy przez koryto Ojca Wód.

Niezwłocznie przystąpiono do budowy tratw. Ścinano drzewa, krzewy i trzciny. Zbite drewnianymi kołkami, wplecione łykiem i obwiązane sznurem tratwy układano na brzegu. Pracowali prawie wszyscy. Trzeba było na tych prymitywnych tratwach przewieźć ponad dwa tysiące ludzi, konie, psy i dobytek, uniesiony z Saukenuk. Musiały więc być dość mocne i wielkie, aby mogły pomieścić wszystko i utrzymać powierzony im ciężar. Czarny Jastrząb me godził się na przeprawę grupami, bo trwałoby to zbyt długo. Chciał jak najszybciej znaleźć się na zachodnim wybrzeżu Missisipi. Dlatego potrzeba było dużo tratw. Po tygodniowej harówce Indianie ukończyli pracę.

W słoneczny dzień 30 czerwca 1832 roku spuszczone tratwy na wodę. Załadowane ludźmi i dobytkiem wolno odbiły od brzegu. Rozmieszczeni po bokach mężczyźni wiosłowali energicznie, z trudem walcząc z prądem rzeki, bo choć płynęła tu leniwie, miała dość siły, by przeciwstawiać się ludzkiemu wysiłkowi.

Na masywnej tratwie, otoczony synami, w towarzystwie Neapope'ego i Waupesheka, stał Czarny Jastrząb. Na środku, posłuszne jak psy, leżały mustangi. Wojownicy pracowali wiosłami, aż mięśnie ich ramion na-ibrzmiewały w wielkie i twarde węzły. Tratwa sunęła powoli, rozgarniając imętne, zielonkawe wody.

'Kilkanaście jardów za naczelnikiem płynęła jego żona Śpiewający Ptak i Córka Namequa, Promyk Księżyca, kilka kobiet z niemowlętami i Wioślarze, wśród których był Ebunseh i Czerwony Płomień. Za nimi poruszały się inne tratwy, wypełnione rodzinami Sauków i Foxów. \ Ryszard Kos i Took-suh przewodzili Szawanezom, skupionym na czterech tratwach. Nieco dalej płynęła flotylla Winnepagów, dowodzona przez Białego Obłoka.

Słońce srebrzyło zgięcia fal. Spłoszone ptactwo odleciało. Jedyne oWady unosiły się nad ludźmi. Pluskały łopatki wiosel i niósł się szmer rzeki.

Znaleźli się na środku Missisipi. Minęli wysepkę pokrytą bujną zielenią i zbliżali się do drugiej, gdy niespodziewanie usłyszeli rytmiczny stuk pracującej maszyny i zobaczyli najpierw kłęby burego dymu, a potem wysuwający się spoza wyspy statek. Płynął szybko. Na prawej burcie czejmil się wielki napis: „V> amor””. Z pokładu patrzyły na rzekę okrągłe otwory armatnich lui.

Czarny Jastrząb błyskawicznie zrozumiał grozę sytuacji.

— Do wysp! Do wysp! — krzyknął.

Huk sześciofuntowych dział wstrząsnął ciszą. Eksplozje wyrzuciły w powietrze słup wody.

Zagrzechotały karabiny żołnierzy leżących na pokładzie.

Indianie sięgnęli po strzelby i łuki. Kule i strzały uderzyły w statek, nie czyniąc mu żadnej szkody.

Któraś tratwa, trafiona armatnim pociskiem, rozleciała się na kawałki. Prąd unosił kwiczące konie. Ludzie płynęli do zbawczych wysepek.

„Warrior” prując wodę ostrym dziobem, szedł wprost na indiańską flotyllę. Żołnierze bez pośpiechu wybierali cel.

To tu, to tam ginie wojownik, kobieta, dziecko. Pociski z dział trafiają coraz celniej. Ranni ostatkiem sił próbują płynąć. Wzburzone wybuchami fale unoszą ciała zabitych. Krzyczą przerażone dzieci. Strzał pada za strzałem. Gwizd kul. Pękające pociski wyrzucają w powietrze kawałki tratw i ludzkie strzępy...

Ebunseh, klęcząc na jednym kolanie, strzela. Dostrzegł Amerykanina, który wychylił głowę. Błyskawicznie nacisnął cyngiel. Huk. Głowa znikła.

— Płyńcie do wyspy! Do wyspy! — woła przekrzykując piekielną kanonadę.

Jedni z wysiłkiem wiosłują, kierując tratwę do niedalekich wysp; drudzy ostrzeliwiają statek. Kobiety leżą na środku. Czerwony Płomień, podobnie jak Ebunseh, wysyła strzałę za strzałą.

Statek wpłynął między indiańską flotyllę. Teraz Amerykanie mają doskonałe pole obstrzału. Z wysokiego pokładu lecą kule na bezbronnych Indian. Do dalszych tratw strzelają armaty. Śmierć zbiera krwawe żniwo.

Jako pierwsza dotarła do wysepki tratwa Ebunseha. Szawanez, wyskoczywszy na brzeg, pomagał kobietom wejść na ląd. Wojownicy przenieśli toboły i mieli już ruszyć do pobliskiego lasu, gdy z zarośli huknęły strzały. Czerwonoskórzy zauważyli żołnierskie mundury. Z determinacją poszli do ataku. Cóż im zostało?... Zginać po bohatersku.

Przyczajony za krzakiem oficer trącił leżącego obok mężczyznę.

- Patrz, co za przypadek — powiedział ze zdumieniem i radością. — To przecież Aneta.
- Niewątpliwie — odrzekł czarnobrody podnosząc sztucer.

-! Nie strzelać do kobiet! Wziąć je żywe! — zawołał oficer. — Ognia i naprzód! Przed Ebunsehem wyrósł wysoki, barczysty żołnierz. Ciał z rozmachem

szablą. Szawanez uchylił się i uderzył tomahawkiem. Amerykanin, zatoczywszy się, padł w przybrzeżne trawy. W tym momencie czyjeś ręce chwyciły Ebunseha z tyłu, stracił równowagę. Szarpnął się raz i drugi; z trudem wyrwał się z mocnych objęć i stanął ciężko dysząc! Ujrzał pistolet w ręku białego. Błyskawicznie pochylił się do przodu. Trzasnął strzał. Gorący podmuch dymu zmieszanego z iskrami prochu owiał twarz Szawaneza. Nic więcej nie czuł. Skoczył jak puma. Przeciwnicy, zważywszy się, padli na ziemię w śmiertelnym zmaganiu. Brzeg opadał tu stromo ku rzece. Potoczyli się jak kłody i chlupnęli w wodę. Na ułamek sekundy zelżał uścisk żołnierza; to wystarczyło Ebunsehowi, by sięgnąć po nóż u pasa i na oślep pchnąć w pierś białego. Czas był najwyższy. Brak powietrza zaczynał Szawanezowi rozsadać płuca. Wynurzył więc głowę i rozwartymi ustami odetchnął. Tuż-tuż kolo niego plusnęła kula. Z brzegu strzelał doń jakiś żołnierz. Dał nurka w głębie i popłynął z prądem.

Czerwony Płomień z sześcioma wojownikami walczył zapamiętale. Strzelbą osłaniał się przed szablami Amerykanów, z trudem odparowując ciosy. W chwili gdy powalił kolbą jednego z napastników, otrzymał uderzenie. Ostrze przejechało po prawym policzku od skroni aż po szczękę. Upadł tracąc przytomność.

Pozostali Saukowie, obskoczeni przez liczne przeciwnika, po zaciętej walce, legli z honorem.

— Nie dopuszczać do wyspy czerwonoskórych! Strzelajcie! — Niech ich pochłonie rzeka! — krzyczał oficer.

Brzegi wysepek błyskały ognikami wystrzałów. Żołnierze nie śpieszyli się. Długo celowali. Czuli się pewnie. Ze strony Indian niewielkie groziło im niebezpieczeństwo.

Żonę Czarnego Jastrzębia i towarzyszące jej kobiety zawleczono w głąb wyspy.

• Popatrz, Guy — powiedział porucznik Jeff Birgens wskazując Promyk Księżycyca. — Znowu trafiła w moje ręce.

• Phi... — wydał wargi czarny Winters. — Tamta ładniejsza. Ciekawe kim jest? — Zrobił krok do przodu i zapytał w języku Sauków: — Jak się nazywasz? — Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, dotknął łufą strzelby piersi dziewczyny i zawołał: — Do ciebie mówię, słyszysz?

- To moja córka, Nameąa — powiedziała Śpiewający Ptak.
- A ty czyją jesteś sąwaw? Jakie nosisz imię?
- Jestem Asshaweąa, należę do sachema Sauków i Foxów — odparła z dumą.
- Oooo... — zdziwił się Winters. — Ale chwyciliśmy kęsek!

Tymczasem Indianie pod gęstym ogniem płynęli ku zachodniemu brzegowi lub omijając wysepki,

spływali z prądem rzeki.

Armatni pocisk trafił w róg tratwy, na której żeglował Ryszard Kos. Sam nie wiedział, kiedy znalazł się w wodzie. Gdy wychynął, by zaczerpnąć powietrza, wokoło pluskały niczym grube krople deszczu karabinowe kule. Co prędzej dał nurka. Znów nabrał tlenu w płuca i znikł pod powierzchnią. Tak odpływał coraz dalej i dalej. Wreszcie wynurzywszy się, legł na wznak, poddając się nurtowi. Minął właśnie wyspę, z której Amerykanie ostrzeliwali tratwy i spostrzegł, że znajduje się w środku rzecznej koryta. Słabł. Tracił siły. Ubranie ciążyło, nabrzmiało wodą. Mdlały ręce. W piersiach brakło tchu.

Nagle ujrzał przed sobą pień drzewa, prawdopodobnie z rozbitej tratwy. Zmobilizował siły. Dopłynawszy, objął go ramionami i głęboko odetchnął.

Kilkanaście traw dowodzonych przez Czarnego Jastrzębia w grzmocie pękających pocisków, pod karabinowym ostrzałem dopływało do zachodniego brzegu Ojca Wód. Pierwsi wojownicy wyskoczyli na wybrzeże. W pośpiechu przenosili dzieci, pakunki i wypędzali na ląd konie. Czarny Jastrzęb, nieruchomy jak posąg, z głębokim bólem patrzył na krwawą tragedię rozgrywającą się na rzece. Niektórzy wojownicy z bronią razili żołnierzy na statku, ale odległość nie dawała szans trafienia. Kobiety, kryjąc się w nadbrzeżnych zaroślach, tuliły płaczące dzieci.

Wyładowano następnych parę traw, gdy wśród pobliskich drzew rozległ się sygnał wojskowej trąbki. Saukowie zastygli nieruchomo. Złowieszcze przecucie ścisnęło ich serca. Usłyszeli słowa głuszone kanonadą wystrzałów:

— Z rozkazu generała Atkinsona mówi do was Izaak Gallanda.

Jesteście otoczeni przez wojska Unii i wojowników Osagów. Poddajcie się!

Przez chwilę Saukowie stali jakby porażeni dziwną niemocą. Pierwszy odezwał się Neapope. Głos mu chrypiał desperackim zacietrzewieniem:

— Nigdy! Wolę śmierć!

Czarny Jastrzęb wolno podszedł do konia i wskoczył na grzbiet nie okryty siodłem ani derką. Rozkazał:

— Wsiądźcie na mustangi. Piesi niech trzymają się razem. Zachowujcie spokój. Paru wojowników niech zostanie z kobietami — wskazał ręką na zaleknioną gromadkę.

Podniósł rękę.

• Hej, Miczi-malsa! — zawołał. — Idziemy do was.

• Zostawcie broń! — krzyknął Gallanda.

— Złożymy ją u stóp Długich Noży — odpowiedział sachem.

Posuwali się stępa, krok za krokiem. Czarny Jastrzęb strzelbę położył w poprzek grzbietu wierzchowca. Przygnębiony opuścił nisko głowę. Za nim jechali synowie i szli najwybitniejsi wojownicy, weterani wojen, z którymi przeżył niejedną bitwę. Była ich garstka. Zaledwie stu pięćdziesięciu. Na rzece ginęły ich dzieci i żony. Te, które wyładowały z nimi, czekał niewiadomy los. Tak czy inaczej, nie mogły liczyć na litość najeźdźcy. Więc skoro mają zginąć, niech też zginie wielu białych Amerykanów.

Znaleźli się blisko rozciągniętej w lesie linii przeciwnika. Sachem, podniósłszy skamieniałe oblicze, ogarnął wzrokiem stanowisko wroga. Widział zimne, trochę zaciekawione spojrzenia białych i palających jadem nienawiści Osagów. Zza drzewa wyszło dwóch ludzi.

— Zatrzymajcie się. Tutaj musicie złożyć broń.

Poznali mówiącego. Był to Gallanda, w towarzystwie kapitana, który przed laty odwiedził Saukenuk.

Czarny Jastrzęb, 'nie zatrzymując konia, odpowiedział:

• Dobrze, tu złożymy naszą broń.

I Powolnym ruchem

uniósł strzelbę i nagle spinając mustanga, krzyknął:

• Naprzód! Śmierć Długim Nożom!

Runęli na Amerykanów. Padły po obu stronach strzały i już zwarli się w walce wręcz. Sachem, ująwszy strzelbę za lufę, młócił nią jak maczugą po głowach żołnierzy. Z rozwartymi szeroko oczami, z obliczem osmolonym dymem wystrzałów, parł naprzód, a za nim gromada walecznych straceńców. Krok za krokiem przedzierali się przez amerykańskie szeregi. Ginęli żołnierze i wojownicy.

Sachem z zimną krwią panuje nad sytuacją: widzi wokoło wszystko, przekrzykując bitewną wrzawę, wydaje rozkazy; uderza kolbą, jak kowal młotem.

Neapope zadał jakiemuś oficerowi śmiertelny cios tomahawkiem. Z determinacją walczą Nasheakusk i Gamesett, Orzeł Prerii i stary szaman Waupeshek. Żołnierze odskakują na boki otwierając drogę Saukom.

Nie strzelają za nimi. Zamieszanie jest tak wielkie, że nie zawsze można odróżnić Indianina od białego. Jeszcze kilka minut niesamowitych zmagania i przed Saukami otwiera się wolny las.

Uciekają kryjąc się za drzewami i roślinnością poszycia. Za nimi puszcza drży od wystrzałów. Kule tną powietrze, obcinają gałązki i liście, głucho stukają w drzewa. Trafiony w szyję Orzeł Prerii krwawi. Struga czerwieni zalewa mu jelenią bluzę, farbuje prawy bok, spływa na kolano i sierść mustanga. Ostatnim wysiłkiem ranny przemyka między krzewami. Na opatrunek nie ma czasu. Wróg idzie za nimi i strzela.

Przed czerwonoskórymi wyrasta dość strome, zalesione wzgórze. Wspinają się i stają się lepiej widoczni dla Amerykanów, którzy zajmują pozycje u podnóża i starannie celują. Co chwila ginie Sauk. Odstrelili wując się, z trudem wyszukują dla siebie osłony za pniami i we wgłębieniach gruntu. Wreszcie docierają na szczyt. Puszcza ścieli się tu równa jak stół.

Czarny Jastrząb przebiega oczami po ludziach. Czterdziestu. Z kniei wychodzi jeszcze trzech. Jeden w skrzepach krwi. W źrenicach sachema zapala się ból.

— Zróbcie opatrunek — szepce zeskakując z wierzchowca.

Waupeshek spieszy z pomocą. Wojownicy przypadają w zaroślach obserwując nieprzyjaciela.

Rozcięta bluza Orła Prerii odsłania postrzał. Szaman krytycznie kręci głową obwiązuując szyję rannego.

— Synu... — szepce sachem i milknie; coś ściska mu krtań. Opanowuje się, woła: — W drogę!

Idą puszcza na zachód, przed siebie, byle jak najdalej od okrutnego wroga. Nie zacierają śladów, bo nie ma kiedy. Będą to czynić dopiero po całonocnej wędrówce, a do nocy jeszcze daleko.

Po godzinnym marszu Neapope podniósł dłoń.

— Cicho — powiedział.

Zatrzymali się nasłuchując. Przed nimi szeleściły zarośla. Przyjaciel czy wróg?... Z krzaków wychynał jeździec. Obserwował Sauków. W rękę trzymał włócznię ozdobioną czarnymi piórami kruka.

• Wojownik Winnepagów — z ulgą powiedział Waupeshek i zawołał: — Witaj, bracie!

• Mały Wilk nie jest już bratem Sauków i Foxów Czarnego Jastrzębia. Jest posłem — odparł wyniośle.

• Posłem?... Czym? — spytał zdziwiony Neapope.

• Śmierci! Oto jej znak! — Cisnął włócznię.

Wbiła się w ziemię u nóg mustanga sachema. Na jej drzewcu chwiały się czerwono-czarny wampum.

Nim Saukowie ochłonęli z zaskoczenia, wojenny krzyk Osagów nappełnił las. Winnepago cofnął się za krzaki. Zadudniły strzelby. Cienko zabrzczały ciężki łuków. Waupeshek, trafiony w pierś, osunął się konając. Zaroilo się od Osagów idących do szturm. Było ich dużo, bardzo dużo.

— Zdrajcy — szepnął sachem i ruszył pierwszy na atakujących.

Błysnęły tomahawki, zaśniły noże. Rozgorzał rozpaczliwy, zdawałoby się, beznadziejny bój.

Czarny Jastrząb ze zmarszczonym czołem, z tomahawkiem w jednej, ze strzelbą w drugiej ręce, rąbie jak drwał. Za nim i po bokach posuwają się jego synowie i wojownicy. Ginę Osagowie. Topnieją i tak niewielkie szeregi Sauków. Sachem w ciżbie walczących dostrzega wodza czerwonoskórych przeciwników. To znany z okrucieństwa Wuna. Umalowaną w wojenne barwy twarz wykrzywia mu grymas nienawiści. Właśnie zręcznie odparował wymierzony w niego cios i rąbnął siekierą w bark Szerokiego Mokasy, który osalniał Orła Prerii. Podniósł broń do nowego uderzenia. Potem pochylił się i po minucie potrząsnął skalpem, trzymanym w lewej ręce.

Czarny Jastrząb z trudem przybliżył się do naczelnika Osagów i rzucił swój topór. Ostrze trafiło w potylicę. Osag padł na zlaną krwią leśną ruń. Krzyk grozy rozległ się wśród napastników.

Saukowie natarli ze zdwojoną energią i wyszli poza otaczających ich Osagów. Odparowując ataki i ostrzeliwując się, uchodzili puszcza. Przeciwnik bezustannie następował im na tyły. Gdy zapadł mrok, umilkł huk broni. Saukowie brnęli dalej przez knieję, dobywając ostatnich sił, by odejść jak najdalej od nieprzyjaciół.

O brzasku natrafili na płytki strumień. Tu zatrzymali się na krótki odpoczynek. Konie same weszły w rzeczkę i łapczywie piły wodę.

Czarny Jastrząb oparł się plecami o jodłę. Olbrzymie znużenie malowało się na jego obliczu. Miał przecież poza sobą sześćdziesiąt pięć lat niełatwego życia. To, co dzisiaj przeżył i czego dokonał

przedzierając się przez zastępy wrogów, było heroicznym bohaterstwem.

Podeszli do niego Nasheakusk i Gamesett. Nie mieli odwagi przemówić do ojca. Z synowską miłością patrzyli na jego poradloną twarz, zapadnięte oczy i nerwowe drganie kącików warg.

• Orzeł Prerii odszedł do Krainy Wiecznych i Spokojnych Łowów — powiedział cicho sachem. — I my wkrótce tam pójdziemy...

• Był ranny, może go oszczędzili — z nikłą nadzieją, nieśmiało szepnął Gamesett.

Sachem pokręcił głową.

— Widziałem. Dobił go Wuna i zdjął skalp.

Pochylili w żalobie głowy.

— Zostało nas piętnastu, ojcie — po chwili ciszy odezwał się Nasheakusk.

• Wiem — odparł ze smutkiem Czarny Jastrząb i przezwyciężając zmęczenie, rozkazał: — Ruszajmy, pewnie już zaczęli iść naszym tropem. Pójdziemy korytem strumienia, aby zatrzeć ślady.

• Dokąd?

• Na razie w kierunku Psiej Prerii. Musimy zebrać rozproszonych i ocalałych ludzi. Potem zobaczymy...

Ryszard Kos, uczepony pnia, płynął z nurtem Missisipi. Rzeka wyginała się tworząc na wschodnim brzegu ciche zakole, dogodne do wylądowania. Prąd początkowo znosił pień w stronę tej zatoczki, potem zaczął spychać go ku środkowi koryta. Kos, wykorzystawszy zbliżenie, oderwał się od pnia. Z niemałym wysiłkiem wyrzucał ręce do przodu, płynąc ku brzegowi. Szczęśliwie wyszedł na ląd. Strugi wody ściekały mu z ubrania. Rozejrzał się. Wokoło dzikie zarośla. Kilka jardów dalej pięły się w niebo wysokie drzewa. Ruszył w ich kierunku. Nagle ujrzał zgniecione trawy, pochylił się nad nimi. Mogło tędy wracać od wodopoju zwierzę albo ktoś przed nim wy dostał się z rzeki. Uważnie przyglądając się tropowi, usłyszał wołanie:

— Tutaj! Hej, tutaj!

Pod klonem stał Indianin i przywoływał go gestem ręki.

Zbliżywszy się, Kos spytał:

— Sam jesteś, czerwony bracie?

• Nie, tam odpoczywają inni — wskazał na las.

• A ty?

• Sowie Oko obserwuje rzekę, może trzeba będzie komuś pomóc.

• Słusznie.

Na murawie między drzewami leżało pięciu mężczyzn i kobieta. Ryszard uśmiechnął się gorzko. Wszyscy przemoczeni do ostatniej nitki. Tacy sami rozbitkowie jak on. I nagle radością zabiło mu serce. Z głową opartą o wystający korzeń, z zamkniętymi oczami, leżał Ebun-seh.

— Nic ci się nie stało? — Kos schylił się nad Szawanezem.

Indianin podniósł powieki.

• Uff, Czerwone Serce — szepnął siadając. — Ebunseh jest zdrowy, tylko ma chorą duszę.

• Rozumiem — odrzekł Ryszard. — Myślisz o współplemieńcach i dziewczynie. Czy tak?

Kiwnął głową.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu. Słońce wisiało nad puszczą zlocistokrwa-wą luną. Zbliżał się wieczór, a z nim noc.

• Jesteśmy bez broni — odezwał się Ryszard. — Coś trzeba zrobić. Co o tym sądzicie?

• Ebunseh wraca pod Bade Axe — powiedział Szawanez. — Tam można zdobyć broń i mustangi. Trzeba też zobaczyć, co się stało z naszymi ludźmi. Część dostała się przecież do niewoli.

• Ruszajmy, szkoda każdej chwili — zgodził się Kos.

• Sowie Oko zostanie — odparł wojownik, który podszedł i przysłuchiwał się rozmowie. — Ta squaw nie da rady zrobić kroku, ledwo dyszy.

• My także zostaniemy — odezwał się starszy wiekiem mężczyzna.

• Jak chcecie — odrzekł Ryszard. — Jeśli szczęście nam dopisze, może wrócimy do was. Żegnajcie.

Szli w pobliżu Missisipi, zachowując ostrożność. Wprawdzie umilkły armaty i strzelby, ale żołnierze mogli penetrować okolice, szukając ocalałych Indian.

Była już noc, gdy dotarli do dawnego obozu Sauków, gdzie budowano tratwy. Teraz obszar ten zajmowały wojska Unii. Płonęły ognie. Bielity się płótna oficerskich namiotów. Na Missisipi, oświetlony latarniami, stał wojenny statek „Warrior”.

Podkradli się obaj pod obozowisko. Leżąc za leszczynami, obserwowali rozkrzyczanych, hałaśliwych, włóczących się żołnierzy. Z rzadka rozstawieni strażnicy chodzili powolnym, sennym krokiem, drepąc od drzewa do drzewa. W różnych miejscach, zazwyczaj w pobliżu ognisk, znajdowały się karabiny, ustawione w kozły. W północnej części biwaku, nad rzeką, pasło się stado koni. Obok okazalszego namiotu leżała sterta zagrabionych łupów: indiańskie łuki, strzelby różnego typu, tobołki, włócznie, kołczany, ubrania...

Ebunseh zbliżył usta do ucha Kosa.

- Gdy zmorzy ich sen, łatwo będzie zdobyć sztucery i mustangi — szepnął.
- Tak też myślę — odrzekł Ryszard. — Ty zajmij się końmi, ja bronią.
- Odwrotnie. Ebunseh pójdzie po strzelby, a mój brat po wierzchowce. Kos machnął dłonią.
- Jak chcesz — odparł. — Pamiętaj tylko o amunicji.
- Ugh.

— Uprorowadzę kilka koni, a ty weź zapasowe karabiny, jeśli oczywiście będziesz mógł.

— Ebunseh tak uczyni.

Leżeli długo, przyglądając się obozowi. Robiło się coraz ciszej. Po północy żołnierze usnęli. Czasami tylko ktoś pojedynczo przeszedł przez biwak. Ogniska przygasły oświetlając najbliższy teren, a dalej panowała ciemność.

• Zaczynamy — szepnął Ryszard. — Spotkamy się przy powalonym dębie, który mijaliśmy wieczorem.

- Dobrze.
- Postaraj się nie zwrócić na siebie uwagi — pouczał Kos. — Nie chciałbym uciekać przed ich pościgiem. Mamy inne obowiązki.
- Ugh.

Uścisnęli sobie dłonie i Ryszard opuścił zarośla.

Ebunseh przeczekał kilka minut i począł się czołgać. Znajdował się akurat między dwoma wartownikami, oddalonymi znacznie od siebie. Mrok ułatwiał zadanie. Szczęśliwie przeszedł obok strażników i przylgnął do sosny. Wykorzystując rosnące tu drzewa, przemykał od pnia do pnia, aż znalazł się w pobliżu najokazalszego namiotu, pod którym leżała indiańska broń. Pobliskie ognisko, choć tylko żarzyło się, rzucało krąg poświaty. Niedaleko spali żołnierze. Wahał się trochę, wreszcie pochylony podbiegł do sterty i kucnął. Zauważył kołczan pełen strzał, więc przerzucił jego ramię przez piersi i wziął łuk leżący najbliżej ręki.

Śpiący w pobliżu żołnierz, mrużąc coś, usiadł. Ebunseh padł na ziemię. Załomotało mu serce. Amerykanin, odwróciwszy się plecami do łupów, ułożył się wygodniej, narzucając na siebie koc. Szawanez odetchnął. Ostrożnie, aby nie narobić hałasu, wybrał dwa tomahawki, trzy noże i wepchnąwszy je za pas, rozglądał się za amunicją i strzelbami. Te ostatnie sterczały przywalone innym majątkiem. Były to stare, zużyte już karabiny. Nie chciał ich. Amunicji natomiast nigdzie nie dostrzegł. Postanowił zaryzykować i zabrać sztucery Amerykanom.

Omijając śpących, kryjąc się za drzewami i płótnem namiotów, podszedł w pobliże kozłów z bronią. Ognisko ledwie się tliło. Dąb rozłożystą swoją koroną zasłaniał gwiazdy. Panował tu mrok rozjaśniony nikłym odbłaskiem żaru. Było cicho.

Co to?... Ebunseh nagle wstrzymał oddech. Na gałęzi drzewa zwisało coś przypominającego nieforemną postać żołnierza. Wolno, bardzo wolno podszedł bliżej. Odetchnął. To był mundur. Dotknął i zrozumiał. Żołnierz wpadł w wodę. Ubranie powiesił, aby wyschło. Nie namyślał się ani sekundy. Zdjął bluzę i naciągnął na siebie. Była za szeroka, wisiała na nim jak worek. I dobrze, bo zasłoniła kołczan, tomahawki i noże wetknięte za pas. W tym uniformie trudniej było go rozpoznać. Teraz śmielej zbliżył się do stojących sztucerów. Przerzucił przez ramię jeden, potem drugi, do ręki chwycił trzeci i spieszenie ukrył się za dębem.

Amunicji dalej nie miał, bo jej nigdzie nie zauważył. Doszedł do wniosku, że musi odnieść broń i ponownie wrócić na poszukiwanie patronów. Ostrożnie przemknął przez obóz. Był niedaleko miejsca, gdzie szczęśliwie wyminał strażę. Chciał tą samą drogą opuścić wojskowy biwak. Spoza drzewa

obserwował mroczną przestrzeń. Gdzieś w pobliżu powinny być stanowiska wart. Z trudem odróżnił wśród majaków lasu ledwie widoczny cień strażnika. Miał zamiar rozpocząć skradanie się, gdy usłyszał poza sobą delikatny szelest. Podniósł trzymany w ręku sztucer.

Z mroku wynurzyły się dwie ludzkie sylwetki. Szły ostrożnie, jakby obawiając się czegoś. Co chwila stawały nasłuchując. Jeśli nie zmienią kierunku, przejdą niedaleko Ebunseha.

Szawanez denerwował się. Kim są ci ludzie?... Może dostrzeżono go i teraz ktoś idzie za nim? A może to Indianie, którzy podobnie jak on, odważyli się wejść w gniazdo białych, aby zdobyć broń?...

Sylwetki w szerokich okryciach przesunęły się o parę kroków od Ebunseha. Nie ulegało wątpliwości — ludzie ci chcieli niepostrzeżenie opuścić obóz. Jeżeli wejdą na strażników, co się stanie? Podniesiony alarm zagrozi Ebunsehowi i przekreśli możliwość powrotu po amunicję.

Wartownicy więcej uwagi zwracali na otoczenie obozu, bo stamtąd mogło nadciągnąć niebezpieczeństwo, dlatego dwa cienie dotarły bez trudności w pobliże strażników i dopiero wówczas je zauważono.

— Stój! Kto idzie? — padło regulaminowe pytanie.

W ciszy nocnej rozległy się kroki biegnących ludzi i zaszeleściły potrącane gałęzie krzewów.

— Stój! Stój! — wrzasnął wartownik.

Ebunseh nie czekał dłużej. Za dwie, trzy minuty zaroi się tu od żołnierzy. Pochylony do ziemi, ruszył długimi susami. Dobiegi do bujnych zarośli i kilka jardów od wartownika wpadł w krzaki. Gałęzie smagnęły go po twarzy.

Huknął strzał. Kula, zawodząc cienko, zaszeleściła w liściach. Nie zważał na to, biegł ile sił w mięśniach. W obozie narastał gwar ludzkich nawoływań. Zaraz zaczyna przetrząsać las wokoło biwaku. Nie wolno marudzić. Przeskakiwał nierówności, wymijał kępy krzaków. Zziębnięty zatrzymał się na moment, bo jeden ze sztucerów zaczął mu się zsuwać z

ramienia. Przerzucając go na plecy, usłyszał nieco z boku odgłosy biegnących. To musieli być ci, którzy tuż przed nim wyszli z obozowiska białych. Ruszył w ich kierunku. Wkrótce dojrzał przemykających między drzewami ludzi.

• Hej, zaczekajcie! — zawołał we własnym języku. Przyśpieszyli ucieczkę.

• Zaczekajcie, jestem przyjacielem! Nie poskutkowało.

— Zaczekajcie, nazywam się Ebunseh! — ponowił wołanie w dialekcie Sauków.

Jedna z postaci zawahała się i stanęła ciężko dysząc. Druga także zatrzymała się trochę dalej.

— Możecie mi zaufać. Kim jesteście?

Mrok rzedł. Nadciągały pierwsze zwiastuny brzasku. Stojący człowiek zsunął z głowy okrycie i podniósł twarz.

— Uff! — wyrwało się z ust Szawaneza. Znieruchomiał zaskoczony. Po chwili dopiero szepnął: — Nameąua.

— Ebunseh — odpowiedziała ze ściśniętej szczęściem krtani.

Przemógł uczucia gorącą falą rozlewającą się w piersi.

• Później opowiesz wszystko — wydusił z siebie. — Teraz uciekajmy. Tu niebezpiecznie. Kto jest z tobą?

• Promyk Księżyca.

• Chodźcie za mną — polecił.

Pobiegły. Ebunseh często musiał zwalniać, bo nie nadążały. Wreszcie znaleźli się obok powalonego burzą drzewa. Cekał tu z końmi Ryszard Kos.

• Wracasz w towarzystwie i z bronią, to dobrze — powiedział. — Kogo przyprowadziłeś?

• To Nameąua i Promyk Księżyca.

• Na koń! Tam coraz większy hałas — zawołał Ryszard wskazując w kierunku amerykańskiego obozu.

Ruszyli na północny wschód. Pod korony drzew poczynały przenikać pierwsze blaski wczesnego świtu.

TROPY WIODĄ W JEDNYM KIERUNKU

/f Miało się już pod wieczór, gdy po krwawym pogromie generał Atkinson rozkazał otrąbić zakończenie pościgu za rozproszonymi Indianami. Statkiem przewieziono dragonów generała obsadzających

zachodni brzeg Missisipi i ściągnięto piechurów z rzecznych wysepek. Na miejscu, gdzie Saukowie ' budowali tratwy, amerykańska armia rozbiła obozowisko. Około czterystu jeńców, wśród których większość stanowiły kobiety i dzieci (była między nimi żona sachema — Śpiewający Ptak), zostawiono pod gęstą strażą na wyspie. Łatwiej było ich tam pilnować^

Porucznik Jeff Birgens przetransportował do obozowiska wzięte do niewoli Indianki, Nameąę i Promyk Księżyca. Ze związanymi rękoma i nogami leżały w namiocie oficera. Dlaczego tak postąpił, sam nie bardzo wiedział. Trochę urażona ambicja i pycha kazały mu szukać zemsty. Po ucieczce Anety przez długi czas był przedmiotem uszczypliwych uwag i drwin. Teraz mógł się odgryźć za swoje upokorzenie. W rachubę wchodziło jeszcze coś, co wymyślił chytry Guy Winters. Otóż zdobyty w leśnym wąwozie plan pokładów miedzi i złota był prymitywnym szkicem, który można było rozszyfrować, znając dokładnie tereny między jeziorami Michigan a Górnym. To była ojczyzna Winnepagów, Czipewejów i po części Sauków. Obie Indianki mogły ułatwić odnalezienie miejsca zaznaczonego na szkicu trzema trójkątami leżącymi wśród zalesionych wzgórz.

- Jest teraz świetna okazja — mówił Winters siedząc z rozwalonymi nogami na kawałku kłody, którą umieszczono w namiocie, by służyła jako ława. — Nikt nie zorientuje się, co się stało z tobą, Jeff. Wymknąć się nam z obozu nie sztuka. Czerwonoskóre dziewczki zmusimy dobrocią albo siłą do wskazania pokładów...

- Zapominasz, Guy, że Aneta rozumie po angielsku — powiedział Birgens, ruchem głowy wskazując leżące kobiety. — Mogą nie wiedzieć o złocie i miedzi.

- Musiały coś słyszeć — upierał się Winters. — Winnepagowie wyrabiali z miedzi ozdoby i groty do strzał. Skąd mieli surowiec? A jeśli nawet one nie wiedzą nic na ten temat, to pomogą odnaleźć miejsce naszkicowane na planie.

- Spróbować warto — przyznał Jeff. — Ale nie chciałbym zostać dezerterem.

- To jak chcesz postąpić?

- Poproszę o urlop.

- Kiedy?

- W najbliższym czasie.

- Chcesz znowu włóczyć dziewczyny po fortach i kwaterach? Mało miałeś kłopotu z Anetą? Już zapomniałeś? — obruszył się Winters.

— To potrwa dosłownie parę dni — odrzekł porucznik.

Czarnobrody skrzywił się niezadowolony.

- Ciężko z tobą, Jeff, robić interesy — powiedział. — Nie mam jednak wyboru. Przy twoich oficerskich szlifach łatwiej osiągnę cel. Ale ty, beze mnie, nie doszedłbyś do niczego.

- Daj spokój — sarknął Birgens.

- Dobrze zabezpieczyłeś plan? Może teraz ja zaopiekuję się szkicem? — zaproponował Guy.

Porucznik poprawił na ramieniu pasek mapnika, dłonią przesunął po gładkiej skórze płaskiej torby i odrzekł:

- Bądź spokojny. Nie rozstaję się z planem ani na chwilę. Winters zgryźliwie zaśmiał się.

- A jeśli... — urwał nagle, bo do namiotu wszedł żołnierz.

- General Atkinson prosi was, sir, do siebie — zwrócił się do Wintersa.

- Czego chce, nie wiecie? — spytał Guy.

- Są u niego Osagowie, będziecie tłumaczyć.

Winters podniósł się bez pośpiechu. Powiedział do Birgensa:

— Jeff, przemyśl sprawę. Chciałbym tam jak najszybciej wyruszyć...

— Dobrze, Guy. Przyjdź rano. Wiesz, że dzień był ciężki, więc człowiek też ciężko myśli.

Czarnobrody wyszedł.

Do środka namiotu przez odsłonięte wejście wpadało światło niedalekiego ogniska, wywołując chybotanie przedziwnych cieni. Birgens patrzył na tańczące smugi, na złoty odbłask ognia kładący się na obliczach Indianek, na cień, który długim pasem podchodził do jego stóp i cofał się na moment, by znowu wrócić. Wstał ociężale i zbliżył się do dziewcząt.

— Śpicie? — spytał.

Nie otrzymał odpowiedzi. Pochylił się, sprawdził więzy na rękach i nogach. Były mocno zaciśnięte.

— Uwolniłbym cię, Aneto, gdybyś nie próbowała uciec — powiedział

do Promyka Księżycy, starając się nadać głosowi ciepłe, serdeczne brzmienie. — Jesteś mi potrzebna. Twoja towarzyska także. Gdybyście chciały wyświadczyć mi przysługę, wynagrodziłbym was sownie. Słyszysz? — zrobił pauzę i z przyciskiem spytał: — Dlaczego nie odpowiadasz?

Promyk Księżycy ze wstrętem odwróciła twarz.

— Wiem, że mnie nienawidzisz — mówił dalej Birgens. — Masz ku temu powody — ale jeśli spełnisz moją prośbę, naprawię wszystko i będziesz zadowolona. Nie chciałbym znowu używać przemocy. Kiedyś byłaś mi poslušna, bądź i teraz. Zgoda? — Promyk Księżycy milczała. — Nie chcesz mówić?... Zastanów się, daję ci czas do rana.

Podszedł do przeciwległej ściany namiotu. Na przygotowanej ściółce z gałęzi rozścielił indiańską derkę, umieścił obok sztucer i pas z pistoletem. Zdjął przewieszony przez piersi mapnik; zastanawiał się, co z nim zrobić, wreszcie niedbale rzucił go na posłanie. Opuścił przy wejściu płótno namiotu i nie rozbierając się legł na prowizorycznym łóżu. Mapnik podłożył pod głowę i nakrył się kocem. Gwar w obozie wolno wygasał. Zrobiło się cicho. Zmęczony przeżyciami porucznik zapadł w niespokojny sen.

Dziewczeta nie spały. Jakże mogłyby usnąć z pętami na rękach i nogach, z tysiącem bolesnych myśli, z głęboką rozpaczą w sercu?...

- Nameąua, śpisz? — szepnęła Promyk Księżycy.

- Nie mogę.

- Wiesz, czego chcą porucznik i czarnobrody? — spytała i nie czekając na reakcję przyjaciółki, mówiła: — Oni pragną, abyśmy im wskazały miejsce, skąd Winnepagowie brali żółty metal. Mają plan, ale nie znając naszego kraju, nie potrafią sami znaleźć drogi. Myślę, że mogłybyśmy spróbować ich poprowadzić i w dogodnym momencie uciec.

- Będą nas wlekli na postronkach — odparła Nameąua. — Ucieczka się nie uda. Mogą nas skrzywdzić. Sama wiesz, kim są...

- Tsss... — ostrzegła Promyk Księżycy.

Nastawiły uszu. Za płócienną ścianą usłyszały szmer ledwie słyszalnych stąpań. Ostrożnie uchyliła się zasłona w namiocie. W jaśniejszej plamie przesunął się cień. Mrok nie pozwalał dojrzeć niczego więcej. Instynktownie czuły w pobliżu obecność człowieka.

— Kto tu?! — zawołał zerwany ze snu porucznik i zamilkł.

Słychać było przyśpieszone oddechy szamoczących się ludzi. Głuche uderzenie. I cisza.

Po chwili zapłonął płomyk zapalki. Indianki zobaczyły żołnierza w stopniu wachmistrza. Rozglądnął się. Gdy płomyk zgasł, uchylił trochę wejściową zasłonę. Nikły odbłask ogniska wpełzł do namiotu. W jego świetle zobaczyły, jak nieznajomy wiąże Birgensa.

— Nie bójcie się — powiedział cicho do dziewcząt, zbliżył się i nożem krępujące je sznury. — Jesteście wolne. Weźcie broń porucznika, a tu macie zapas amunicji. Obóz jest uśpiony, strażę nieliczną. Nie dajcie się ponownie schwytać/Idźcie już.

Indianki stały zdumione, z niedowierzaniem słuchając szeptu białego żołnierza i podejrzewając go o jakiś podstęp.

- Śpieszcie się — ponaglił. — Do świtu już niedaleko.

- Kim jest biały brat? — spytała Promyk Księżycy. Położył palec na ustach.

- On żyje, kocem okryłem mu głowę — wskazał na Birgensa. — Nie może znać nazwiska. Jestem waszym przyjacielem, niech to wystarczy.

- Weź strzelbę, Nameąua — szepnęła Promyk Księżycy i podbiegła do porucznika usiłującego zerwać pęta. Pochyliwszy się nad posłaniem, odszukała skórzany mapnik i przerzuciła go przez ramię.

- Po co to bierzesz? — spytała Nameąua.

- Zobaczysz.

Wyjrzały w noc rozjaśnioną srebrnym blaskiem gwiazd. Wszędzie cicho i pusto.

- Dzięki — szepnęła Nameąua do tajemniczego wachmistrza.

- Bywaj, bracie — dodała Promyk Księżycy.

Opuściły namiot. Czujnie przemykały przez środek uśpionego obozu, zatrzymując się w cieniu drzew, aby przyjrzeć się drodze. Weszły w zarośla i wtedy rozległo się wołanie:

— Stój! Kto idzie?

Skoczyły do przodu z rozkołysanymi łękami sercami. Były jak samy zagrożone śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Izaak Gallanda i Guy Winters opuścili namiot generała Atkinsona, gdzie tłumaczyli wypowiedzi gońca Osagów. Było już po północy.

— Mam brandy — powiedział Izaak szturchając Guy łokciem w bok.

*yf Morowy z ciebie chłop. Rozumiem, że zapraszasz — Winters klepnął po ramieniu towarzysza.

- Oczywiście, chyba że koniecznie chcesz spać?
- Wolę brandy.

Gallanda poprowadził kompana w pobliże Missisipi, gdzie biwakował. Ze swej szerokiej, przepaścistej torby wyciągnął dwie butelki, wskazał stertę iglastych gałęzi i siłąc się na dowcip, powiedział:

— Siadajcie, sir, na tym miękkim fotelu. A oto puchar ze szkła z czarodziejskim płynem.

Podniósł do góry flaszkę i śmiejąc się rzucił ją Wintersowi. Czarnobrody chwycił butelkę, obejrzał ją i mlaskając językiem, odparł:

— Nie masz to jak brandy na puszczańskim szlaku. — Uderzając w spód flaszki, wybił korek i pociągnął. — Uuu... wyśmienita — sapnął oblizując ledwie widoczne wśród gęstego zarostu wargi.

Rozmawiając o wszystkim i o niczym, popijali alkoholu. Czas szybko mijał. Coraz częściej poufale prawili sobie komplementy. Nie spostrzegli, że nadciąga świt.

Nagle zadudnił huk wystrzału. Echo poniosło go w ciszę puszczy. W obozie robiło się gwarnie.

- Co się stało, słyszysz? — rzucił zaskoczony Gallanda.
 - Czyżby Indianie? Niepodobna. — Winters lekceważąco machnął ręką.
- Chodź, możemy być potrzebni — powiedział Izaak wstając.

Wlekli się, niezadowoleni, że przerwano im miłą pogawędkę. Głowy mieli mocne, zaprawione do takich trunków. Czuli jedynie lekki zamęt i dziwną niemoc mięśni. Gdy podeszli pod namiot generała, byli tu już wszyscy oficerowie. Winters szukał oczami Birgensa, ale nigdzie go nie zauważył. Spytał tego i owego, a gdy każdy wzruszał ramionami, zaniepokojony pobiegł do porucznika.

Ledwie przekroczył wejście namiotu, usłyszał mruczenie i zobaczył poruszającą się na posłaniu postać.

Zaklął i pochyliwszy się, zdjął z głowy Birgensa koc, wyjął mu knebel z ust i porozcinał pęta. — Kto cię tak urządził? — spytał i tknięty nagłą myślą spojrzął w kąt, gdzie leżały Indianki. — Już wiem, to one! — zawołał. — Uciekły. Dałeś się im pokonać?... Jak to?...

Birgens usiadł głęboko oddychając, potem wstał, wyciągnął zdrętwiałe ramiona, zrobił kilka kroków i gwałtownie wrócił do posłania. Czegoś nerwowo szukał. Potrząsnął derką i kocem, rozrzucił gałęzie. Z wściekłością rozglądał się po namiocie.

- Czego szukasz? Broni? Pewnie wzięły z sobą — powiedział Winters. Porucznik złapał się za głowę. Milczał, wreszcie wydusił z krtani.

• Ukradziono mi mapnik z planem. Winters wytrzeszczył oczy.

— Co?! — ryknął. — Mówiłem, dumiu, że się nim zaopiekuję. Bohater, którego dwie słabe dziewczyny wiążą, kneblują i okradają. Tfu!... — splunął ze złością.

- To nie one mnie związały.
- Nie one, a kto? Może duchy?
- Mężczyzna. Zaatakował mnie, gdy spałem.
- Bredzisz.
- Posłuchaj, Guy — Birgens dyszał zdenerwowany, ale stopniowo porządkował fakty, uspokajał się. — One były związane, sprawdzałem. Same nie zdołałyby uwolnić się z więzów. Gdy usnąłem, ktoś rzucił się na mnie, a potem uwolnił dziewczyny. Słyszałem szepty. Mówił po angielsku.

- Nie mylisz się?
- Nie.

- O czym rozmawiali?
- Nie rozumiałem. Koc okręcał mi głowę. Dusilem się — informował Birgens. — Potem któraś Indianka wzięła mi mapnik. Słyszałem, jak go szukała.
- Czyżby? — wąpił Guy. — Broń, to rozumiem, ale po co im płaska torba?...
- To twoja wina. Wieczorem mówiłeś o planach. Ostrzegałem cię, Guy. Zapomniałeś?
- Kim mógł być ten mężczyzna? — spytał zakłopotany Winters. — Pewnie ktoś nas podsłuchiwał, a może. Nie, to niemożliwe.
- Co masz na myśli?
- Może to ten przeklęty Moker włączający się za mną — rzucił przypuszczenie Guy.
- Niewykluczone. Mógł zakraść się do obozu.
- Tak czy inaczej, straciliśmy szanse zdobycia majątku, i to przez ciebie, Jeff. — Winters usiadł na kłodzie... — Co robić?... Co robić?... Wstał i stanowczym głosem zawołał: — Zbieraj się, Jeff! Idziemy szukać śladów. Nie mogły daleko ujść. Złapiemy te suki i dowiemy się, kto zabrał mapnik z planem.

Birgens wyraźnie się wahał.

- Nie zwlekaj! — huknął czarnobrody. — Gdybyś wczoraj mnie posłuchał, bylibyśmy już daleko stąd. To przez ciebie tak się stało. Pozwolisz teraz, żeby sprzed nosa sprzątnięto nam takie bogactwa?
- Jestem bez broni... — bąknął porucznik.
- Sztucerów po poległych żołnierzach jest pod dostatkiem. Zaraz ci przyniosę, a ty bierz, co potrzeba. Musimy być pierwsi. Za parę minut Atkinson każe przeszukać las i zdeptać ślady. Ruszaj się! Niedługo wracam.

Birgens powoli, ociężałe pakował w żołnierską torbę niezbędne przedmioty. Sam nie wiedział, co ma czynić. Zawsze musiał mieć sporo czasu do podjęcia decyzji. Był przeciwieństwem Wintersa, który błyskawicznie i z tupetem decydował o każdym swym kroku. Jeśli opuści obóz, to na zawsze zerwie z wojskiem. Był oficerem. Służba zabezpieczała mu dostatnie życie. Ale tylko tyle. Posiadanie kopalni złota i miedzi było gwarancją bogactwa i szczęścia. Czyż mógł się wahać, co wybrać? Z takim trudem zdobyli plan pokładów... Miał machnąć ręką na wszystko? Wiedział, że Winters nie cofnie się, z nim czy bez niego, pójdzie tropem Indianek. Terytorium Wisconsinu, oczyszczone z czerwonoskórych plemion, dawało możliwość swobodnego zagospodarowywania terenów. W tych warunkach budowa kopalni to jedynie formalność. Jakże mógł rezygnować? Oprócz tego ponownie został ośmieszony przez Anetę. Znowu będą z niego kpić... Nie. Pójdzie śladami uciekinierki, choćby dlatego, by dziewczynę upokorzyć i ukarać.

— Masz pistolet i sztucer — powiedział Guy wchodząc do namiotu. — Już świta. Chodź! Po drodze weźmiemy konie.

Birgens zapiął pas. Sprawdzał ładunek w pistolecie. Przerzucił przez ramię torbę i sztucer. Bez słowa poszedł za Wintersem.

Z wierzchowcami, prowadzonymi za udzy, weszli w zarośla, w których wartownik zobaczył uciekających. Guy zaczął szukać. Krążył jak wilk. Wreszcie, wskazując na ziemię, zawołał:

— Znalazłem, tędy biegły. Zobacz, Jeff.

Birgens pochyliwszy się, dostrzegł odcisnięte ślady ludzkich stóp.

— Masz rację, Guy. Prowadź.

Przeszli spory kawałek drogi z oczyma utkwionymi w trop. W kniei robiło się coraz widniej. Ptaki rozpoczynały poranny koncert.

- Trzeci człowiek — powiedział Guy wskazując na ślady. — Na nogach miał mokasyny. To Indianin, bo stopa większa... On prawdopodobnie uwolnił dziewczynę.

- W czasie szamotania czułem dotykem ubranie białego człowieka, raczej miał na sobie mundur — odrzekł Birgens.

- Mógł się przebrać...

Doszli do powalonego dębu. Guy zauważył odciski kopyt końskich. Cicho gwizdnął. Powiedział:

— Jeff, nie ruszaj się z wierzchowcami. Muszę dokładnie zbadać ziemię.

— Dobrze — odrzekł Birgens biorąc uzdę konia Wintersa.

Czarnobrody rozchyłał trawy, długo obserwował i porównywał ślady.

Wreszcie wyprostowawszy się, objaśnił:

- Patrz, tu jeden człowiek w butach, a więc biały, przyprowadził piec koni. Przywiódł je stamtąd — wskazał ręką. — Musiał czekać, bo siedział w tym miejscu na pniu. Widać świetnie odcisnięte podeszwy

obuwia. Potem nadeszło troje Indian, dosiedli wierzchowców i odjechali na północny wschód. Wyprzedzają nas około godziny, może troszkę więcej. Wiesz, zaczynam rozumieć — Winters zrobił pauzę i dokończył: — Indianki zostały uwolnione przez Andy'ego Mokera i tego Winnepagę, który nas prześladowa... Tylko po co im piąty koń?

- Może dźwiga ekwipunek.
- Chyba masz rację, Jeff — odrzekł Winters dosiadając wierzchowca. — Dopędzimy ich bez trudu, schwytamy, a z Mokerem i tym czerwonoskórym policzymy się ostatecznie.

Od strony obozowiska docierały poczęły ludzkie głosy.

— Przechesują las — zaśmiał się Winters. — W drogę.

Ruszyli śladami końskich kopyt odcisniętych na leśnej ściółce.

Żółty Liść i Andy Moker w piękny czerwcowy wieczór rozbili biwak nad małą rzeczką. Roznieciwszy niewielkie ognisko, piekli ustrzelonego z luku ptaka. Przybyli tu idąc ślad w ślad za armią generała Winfielda Scotta, z którym jako tłumacz szedł czarnobrody łotr — Guy Winters.

Oblepiony gliną ptak dopiekał się pod kopczykiem popiołu i żaru. Nad brzegiem strumienia kumkały żaby. Cienko i subtelnie wtórowały im świerszcze. Z dali płynęły głosy wyruszających na nocne łowy zwierząt. Syte wierzchowce legły w pobliżu ognia i ludzi.

- I pomyśleć, ile to już czasu wędrujemy razem — przerwał milczenie Moker. — Nauczyłem się od ciebie wiele, a przede wszystkim opanowałem wasz język. Pamiętasz, jak przed laty go kaleczyłem?

- Ugh — odrzekł Żółty Liść. — Winnepagę też nauczył się mowy białych ludzi. To zasługa mego brata.

- Obaj z naszej przyjaźni wynieśliśmy jakieś korzyści — Andy uśmiechnął się. — Gdyby nie Winters, nie zeszyby się nasze ścieżki.

Winnepagę położył nagle dłoń na zamku strzelby.

- Słyszysz, biały bracie? Moker wytyczył słuch.

- Czyżby koń?

— Ugh, zbliża się jeździec — odparł Żółty Liść. — To wojownik, bo umie zachować ciszę.

- Jeden?

- Tak wygląda...

Andy położył sztucer na kolanach. Żółty Liść kijem poprawił ognisko i znieruchomiał czujnie nasłuchując.

Stąpania rumaka stawały się coraz wyraźniejsze, później ucichły i po chwili rozległy się ponownie. Z mroku wyłonił się jeździec. Zatrzymawszy się w pewnej odległości, przyjrzał się siedzącym, potem powiedział w dialekcie Dakotów:

- Witajcie. Czy przyjmiecie wojownika Osagów do swego ogniska?

- Jesteś sam? — spytał Moker.

- Ugh.

- Możesz spocząć.

Osag podjechał bliżej i zwinnie zeskoczył z mustanga. Nie odkładając broni, usiadł.

- Odłóż, bracie, broń. Nie przeciw Osagom biegnie nasza droga — powiedział Andy i odłożył swój sztucer.

- Jeleni Róg dziękuje — odrzekł przybyły i strzelbę umieścił obok siebie. Zwrócił się do Żółtego Liścia: — Kiedyś, nad Me-si-kse-pe, Jeleni Róg poznał wojownika Winnepagów. Mój brat dotrzymał słowa i zaniósł wieści pułkownikowi Snellingowi w Wielkich Borach.

Żółty Liść, nie zaszczyciwszy Osaga nawet krótkim spojrzeniem, odszedł od ogniska.

- Niech mój brat nie zwraca uwagi na mego przyjaciela — powiedział Moker, widząc zdumienie Jeleniego Rogą. — Taki już jest, ale to szlachetny i wielki wojownik.

- Dziwny, bardzo dziwny człowiek — odrzekł Osag i spytał: — Dlaczego nie poszedł z Winnepagami do Czarnego Jastrzębia?

- Nie może albo nie chce.

- Jak się nazywa?

- Po prostu Winnepagę.

- Hmm... — mruknął Osag. — Pewnie wypędzono go z rodzinnej wioski.
- Nie pytam, niech to zostanie jego tajemnicą.
- Mój brat ma rację.

Andy rozsunął popiół i wygarnął glinianą kulę.

— Trochę ostygnie i będzie wieczerza — powiedział z uśmiechem. — Mój brat musiał odbyć długą podróż, bo mustang zdrożony. Zapraszam! do posiłku.

- Dzięki.
- Mustang ledwie trzyma się na nogach. Czyżby ktoś ścigał mego brata? — Moker prowokował Osaga do wynurzeń.
- Jeleni Róg śpieszył się do białych braci, do generała Atkinsona.
- Atkinson jest blisko. Razem z nim jest Winfield Scott — wylewnie poinformował Andy. — Jutro mój brat dopędzi żołnierzy.
- Moi bracia też tam jadą?
- Tak. Wieziemy ważne wiadomości — Moker przyciszył głos. — Waneta z Dakotami wyruszyła na pomoc Czarnemu Jastrzębiowi — skłamał zaglądając w oblicze Osaga.

Jeleni Róg zrobił zaskoczoną minę.

- Skąd wiecie? — spytał niespokojnie.
- Spotkaliśmy dakotańskich gońców — dalej brnął w kłamstwie Andy. — Jechali do Sauków.
- Gdzie ich widzieliście?
- Nad Black River.
- Uff, to mogli już dotrzeć do Czarnego Jastrzębia — powiedział w zamyśleniu. — Ja wiozę wiadomość, że Saukowie przekraczać będą Wielką Rzekę koło Bade Axe.
- To niedaleko.
- Ugh. Przed nimi i za nimi są Długie Noże. Nasi wojownicy także czuwają. Nic ich nie uratuje, nawet Waneta — powiedział z pewnością i zarozumiałstwem, a w oczach zamigotał mu zły blask.
- Osagowie i Winnepagowie mówią podobnym językiem. Należycie do dakotańskich plemion. Saukowie są z wami spokrewnieni. Dlaczego więc toczycie z sobą wojny? W ten sposób gubicie sami siebie.

Jeleni Róg wzruszył ramionami i odrzekł:

- Szamani rozmawiają z duchami dobra i zła, więc wiedzą, dlaczego tak się dzieje. Wojownicy czynią tylko swoją powinność.
- Nie tak to wygląda, mój bracie — odparł Andy i machnąwszy ręką na znak bezcelowości dyskusji, dodał: — Pieczeń gotowa. Podzielimy ją na równe trzy części.

Trzonkiem noża rozbił stwardniałą skorupę wypalanej gliny i przy pomocy ostrza podzielił pieczyste.

- Bierz, Jeleni Rogu — zaprosił. — Ja zaniosę porcję mojemu przyjacielowi.
- Czemu tutaj nie przyjdzie?
- Lubi samotność. Tak postępuje w każdy wieczór. Uszanujmy jego zwyczaje.
- Ugh — szepnął Osag.

Żółty Liść siedział nad rzeką zasluchany w muzykę wieczoru. Andy zatrzymał się obok przyjaciela; nie miał odwagi przerwać jego zadumy. Minęła dobra chwila, nim Winnepago, nie odwracając się do Mokera, powiedział:

- Mój brat przyniósł pieczeń. Dzięki. Andy podał mu porcję pachnącego mięsa.
- Cóż powiedział Jeleni Róg? — spytał.
- Amerykanie przygotowują na Sauków pułapkę pod Bade Axe.
- Musimy ostrzec Czarnego Jastrzębia.
- Koniecznie, tylko czy zdążymy? — miał wątpliwości Moker. Żółty Liść nie odpowiedział. Po długiej ciszy szepnął:
- Winnepago spędzi noc nad strumieniem.
- Jak chcesz...
- Niech mój brat wyciągnie jak najwięcej wiadomości od Osaga, to Gadatliwy Jeleń.
- Spróbuję...

Andy wrócił do ogniska i usiłując jakoś usprawiedliwić Żółtego Liścia, powiedział:

• Winnepago zapewniał wojownika Osagów o swej przyjaźni i przeproszał, że nie zje razem z nami wieczerzy.

- Szkoda — rzucił Jeleni Róg ogryzając kość obrosniętą soczystym mięsem.
- W każdy wieczór Winnepago zespala się duchowo z nocą, wodą i ziemią. Obiecał to Nabash-cisa.
- Ugh — zgodził się Osag.
- Jeśli mój brat śpieszy do generała, możemy jutro pojechać razem — zaproponował Andy, licząc, że wciągnie Osaga w rozmowę i dowie się jeszcze czegoś.

Jeleni Róg zwlekał z odpowiedzią. Przełknął kęs, oblizwał wargi i wykrętnie spytał:

- Co na to powiedziałby Winnepago?
- Ucieszyłyby się.

Osag cisnął w ognisko kość, wytarł palce o trawę, potem o spodnie i wstając powiedział:

— Mój brat pozwoli, że Jeleni Róg odpocznie.

Odszedł kilka jardów i I wyciągnąwszy się na murawie, położył lewą rękę pod głowę, a prawą na strzelbie. Zamknął powieki.

Andy długo rozmyślał, potem wygodnie ułożywszy się, patrzył w przepaścisty granat niebła utkany tysiącami mrugających gwiazd.

Do brzasku było jeszcze daleko, gdy Osag podniósł się, podszedł do mustanga, zarzucił derkę na grzbiet i zwinnie go dosiadł. W milczeniu podniósł rękę na pożegnanie. Przejechał koryto rzeczki i ruszył galopem.

Wrócił Żółty Liść. Na żar ogniska położył trochę gałęzi; na kiju zawiesił nad ogniem garnek, napełniony wodą i ziołami. Dla rozruszania się, spacerował to w tę, to i w tamtą stronę.

Andy usiadł, przeciągnął się. Powiedział do Indianina:

- Widziałem, jak odjechał. Nie chciał z nami podróżować, i słusznie.
- Wypijemy trochę gorącego napoju i pojedziemy. Może zdążymy ostrzec Sauków i Winjiegagów — rzekł Żółty Liść zatrzymując się obok Mokera.

- To nasz obowiązek.
- Pod Bade Axe pojedzie pewnie do bitwy. Niewykluczone, że nadarzy się okazja rozrachunku z Czarną Zarośniętą Twarzą — w głosie Żółtego Liścia zabrzmiały nu tiki nadziei.
- Oby tak się stało — odparł Andy. — Czarnego Jastrzębia mógł już ktoś poinformować o zamiarach Amerykanów.
- Jednak na wszelki wypadek trzeba wiadomość dostarczyć — stwierdził Żółty Liść i zdjął garnek z wrzącym napojem.

Napełnili kubki. Aromatyczny płyn orzeźwił ich znakomicie. Zwinęli biwak. Zalsypali ziemią ognisko.

Ruszyli co koń wyskoczy. Kilka dni później, Jgdę przedzierali się przez dziką knieję, usłyszeli daleki huk.

Odzywał się (cu) chwila. Echo ustokrotniało go w knieji.

- Armaty — stwierdził Andy. — To pod Bade Axe. Nie zdążyliśmy.
- Walczą... — szepnął Żółty Liść ponaglając mustanga.

Śpieszyli się. Huk stawał się coraz wyraźniejszy, głośniejszy; poczęli odróżniać karabinowe wystrzały; coraz częściej docierały do "ich uszu ludzkie krzyki, a strzelby dudniły bez przerwy.

Pod koniec dnia umilkła palba sztucerów i ciężki grzmot armat. Od czasu do czasu odzywał się pojedynczy wystrzał. Gdy zaległa noc, wszystko ucichło.

Mimo ciemności jechali puszcza, nie zatrzymując się na nocleg. Jazda była powolna i ostrożna.

Chcieli być jak najszybciej w pobliżu pola bitwy.

Rankiem przyspieszyli bieg koni. Gdzieś niedaleko huknął strzał. Zatrzymali wierzchowce.

— Jesteśmy blisko — powiedział Moker nasłuchując.

Ponieważ wokoło panowała cisza, podążyli dalej. Ujechali ze dwie mile. Do uszu ich poczęły docierać niewyraźne okrzyki, nawoływania... Wyglądało to na gwar wielkiego zbiorowiska ludzi.

W małowicznym jarze, gęsto zarośniętym kwitnącymi krzewami, zatrzymali się na naradę.

• Dalej razem jechać nie możemy — powiedział Moker. — Te odgłosy świadczą, że mamy przed sobą Amerykanów. Zaczekaj w tym jarze, a ja rozejrzę się. Jeżeli to wojsko, to wjadę do ich o bozu i zasięgnę języka. Zgoda?

- Ugh.
- Jeśli nie wrócę do wieczora, będzie to oznaczało, że źle ze mną. Wtedy działaj na własną rękę. To

tak na wszelki wypadek — mówił Andy. — Żołnierze mnie nie zjedzą, a oficerom potrafię opowiedzieć, co trzeba. Czekaj cierpliwie.

Winnepago zsiadł z mustanga, a Moker skierował wierzchowca wprost na płynące z puszczy odgłosy. Gdy podjechał pod obóz, zza drzewa wysunął się wartownik.

- Stać! Dokąd? — zawołał.
- Dokąd, pytacie? — zaśmiał się Andy. — Do was, sir. A ściślej do generała Atkinsona.

Wystarczy?

Wartownik badawczo zlustrował przybysza.

— Sami jesteście? — spytał raczej dla formalności, bo widział, że ma przed sobą jednego człowieka.

- Nie, sir, towarzyszy mi mój szlachetny koń — Andy klepnął zwierzę. Żołnierz machnął ręką.
- Jedźcie! — powiedział z uśmiechem.

Moker włókł się stępą, baczenie obserwując rozległy biwak, zatłoczony wojskiem. Liczył na spotkanie kogoś ze znajomych. Miałby wówczas ułatwione zadanie. Mijał grupę żołnierzy, więc zatrzymał się i spytał:

- Nie wiecie, chłopcy, gdzie można znaleźć wachmistrza Kena Roggisa?
- Nie znamy takiego — odrzekł starszy wiekiem wąsaty żołnierz, pewnie z pospolitego ruszenia. —

A pod czym dowództwem służy? — spytał.

I

- Nie wiem. Ostatnio stacjonował w forcie na Psiej Prerii.
- To pytajcie o armię generała Scotta lub Atkinsona.
- Dziękuję, sir.

Moker szukał dalej. Nie miał pewności, że akurat znajdzie Roggisa. Mogło go tu nie być. Jednak łudził się nadzieją spotkania przyjaciela, wychodząc z założenia, że skoro zmobilizowano czterdziestopięcioletnich mężczyzn, to tym bardziej Roggis musiał pójść na tę wojnę. Jakiś podoficer wskazał mu miejsce biwaku oddziałów Scotta. Klucząc między ogniskami i ludźmi, zaczął młodziutkiego dragona.

- Sir, gdzie znaleźć Kena Roggisa?
- Wachmistrza?
- Yes.
- Był tu niedawno — odparł żołnierz. — Gdzieś się w pobliżu kręci.
- Gdybyście go zobaczyli, powiedzcie, że Andy Moker go szuka — poprosił i dodał dla wyjaśnienia:

— Bałem się o jego życie, bo podobno było tu gorąco.

- Przyjechaliście dopiero?
- A, tak...
- Daliśmy łupnia czerwonym skórom! — Dragon podniósł zarozumiałe czoło. — Popamiętają nas po

wsze czasy.

- Dziękuję, sir, za informację. — Moker skłonił się.
- Jak zobaczę wachmistrza, to powiem...

Andy, prowadząc konia za uzdę, krążył wśród wojska. Aż dziw, że nikt go nie zatrzymał, o nic nie pytał. Brano go za jednego z tłumaczy lub przewodników. Wreszcie, przechodząc w pobliżu kilku oficerów, zobaczył Roggisa.

— Ken! Ken! — zawołał donośnie.

Roggis obejrzał się. Zdumienie i radość okraszyły mu twarz.

— Andy! — krzyknął. — Przyniosło cię! Obyś był zdrów. Samo niebo cię do mnie zsyła. Cieszę się.

Uścisnęli się jak rodzeni bracia.

- Dawno przyjechałeś? — spytał Ken.
- Parę minut temu. Jest z wami Winters?
- Jest, a raczej był. — Rozglądał się szukając ustronnego miejsca. — Chodź pod tamto drzewo — pociągnął Andy'ego za rękaw. — Dobrze, że się zjawiłeś. Zaczynałem już żałować swego czynu. Ale skoro cię widzę... Siadaj.

Usiedli opierając się plecami o pień.

— Ten Indianin jest z tobą? — spytał Roggis.

- Czeka w lesie.

• Posłuchaj. Wczoraj Saukowie z niewielkimi oddziałami Winnepagów i Szawanezów przepawali się przez rzekę. Atkinson urządził masakrę. Nazywa to bitwą. Wyrzucano większość dzieci i kobiet. Wzięto około czterystu jeńców, wśród nich była córka Czarnego Jastrzębia Nameąua i Promyk Księżycy. Te dwie dziewczyny Jeff Birgens więził w swoim namiocie. W nocy rozciąłem im sznury i pomogłem uciec z obozu. Rozumiesz?

• Opowiadaj...
• Rano Winters znalazł Birgensa związanego...
• To ty go tak urządziłeś?
• Oczywiście. Nawet nie wiedział, kto go związał. — Ken zachichotał. — Obaj, to znaczy porucznik i tramp, wzięli konie i ruszyli w pościg.

• Jesteś pewny?
• Najzupełniej. Śledziłem łotrów.
• Dawno wyjechali?
• O świecie — poinformował Roggis. — Minęły może cztery godziny.
• Gdzie szukać śladów?
• Tam — Ken wskazał ręką. — Śpieszcie się. Wokoło obozu żołnierze zdeptali runo podczas przeszukiwania lasu.

• Wojska nie wysłano?
— Żeby ścigać dwie Indianki? Po co? Generał nie kazał.
Moker zastanawiał się, analizował wydarzenia.
• Birgens może i stać na uganie się za dziewczyną, ale Winters?!... — Andy miał wątpliwości. — To nie pasuje do trampa. Cóż by miał w tym za interes?

• Ech, zapomniałem ci powiedzieć... — zawołał Ken. — Promyk Księżycy zabrała torbę porucznika, w której nosił plan zagrabiony Niusenowi. Podśledziłem ich...

• Rozumiem. Ten fakt wyjaśnia wszystko. — Andy wstał i wyciągnął dłoń do Roggisa. — Jeśli będę żył, odnajdę cię i wówczas podziękuję. Bywaj!

Dosiadł wierzchowca i ruszył przez obóz. Ken patrzył za nim, aż zasłoniły go krzewy.

• Prędko mój brat wraca. — Żółty Liść uważnie patrzył na Mokera.
• Siadaj na mustanga — odparł Andy. — Za chwilę pewnie będziemy na ostatnim tropie naszych wrogów.

Żółty Liść, nie pytając o nic, ruszył za białym przyjacielem. Gdy jechali obok siebie, Andy powtórzył mu informacje uzyskane od Roggisa.

Oczy Indianina zaiskrzyły się. Zaciął wargi. Pochylił się na grzbiecie rumaka. Patrzył na ziemię, krzaki, korę drzew. Podobny był do wilka, czującego instynktem bliskość ściganej ofiary.

Długo krążyli po lesie, aż w końcu Indianin zsunął się z konia dając znak Mokerowi. Skrupulatnie badał ślady. Szedł pochylony, klękał, przypatrując się poruszonym żdźbłom, połamanym trawom, odciskom. Wstał i skrzyżowawszy na piersi ramiona, powiedział:

— Siedem podkutych koni. Najpierw przeszło pięć, a potem w tym samym kierunku dwa. To chyba nie ten trop, którego szukamy.

Po zastanowieniu się postanowili pójść nie za tropem, lecz w przeciwnym kierunku, aby upewnić się, skąd wyszedł. Po godzinnym marszu znaleźli się przy zwałonym dębie. Uwiązali wierzchowce w pobliżu i rozpoczęli badania. Winnepago szedł pierwszy, za nim Moker. Trwało to długo, bardzo długo.

— Niech mój brat zostanie — powiedział Żółty Liść zanurzając się w zieleń zarośli.

Andy nie tracił czasu, usiłował ze śladów odczytać, co się tutaj mogło wydarzyć. Rozmyślał tak do powrotu Indianina. Usiedli na jednym z konarów leżącego drzewa.

• Pięć koni, może z obozu, a może skądinąd, przyprowadził człowiek noszący buty białych ludzi — zaczął informować Żółty Liść. — Z tymi końmi czekał. Przyszły dwie kobiety i wojownik. Razem odjechali. Później przybyło dwóch mężczyzn. Jeden miał żołnierskie obuwie, drugi podobne do twoich, bracie. Włóczyli się tutaj wszędzie, a więc usiłowali odczytać ślady. Dosiadłszy mustangów, pojechali tropem pięciu koni. To zobaczyły moje oczy.

• Rozumowałem podobnie — powiedział Moker. — Dwie kobiety, to pewnie Promyk Księżycy i

Nameąa. Kim jednak są mężczyźni? Dlaczego mają pięć koni, a nie cztery?... Ci, którzy przybyli później, to prawdopodobnie Birgens z czarnobrodym Winterssem.

• A jeśli to mylny trop? — podsunął wątpliwość Żółty Liść. — Powinny przecież uciekać dwie squaw.

• Mogły spotkać pobratymców?

• Jeden jest białym, bo w butach.

• Czyż Indianin nie mógł nałożyć takiego obuwia? Czy mało jest białych ludzi sprzyjających czerwonoskórnym?

• Mój brat snuje przypuszczenia, a jeśli są one błędne, stanie się rzecz straszna — z niepokojem odrzekł Żółty Liść. — Zginą kobiety i umkną złościny.

• Hmm... tak. — Moker zastanawiał się chwilę. — Od południowej strony to pierwszy napotkany przez nas trop — powiedział. — W tamtej części puszczy, nie szukaliśmy — wskazał spojrzeniem bór. — Spróbujemy się upewnić.

• Spróbujmy, dobrze.

Szerokim łukiem obeszli żołnierskie obozowisko i zawrócili nową trasą. Nigdzie ani śladu. Pod wieczór przecięli znany już sobie trop prowadzący na północny wschód. Dalsze szukanie było bezcelowe. W dogodnym miejscu, nie rozpalając ognia, czuwając na zmianę, spędzili noc. Rankiem, szarpani dalej wątpliwościami, pojechali tropem siedmiu koni.

Dopiero następnego dnia nad bagiennym stawem natrafili na ślady dwóch biwaków: jeden — wcześniejszy, i drugi, na uboczu — późniejszy. W miękkiej glebie wyraźnie rysowały się odciski mokasynów i butów. Ich wielkość i kształty były identyczne z odkrytymi koło powalonego dębu.

• Patrz, bracie! — Żółty Liść podniósł coś do światła. Moker przyjrzał się.

• Włos, czarny ludzki włos! — zawołał.

• Tak, znalazłem go w pobliżu popiołów drugiego ogniska.

• Musiał należeć do ścigających.

• Może do Czarnej Zarośniętej Twarzy...

• Kto wie.

Żółty Liść schował zdobycz do kieszeni.

• Włos ten jest za krótki, by pochodził z głowy, raczej z brody — powiedział.

• Jesteśmy na właściwym tropie. Któż by spod Bade Axe wędrował bezludnymi terenami? — rzucił Andy. — Jakiś przypadek połączył dziewczyny z wojownikiem i białym, jak mnie z tobą. Tropy wiodą w kierunku Jeziora Górnego, a tam przecież granica.

• Wyprzedzają nas o dzień drogi — stwierdził Winneago.

• Musimy zważyć popędzać wierzchowce.

• Ugh.

W PIECZARACH MALOWANYCH URWISK

Ryszard Kos, Ebunseh, Promyk Księżycy i Nameąa po kilku tygodniach uciążliwej podróży dotarli do wioski Odzibwejów, leżącej na malowniczym wybrzeżu Superior Lake. Osiedle ziało pustką i głuchą ciszą. Tu i ówdzie wały się tykwy, jakieś drobne przedmioty, dziurawe gamki... Obok niektórych wigwamów piętrzyły się sagi narąbanego drewna. Na kamienistym brzegu jeziora, odwrócone dnem do góry, leżały canoe. Było ich pewnie ze dwadzieścia.

Odzibwejowie musieli dawno opuścić wioskę, bo deszcze i wiatry zupełnie zatarty ludzkie ślady, a na wydeptanych kiedyś między chatami ścieżkach wyrosły już chwasty.

• Odeszli za Missisipi — powiedział Kos wodząc wzrokiem po opustoszałych wigwamach.

• Albo do Kanady — rzucił przypuszczenie Ebunseh.

• Zatrzymamy się tutaj na kilkudniowy odpoczynek — zaproponował Ryszard.

Indianki z wdzięcznością spojrzały na mężczyzn. Czuły ogromne zmęczenie. Ostatnie miesiące nie szczędziły im trudów i bolesnych przeżyć. Całkowicie opadły z sił.

• Zajmiemy tamte chaty na skraju wioski. Dla nas, dla kobiet, a trzecia dla koni — Ryszard wskazywał ręką wigwamy. — Stoją blisko siebie, będzie łatwo strzec je nocą.

• Ugh. — Ebunseh skinął głową.

• Zróbcie, co trzeba, ja przeszukam okolicę — powiedział Kos sprawdzając ładunki w strzelbie.

• Wioska pusta, nic nam nie grozi — stwierdził Ebunseh.

• Spójrz na wzgórza nad jeziorem. Co o nich wiemy? — Kos patrzył na porośnięte lasem zbocza. — Lubię znać teren, na którym przebywam.

Dziewczęta zjrzały do chaty. Ebunseh ujął uzdy wierzchowców i poprowadził je do wigwamu.

Kos bez pośpiechu szedł usłaną piargiem ścieżką. Na fantastycznie ukształtowanych skałach rosły skąpe chwasty, iglaste krzewy i drzewa. Stromizny nagiego piaskowca połyskiwały w słońcu szkłem miki. Ptactwo ćwirem napełniało powietrze. Płynący górą wiatr huczał dostojnie. Stado dzikich kaczek z krzykiem przemknęło nad wzgórzem. Ścieżka schodziła w dół, najpierw łagodnie, potem dość stromo. Po bokach pięły się w błękitne niebo brunatne bloki skalne.

Przed oczami Kosa odsłoniła się tafla jeziora. Jeszcze chwila i stanął na brzegu. Z wodnej głębin wystawały spiętrzone i nagie, bez najmniejszej roślinki, kamienne olbrzymy. Woda z szumem i pluskiem biła o nie, wyrzucając w górę pieniające się bryzgi.

Ryszard stał oczarowany. Urok tego dziewiczego zakątka oszałamiał, wprawiał w zadumę i kazał w pokorze chylić czoło przed potęgą natury.

Wrócił tą samą ścieżką. Przedzierając się przez karłowate sosny i świerki, jałowce i kolczaste krzewy, obszedł wokoło wioskę Odżibwejow. Nie natknął się na żaden ślad bytności ludzi.

W chacie oparł sztucer o ścianę i usiadł na gałęziach, z których Ebunseh przygotował posłanie.

- Nic nie zauważyłem — powiedział. — Sądzę, że jesteśmy tutaj sami.
- To dobrze — odrzekł Szawanez. — Squaw zdążyły przygotować gorący posiłek. Czekają.

Chodźmy.

Dziewczęta uradowały się ich widokiem.

- Siadajcie — zaprosiły. — Już podajemy zupę.
- Zobacz, Ebunsehu, co znaczą ręce kobiety — powiedział Kos patrząc na porządek zrobiony w chacie. — Szczęśliwi będą mężowie, którzy poślubią te dziewczyny.

Przyjęły pochwałę w milczeniu. Napełniły wonną polewką kubki wykonane z brzozonej kory. Zupa z leśnych owoców smakowała jak rzadko kiedy. Kos chwalił kulinarne zdolności Indianek, a Ebunseh, obliczając się z apetytem, z uznaniem i zachwytem patrzył na Na-meąę.

— Jak nazywają się te góry? — spytał Kos odstawiając opróżniony kubek.

| - To Malowane Urwiska — odrzekła Promyk Księżycy. — Byłam tu przed laty z ojcem.

- Malowane Urwiska... — powtórzył Ryszard. — Rzeczywiście, piaskowiec błyszczący w słońcu różnymi odcieniami.

r- A w wodnych pieczarach mieszka Menni-bojou², którego trzeba unikać — poinformowała Promyk Księżycy. — To niesamowity psotnik.

- W pieczarach? Są tu podziemne groty? — zainteresował się Kos.
- Tak. W skałach są wydrążone jaskinie i tunele. Odważni wojownicy wpływali tam na canoe — mówiła dalej. — Jednak to ryzykowne, bo Menni-bojou nie znosi, gdy ludzie zakłócają spokój jego krainy.

- Cóż wtedy robi? — spytał zaciekawiony Ebunseh.
- Przewraca czółna i topi śmiałków — ciągnęła Promyk Księżycy. —

Rzuca obłęd na wiosłarzy, przybiera kształty olbrzymiego potwora, który jednym uderzeniem ogona potrafi zmiażdżyć ludzi i canoe...

- Zawsze jest taki zły? — zagadnęła z lękiem Nameąua.
- Szamani twierdzą, że można prośbą i darami pozyskać jego przyjaźń.
- Jutro popłynę do tych pieczar — powiedział Kos z rozbawieniem.
- Niech Czerwone Serce tego nie czyni, po co denerwować Manni-bojou? — powiedziała zaniepokojona Nameąua. — Jeszcze jakieś nieszczęście na nas sprowadzi.

- Ee... — Ryszard machnął dłonią. — Chcę zobaczyć te pieczary. Nic się nie stanie.
- Popłynę z Czerwonym Sercem — rzekł stanowczo Ebunseh.

Promyk Księżycy popatrzyła bojaźliwie po kątach chaty. Nameąua, czując zimno na plecach, przysunęła się bliżej ogniska.

• Jutrzejszy dzień spędzimy jeszcze w tej wiosce. — Ryszard zmienił temat rozmowy. — Chciałbym już przekroczyć kanadyjską granicę.

- Ebunseh także tęskni do swoich.

Dziewczęta opuściły głowy. Ich oblicza zasnuł smutek.

- Nie martwcie się — pocieszał je Kos. — Zostaniecie pod troskliwą opieką na mojej farmie, a my natychmiast zorganizujemy wyprawę i dowiemy się o losie waszych rodziców. Później zadecydujemy o miejscu waszego pobytu.

- Jeśli Nameąa zechce, Ebunseh zostanie na zawsze u jej boku — rzekł z zakłopotaniem Szawanez. Dziewczyna zatrzepotała długimi rękami i przyciskając dłoń do piersi, uśmiechnęła się zalotnie.

Promyk Księżycy dyskretnie wyszła z wigwamu. Oparła się o ścianę i patrząc na malownicze wzgórze, poszybowała myślami do tego, którego imienia nie miała prawa wymówić.

Noc minęła spokojnie. Rano dziewczęta krzątały się przy sporządzaniu śniadania. Ebunseh poprowadził konie do wodopoju. Kos ze sztucerką krążył w pobliżu wioski. Później zjedli obfity posiłek. Ustrzelone przez Ebunseha z łuku dzikie gęsi, doskonale upieczone, były wysmienione.

- Zaniosę canoe nad jezioro — powiedział Ryszard wstając od posiłku. — Chcę zobaczyć pieczary.

- Ebunseh popłynie także! — zawołał Szawanez.

- Popyniecie z nami? — zwrócił się Kos do Indianek. Promyk Księżycy pokręciła głową.

- Wolę zostać — odparła.

- Ja też — dodała Nameąa.

- Wrócimy szybko — zapewnił Ebunseh.

- W południe będziemy z powrotem — dodał Kos. — Nie oddalajcie się za daleko i bądźcie ostrożne — przestrzegął.

- Mey-oo³ — szepnęła Nameąa.

Wybrali czółno i wiosła. Ebunseh chwycił za dziób, Kos za tył i zasłaną piargiem ścieżką ruszyli ku jezioru.

Canoe było duże, mogło pomieścić do sześciu osób. Wygodnie rozsiedli się i wypłynęli. Pogoda była piękna. Wtem huk wystrzału zakłócił ciszę. Echo niesło go po wzgórzach coraz dalej i dalej.

- W naszym obozie? — rzucił pytanie Kos.

- Wracamy! — krzyknął zaniepokojony Ebunseh.

Łopatki wiosel migały w ich rękach. Śpieszyli się. Wyskoczywszy z łodzi, wciągnęli ją na skalisty brzeg i z bronią gotową do strzału, uważnie przyglądając się zaroślom i skałom, szli naprzód.

Na skraju wioski przypadli za krzakami jałowców.

Z wigwamu dziewcząt unosiły się nikle smugi dymu. Wokoło pusto. Kto strzelał? Czy tutaj padł strzał, czy gdzie indziej? Czy Indianki są w chacie?... A może nic się nie stało, może jedna z dziewczyn po prostu strzeliła do węża, który pojawił się niespodziewanie, lub do pumy, zwabionej widokiem koni?... Mógł też zapuścić się na zbocza Malowanych Urwisk jakiś wojownik czy traper.

Ryszard Kos i Ebunseh zwlekali z wkroczeniem do wioski. Nierozważnym pośpiechem mogli narazić się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Panująca wokoło cisza budziła wprawdzie zaufanie, ale równocześnie nakazywała ostrożność. Albo dziewczęta ukryły się w chacie (a jeśli tak, to dlaczego?), albo ich tam nie było.

— Osłaniaj mnie, podejść do wigwamu — szepnął Kos.

Ebunseh wysunął z jałowca lufę sztucera.

Ryszard, pochylony do ziemi, zrobił dwa skoki i padł za krzewem. Przeczekał minutę i podbiegł znowu. Jeszcze parę susów i zaczął czółgać się, wybierając dogodny do tego teren. Przywarł nagle do skalistego gruntu, bo z drzwi chaty wyjrzał człowiek. Patrzył na wzgórze. Miał okoloną czarnym zarostem twarz. Ze strzelbą wyszedł przed wigwam. Obejrzał się. Powiedział coś, czego Ryszard nie zrozumiał. Ze związanymi rękami wyszła Nameąa i Promyk Księżycy. Rozglądnęły się rozpaczliwie. Wysoki oficer popchnął je lufą sztucera. Ruszyli ku wzgórzom.

— Hej, łotry, ręce do góry! — rozległ się niespodziewanie donośny rozkaz i spoza niedalekiego wigwamu wyszedł jakiś mężczyzna ze strzelbą złożoną do strzału.

Czarnobrody błyskawicznie odwrócił się i wypalił; nie trafił, bo spoza chaty rozległo się wołanie::

- Poruczniku Birgens, 2:łóćcie broń! Darujemy wam życie! Chodzi nam tylko o Wintersa i kobiety.

- Niedoczekanie, psie! I — ryknął czarnobrody Guy i opasawszy rękoma Nameąę, zasłonił się jej ciałem. Porucznik uczynił podobnie z Promykiem Księżycą.

Sytuacja była trudna. Ka|dy strzał był ryzykiem. Kos po raz pierwszy w swym życiu nie potrafił si| zdecydować na odpowiedni krok. Wreszcie ukląkł na jednym kolanie, wycelo wał sztucer i zawołał:

— Jesteście wzięci w dwa ognie! Uwolnijcie kobiety, a nie będziemy

wtrącać się w wasze porachunki!

Złoczyńcy przywarli do siebie plecami i czyniąc z Indianek tarcze, wolno poszli ku ścieżce wiodącej dłużej jeziora.

— Ktokolwiek z was uczyni krok, zabijemy Indianki! — krzyknął Guy Winters i z pistoletu wymierzył w Kosa. Padł strzał. Kula, gwizdząc, przemknęła blisko Ryszarda.

Bandyci weszli na kamiepiastą dróżkę i znikli za skałami i zielenią krzewów.

Za nimi czujnie jak puma skradał się Ebunseh. Kos zauważył Szawane-za, dał mu ręką znak, że ^:araz pójdzie za nim i wyszedł naprzeciw przybyszowi. Stali chwilę, mijając się wzrokiem.

- To wy, sir, uciekaliście Ł Bade Axe z Indiankami? — spytał obcy.
- Kim jesteście? — Kos odpowiedział pytaniem na pytanie.
- Nazywam się Andy Mok,jsr — odparł — a tam — wskazał poza siebie — jest mój przyjaciel, sarkomy Winnepagu.

- Ścigacie tamtych dwóch?!

- Tak.

— Ja jestem Ryszard Kos. Indianie nazywają mnie Czerwonym Sercem.

Moker, z rozjaśnioną twarzą, wyciągnął dłoń i powiedział:

- Słyszałem o was, sir, sły&załem dużo. Cieszę się ze spotkania. Hej, Winnepagu! — zawołał. Kiedy Indianin zbliżał się, Andy dodał: — Ze śladów wynika, że kobietom i jwam towarzyszył ktoś czwarty. Można wiedzieć kto?

- Ebunseh, syn sławnego Tec^miseha — odrzekł Ryszard ściskając dłoń Mokera. — Idzie teraz za porywaczami.

Żółty Liść podszedł do rozmawiających.

- Winnepagu wita białego brata — powiedział nie spuszczać wzroku z zarośli, gdzie oddalili się złoczyńcy.

- Witaj, bracie — pozdrowił czerwonoskórego Kos. — Śpieszmy się — dodał. — Łotry mogą uciec jedynie na wodę, bo ścieżka prowadzi nad jezioro. Bierzcie czółna — wskazał na leżące canoe. — Poprowadzę was i będę osłaniał.

Wybrali dwie łodzie. Zarzucili je na plecy. Niemal biegli potykając się na kamieniach.

Nad jeziorem Ebunseh, ze stopą opartą o wystający głaz, pochylony do przodu, z palcem na spuście sztucera, patrzył na skalne wysepki. Ściągnięte brwi i płonące oczy świadczyły o podnieceniu.

— Odpynęli na naszym canoe w kierunku tamtych skał — pokazał ręką. — Musieli ukryć się w pieczarze.

Winnepagu położył czółno na wodę i nie czekając na Mokera, odepchnął się wiosłem od brzegu. Andy, ocierając pot z czoła, spytał:

- Płyniecie ze mną?

- Płyniemy. — Kos wskoczył do łodzi za Mokerem, jako ostatni wsiadł Szawanez.

Płynęli za Żółtym Liściem. Nie było widać łódki porywaczy. Fale z pluskiem uderzały o skaliste wypsy; z hukiem biły w stromy i nagi brzeg. Słońce grało różnymi kolorami na litej! /skale piaszkowca, pociętego warstwami jak przekładaniec, ozdobionego iiniką, kwarcem i glaukonitem.

Wpłynęli między pionowe ściany brzegu"i wysepki. Woda pienila się tutaj i szumiała niesamowicie. W skale odsłonił się nagle wysoki łuk, niczym sklepienie bramy. Przepłynawszy]przez te wodne wrota, ujrzeli ciemny otwór pieczary. Winnepagu zniknął w jej mroku.

— Płyniemy za nim? — spytał Kos przekrzykując huk tłukącej o skały wody.

Ebunseh rozłożył bezradnie ręce, a Moker podniósł lometkę do oczu i patrzył na kolorowe kamienne urwiska.

- Są! — krzyknął. — Przy tamtych skałach. Ebunseh zakrzyczał jak sep.

]

- Może Winnepagu usłyszy — powiedział zanurzając wiosło. Ominawszy skalną iglicę mieniącą się srebrnymi błyskami, ujrzeli uciekających. Guy podniósł sztucer. Huk odbity od lustra wody zadudnił z niezwykłą mocą. Kula stuknęła w skałę i odbiwszy się plusnęła w wodę

obok canoe. Ebunseh i Kos wiosłowali dalej. Ścigani nagle znikli z pola widzenia, choć wokoło nie było niczego prócz lśniących fal i strzelistej brzegowej ściany.

Niespodziewanie zobaczyli czeluście wiodące do podziemnego świata. W jedną z nich skierowali łódź. Woda była tu ciemna. Nad głowami, dość wysoko, wisiało sklepienie, z którego spadały co parę sekund duże krople. Płynęli ostrożnie. W głębi mogli przycząć się wrogowie. Robiło się coraz mroczniej, aż otoczyła ich noc. Zatrzymali się. Długo łowili odgłosy płynące z tajemniczej i strasznej jaskini. Głucha cisza roztaczała swe niewidzialne sieci. Mącił ją delikatny plusk spadających ze stropu kropeł.

— Co robimy? — szepnął Moker.

Szept pochwyliło echo i niczym szelest czy syk poniosło w głąb czeluści.

— Zawracamy. Bez pochodni trudno się tutaj poruszać — wyszeptał

Kos.

— Prąd znosi canoe — zauważył Ebunseh. — Poczekajmy trochę.

Rzeczywiście czółno, nie popychane wiosłami, wolniutko płynęło gdzieś w mrok. Siedzieli skamieniały, z nerwami napiętymi jak struny, a serca były im przyśpieszonym rytmem. Czy prąd nie wtłoczy ich w jakiś podziemny strumień, skąd nie będzie powrotu?... Ale nie. Oto zajaśniało coś w głębi, najpierw słabo, później coraz wyraźniej. Zobaczyli przed sobą olbrzymią pieczarę, do której skądś przenikało światło.

Nad powierzchnią wody jeżyły się grzebienie skał, fantastyczne głazy, gładkie półki i strzeliste jak włócznice iglice. Z wysokiego stropu zwisały podobne do grotów długie kamienne ostrza.

Canoe, niesione prądem, otarło się o wystający nad wodą głaz. Ebunseh chwycił palcami wilgotny kant skały i unieruchomił czółno. W milczeniu wskazał ręką.

Ujrzeni na środku pieczary, przy ostro sterczących skałach przycząoną łódź ze zbrodniarzami. Dziewczęta siedziały skulone. Czarnobrody Guy i porucznik Birgens ze sztucerami wypatrywali pościgu. Nie przyszło im do głowy, że ścigający mogą przyplłynąć z głębi mrocznej jaskini.

Po przeciwnej stronie pieczary, ledwie widoczna w półmroku, zamajaczyła łódź z jednym wiosłarzem.

— Winneago — pomyślał Andy i dla upewnienia się podniósł do oczu lometkę.

Ebunseh położył strzelbę na dnie canoe, dotknął umieszczonego za pasem noża i tomahawka i zsunął się cicho do wody.

Moker zrobił ruch, jakby chciał iść za Szawanezem, ale Kos, położywszy mu dłoń na ramieniu, szepnął w same ucho:

— Zostańcie, sir. Miejcie broń w pogotowiu.

Gdy Ebunseh płynął do przestępców, Żółty Liść zatrzymał czółno za skałami i podobnie jak Szawanez, zanurzył się w ciemne wody pieczary.

Namequa, przytulona do przyjaciółki, drżała z lęku i rozpacz. Niesamowity widok grotu, jednostajny plusk spadających kropeł, mroczna przestrzeń ze sterczącymi potworami skał — wszystko to napawało ją zabobonnym strachem. Niepokój o życie Ebunseha, który każdej chwili mógł wpłynąć do podziemnego labiryntu pod kule białych łotrów, i niepewność własnego jutra, czyniły z niej kłębek nerwów.

Promyk Księżycy oparła policzek o burtę canoe. Woda z lekkim szmerem muskała łódź. Z lewej strony sterczał najeżony grzebień skalistych zębów. Roztrzęsiona wewnętrznie bezmyślnie patrzyła na skałę.

„Co to?” — przemknęło jej nagle przez rozgorączkowaną głowę. — „Menni-bojou wychodzi z kamieni?”

Spośród sterczących skał wyłoniła się dziwna postać. Oczy, szeroko rozwarte, lśniły fosforyzującą bielą białek, wargi trzymały długi nóż, a głowa bez włosów podobna była do okrągłego głazu.

Instynktownie pociągnęła Namequę na dno czółna.

Mignął cień i spadł z tyłu na czarnobrodego Wintersa. Canoe zakołysało się gwałtownie i Guy runął rozbrzygzując dookoła wodę. Zduszony krzyk rozdarł ciszę pieczary.

Birgens ledwie zdołał utrzymać równowagę czółna. Z lękiem patrzył na kotłującą się ciemną toń, usiłując dociec, czy Wintersa zaatakował człowiek, czy zwierzę. Obrzucił bojaźliwym wzrokiem jaskinię i chwyciwszy wiosło, pchnął łódź przed siebie.

Ebunseh dopłynął do gładkiej jak stół półki skalnej. Widząc zbliżające się canoe, wszedł na płaskie głazy. Birgens wiosłował jak szalony. Gdy mijali skałę, Szawanez niezawodną ręką cisnął nóż. Jeff, ugodzony w pierś, wyprostował się. Przejmujący, niesamowity krzyk zabrzmiał w labiryncie i porucznik zwałił się całym ciężarem ciała na skulone w czółnie kobiety.

Ebunseh podpłynął, chwycił za burtę i wszedł do środka. Odsunął na bok Birgensa i zabrał mu zza pasa pistolet.

— Nic nie stało się moim siostróm? — spytał przecinając im więzy na rękach.

Usiadły. Nie mogły wydobyć z siebie ani jednego słowa. Promyk Księżycy ciężko oddychała, a Nameąua ufnie przytuliła się do Ebunseha.

\ Szawanez podniósł wiosło z dna canoe.

\ — Walka skończona. Wracamy! — zawołał.

Echo powtórzyło słowa.

Wyłynęli na jezioro. Słoneczny blask ślizgał się po łukach fal i zapalał srebrne iskry na pionowych ścianach piaskowca. Raził oczy. Dopływali do jedynej przystani, jaka istniała w Malowanych Urwiskach, gdy zobaczyli za sobą łódź z dwoma ludźmi. Promyk Księżycy spytała:

- Kto towarzyszy Czerwonemu Sercu?
- Cierpliwości — odparł Szawanez. I Birgens poruszył się, jęknął.
- Żyje — szepnęła bez entuzjazmu Nameąua. Ebunseh, rozważywszy coś, powiedział:

• Trzeba opatrzyć tę bladą twarz, może być potrzebna. Dziewczyny z ociąganiem się przystąpiły do rannego. Dopłynąwszy do przystani, wciągnęli łódkę na skalisty brzeg. Birgens, wygodnie ułożony, pozostał w czółnie. Indianki usiadły na burcie canoe, a Szawanez oparł się o głaz; czekali na wracających przyjaciół. Promyk Księżycy śledziła łódź Ryszarda Kosa. Gdy ta była już blisko, uradowana krzyknęła:

— Moker! To biały brat mego... — nie dokończyła. Najpierw zwątpie nie, potem głęboki niepokój pojawiły się na jej obliczu.

Andy wyskoczył z canoe pierwszy.

• Witajcie — rzucił pozdrowienie i uśmiechając się do dziewczyn, powiedział: — Nameąua, córka wielkiego sachema, niech będzie spokojna, Czarny Jastrząb pokonał wrogów i uszedł szczęśliwie.

- A bracia?
- Żyją, są z sachemem. Tylko Orła Prerii nie ma...

Nameąua splotła palce rąk i powstrzymała cisnące się do oczu łzy. ' — Co z matką? — spytała drżącym głosem.

• Jest w niewoli — odrzekł i zwrócił się do Promyka Księżycy: — Cieszę się widząc moją siostrę w zdrowiu.

- A on? Czy żyje? — W pytaniu brzmiał lęk i nadzieja.
- Hmm... — chrząknął Andy i ogarnął wzrokiem jezioro. — Był z nami. Walczył z Wintersem...
- Idziemy do wioski — wtrącił się Kos. — Tam porozmawiacie. Ebunsehu, idź przodem, my poniesiemy rannego.

Indianin ruszył ścieżką, a za nim dziewczęta. Kos i Moker splekli swoje dłonie i posadziwszy na nich rannego porucznika poszli za kobietami.

W wigwamie położono Birgensa na posłaniu z gałęzi. Pojękiwał nie otwierając powiek, był nieprzytomny. Andy obejrzał ranę. Ostrze przeszło w pobliżu serca. W puszczy, bez pomocy lekarza, nikła była nadzieja ratunku. Moker obandażował mu bok i polecił Indiankom przygotować wywar z ziół, który miał wzmocnić rannego.

— Przyprowdzę nasze konie — mówił. — A wy — poprosił — rozpalcie ogień.

I bez tej prośby Nameąua kręciła się już przy popiołach wygasłego ogniska.

Promyk Księżycy z trudem ukrywała rozterkę rozdzierającą jej duszę. Uporczywe pytanie drażyło jej mózg: „Zginął w walce czy odtrąciwszy mnie odszedł na zawsze?” Nie potrafiła wyzwolić się od beznadziejnego smutku, jaki ogarnął jej myśli i serce...

Po wyjściu Mokera, Kos, siedząc, na wiązce gałęzi, spytał:

- Która strzeliła, gdy napadli na was?
- Ona — Nameąua wskazała przyjaciółkę. — Miałyśmy pójść uzbierać trochę jeżyn, gdy wtargnęli do wigwamu. Trzymała strzelbę, więc wypaliła, ale pocisk chybił.
- Czegóż od was chcieli?
- Torby z planem, którą Promyk Księżycy zabrała uciekając z Bade Axe.

- Nie opowiadałyście mi o tym.
- Po co? — odezwała się Promyk Księżycyca. — To przykra historia. Oni zabili trzech białych ludzi dla zdobycia tego planu, a podejrzenie rzucili na Winnepagów. Przez nich zginął Czerwony Ptak.

Do chaty wrócił Andy i przysiadł się do Kosa.

- Czego dotyczył ten plan? — pytał z zainteresowaniem Ryszard.
- Złóż miedzi i złota — wyręczył Indiankę Moker i zwrócił się do dziewcząt: — Który z nich wziął torbę, on czy Winters?

- Torbę tu rzucili, leży w kącie — wskazał Promyk Księżycyca — a plan schował porucznik do wewnętrznej kieszeni munduru.

Andy zaczął przeszukiwać ubranie oficera; natrafił na zwierzęcy pęcherz, w którym znajdował się plan. — Oto on — podał go Ryszardowi.

Kos przyjrzał się trzem trójkątom leżącym między pagórkami.

- To szyfr — powiedział. — Trudno będzie odnaleźć te miejsca.
- Mój Winnepag wie, gdzie szukać miękkiego metalu — odezwała się Promyk Księżycyca. — Chodził tam z wojownikami.

- I ty pewnie też znasz te wzgórza — rzekł Andy. — Weź, to wasza własność, tak jak cały ten kraj — wyciągnął do dziewczyny rękę ze szkicem.

- Promyk Księżycyca nie potrzebuje tych znaków — odrzekła. — Miczi--taalsa przemocą zabrali Winnepagom ziemię przodków. Cóż mi po tym cziwnym wampumie? Niech mój brat, który jest przyjacielem, zatrzyma go dla siebie.

Birgens poruszył się i otworzył oczy. Półprzytomnym wzrokiem patrzył w sufit. Andy pochylił się nad nim, a Ryszard sięgnął po wodę.

— Pijcie, sir — powiedział przytykając kubek do warg oficera.

Porucznik łyknął raz i drugi. Przyglądał się Kosowi, potem zobaczywszy Mokera, z łękiem zamknął powieki.

— Spokojnie, poruczniku Birgens — łagodnie odezwał się Ryszard. — Nic wam nie grozi. Ranę opatrzyliśmy, zaraz dostaniecie doskonały napar z ziół. Nie zostawimy was w puszczy.

Birgens zaczął wodzić oczami po chacie, jakby chciał zorientować się, gdzie się znajduje.

— Jesteśmy w wigwamie, sir — objaśnił go Kos. — W tym samym wigwamie, w którym napadliście na kobiety. Wypijcie jeszcze trochę wody.

Pił z trudem, choć łączywie. Widać było; że zimny strumień płynący przelykiem łagodzi cierpienie rozpalonego ciała.

— Słuchajcie, Birgens — zwrócił się do niego Andy. — Nie wy byliście moim wrogiem, lecz Guy. Zginął w pieczarze. Rozumiecie?... Guy nie żyje. Was odwieziemy do najbliższego osiedla białych.

Ryszard znowu podsunął rannemu kubek z wodą. Moker mówił dalej:

- Nie będziemy was oskarżać, jeżeli okażecie skrucę. Powiedźcie szczerze: kto zabił trzech poszukiwaczy złota w leśnym wąwozie? Guy?...

- Tak — szepnął ranny.

- Dla zagrabienia planu? Kiwnięcie głowy.

- Goniliście za Indiankami dlatego, że zabrały wam z namiotu plan? Birgens przytaknął ruchem powiek.

— Poruczniku — teraz Ryszard schylił się nad rannym. — Spiszemy wasze zeznanie o zbrodniach Wintersa, podpiszecie je?

W szeroko otwartych źrenicach oficera zapalił się strach.

— Pominiemy w zeznaniu wasz udział — głośno mówił Kos, aby słowa dotarły do świadomości leżącego. — Potraktujemy was jako świadka, choć dobrze wiemy, że winy wasze są wielkie. — Ryszard zrobił długą przerwę, potem ciągnął: — Pamiętajcie, że jesteście ciężko ranhjęśli podpiszecie zeznanie, zapomnimy o waszych podłościach i zrobimy/wszystko co w! ludzkiej mocy, aby ratować wam życie. To jak?

— Podpiszę — spłynęła ledwie dosłyszalna odpowiedź.

Kos wyciągnął z kieszeni mały notatnik i wraz z Mokerem, zaczął ns. uboczu redagować dokument. Gdy skończyli, usiedli obok rannego.

— Słuchajcie uważnie — powiedział Kos. — Przeczytam zeznanie. Jeśli coś przekreśliśmy, mówcie, poprawimy.

Porucznik dał znak, że słucha. Ryszard zaczął czytać: „Ja, Jeff Birgens, zeznaję na łożu śmierci, że Guy Winters dokonał wielu zbrodni, których byłem świadkiem. Nad Green Lakę oskalpował Indianina z plemienia Winnepagów. W wąwozie w pobliżu Niedźwiedziego Jaru zabił Toma Niusena, Boba Meltona i Harry'ego Kolona i zrabował im plan złóż miedzi i złota. Wiem też z jego opowiadań, że zranił Andy'ego Mokera, kradnąc mu towary, oraz miał na sumieniu wiele innych zbrodni dokonanych zwłaszcza na Indianach.

Powyższe zeznanie, w obecności A. Mokera i R. Kosa, podpisuję z własnej i nieprzymuszonej woli, we wrześniu 1832 roku”.

Birgens dał ręką znak, że chce mówić. Ryszard pochylił się nad jego ustami.

- Dopiszcie — szeptał z trudem — że jestem winny, bo ukrywałem te zbrodnie...
- Uczynię, jak chcecie — odrzekł Kos i dopisał na końcu żądane zdanie. — Weźcie ołówek, sir. — Podsunął mu notes. — Podpiszcie, o tu! — wskazał palcem.

Birgens, ciężko dysząc, złożył podpis. W ciszy, jaka zapadła po tej czynności, popatrzył na mężczyznę, prześlizgnął się po obliczu Nameąy i dłużej zatrzymał wzrok na Promyku Księżycy, którą nazywał Anetą. Z wysiłkiem wyszeptał:

— Wybacz...

Dziewczyna odwróciła się i nagle w wejściu ujrzała wojownika. Stał z podniesionym czołem, nad którym, spoza szerokiej taśmy, pokrytej symbolicznym haftem, sterczało sześć orlich piór. Patrzył na nią płomiennym wzrokiem.

— Witaj — powiedział z nutami dumy w głosie. — Oto Żółty Liść składa u twych stóp czarnowłose skalp naszego krzywdziciela. Winnepago zmazał piętno hańby, jest znowu wojownikiem. Jeśli moja siostra nie gardzi Żółtym Liściem, niech podzieli z nim wigwam i pójdzie dalej wspólną ścieżką życia.

Dziewczyna przemogła się i oszołomiona szczęściem, bez słowa padła w objęcia ukochanego.

W parę dni później Birgens, mimo troskliwej opieki, wyzionął ducha. " Wygrzebano mu w twardym gruncie grób i nakryto kopczykiem kamieni, w którym Kos umieścił zrobioną z drewna tabliczkę z napisem: — „Jeff Birgens, zmarł 28 września 1832”.

Zachodzące słońce barwiło czerwienią i złotem wzgórze Malowanych Urwisk. W koronach drzew huczał wiatr.

Siedzieli wszyscy przed chatą.

• To nasz ostatni wieczór w tej wiosce — powiedział Kos. — Nie chcielibyście, sir, pójść ze mną do Kanady? U mnie znajdziecie uczciwe i dobrze płatne zajęcie — zwrócił się do Mokera.

• Dziękuję — odrzekł Andy. — Zaniosę gubernatorowi zeznanie porucznika. Niech poznają prawdę.

• Czy warto?

• Żółty Liść i Promyk Księżycy obdarowali mnie planem, który kiedyś należał do bliskiego mi człowieka, Niusena — mówił Andy. — Dokładnie objaśnili mi, gdzie szukać złóż. Może uda mi się zbudować kopalnię. A wtedy zmienilibym tryb swego życia.

• Wątpię, sir, czy złota jest tyle, aby opłaciła się eksploatacja.

• Ale miedzi podobno jest pod dostatkiem — odrzekł Moker. — To też cenny metal.

• Jak chcecie. — Kos uśmiechnął się życzliwie. — Niech dopisze wam szczęście.

Żółty Liść siedział z Promykiem Księżycy, a Nameąa z Ebunsehem. Trzymali się za ręce. Milczeli.

• Co Żółty Liść postanowił? — spytał Ryszard.

• Promyk Księżycy nie chce rozstać się ze swą przyjaciółką — odparł Winnepago. — Pojedziemy więc razem z Ebunsehem i Czerwonym Sercem. Zamieszkamy wśród Szawanezów.

• Macie rację — pochwalił Kos. — W Kanadzie Indianie są wolni jak wiatr. Nikt nie będzie zakłócał wam szczęścia.

W NIEWOLI

W zapadającym zmierzchu ujrzeli migotanie ognia. Wyglądały jak dalekie złote gwiazdy, przyklepione do prerii. Cisza rozległego stepu otulała przestrzęń. Chwilami zdawało się, że ktoś niewidzialny przykłada do uszu stojących ludzi perłowe muszle, by swym delikatnym szumem podkreślały intensywność panującej ciszy.

— Pojadę, ojcze, zobaczyć, kto tam obozuje — powiedział Gamesett.

Czarny Jastrząb nie zaprotestował. Patrzył za synem, jak ten, pochylony na karku mustanga, odjeżdża w zapadający mrok.

Ostatnie dwa lata, a szczególnie ostatnie miesiące przysporzyły mu kłopotów, zmartwień i cierpień; oblicze wodza pokryło się bruzdami zmarszczek; smugi bieli wdarły się w czerni włosów. Jedynie ciemne źrenice płonęły jeszcze żywym, upartym blaskiem.

Neapope z szacunkiem zwrócił się do sachema:

— Zejdźmy z wierzchowców, niech odpoczną trochę.

Czarny Jastrząb uniósł dłoń. Zsiadli z koni. Była ich garstka. Przez wiele tygodni, uciekając przed pościgiem Osagów, rzadko schodzili z mustangów. Dopiero niedawno udało się im wyprowadzić prześladowców w pole. Nie zdołali jednak odzyskać sił. Skorzystali więc z krótkiego odpoczynku.

Sachem rozciągnął się na ziemi. Patrzył w ciemniejące niebo, na pierwsze zapalające się gwiazdy, na małe, wiszące wysoko, obłoczki. Gdzieś blisko, w trawie grał żerujący chrząszcz.

Sporo czasu minęło, nim wrócił Gamesett. Zeskoczywszy z wierzchowca, stanął przy ojcu. Sachem usiadł bez pośpiechu.

— Mów, synu — poprosił.

• To obóz Keokuka — zaczął informować Gamesett. — Jest tam sporo Sauków, Foxów i Winnepagów, którzy szczęśliwie uszli spod Bade Axe. Biwakują tu od kilku dni. Zapraszają do siebie.

- Śledzący Lis jest z nimi?
- Czekają na niego. Podobno ma wrócić za tydzień.

Czarny Jastrząb, oparłszy łokcie o kolana, ujął głowę w dłonie; zastanawiał się, czy iść, czy nie iść do tego obozowiska.

- Dużo jest tam naszych ludzi? — spytał.
- Około stu.
- A Foxów Keokuka?
- Też będzie tyłu...
- Dzieci, sąuaw?

— To sami wojownicy.

Sachem wstał. Otoczyli go kręgiem. Powiódł wzrokiem po zmęczonych postaciach, z wahaniem powiedział:

- Wolałbym odejść stąd, bracia... A wy?
- To rodacy — rzekł jeden z wojowników. — Możemy im ufać.
- Są tam, jak mówi Gamesett, nasi ludzie — powiedział Neapope. — Keokuk nigdy nie uciekał się do zbrojnych wystąpień. Odważyłby się teraz poprowadzić Foxów i Sauków przeciwko Saukom i Foxom?... Niepodobna.

• Któż odgadnie zamiary zdrajcy — odrzekł z goryczą sachem i po chwili dodał: — Rozumiem was, bracia. Bądźcie jednak ostrożni. To Śledzący Lis przyczynił się do naszej klęski. Pamiętajcie...

W obozie przyjęto ich chłodno. Tylko niewielka grupa otoczyła przybyłych, wypyując życzliwie i z troską o wypadki i drogę.

Rozniecili własne ognisko. Sowie Oko, jeden z Sauków, który ocalał z pogromu, przytaszczył bizonia pieczeń. Pomagał mu Kamienny Grot. Usiedli w towarzystwie sachema.

- Dzięki, bracia. — Czarny Jastrząb ciepłym spojrzeniem wyraził im wdzięczność i spytał: — Dawno jesteście w obozie Keokuka?
- Od dwóch dni — odparł Sowie Oko.
- Wiecie, dokąd udał się Śledzący Lis?
- Wiedzą to tylko nieliczni zaufani Foxowie — odrzekł Kamienny Grot. — Podobno miał się z kimś spotkać. Gdy wróci, zwiną biwak i odjadą.

Sachem ukroił kawałek pieczeni. Jadł bez apetytu.

- Dlaczego powitano nas tu tak cierpko? — spytał Neapope. Sowie Oko wzruszył ramionami, odparł.
- Zwolennicy Keokuka obarczają was odpowiedzialnością za klęskę.
- I mój brat podziela ich zdanie? — rzucił z goryczą Nasheakusk.
- Nie. Zgubiła nas zdrada i brak jedności — twardo odrzekł Sowie Oko, a Kamienny Grot poparł go skinieniem głowy.
- Widzę w obozie dużo naszych braci spod Bade Axe — włączył się Gamesett. — Nawet nie spojrzą w naszą stronę.
- Serca ich oplakują najbliższych — powiedział sachem. — Bądź wyrozumiały, synu. Umilkli. Czarny Jastrząb pochylił głowę na piersi, zamknął powieki. Myślał czy drzemał? | — Połóż się, ojcze — poprosił Gamesett. — Będziemy czuwać...
 - Czuwają strażę — zauważył Sowie Oko. — Nasi bracia mogą spać bezpiecznie.

Sachem podniósł znużone oblicze, spojrzął spod zaczerwienionych powiek. Powiedział z rozwagą:

- Wojownik zawsze powinien zachować czujność, nawet we własnym obozie.
- Ugh. — Sowie Oko z szacunkiem przyjął uwagę.
- Jutro ustalimy punkt zborny dla rozproszonych ludzi — mówił sachem — i odjedziemy. Nie trzeba wchodzić na ścieżki Keokuka.

W pobliżu ogniska owinął się derką pod głowę podłożył kołczan, wzdłuż ciała umieścił strzelbę i po chwili usnął.

Wojownicy kręcili się jeszcze po obozowisku, rozmawiali o ostatnich wydarzeniach, potem i oni zasnęli. W mroku rysowały się tylko sylwetki rozstawionych straży.

Keokuk, zerwany z głębokiego snu, usiadł okazując niezadowolenie.

- Czego chcesz? — rzucił gniewnie do stojącego wojownika. — Nie mogłeś poczekać do rana?
- Twarda Dłoń przynosi ważne wiadomości, z którymi nie mógł czekać.
- Co się stało? Mów.

Indianin wymownie spojrzął na śpiących obok ludzi i ociągał się z meldunkiem.

— Śpią... — powiedział Keokuk i po namyśle podnósłszy się dodał: — Chodź!

Wojownik szedł za Śledzącym Lisem. Zatrzymali się na wysokim brzegu rzeki.

- Tu nikt nie usłyszy, mów! — Keokuk ziewnął, szeroko otwierając usta.
- Do obozu przybył Czarny Jastrząb...
- Sam? — przerwał mu Śledzący Lis ożywiając się błyskawicznie.
- Są z nim dwaj synowie, Neapope i jedenastu wojowników.
- Co robią?
- Gdy odchodziłem, układali się do snu.
- Co zamierzają?
- Podobno chcą w dzień odjechać.
- Powiadasz, że chcą odjechać? Niedoczekanie! — Szyderczy i mściwy uśmiech pojawił się na twarzy Metysa. Popatrzył na niebo, usiane mrowiem gwiazd, potem na ciemne wody Missisipi. Mruknął coś sam do siebie i zwróciwszy się do Indianina, pochwalił go: — Dobrze uczyniłeś przychodząc z wiadomością. Nie zapomnę ci tej przysługi. — Po krótkiej pauzie polecił: — Zostaniesz nad rzeką. Gdy przyplyną biali Amerykanie z fortu na Psiej Prerii, powiesz ich dowódcy, że Keokuk niebawem wróci, niech koniecznie zaczekają. Być może, iż przyprowadzę spętanych jeńców, za których wyznaczili nagrodę.

— Twarda Dłoń uczyni tak, jak każe Keokuk — odrzekł służalczo Indianin.

Siedzący Lis obudził najbardziej zaufanych i pewnych wojowników. Pośpiesznie dosiedli mustangów. Galopując stepem z zadowoleniem stwierdził, że dobrze uczynił rozbijając obóz z dala od miejsca zaplanowanego spotkania z posłańcem generała Atkinsona. Zrobił tak, by mu nie przeszkadzano podczas rozmów. Miał ku temu powody. Nie przypuszczał wówczas, że obozowisko na prerii stanie się wabikiem i pułapką dla Czarnego Jastrzębia. Gdyby on — Keokuk, był wczoraj w obozie, przebiegły

sachem z daleka ominąłby obozowisko. Przypadek, a może nadprzyrodzone moce sprawiły, że oto będzie mógł zaspokoić rozpierającą go nienawiść... A potem skończy się dwuwładza i on zostanie jedynym wodzem Foxów i Sauków... Uśmiechnął się do własnych myśli.

Konie zostawili na prerii. Cicho, bez hałasu podeszli do uszpiętego obozu. Bez kłopotu minęli strażników. Wrócił przecież Śledzący Lis — ich wódz. Otoczyli czterech ludzi: Czarnego Jastrzębia, jego synów i Neapope'-ego. W śpiących wojowników sachema wymierzono strzelby. Keokuk bezszelestnie przemykał po obozie, szeptem wydając rozkazy.

Noc dobiegała końca. Na wschodzie różowa jutrzienka barwiła horyzont. Bledły gwiazdy. Szarówka odsłaniała coraz dalsze obszary stepu.

— Wstawaj, psie! — zawołał Keokuk podniesionym głosem, kopiąc w bok sachema.

Czarny Jastrząb, gwałtownie zbudzony, chwycił spod siebie sztucer. Nim zdołał się podnieść, przygniotły go liczne ramiona. Nadludzkim wysiłkiem strącił napastników, wznosił strzelbę jak maczugę do ciosu, ale nim zdołał uderzyć, z tyłu opasały go ręce. Szarpał się, wzywał pomocy swych ludzi — na próżno. Dostrzegł, że jego synowie i wierni Neapope znajdują się w podobnej jak on sytuacji.

Wojowników, którzy zerwali się ze snu i chcieli, stanąć w obronie sachema, błyskawicznie powalono i związano.

Oplatane sznurem wzdłuż tułowia ramiona, a nogi — w kolanach i kostkach nie pozwalały sachemowi na najmniejszy ruch. Leżał na plecach z zamkniętymi powiekami, ze skamieniałą z bólu twarzą. Na prawo od niego ułożono jego zastępcę — Neapope'ego, a dalej Nasheakuska i Gamesetta, podobnie skrepowanych rzemieniami.

Około dwudziestu Sauków, którzy pospieszyli z pomocą sachemowi, spętano i umieszczono na przeciwnym krańcu obozowiska.

Wokoło rozsunęła się grobowa cisza. Ustał nawet poranny wiatr i nie szeleścił w trawach. Zorza ranna jakoś dziwnie barwiła białe obłoki. Ludzi ogarnęło uczucie rozterki i smutku. Sami nie wiedzieli, co mają robić, kogo słuchać: Śledzącego Lisa czy Czarnego Jastrzębia? Który z nich miał rację? Obaj mówili, że pragną szczęścia ludu. Któremu mieli zaufać?... Czarny Jastrząb mógł dawno uwięzić Keokuka — o czym wiedzieli wszyscy — a tego nie uczynił. Stale bronił ziemi przodków. Niektórzy obarczali go nadaremnie przelaną krwią. Inni znów winę przypisywali Keokukowi, który dokonał rozłamu wśród Foxów i Sauków, co spowodowało klęskę... „Lepiej poczekać, co z tego wyniknie” — szeptali poniekąd.

Śledzący Lis wziął się pod boki. Cyniczny uśmiech wykrzywił mu wargi.

Ze złością w oczach pochylił się nad sachemem i z drwiną zawołał:

— Leżysz jak kujot na gołej ziemi, nawet skóry wilczej nie masz pod sobą! Tak Gicze Manitou pohańbił cię moją ręką!

Czarny Jastrząb nie zareagował na obelgę.

— Pytałem cię kiedyś w Saukenuk, komu przypadnie nagroda za schwytanie tego, który mieni się sachemem? — głos Śledzącego Lisa syczał tłumioną nienawiścią. — Teraz wiesz, psie, kto tę nagrodę otrzyma. — Zaśmiał się kąpiąco. — Piękna będzie to nagroda, piękna i obfita. Miczi-malsa wynagrodzą także moich wojowników. A wiesz czym?... Każdy otrzyma po sto mustangów i złote dolary. Sam chyba nie wiedziałeś, na ile cię wyceniono...

Sachem leżał z zamkniętymi oczami, jak martwy.

— Nie chcesz ze mną rozmawiać? — szydził Keokuk. — To nic, otworzysz swój pysk przed Gallandą i Atkinsonem... — Kopnął jeńca i zwrócił się do najbliższego wojownika: — Umieście tych czterech na mustangach — wskazał na Czarnego Jastrzębia, jego synów i Neapope'-ego. — Zaraz wyruszamy nad Missisipi. A tobie, Szybki Wietrze, powierzam pieczę nad zbuntowanymi Saukami — powiedział do Focha. — Pilnuj ich jak swego oka. Pamiętaj! Keokuk zawsze wynagradza wiernych sobie ludzi.

— Ugh — zapewnił Szybki Wiatr kładąc prawą dłoń na sercu.

W kilka minut później Keokuk jechał nad rzekę. Włókł z sobą przywiązanych do grzbietów koni najwybitniejszych patriotów swego ludu. Czy ślepotą pokryła mu bielmem oczy?... Czy nienawiść wzięła

górną nad rozsądkiem?... Czy chęć kazała mu zdradzać i sprzedawać swych braci?... On sam nie miał podobnych rozterek. Pełen pychy marzył o naczelnym dowództwie i majątku, jakim obsypią go biali Amerykanie.

Zaledwie trzy godziny drogi dzieliło obozowisko od biwaku nad Missisipi, gdzie oczekiwał posłów. Już z daleka zauważył zakotwiczony statek. Z bijącym dumą sercem zeskokczył z wierzchowca, polecając zdjąć jeńców i gęsto obstarwić wartownikami. Sam pośpieszył na brzeg. Łódką podpłynął pod parowiec i po chwili siedział w kapitańskiej kajucie.

Izaak Gallanda postawił na stoliku wysmukłą butelkę whisky, a porucznik Tom Keyet wyciągnął pękate cygara.

- Co nam przynosi Keokuk? — spytał Gallanda siląc się na słodki uśmiech.
- Biali bracia wyznaczili to spotkanie, więc Śledzący Lis przybył — odrzekł Fox łypiąc okiem na butelkę.

Porucznik, podając mu cygaro, powiedział:

- Twarda Dłoń mówił nam, że wódz Foxów przybędzie z cennym dla nas ładunkiem. Czy to prawda?
- Tak.
- Mielśmy właśnie zastanowić się z Keokukiem nad sposobem schwytania głównego buntownika — mówił przyjaźnie Gallanda nalewając whisky w metalowe kubki. — Jeśli Czarny Jastrząb jest już jeńcem naszego brata, tym lepiej.

Keokuk podniósł kubek, wlał w siebie palący płyn, wciągnął dym z cygara i wydmuchawszy go pod sufit kajuty, rzekł:

- Biali bracia wyznaczili nagrodę za Czarnego Jastrzębia...
- Sto koni i sakiewkę złotych dolarów.
- Kiedy je otrzymam?
- Po dostarczeniu sachema do Saint Louis.
- Weźcie go na statek. Popłynę z wami — zaproponował Keokuk.
- Świetnie — ucieszył się Gallanda.
- Co Foxowie dostaną za dalszych jeńców? — Śledzący Lis zajął w oczy Amerykanów.
- Wojownicy nie interesują nas, niech zostaną u Keokuka — Gallanda znowu napelnił kubki.
- To Nasheakusk, Gamesett i Neapope. Są groźni i niebezpieczni jak sam Czarny Jastrząb.
- Neapope! — wykrzyknął Gallanda. — Pamiętam tego drania. Groził przed laty pionierom, których prowadziłem na osadnicze parcele.
- A Nasheakusk szturmował fort — włączył się Keyet. — Rzeczywiście, to niebezpieczne bestie.
- Zabierzemy ich razem z sachemem — zgodził się Gallanda. — Tak będzie najlepiej.
- A nagroda? —\ upomniał się natarczywie Fox.
- Dostaniesz, bracie — Gallanda klepnął go po ramieniu. — Ujęcie tych ludzi kładzie kres wojnie.

Dzięki tobie nasze zadanie zostało pięknie i szybko wykonane. Gubernator Reynolds¹ i generał Atkinson wynagrodzą cię sownie. Zostaniesz najbogatszym Indianinem w Ameryce i jedynym naczelnikiem Foxów i Sauków. Już my się o to postaramy — chytrze mrugnął do porucznika Keyeta i śmiejąc się wstał od stolika. — Sprowadź, bracie, jeńców na statek i szykuj się do drogi. Zaraz odpływamy.

Gdy parowiec zawinął do portu w Saint Louis, była noc. Przetransportowano jeńców do warowni i zamknięto w piwnicy. Oficerowie zacierali z radości ręce. Wreszcie pochwycili groźnych Sauków, przed którymi drżały kresowe garnizony, miasteczka, osady i farmy...

Rankiem błyskawicznie rozniosła się po mieście wieść o uwięzieniu Czarnego Jastrzębia. Pod bramą fortecy zaczął gromadzić się tłum.

- Pokażcie Belzebuba!
- Powieść czerwonoskórego zbója!
- Zatluc przekłętą Sauka!
- Dajcie nam łotra! — rozlegały się coraz gwałtowniejsze, coraz bardziej rozhisteryzowane okrzyki.

Ponurzy osadnicy, których zmuszono do opuszczenia bezprawnie zagarniętych ziem, traperzy, kramarze, trampy i pospoliccy zbrojcy, przepędzeni z indiańskich terytoriów, teraz wrzeszczeli pełni nienawiści, porywając swym zacierzeniem innych stłoczonych pod fortem ludzi.

Kiedy brama warowni dalej stała zamknięta, poczęli tłuc w nią kolbami sztucerów; wrzeszcząc żądali

wydania sachema.

Gubernator Reynolds nie lubił takich sytuacji. Był oficerem, wiedział, jak należy postępować na polu walki, ale tu, wobec wrzeszczącego tłumu współobywateli, opadały mu ręce. Od momentu przyjęcia urzędu po

Clarku, zawsze najwięcej kłopotów sprawiało mu kierowanie ludnością cywilną, do której nie mógł zastosować rozkazu. Z zakłopotaniem popatrzył na siedzących wokoło ludzi, powiedział:

- Rozwałą bramę i wtargną do warowni. Zachowują się jak dzikusy.
- Chcą zemsty, sir — rzekł porucznik Tom Keyet.
- Zemsta dopełniła się pod Bade Axe.
- Im to nie wystarcza — Gallanda wyjrzał przez okno. — Trzeba ich jakoś uspokoić.
- Ale jak?
- Wyjdę i przemówię im do rozsądku — zaproponował kapitan Jerry Werton. — Co wy na to, sir?
- Spróbujcie — zgodził się Reynolds. — Gdyby doszło do samosądu, moglibyśmy mieć nowe

kłopoty. Czarny Jastrząb jest zbyt głośną postacią wśród Indian. Mogłoby to wywołać nową wojnę. Ta ostaną dość przysporzyła ofiar i kłopotów.

Werton sprężyście wstał z krzesła.

- Jeśli pozwolicie, pójdę z wami, kapitanie — zaproponował Izaak Gallanda.
- Chętnie — zgodził się Werton.

Minęli dziedziniec i weszli na pomost okalający wewnętrzną stronę palisady. Zwarty tłum, przeważnie mężczyźni, zapelniał plac i ulicę przed fortem. Okrzyki mieszały się z gwarem ludzkiej cizby, z łomotem strzelb o bramę i palisadę, tworząc niesamowitą kaskadę.

— Uciszcicie się! Uciszcicie! — wołali Werton i Gallanda wymachując rękoma.

Minęło parę minut, nim rozgorączkowany tłum dostrzegł oficera. Z wolna wygasał gwar, aż wreszcie zrobiło się na tyle cicho, że mógł przemówić.

• Hej, przyjaciele! — zaczął ile sił w krtani — uspokójcie się. Czarny Jastrząb, skuty kajdanami, nie ucieknie. Gwarantuję wam to gubernator i generałowie.

- Dajcie go nam! — ryknął ktoś w tłumie.

— Powiesić zbója! — zawtórował mu inny.

Werton ręką uciszył krzykaczy i dalej wołał:

• Na wszystko przyjdzie czas, gentlemani! Najpierw trzeba Sauka przesłuchać, wydobyć z niego wiadomości potrzebne armii, a dopiero potem postawić przed sądem...

- Precz z sądem! — Krew za krew! Na sznur! — rozlegały się krzyki.
- Proszę o spokój! Spokój! — wołał Werton, pomagając sobie gestykulacją rąk.
- Pokażcie diabła! Chcemy go zobaczyć! — krzyknął ktoś, a za nim inni podchwycili to żądanie.
- Pokażemy Czarnego Jastrzębia! Oficerskie słowo honoru, za na własne oczy zobaczycie sachema.

Pojutrze. Obiecuję.

- Jutro! Jutro! — zaryczał rozjątrzony tłum.

• Dobrze, niech będzie jutro. A teraz rozejdźcie się. Wracajcie do domów. Prosi was/ o to gubernator. — Werton zdjął czapkę i obtarł spocone czoło.

Ludzie dyskutowali. Gwar płynął nad placem. Nie wznoszono już okrzyków. Pierwsze grupki zaczęły odrywać się od tłumu.

— Rozchodzą się, widzicie? — szepnął Gallanda. — Chodźcie, kapitanie.

Wróciwszy do gabinetu gubernatora, Werton złożył meldunek.

- Dzisiaj ich uspokoiście — powiedział Reynolds — a jutro obietnicą nie dadzą się zwiesić.
- Możemy przecież pokazać sachema, wyprowadzając go na palisadę — podsunął myśl porucznik

Keyet.

- To niebezpieczne — gubernator pokręcił głową.

• Boicie się, sir, że go ustrzelą? — Gallanda uśmiechnął się szyderczo.

• Czy zdajecie sobie sprawę z tego, czym jest podniecony tłum? — Gubernator podniósł się z fotela i oparł dłonie o stół. — Mogą zdemolować fort, zacząć kraść, zabijać... Los Sauka byłby oczywiście przesadzony. Na to pozwolić nie wolno. Kancelaria w Waszyngtonie musi podjąć decyzję co do losów wodza i jego najbliższych. — Reynolds przeszedł się po pokoju. Stał przed Wertonem i patrząc mu w

oczy, powiedział: — W nocy, kapitanie, pod osłoną szwadronu odwieziecie jeńców do więzienia w Jefferson Barracks. Blizutko stąd. Tam będą bezpieczni.

Jerry Werton wyprężył się służyć.

— Sprawę, panowie, proszę potraktować jako tajemnicę — gubernator upomniał obecnych i usiadł w swoim fotelu.

Jeńców, zakutych w kajdany i połączonych z sobą długim łańcuchem, odstawiono do więzienia znajdującego się w pobliżu Saint Louis. Trzymano tam najniebezpieczniejszych zbirów. Wydostać się stamtąd było wprost niepodobieństwem.

Wepchnięci do ciemnego i wilgotnego lochu, leżeli Saukowie na zbutwiałyach resztkach słomy, otepiali, złamani, pełni rozpacz. Gęsty mrok wypełniał pomieszczenie. Powietrze, przesycone zgnilizną, ciężkie od przykrych zapachów, dławilo oddech. W głuchoj ciszy czasami rozlegał się cienki skowyt przemykających się szczurów i metaliczny brzęk łańcuchów, gdy któryś z więźniów poruszył nogą.

- Jak w grobie — powiedział apatycznie Gamesett. Głos jego zabrzmiał jakoś dziwnie, niesamowicie.
- O, gdybym mógł dostać w swe ręce Keokuka... — wycedził przez zęby Neapope.
- Podły zdrajca — rzucił z nienawiścią Nasheakusk. — Rozerwałbym go na części i oddał psom na pożarcie.
- Cóż by to dało? — odezwał się sachem. — Nie on jeden sprzedaje wrogom ojczysty kraj i swych braci. Uczyli jedności Pontiac i Tecumseh — na próżno. Niczego nie pojął nasz lud...

Około południa w wąskie wrota więzienia w Jefferson Barracks zastukał człowiek. Luźno prowadzony koń dźwigał rzadki w tych stronach ekwipunek: drewniane ramy, zwoje płótna i worki, pochłapane różnokolorową farbą. Wartownik otworzył małe okienko i przyjrząwszy się przybyszowi, spytał:

- Czego tu chcecie, sir?
- Przyjechałem do komendanta z ważną sprawą. Nazywam się George Catlin². Wpuście mnie do środka — poprosił.
- Bez zezwolenia nie mogę otworzyć furtki — odrzekł wartownik. — Poczekajcie, zamelduję was naczelnikowi.

Długo stał Catlin pod wrotami, z zainteresowaniem oglądając osławione więzienie; masywną palisadę i rysujący się w górze dach budowli.

Wreszcie wartownik ponownie wyrzwał przez kwadratowy otwór, zgrzytnęły antaby i jedno skrzydło drzwi uchyliło się. Catlin wszedł z wierzchowcem, powiedział:

— Dziękuję. Bądźcie łaskawi zaprowadzić mnie do naczelnika, bym nie błądził.

— Zwierzę musicie zostawić pod bramą, sir — odrzekł żołnierz. — Chodźcie — wskazał ręką kierunek i poszedł pierwszy, a za nim Catlin.

Dziedziniec był niewielki. Na prawo ciągnął się długi, masywny budynek o małych, zakratowanych otworach, zastępujących okna. Uzbrojeni strażnicy równym krokiem chodzili wzdłuż ścian, mimo że na otaczającej palisadzie także czuwały warty. Na lewo wznosiła się mała, trochę willowa budowla. Tam skierował się Catlin.

— Te drzwi wiodą do naczelnika — wskazał żołnierz i kiedy przybysz wchodził na stopniezadaszonego tarasu, dodał: — Poczekam tutaj na was, sir.

Catlin podszedł do drzwi i zastukał. Usłyszał słabe „wejść”, nacisnął klamkę i znalazł się w obszernym, schludnie urządzonej pomieszczeniu. Zza stołu, na którym leżały rozrzucone papiery, wyszedł mężczyzna w średnim wieku.

- O co chodzi, sir? — spytał niskim, trochę chropawym głosem, lustrując przybyłego. — Pozwoliłem wam przyjść tylko dlatego, że przyjechaliście sami.
- Nazywam się George Catlin, jestem malarzem...
- Jeśli myślicie o pracy — przerwał mu naczelnik — to nic z tego. Nie przewiduję odnawiania żadnych budynków.
- Ależ ja jestem artystą malarzem — z uśmiechem odparł Catlin.
- Artystą?... — naczelnik ze zdziwieniem przyglądał się gościowi. — Więc czegoż tu szukacie?
- A no właśnie... — Catlin nie czekając na zaproszenie usiadł na krześle. — Na wierzchowcu, który

mi towarzyszy od dwóch lat w wędrowce po bezdrożach, mam wszystko: farby, płótno, sztalugi... Przyjechałem z Saint Louis, w ślad za Czarnym Jastrzębiem. Pozwólcie mi, sir, namalować portrety Sauków.

• To niemożliwe! — zawołał naczelnik. — Do więźniów nie wolno się zbliżać. Zresztą w lochu jest ciemno i ciasno.

• Rozumiem, sir. Z Indianami nie muszę rozmawiać ani ich dotykać. — Catlin uśmiechnął się prosząco. — Wyprowadźcie ich na podwórze, pod strażą, a ja z daleka namaluję.

• Tego nie przewiduje regulamin. Muszę mieć zezwolenie od gubernatora.

— Sami możecie podjąć decyzję, sir. Historia nie zapomni wam tego.

Naczelnik wahał się. Nie wiedział, jak ma postąpić.

Zastukano do drzwi; wszedł żołnierz.

• Saukowie nie zjedli porannego posiłku — zameldował.

• Mówili coś? — spytał naczelnik.

• Nic. Milczą jak grób.

Naczelnik więzienia -popatrzył na Catlina, przyglądził bujne włosy.

— To dumni Indianie — powiedział w zamyśleniu i zadecydował: —

- Wyprowadźcie ich na podwórze za więzieniem. Tam przynieście im południowy posiłek, a wy, sir, przygotujcie się do malowania.

— Dziękuję.

— Sam jestem ciekawy, jak będziecie to robić. Pójdę z wami.

Catlin rozstawił sztalugi i rozłożył farby. Kończył przygotowania, gdy przyprowadzono czterech Sauków. Dzwoniąc łańcuchami i wlokąc żelazne kule, uczipione do nóg, podeszli do specjalnie dla nich ustawionej ławki i usiedli. Obok żołnierze postawili garnki z parującą strawą.

Słońce świeciło jasnym, czystym blaskiem. Niebo, choć już jesienne, rozpięło swój przymglony błękit. Ledwie wyczuwalny wietrzyk wiał nad więziennym placem.

George Catlin długo przyglądał się Indianom, potem zanurzył pędzel w farbie i począł kłaść na rozpiętym płótnie barwne plamy i smugi...

Mniej więcej w tym czasie, gdy Catlin na płótnie uwieczniał wygląd sławnych Sauków, po dłuższych prośbach i nagabywaniach wpuszczony został do gabinetu gubernatora znany w Saint Louis właściciel okazałych szynków — Eryk Web.

Reynolds siedział z nogą założoną na nogę i słuchał wywodów Eryka.

• Ludzie nie dadzą za wygraną. Będziecie musieli pokazać im Czarnego Jastrzębia — mówił on pewnym siebie tonem. — Pozwólcie, że ja się tym zajmę. Zaspokoimy ciekawość gawiedzi i zarobimy. Jak mi Bóg miły, dobrze zarobimy, sir.

• Mogą zabić sachema. Miałbym wtedy przykrości.

• Nic takiego stać się nie może. Ludzie lubią sensacje, zabawę, widowiska — ciągnął z tupetem Web. — Ja im to wszystko zorganizuję. Kto będzie chciał zobaczyć sachema, uiszczy zapłatę i przejdzie w pobliżu Sauka. Moi ludzie będą czuwać, aby nikt nie strzelił do Indianina. Ot i wszystko.

Czerwonoskóry nie ucieknie, bo jak?... Będzie wilk syty i owca cała. To jedyne wyjście. Nie możecie, sir, dopuścić do zgromadzenia się tłumu. Trzeba go w czas okiełznać. To jak, zgoda?...

Gubernator był w wyraźnym kłopotcie. Zbiegowisko ludzi pod fortem mogło przynieść nieobliczalne skutki. Nie chodziło tu o życie Czarnego Jastrzębia. Był pewny, że sąd skáže go na śmierć, bo tylko na nią zasłużył. Gdyby wcześniej zginął, wykręciłby się łatwo. Nie chciał jednak, aby wytykano mu brak umiejętności kierowania ludźmi i powierzonym terenem, by oskarżono go o niesubordynację. Takie zarzuty mogły zwichnąć jego karierę. Na to nie chciał pozwolić.

• Jak chcecie to wszystko zorganizować? — spytał w zamyśleniu.

• Widowiskowo, sir. Moi ludzie natychmiast ogłoszą w mieście: gdzie, kiedy, o której godzinie będzie można oglądać wystawionego na widok publiczny Czarnego Jastrzębia. Tłum spod forticy zniknie. Moja w tym głowa. Wy, sir, ha parę godzin pod moją opiekę oddacie sachema. I tyle. Zwrócę go wam wraz z należnym zarobkiem...

• Nie o zarobek mi idzie, lecz o spokój w mieście — powiedział Reynolds. — Podczas imprezy

Indianinowi i wam towarzyszyć będą żołnierze.

- Doskonale. Świetnie. — Eryk Web zerwał się z krzesła. — Rozumiem, że przyjmujecie propozycję.
- Tak, jednak pod warunkiem, że zapewnicie bezpieczeństwo Saukowi.
- Zrobię wszystko według waszego życzenia, sir. — Web roześmiał się rubasznie. —

Czerwonoskóry wróci bezpiecznie, a ludzie zaspokoją ciekawość i setnie się zabawią, już ja wam to gwarantuję...

- Kiedy chcecie otrzymać Sauka?

— Jutro. Dziś zrobię przygotowania, sir. Miejcie go pod ręką jutro po południu. Przyjdę osobiście po diabelskiego syna. Dziękuję. — Bijąc gubernatorowi teatralne pokłony, Eryk Web opuścił gabinet.

Reynolds chodził po pokoju, zastanawiając się, czy Webowi uda się zrobić biznes na Czarnym Jastrzębiu...

A Web nie tracił czasu. Na barach i sklepach, na parkanach i słupach pojawiły się ręcznie pisane ogłoszenia, informujące, że „za zgodą gubernatora w dniu 16 października 1832 roku, o godzinie czternastej, przed saloonem Eryka Weba będzie można oglądać ujarzmione w klatce zwierzę, które nazywa się Czarny Jastrząb. Opłata za miejsce obok klatki wynosi dwa dolary, za dalsze — jeden dolar”.

Niezależnie od rozwieszonych afiszy najęci przez Weba ludzie krążyli ulicami miasta, głośno zachęcając do wzięcia udziału w niezwykłym widowisku, jakie będzie można zobaczyć tylko raz w życiu.

Na następny dzień przetransportowano Czarnego Jastrzębia z Jefferson Barracks do fortu w Saint Louis. Tu czekał nań zaprzężony w dwa konie

wóz, na którym umieszczono zbudowaną z żelaznych prętów klatkę. Sędziwy sachem nie chciał dobrowolnie w nią wejść, więc wepchnięto go jak zwierzę przemocą. Ba, gorzej niż zwierzę, bo miał ręce w przegubach skute, do obu nóg przytwierdzony łańcuch z ciężką kulą, pozwalający na malutkie zaledwie kroki. Drzwiczki zamknęła mocna sztaba i wielkich rozmiarów kłódka.

Eryk klaskał z zadowoleniem w dłonie. Wietrzył intratny zarobek. Spoglądając na sachema, nie chciał widzieć w jego obliczu i całej postaci ogromu cierpienia.

Kapitan Werton szybko odszedł, poruszony do głębi przykrą sceną. Choć sam nie darzył sympatią Indian, uważał, iż tak postępować nie wolno z żadnym człowiekiem.

Ludzie Weba narzucili na klatkę obszerną płachtę, która zakryła niezwykły ładunek. Woźnica popędził konie. Za toczącym się wozem ruszyło dziesięciu dragonów.

Wóz ustawiono tuż przy ścianie saloonu Weba. Żołnierze zajęli stanowiska po bokach.

Urządzenie imprezy koło lokalu Eryka nie było przypadkowe. Sprytny Web wiedział, że ludzie przy okazji wejdą na kufel piwa, szklaneczkę whisky, zajrzą do kasyna gry, a tam ulegną czarowi hazardu i do jego kiesy popłynie strumień pieniędzy.

Coraz więcej ludzi gromadziło się przed barem. Służba porządkowa sprawnie sprzedawała bilety i ustawiała ciekawskich w kolejce; krążyła w tłumie domagając się od opieszłych uiszczenia zapłaty.

Na kilka minut przed godziną czternastą na wóz weszło dwóch ludzi — Eryk Web i szeryf Tom Gavin. Ten ostatni, podniósłszy obie ręce, usiłował uciszyć ciżbę, kiedy to nie poskutkowało, wyjął pistolet i wypalił w powietrze. Nagła cisza zaległa wokoło, a oczy wszystkich zwróciły się na Gavina.

— Szanowni obywatele! — zawołał. — Ceniony w Saint Louis Eryk Web zabierze głos w interesującej sprawie. Pilnie wysłuchajcie jego słów, bo musicie zastosować się do tego, co wam powie.

Ręką dał znak Erykowi. Ten poruszył się jak paw, ogarnął spojrzeniem setki głów i zaczął:

— Ladies and gentleman, posłuchajcie uważnie! Za chwilę zobaczycie coś niezwykłego; coś, co uraduje wasze serca. Nim jednak to się stanie, musicie wszyscy uiścić opłatę i zachować porządek. Pamiętajcie, musi być porządek! Żołnierze i szeryf mają od gubernatora polecenie strzelać do każdego, kto nie podporządkuje się służbie obsługującej widowisko.

Pląćcie więc, bo za chwilę zobaczycie zwierzę, dzikie zwierzę w ludzkiej postaci... Jest teraz potulne, ciche, wystraszone i niegroźne...

Gawiedź zafalowała, buchnął gwar głosów. Bardziej niecierpliwi poczęli przepychać się bliżej klatki. Porządkowi z trudem powstrzymywali napierających ludzi.

Ostry dźwięk gwizdka przeszył zgiełk. Na moment przygasły rozmowy.

— Uwaga! Uwaga! — wołał Web ile sił w piersiach. — Patrzcie tutaj! Zaraz spadnie płachta i zobaczycie bestię, osławionego sachema Sauków i

Foxów, który nigdy już nie skrzywdzi nikogo z białych.

Człowiek stojący za wozem chwycił brzeg materii i ściągnął ją sprawnie. Na placu zrobiło się cicho. Za żelaznymi prętami, w kajdanach na rękach i nogach, stał Czarny Jastrząb. Z nieruchomej postaci bił smutek i upokorzenie. Spod przymrużonych powiek patrzył na dyszący nienawiścią tłum.

- Belzebub!
- Indiański zbój! — ryknął ktoś w tłumie i posypały się dalsze bluźnierstwa, pełne wulgaryzmów i chamstwa.

— Przechodzić, przechodzić obok klatki! — krzyczeli porządkowi.

Popychając się, podchodzili pod sam wóz, zaglądali za kraty, klnąc i wygrażając pięściami. Jakiś osadnik o przyćmionym alkoholem spojrzeniu zatrzymał się i plunął w Czarnego Jastrzębia. Podchwycili to inni. Ze śmiechem pluto na ubranie sędziwego wodza.

Sachem stał nieruchomo. Nie mógł opanować burzy, która przewalała się przez jego duszę. Wargi drgały mu nerwowo, pot uperlił twarz i spływał strużkami niczym słone łzy. W myślach pytał sam siebie: Za co?... Dlaczego jest znieważany?... Przecież nie zabijał białych; wypędzał ich tylko z ojczystej ziemi, by jego lud mógł żyć w pokoju... Czy tak także postępować białym ludziom ich Bóg, głoszący miłość bliźniego?... Dlaczego Gicze Manitou nie stanie w obronie swego syna? A może zarówno Bóg białych, jak i Manitou czerwonoskórych są bezsilni wobec złych mocy, jakie opanowały świat?...

Trzasnęło coś o kraty klatki i odpryski uderzyły w sachema. Otworzył oczy. Zauważył lecący kamień, który przemknąwszy między prętami, ugodził go w pierś. Gawiedź wrzeszczała coraz głośniejsze, coraz namiętniej, coraz fanatyczniej. Nie rozumiał okrzyków, nie chciał ich słuchać. Pograżony w cierpieniu zamknął powieki i nagle wyprostował się dumnie. „Niech wiedzą, że nie złamię godności wojownika” — pomyślał i spojrzał na rozhisteryzowany motłoch.

Szeryf wystrzelił w powietrze; coś krzyczał, ale nikt nie reagował. Grudy ziemi i kamienie leciały jak grad. Jeden źle wymierzony trafił w głowę Eryka.

— Zakrywać, zakrywać klatkę! — krzyknął Web zeskakując z wozu, a za nim szeryf.

Pośpiesznie zaciągnięto płachtę. Tłum natarł na ludzi usiłujących utrzymać porządek. Dragoni otoczyli wóz. Na kozioł wcisnął się woźnica. - Naprzód! — rozkazał wachmistrz i ruszył pierwszy.

Zacięte konie skoczyły z kopyta. Gawiedź rozstępowała się, klnąc niezadowolona, że przerwano zabawę.

Eryk Web i Tom Gavin tylnym wejściem dostali się na zaplecze szynku.

• Siadaj Tom — poprosił Web i stanąwszy przy lustrze, oglądał siniak na czole. — Aby go... — zmełł w ustach przekleństwo.

• Nic ci nie będzie — rzekł Gavin. — Grunt, że się udało. Słyszysz jaki gwar w saloonie?

Eryk zachichotał.

• Zaraz obliczymy dochód z widowiska — powiedział. — Myślę, że był to świetny interes.

• Też tak sędzę — Tom wyciągnął przed siebie nogi. — Można by imprezę powtórzyć, a nawet objechać inne miasta. Co ty na to, Web?

Erykowi rozplłomieniły się oczy.

;— Wiesz, Tom, to niezła myśl — zawołał. — Tylko trzeba uzyskać zgodę władz. Pomożesz?

— Czemu nie? — Szeryf wyciągnął z pudełka brunatne, kształtne cygaro.

Na początku grudnia do Alton zajechały sanie, szczelnie okryte plandeką. Mimo dokuczliwego mrozu, kto tylko mógł znalazł się na obszernym placu. Od kilku dni afisze zapowiadały wystawienie na widok publiczny tego, który odważył się szturmować forty i palić osady.

Na saniach stanął w ciepłym futrze Eryk Web, zapowiadał niezwykle wodowisko za jedno dwa dolary. Tłum z niecierpliwością oczekiwał emocji. Gdy odsłonięto plandekę, ujrano sachema Sauków i Foxów. W zniszczonym letnim ubraniu, w kajdanach, stał z dumnie podniesionym czołem i kamienną twarzą, podobną do rytualnej maski.

Ojcowie podnosili do góry dzieci, aby mogły zobaczyć Czarnego Jastrzębia, informując:

— Zobaczcie, to najdzikszy z najdzikszych Indian. Chciał wymordować wszystkich białych, a teraz siedzi w klatce jak zwierzę.

Atmosfera nienawiści narastała z każdą minutą, aż wreszcie posypały się na klatkę bryły śniegu. Kilkunastu podpitych trampów przepchnęło się do sań. Między stalowe pręty wkładali długie kije i boleśnie poszturchując Czarnego Jastrzębia, zlorzeczyli mu, nie przebierając w słowach. Pchnięty gwałtownie ostro zakończonym kołkiem, zachwiał się, stracił równowagę i upadł. Tłum wybuchnął śmiechem.

— Jeszcze raz! Jeszcze raz, drania! — wrzasnął ktoś za plecami trampów.

Wtem na sanie wszedł wysoki mężczyzna, zrzucił z siebie kozuch. Podniecony tłum z wolna milkł, patrząc zaskoczony na czarną szatę duchownego, a on wyciągnawszy ręce, zawołał:

- Zło w waszych duszach uwiło gniazdo. Wypędźcie zło z siebie. Indian wozicie w klatkach. Murzynów sprzedajecie na targowiskach jak zwierzęta. Biada wam! Zapominacie, że bliźniego kochać trzeba jak siebie samego. Opamiętajcie się, bracia i siostry!

- To poganin! — ktoś zawołał nieśmiało.

- Wszyscy ludzie są braćmi! — krzyczał duchowny — bez względu na wyznawaną wiarę i barwę skóry. Pamiętajcie! Mówi to wam pastor Lorejoy³. — Zrobił przerwę i popatrzył na tłum. — Rozejdźcie się. Zamiast urągać człowiekowi, okryjcie jego ciało, bo mróz na dworze. Przepędźcie tych, którzy na cudzym cierpieniu dorabiają się majątku. A wy — zwrócił się do Weba — zaniechajcie niecných czynów. Moim kozuchem okryjcie nieszczęśliwego Sauka i wracajcie, skąd przyszliście.

Mina Erykowi zrzedła, nie wiedział, jak się ma zachować, zażenowany wycedził:

— Dobrze...

Ktoś w tłumie krzyknął:

- Doigrasz się, Lorejoy! Białych trzeba bronić, a nie kolorowych. Pastor wyciągnął dłoń, władczo zawołał:

- Rozejdźcie się, siostry i bracia, nie słuchajcie podszeptów złych ludzi! Pierwsze z placu poczęły wymykać się kobiety, za nimi mężczyźni. Web z

pomocnikiem zarzucił na klatkę plandekę, szykując się do odjazdu.

W słoneczny dzień 1834 roku powóz prezydenta Andrew Jacksona z trudem torował sobie drogę wśród ludzkiego zbiegowiska.

— Co tam się dzieje, u licha? Spóźnimy się do Białego Domu" — niecierpliwiał się prezydent, wyglądając przez okno pojazdu, ale prócz rozkrzyczanego tłumu nic nie zobaczył i niczego z okrzyków nie zrozumiał.

Towarzyszący mu John Eaton⁵, przyjaciel i bliski współpracownik, poinformował:

- Wystawili na widok publiczny Czarnego Jastrzębia. Widowisko zapowiadały brukowe gazety.

- Czarnego Jastrzębia? — zdziwił się prezydent. — Jaśniej wytłumacz mi, John.

- To sachem Sauków i Foxów, którego nasza armia rozgromiła dwa lata temu.

- Wiem...

- Za zgodą Departamentu Wojny⁶ obwożą go po miastach, i wystawiają w klatce na uciechę gawiedzi. Osobiście uważam, że ten człowiek nie zasłużył sobie na takie maltretowanie. Żona moja, Peggy⁷, mówiła...

Jackson chrząknął, więc Eaton przerwał. Towarzyszący prezydentowi oddział kawalerzystów utorował drogę i powóz potoczył się rażno. O bruk stukały końskie podkowy i obręcze kół. W ich rytmie prezydent wywołał z pamięci obraz dumnej postaci sławnego Sauka. Znał go. Nieraz stawali jako wrogowie naprzeciw siebie i nieraz mieli możność rozmawiać. Był mądrym i sprawiedliwym człowiekiem, w wojennym rzemiośle przewyższał niejednego generała. Czy można go potępiać za to, że rozpaczliwie bronił plemiennych terenów? Spełniał przecież swój patriotyczny obowiązek.

Jackson wcisnął się wygodnie w miękkie oparcie, wyciągnął długie nogi i poszybował w przeszłość. Nie należał do świętych, o nie. Toczył bezlitosne wojny z Indianami. Miał na rękach krew, ale krew przelaną w bitwach. Rozumiał beznadziejną sytuację czerwonoskórych. Zza oceanu płynęły coraz to nowe zastępy europejskiej biedoty, dla której nie było ani pracy, ani miejsca w młodym, dopiero krzepnącym państwie. A wielkie puszcze i stępy czekały na ostrza siekier i lemiesz pługów. Wysyłano więc tam sznury pionierskich karawan. I znowu płynęła krew białych i czerwonoskórych... W ostatecznym rachunku te wojny dawały Unii ziemie, których pragnęła. Dlaczego jednak pokonanego

przeciwnika wystawiono w klatce na pośmiewisko gawiedzi? W dodatku wodza, który rozgromił kilka armii dowodzonych przez świetnie wyszkolonych generałów? Przecież to ubliżało pamięci oficerów i żołnierzy, którzy polegli w tych bitwach...

— Co mówiła twoja Peggy, John? — spytał nagle Jackson.

Eaton poruszył się, mile zaskoczony pytaniem. Żywo odrzekł:

• Mówiła, że Czarny Jastrząb otoczył ją opieką, gdy podczas wojny na Południu przypadkowo dostała się w ręce Indian. Jest oburzona, że tak traktuje się tego człowieka.

• Zgadzasz się ze stanowiskiem Peggy?

• Oczywiście, Andrew.

• Nie będę miał czasu myśleć o sachemie. Czekam na wieczór na pilnych obowiązkach. Zajmij się więc jego sprawą — mówił prezydent. — Chcę mieć sprawozdanie Departamentu Wojny na temat obecnej sytuacji Sauków i Foxów. A jutro każ przyprrowadzić Czarnego Jastrzębia do Białego Domu. Pragnę z nim porozmawiać. Przed wizytą pokażcie mu Kapitol⁸.

• Chętnie to uczynię.

• Przyjdź z nim, John — Jackson przez sekundę rozplanowywał w pamięci czas — o godzinie jedenastej. Będzie paru senatorów i inne znakomitości, ale to nic... Sądzę, że wizyta sachema nie zabierze mi wiele czasu. Zresztą potraktuję ją jako wspaniałomyślny gest naszej życzliwości dla Indian...

Dochodziła godzina jedenasta, gdy John Eaton cicho wszedł do kancelarii prezydenta. Toczyła się tu narada na temat ważnych problemów gospodarczych. Otyły gubernator, ocierając co chwila spoconą twarz, przedstawiał przemysłową sytuację Pensylwanii. Słuchano go z takim zajęciem, że nikt, prócz Jacksona, nie zauważył wejścia Eatona. Obaj porozumieli się wzrokiem.

Gdy mówca skończył, głos zabrał prezydent.

— Panowie, dla odpoczynku potrzebna jest chwila wytchnienia. Do zreferowanych zagadnień wrócimy po przerwie. A teraz pragnę poinformować, że na audyencję czeka Czarny Jastrząb, sachem Sauków i Foxów, któremu wyrządzono moralną krzywdę. Spróbujmy zrozumieć tego człowieka.

Dał ręką znak. Do kancelarii wprowadzono Indianina. Nieufnie spoglądał wokoło. Oszałamiał go przepych, jakiego dotąd nigdy nie widział. Stał na środku puszystego kobierca, w zniszczonym stroju, z twarzą pokrytą setkami zmarszczek, z zapadniętymi policzkami, wychudły i pochylony. Czarne kiedyś włosy, teraz bielą opadały mu na ramiona. Nie wiedział, co ma ze sobą uczynić. Doznał tak wielkich zniewag, że we wszystkim wietrzył nowe przykrości. Bezradnie i z pokorą opuścił na piersi głowę, czekając na dalszy ciąg wydarzeń.

Biali mężowie stanu patrzyli nań z odrobiną ciekawości i politowania. Prezydent wspaniałomyślnie wyszedł naprzeciw i wyciągając rękę, zawołał:

• Witaj, sachemie! Miło nam, że gościmy cię w Białym Domu. Czarny Jastrząb z wahaniem uścisnął wyciągniętą dłoń.

• Witajcie — odrzekł cicho.

• Usiądź, czerwony bracie. — Jackson wskazał krzesło obok siebie, a Eaton, podprowadziwszy sachema, zajął miejsce z drugiej strony.

• Wczoraj dopiero dowiedziałem się o krzywdzie, jakiej doznałeś — powiedział prezydent. — Natychmiast wydałem odpowiednie zarządzenia. Daruję ci wolność, Czarny Jastrzębiu.

Sachem milczał. Ukradkiem obserwował sztukaterię ścian, wielkie obrazy w złożonych ramach, misternie kute kandelabry, kryształowy żyrandol, meble, gwiaździsty sztandar, stojący w efektownym drewnianym stojaku...

• Zostańmy przyjaciółmi. Unia jest ojczyzną białych i czerwonych ludzi — mówił prezydent. — Twoje plemię zamieszkało nad Iowa River. Wracaj do nich.

• Zamknijcie mnie razem z synami, chcę umrzeć z nimi w więzieniu — odpowiedział ze smutkiem i goryczą.

• Nim zdolasz dotrzeć nad Missisipi, dopędzą cię twoi najbliżsi. Są już, jak ty, na wolności.

Przyjmujesz naszą przyjaźń, Czarny Jastrzębiu? — spytał Jackson.

Sachem przesunął spojrzenie po siedzących. Tylko niektórzy okazywali zainteresowanie. Na obliczach

pozostałych malowała się obojętność i nuda.

— Niech mój brat odpowie — szepnął do ucha sachema Eaton.

Czarny Jastrząb podniósł się z krzesła, jak nakazywał obyczaj. Skrzyżował ramiona na piersiach zakrywając zniszczone ubranie.

— Było to w maju 1816 roku, gdy wówczas generał, a dziś Biały Ojciec, podpisał z wodzami pokój — zaczął monotonna. — Czarny Jastrząb jednym ruchem ręki złożył wtedy podpis, wierząc w obietnice białych ludzi. I co z tego wynikło? Czy to Saukowie najechali ziemię Miczi-malsa, czy stało się odwrotnie?... Czarny Jastrząb nie wstydi się swych czynów, bo wypełniał swój obowiązek, bo wiodł wojowników do walki w obronie własnego kraju, w trosce o lud. Wojnę Saukowie przegrali, bo Miczi-malsa są okrutni, nie znają litości nawet dla dzieci i kobiet, bo zatruwają serca jadem zdrady i nienawiści. — Wyciągnął przed siebie ręce, pokazując na przegubach blizny i świeże strupy od łańcuchów. Mówił coraz mocniejszym głosem. — Mądrość białych jest wielka, ale jeszcze większa jest ich nienawiść do czerwonoskórych. Dlaczego? Czarny Jastrząb współczuje swym braciom, bo czekają ich podobne, jak Sauków i Foxów, cierpienia. Nie może dla nich nic więcej uczynić. Jego słońce zachodzi i już nigdy nie wzejdzie...

Zapadła nieprzyjemna cisza. Słowa rzekomo dzikiego, zmaltretowanego Indianina uderzyły celniej niż pociski. Dostojnicy siedzieli zakłopotani.

— Wiele prawdy usłyszeliśmy z twych ust, Czarny Jastrzębiu — powiedział spokojnie Jackson. — Nieszczęścia wasze były nie do uniknięcia. Minęły. Zapomnijmy o wzajemnych urazach. Jesteś wolny, jedź dokąd chcesz. Audyencja skończona. Żegnaj.

- Żegnajcie — szepnął sachem. Pochylił się złamany i samotny. Eaton dotknął jego ramienia.
- Chodźmy — powiedział.

Wyszli na dziedziniec. Minęli równe prostokąty trawników, szpalery ostrzyżonych żywopłotów, klomby i rabaty płożące kwiatami.

— Oto koń dla ciebie, wodzu — rzekł Eaton zatrzymując się przy rumaku. — To dar od mojej żony.

Czarny Jastrząb podniósł zdumiony i pytający wzrok.

— Podczas wojny na sawannach Południa zaopiekowałeś się, bracie, dziewczyną o imieniu Peggy. Pamiętasz? To ona wstawiała się za tobą, gdy siedziałeś w więzieniu. W jukach znajdziesz wszystko, co potrzebne do dalekiej podróży. Bądź zdrow.

—f Bywaj, bracie.

NAD DES MOINES

W zakolu spokojnie płynącej rzeki Des Moines leżała mała wieś. Wigwamy, ozdobione malowidłami, w cieniu wyniosłych drzew wyglądały jakby wyjęte z uroczej baśni. Bo rzeczywiście był to niezwykle czarem owiany zakątek. Gromada hikor, kasztanowców i białych dębów, z rzadka rozrzuconych wzdłuż brzegu, tworzyła malowniczą oazę na pustym stepie. Jesień ubarwiła już drzewa wszystkimi odcieniami czerwieni i żółci. Słońce jeszcze przygrzewało. Nad sennie szumiącą wodą unosiły się owady, a wśród kolorowych liści, radując się dostatkiem, koncertowały ptaki.

Na bizoniej skórze, u wejścia do najokazalszej chaty siedział ubielony siwizną starzec. Podniósłszy twarz ku słońcu, rozkoszował się ciepłem promieni i ciszą południa. Zdawało się, że niczego nie dostrzega ani nie słyszy. A jednak gdy pięciu jeźdźców wyłoniło się zza usypiska wznoszącego się niedaleko wioski, otworzył powieki i uważnie przyglądał się przybyszom. Klasnął w dłonie. Z wigwamu wyrzwał mężczyzna.

— Powiedz Śpiewającemu Ptakowi, synu, że jadą goście — rzekł i znowu poddał się pieszczocie słońca.

Jeźdźcy, z których jeden był białym, zostawili wierzchowce w korralu nad rzeką i podeszli do starca.

- Witaj, wielki sachemie — powitali go z szacunkiem.
- Witajcie — odparł starzec. — Jeśli jesteście głodni i spragnieni, w wigwamie zaspokójcie łaknienie, a potem powiecie, jaki powód was do mnie sprowadził.
- Wybacz nam, Czarny Jastrzębiu, że nie będziemy jedli, jesteś my syci — odrzekł jeden z przybyłych. — Rada Starszych przysłała nas do ciebie.
- Białego brata, Leclaira¹, też? — spytał chłodno.
- Nie, przyjechał z własnej woli — padła odpowiedź.
- By Miczi-malsa mogli znać myśli i uczucia Czarnego Jastrzębia? — rzucił uszczypliwie.
- Źle mnie osądzasz, bracie — powiedział Leclair. — To z sympatii do ciebie, sachemie. Jestem twym przyjacielem.

• Tylko jednego spośród białych mam przyjaciela. To Czerwone Serce.
— Jestem drugim, zechciej uwierzyć. Podziwiam twą mądrość i czyny.

Czarny Jastrząb puścił mimo uszu słowa białego i wskazując drzwi chaty, zaprosił:

— Wejdźcie, bracia.

Usiedli, czekając, aż pierwszy zabierze głos Czarny Jastrząb, a on zwlekał. Domyślali się dlaczego. W chacie kogoś brakowało. Wreszcie zjawił się Neapope i synowie sachema — Nasheakusk i Gamesett. Spoczęli w kręgu. Sędziwy naczelnik dalej milczał, pełen powagi, przenikliwym wzrokiem przyglądając się delegacji. Pamiętał tych ludzi. Szybki Wiatr i Czerwony Grom, jako Foxowie, od dawna służyli Keokukowi. Długa Strzała, mimo że był Saukiem, poszedł w ich ślady. Niejedno można by im zarzucić. Tylko Sowie Oko pozostał do końca bez skazy. I w końcu Antoni Leclair — pełniący od roku funkcję łącznika między plemieniem a gubernatorem, mieniący się opiekunem Sauków i Foxów, który w rzeczywistości był uszami i ustami białych Amerykanów. Czegóż chcieli?...

Sachem położył dłonie na kolanach, powiedział:

- Słucham was, bracia. Mówcie.
- Do wioski Sauków i Foxów nad Iowa River przybyli niedawno posłowie Wanety z zamiarem pojednania nas z Osagami. Rada Starszych nie była jednomyślna. Jedni opowiedzieli się za pokojem, inni przypominali krzywdy i rozlaną krew — mówił Szybki Wiatr. — Jakże może być zgoda ze zbójckim szczeniem Osagów, skoro trzy lata temu z ich ręki zginęło tylu naszych ludzi, a między nimi szaman Waupeshek i syn wielkiego sachema — Orzeł Prerii. Tak uzasadniali. A kiedy trudno było ustalić drogę postępowania, wysłano nas do ciebie, Czarny Jastrzębiu, po ostatnie słowo.
- A Keokuk? — spytał sachem. — Jakie stanowisko zajął wódz Keokuk?
- Powiedział, że z Osagami wojny prowadzić nie ma zamiaru, ale podejmowanym przez młodych wodzów zbrojnym wyprawom przeszkadzać nie będzie — wyjaśnił Czerwony Grom.
- Śledzącemu Lisowi obojętny jest los plemienia. — Czarny Jastrząb z politowaniem pokiwał głową. — Skorzystajcie, bracia, z dobrej woli Wanety i jeśli Osagowie skłonni są do zgody, wyciągnijcie do nich przyjazną rękę. Dość przelano już bratniej krwi. Plemionom potrzebny jest pokój i jedność. Oto rada Czarnego Jastrzębia.

• Przekażemy twe słowa, sachemie — Szybki Wiatr z szacunkiem pochylił głowę.

Zapadła chwila ciszy, którą przerwał Sowie Oko.

— Rada Starszych jednomyślnie prosi cię, Czarny Jastrzębiu, byś wrócił do swoich. Twoje miejsce wśród Sauków i Foxów... — w wypowiedzi brzmiała prośba.

Poradłone oblicze sachema pozostało nieruchome, tylko w ciemnych źrenicach na ułamek sekundy zapłonął żywszy płomień i zgasł.

- Mówisz, bracie, o jednomyślności?... Keokuk też tego pragnie? — spytał sucho.
- Nie wiemy, co on o tym myśli — odrzekł Sowie Oko. — Śledzący Lis w widłach rzek Iowa i Cedar sprzedał backwoodsmenom ziemię bez wiedzy i zgody plemienia. Rada Starszych chce, byś wrócił, Czarny Jastrzębiu, i został naczelnikiem Sauków i Foxów. Uczyn tak. Nie odmawiaj Radzie Starszych.

Sachem opuścił powieki, milczał. Oczekując na odpowiedź, patrzyli na jego białe jak mleko włosy, związane misternie wplecioną taśmą.

— W obradach uczestniczył Keokuk? — spytał cicho.

- Nie. Siedzący Lis wyjechał do Saint Louis — odrzekł usłużnie Czerwony Grom.
- Czy nie potraktuje tego bunt, skoro Rada Starszych zebrała się bez jego wiedzy?

- Oszukuje nas — odezwał się Szybki Wiatr. — Sprzedając białym ziemie, spowodował, że z tej strony Ojca Wód znowu zaczynają panoszyć się blade twarze, a miała to być przecież kraina tylko dla czerwonoskórych.

- Rozumiem was, bracia — z namysłem rzekł Czarny Jastrząb. -Sami jednak musicie Keokukowi powiedzieć prawdę i zażądać unieważnienia sprzedaży ziemi. Pomoże wam pewnie biały brat...

- Pomogę, choć będzie to trudne — odezwał się Leclair.

- Tylko ty, sachemie, potrafisz mądrze kierować Foxami i Saukami — rzekł Czerwony Grom. — Spełnij wolę Rady Starszych i...

Sachem przenikliwie patrzył w oczy mówiącego; pod siłą tego wzroku Czerwony Grom, zmieszany, zamilkł.

- I ty to mówisz? — powiedział sachem z wyrzutem i goryczą. — Ty, który przez tyle lat byłeś oddany Keokukowi?...

- Zawiodłem się.

- Ty, który z gromadą współbraci, na rozkaz Śledzącego Lisa, rzuciłeś się na śpiącego, by sprzedać go Długim Nożom za kilkanaście mustangów?... I ty dzisiaj to mówisz? Jakże mogę wam ufać.

- Pragniemy naprawić nasze błędy — włączył się Szybki Wiatr.

- O, bracia, są słowa, których cofnąć się nie da; są czyny, których skutków nikt nie naprawi; są rany, które nigdy się nie zablżnią — Czarny Jastrząb mówił z żalem, spokojnym, równym tonem. — Ponad trzydzieści pięć lat broniłem plemiennego kraju dla nas, dla naszych wnuków, dla przyszłych pokoleń. Odbiegliście ode mnie, omamieni zdradą i fałszem. Jesteście jednak krwią mojej krwi, dlatego zapomniałem i wybaczyłem wszystko. Dzisiaj jestem już jak stare, spróchniałe wewnątrz drzewo, które zwali byle wiatr. Zostańcie z Keokukiem, którego popierają Miczi-malsa, albo wybierzcie wodza spośród znamięnionych wojowników. Tak będzie lepiej...

Siedzieli przed nim zawstyżeni. Zbyt ostra prawda biła z jego słów. Mimo że długo już milczał, nikt nie śmiał przemówić. W reszcie rozległ się łamiący głos Sowiego Oka:

— Wiele rodów przybędzie nad Des Moines, aby zamieszkać z tobą, sachemie.

Koścista dłoń starca nakreśliła zakazujący ruch. Odparł:

— Nie czyńcie tego, bracia. Chcę z rodziną być sam nad Des Moines. Pamiętajcie, pragnę być sam! — Zrobił długą pauzę i ściszone głosem ciągnął dalej: — Gdy odejdę do Krainy Wiecznych Łowów, zaopiekujcie się, jak każe obyczaj, moją sąuw. A do tego czasu zawsze mogę wam służyć radą. Odwiedzajcie mnie, kiedy tylko chcecie. Serce Czarnego Jastrzębia jest dla was otwarte, bracia...

Cóż mogli odpowiedzieć sachemowi? Milczeli przygnębieni.

- Chciałbym pozostać w wiosce przez parę dni. Czy mogę liczyć na gościnę? — spytał Leclair, przerywając ciężką wszystkim ciszę.

- Proszę. Niech biały brat zamieszka w wigwamie dla gości — odrzekł Czarny Jastrząb. — Czerwoni bracia także mogą się zatrzymać — dorzucił spoglądając na zasępione twarze wojowników.

- Musimy wracać — rzekł Sowie Oko. — Nad Iowa River czekają na odpowiedź...

- Niech szlak będzie wam łaskawy — rzekł sachem wstając. — Pozdrówcie Sauków i Foxów, przekażcie im, że serce i dusza Czarnego Jastrzębia są z nimi.

- Dzięki, spełnimy twą prośbę, sachemie...

Pożegnawszy się uściskiem z sędziwym naczelnikiem, opuścili wigwam. Po paru minutach gnali już prerią.

Antoni Leclair rozgościł się w chacie, która przeznaczona była wyłącznie dla gości. Tego dnia nie przeszkadzał sachemowi. Młoda i urocza żona Neapope'ego przyniosła mu wieczorny posiłek, a rankiem śniadanie. Prócz grzecznościowych podziękowań, nie próbował nawiązywać rozmowy. Znal obyczaje Indian. Wiedział, że nie godzi się mężczyźnie prowadzić pogawędki z zamężną kobietą, prócz bieżącej i koniecznej wymiany zdań. Nie miał zresztą o co pytać. Tę małutką wieś znał doskonale, bo odwiedzał ją parokrotnie. Nasheakusk zajmował z żoną i dzieckiem jeden wigwam, drugi należał do Neapope'ego. Gamesett nie założył jeszcze własnej rodziny, ale dysponował samodzielną chatą. Najpiękniejsza należała do sachema i jego żony. Między tymi chatami a korralem stał wigwam dla gości, który obecnie zajmował. Oto całe osiedle. Ciche i schludne. Ocienione koronami wysokich drzew, przytulone do brzegu

szmerliwej rzeki.

Leclair przez otwarte drzwi zobaczył idącego nad wodę sachema. Wyszedł naprzeciw i pozdrowiłszy go, spytał:

- Nie będę przeszkadzał?
- Nie. Cóż trzyma u nas białego brata? — zaczął rozmowę sachem.
- Gdy byłem tu w lecie, mój czerwony brat malował na białutkiej

skórze dzieje swego życia — odrzekł Leclair. — Wtedy pomyślałem, że dobrze byłoby... — przerwał, bo Czarny Jastrząb pochylił się i podniósł złocisty liść kasztanowca, który majestatycznie spłynął pod ich stopy.

• Ludzie podobni są do liści — powiedział sachem. — Rozwijają się, szumią, cieszą się słońcem, deszczem i wiatrem, potem żółkną i opadają na ziemię, by zamienić się w proch.

• Wiosną zazielenia się nowe — zauważył Leclair.

• Ale nie te same — sachem uśmiechnął się gorzko.

• To prawda. Dzięki liściom drzewa rodzą owoce i to ich zasługa, a po ludziach zostają czyny, dzieła ich rąk i umysłów, i pamięć pokoleń.

- Nie zawsze, biały bracie.

Zatrzymali się nad rzeką połyskującą migotliwie falami.

• Czarny Jastrząb zrobił tak wiele dla swojego ludu, że nigdy nie zagaśnie o nim pamięć.

• Miną wieki i zapomną...

• Nie wolno do tego dopuścić — ożywił się Leclair. — Dlatego myślę, że dobrze byłoby spisać twoje dzieje, sachemie.

Sędziwy Sauk przyjrzał się białemu z zaciekawieniem.

• Czarny Jastrząb nauczył się waszej mowy, nawet próbował poznawać znaki, którymi utrwalacie słowa, ale zabrakło czasu i sił; trzeba było nieustannie walczyć. Dzisiaj już na to za późno — odrzekł. — Jeśli obrazy nakreślone na skórze zdołają przetrwać, może ktoś będzie wiedział, że Czarny Jastrząb poświęcił życie „Ludziom Żółtej i Czerwonej Ziemi”.

• Słusznie — podchwycił żarliwie Leclair. — Pismo obrazkowe, którym się posługujesz, jest nietrwałe, bo pojawia się tylko w jednym lub w paru egzemplarzach. Trudno tym pismem wyrazić uczucia i myśli, można jedynie zilustrować jakieś luźne epizody. Gdyby utrwalić dzieje Sauków i Foxów pismem białych ludzi, pamięć o tobie i twoim plemieniu byłaby wieczna.

- Może...

• Zaufaj mi! — Leclair ufnie położył dłoń na ramieniu sachema. — Będziesz opowiadał, a ja dokładnie zapiszę każde wydarzenie, każdą twoją myśl i uczucie... Potem wydrukuję książkę o twym życiu i dziejach Sauków. Co sądzisz o tym, bracie?

- Dlatego zostałeś w mej wiosce? — spytał sachem.
- Tak.
- Przyjdź jutro do mego wigwamu. Dam ci odpowiedź.

Na drugi dzień Leclair zajrzał do chaty Czarnego Jastrzębia, a widząc zapraszający gest, przekroczył próg, usiadł na puszystym futrze i powiedział:

- Sprawisz mi przykrość, jeśli odrzucisz moją propozycję.
- Nie odrzucę. Pisz, biały bracie — odrzekł wódz.
- Kiedy zaczniemy? Praca potrwa długo.
- Choćby zaraz.
- Dobrze, pójdę po przybory.
- Idź i wracaj.

Leclair pobiegł do swej chaty, wziął brulion, inkaust i pióro. Wróciwszy do sachema, wygodnie usadowił się i rozłożył kajet. Na pierwszej stronie nakreślił tytuł: „Historia życia Czarnego Jastrzębia — sachema Sauków i Foxów”.

— Jestem gotowy, możemy zaczynać — powiedział.

Czarny Jastrząb zmarszczył czoło, zbierał myśli, zastanawiał się, wreszcie z trudem dobierając słowa, zaczął mówić po angielsku.

- Urodziłem się nad Rock River...
- Bracie, mów w ojczystym języku — przerwał mu Leclair. — Łatwiej ci będzie formułować myśli.

Wiesz, że władam waszą mową. Będę słuchał, od razu tłumaczył i zapisywał. Mów, proszę, wolno, bym

mógł nadażyć za tokiem twych zdań.

Czarny Jastrząb poprawił się na niedźwiedzim futrze i potoczyście zaczął opowiadać:

— Przyszedłem na świat w roku 1767 w osiedlu Sauków u ujścia Rzeki
Kamiennej do Me-si-kse-pe. Ojciec mój, słynący z męstwa i mądrości,
wywodził się z klanu Piorunów ...

Płynęła opowieść. Skrzypiało pióro. Białe kartki pokrywały się wąziutkimi ścieżynami liter. Przez szeroko rozwarte drzwi chaty kładł się złocistą smugą słoneczny blask.